MOC CZYTANIA NA BOŻE NARODZENIE

TYGODNIK POWSZECHNY

Kraków 20–27 grudnia 2020
nr 51–52 (3728–3729)
cena 12,50 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ OD SPOTKANIA

REKLAMA

160 LAT

TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

Wszystko zaczęło się 160 lat temu, od spotkania w pracowni artysty Wojciecha Gersona przy ul. Miodowej w Warszawie. W czasie kiedy Polski nie było na mapie, grupa twórców i mecenasów postanowiła założyć stowarzyszenie, które miało otoczyć opieką polską sztukę i artystów. W następnych latach Towarzystwo doprowadziło do budowy gmachu dzisiejszej Zachęty—Narodowej Galerii Sztuki i stworzenia wielkiej publicznej kolekcji. Dzisiaj stowarzyszenie nadal istnieje i realizuje te idee w nowej rzeczywistości.

W odpowiedzi na kryzys, jaki dotknął środowisko artystyczne w czasie pandemii, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych wspólnie z Zachętą zainicjowały projekt *160/160*. Jego celem jest wsparcie artystek i artystów związanych z kolekcją Zachęty. Od czerwca tego roku już kilkadziesiąt osób otrzymało dofinansowanie na pracę twórczą. Ty też możesz wesprzeć akcję.

DOŁĄCZ DO NAS → dowiedz się więcej: TZSP.art.pl

Rocznica założenia Towarzystwa przypada w roku, który dla wszystkich okazał się wyjątkowym wyzwaniem. Sztuka jednak nigdy wcześniej nie była tak dostępna. Bez wychodzenia z domu można obejrzeć wystawy online w Zachęcie, wziąć udział w warsztatach, przeglądać publikacje i prace z kolekcji, odwiedzić księgarnię artystyczną i poznać niedostępne zakamarki galerii.

SPOTKAJMY SIĘ → ZACHETA.art.pl

Marek Sobczyk, *Prosta tęcza*, 1991/2019, fot. Anna Zgrodzka

TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

ZACHĘTA

REKLAMA

xABo KSIĄDZ BONIECKI

„XABO: KSIĄDZ BONIECKI”
JUŻ NA NAJLEPSZYCH PLATFORMACH VOD

więcej informacji na:
powszech.net/vod-xabo

SCENARIUSZ I REŻYSERIA ALEKSANDRA POTOCZEK
PRODUCENT ALEKSANDER KARDYŚ PRODUCENT WYKONAWCZY AGNIESZKA ISKRA
ZDJĘCIA ADAM PALENTA, SZYMON SINOFF KIEROWNICTWO PRODUKCJI LIDIA BARANKIEWICZ
MONTAŻ MARCIN SUCHARSKI DŹWIĘK TOMASZ KOCHAN MUZYKA HANIA RANI

PRODUKCJA:
WSPARCIE:
SPONSOR GŁÓWNY:
SPONSORZY:
PARTNER:
DYSTRYBUCJA:

FOT. MARCEL ZIENKIEWICZ DLA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

ABACA / PAP

Papież Franciszek na Placu Świętego Piotra. Watykan, 27 marca 2020 r.

KS. ADAM

Boniecki: *Serce papieża*

Chciałbym jako podarunek pod choinkę podać na zachętę kilka fragmentów nowej książki papieża pt. „Powróćmy do marzeń. Droga ku lepszej przyszłości". Powstała podczas kwarantanny Franciszka. W pisaniu wspierał go brytyjski pisarz i dziennikarz Austen Ivereigh (komentator BBC, autor wydanej i u nas biografii pt. „Prorok. Biografia Franciszka, papieża radykalnego"). Ta książka to ani wywiad z papieżem, ani jego spisane monologi. Jak powstawała, czytelnik może się przekonać w zamykającym ją „Postscriptum" Ivereigha. Choć oparta na klarownym schemacie: „kontempluj – rozeznawaj – proponuj", chwilami sprawia wrażenie nieco chaotycznej, może dlatego, że jest o prawie wszystkim, jak nasze codzienne rozmowy.

„W próbach życia odsłaniasz swoje własne serce (...). Normalne czasy są jak wymiana formalności podczas oficjalnej rozmowy – nigdy nie musisz ukazywać siebie". Nie wiem, jak ta książka ma się do tzw. zwyczajnego nauczania papieskiego, ale wiem, że w niej papież Franciszek odsłania własne serce, pokazuje siebie.

Wybrane fragmenty nie są syntezą książki, a raczej pokazaniem, co papież Franciszek myśli o kilku ważnych sprawach.

O PANDEMII: „Kryzys pandemii COVID-19 wydaje się wyjątkowy, gdyż dotyka większości ludzkości. (...). Są tysiące równie strasznych kryzysów, ale ponieważ dzieją się one gdzieś daleko od wielu z nas, zachowujemy się tak, jakby w ogóle ich nie było". „Czasami myślenie globalne cię paraliżuje (...) Tym, co pomaga, jest skupienie się na konkretnych sytuacjach (...) nie możesz iść na peryferie w sposób abstrakcyjny; potrzebujesz konkretu. Często myślę o prześladowanych ludach (...) Szczególnym uczuciem darzę lud Rohinga. (...) W Bangladeszu tysiące ich przebywa w obozach dla uchodźców, gdzie szaleje wirus COVID-19. Wyobraź sobie, co dzieje się w obozie dla uchodźców, gdy uderza w niego wirus". „Czasem, kiedy myślę o wyzwaniach, które są przed nami, czuję się przygnieciony. Ale nigdy nie czuję beznadziei".

TERAZ: „Widzę teraz dużo okopów. Ludzie, którzy najwięcej zainwestowali w świat, jaki obecnie mamy, właśnie kopią okopy. Niektórzy przywódcy mówią, że tu i ówdzie można by coś przesunąć, ale tak naprawdę są zwolennikami starego systemu. Gdy mówią o »zdrowieniu«, mają na myśli położenie w przyszłości odrobiny farby, dotknięcie pędzlem swojego dzieła tu i ówdzie, a wszystko po to, by się upewnić, że nic się nie zmieni. Jestem przekonany, że doprowadzi to do jeszcze większej porażki, takiej, która może wywołać ogromną społeczną eksplozję".

JUTRO: „Dzieją się rzeczy, których nigdy sobie nie wyobrażaliśmy. Zapaść środowiska, globalna pandemia, powrót populizmów – właśnie teraz je przeżywamy, a to, co kiedyś uważaliśmy za normalne, coraz bardziej przestaje istnieć. Myślenie, że możemy wrócić do miejsca, w którym byliśmy, jest iluzją. Próby przywrócenia dawnego porządku rzeczy to zawsze wejście w ślepy zaułek".

FUNDAMENTALIZM. „W obliczu tej niepewności ideologia i sztywny sposób myślenia wabią urokiem, któremu musimy się oprzeć. Fundamentalizm jest środkiem do gromadzenia myśli i zachowań jako schronienia, które ma podobno ochronić człowieka przed kryzysem. Fundamentalizmy oferują ochronę ludzi przed destabilizującymi sytuacjami w zamian za pewien egzystencjalny kwietyzm. Proponują one jeden, zamknięty sposób myślenia jako substytut tego, który otwiera na prawdę. Kto szuka schronienia w fundamentalizmie, ten boi się wyruszyć na poszukiwanie prawdy. On już »ma« prawdę, a każde jej szukanie jest interpretowane jako agresja wobec jego osoby".

NADUŻYWANIE WŁADZY. „Nie przestanę mówić ze smutkiem i wstydem, że te nadużycia [władzy] popełniali również niektórzy członkowie Kościoła. W ostatnich latach podjęliśmy ważne kroki w celu ich wykorzenienia i stworzenia kultury opieki, zdolnej do szybkiego reagowania na oskarżenia. To zajmie trochę czasu, ale jest nieuniknionym zobowiązaniem, na które musimy nalegać ze wszystkich sił. Nie może być więcej nadużyć – czy to seksualnych, czy też władzy i sumienia – ani w Kościele, ani poza nim".

HISTORIA NIEUPIĘKSZONA. „Hańba naszej przeszłości jest częścią tego, czym i kim jesteśmy. (...) Istnieje wielkie niebezpieczeństwo we wspominaniu win innych w celu głoszenia swojej własnej niewinności (...). Spójrzmy na przeszłość krytycznie, lecz z empatią, aby zrozumieć, dlaczego ludzie przyjęli za pewnik to, co teraz wydaje nam się odrażające. I wreszcie, jeśli musimy przeprosić za błędy popełnione przez instytucje tamtego czasu, możemy to zrobić, ale zawsze mając na uwadze kontekst historii. (...) Historia jest tym, czym była, a nie tym, czym chcielibyśmy, żeby była".

EKOLOGIA. „Istnieją ruchy ekologiczne, które zmieniają doświadczenie ekologiczne w ideologię, ale świadomość ekologiczna to po prostu świadomość, a nie ideologia. To świadomość, jaka jest stawka losu ludzkości".

ABORCJA. „Jeśli uważasz, że aborcja, eutanazja i kara śmierci są do zaakceptowania, twoje serce nie będzie przejmowało się skażeniem rzek i niszczeniem lasów deszczowych. I odwrotnie. Tak więc, nawet jeśli ludzie będą nadal usilnie argumentować, że problemy te dotyczą różnych porządków moralnych, jak długo będą się upierać, że aborcja jest uzasadniona, ale pustynnienie już nie, albo że eutanazja jest zła, ale zanieczyszczone rzeki są ceną za postęp gospodarczy, tak długo będziemy wciąż tkwić w tym samym braku integralności, który doprowadził nas tu, gdzie jesteśmy".

LUDZIE O WYIZOLOWANYM SUMIENIU. „Katolikom o wyizolowanym sumieniu nigdy nie brakuje powodów do krytykowania Kościoła, biskupów czy papieża: albo jesteśmy spóźnieni, albo poddajemy się nowoczesności; nie jesteśmy tym, czym powinniśmy być lub podobno kiedyś byliśmy". „Ci, którzy deklarują, że w Kościele jest zbyt wiele »zamieszania« i że tylko takiej czy innej grupie purystów lub tradycjonalistów można ufać, sieją podziały. To samo dotyczy tych, którzy twierdzą, że dopóki Kościół nie wyświęci kobiet na dowód swojego zaangażowania na rzecz równości płci, lokalna parafia lub biskup nie mogą liczyć na ich współpracę. Są to pozornie spójne i dobrze uzasadnione powody, ale maskują one ducha wyizolowanego sumienia, które odmawia bycia uczniem Chrystusa na łonie Jego Kościoła. Ludzie ci kończą na przehandlowaniu doktryny dla ideologii, a ich przypuszczenia i podejrzenia ostatecznie prowadzą ich do snucia teorii spiskowych i patrzenia na wszystko przez zniekształconą soczewkę".

GRZESZNA TWARZ KOŚCIOŁA. „Pomóżmy mu znowu wstać. Nie potępiajmy go ani nie lekceważmy, lecz troszczmy się o niego jak o naszą własną matkę. (...) Niestety, dzisiaj tak wielu ludzi (...) z zamkniętego świata swego oblężonego »ja« narzeka i gardzi, a czując, że ich tożsamość jest zagrożona, angażuje się w bitwy – online i osobiście – by się poczuć bezpieczniej".

To kilka zaledwie fragmentów. Świątecznie zapraszam na spotkanie z Franciszkiem. Ta niewielka książeczka jest jak rozmowa z nim. Pomaga go zrozumieć, zrozumieć Kościół i zawiłości świata.

Życzę nam wszystkim w te Święta, żebyśmy lepiej rozumieli. Wtedy rozstąpią się mroki świata, nadzieja rozświetli twarze, dalecy staną się bliscy, a bliscy – najbliżsi. Świąteczny numer „Tygodnika" na pewno nam w tym pomoże. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

W kolejnym, noworocznym numerze „Tygodnika Powszechnego" – same czytelnicze fajerwerki!

Jaka będzie nowa Ameryka • 2021: nadzieje i obawy • Słowo roku: lud
Wyobraź sobie: epidemii nie było • Muzycy kontra dyktatorzy • Brzmienie ciszy w sporcie
Gospodarka bez bezrobocia • Wielkie pytania o moralność

Podwójne, pięknie ilustrowane wydanie na Nowy Rok i święto Trzech Króli
w sprzedaży już we wtorek 29 grudnia, a w e-wydaniach,
w wydaniu na Kindle i w aplikacji – tego samego dnia wieczorem.

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BOŻE NARODZENIE 2020

14 Wiecznie bliskie narodziny
PIOTR SIKORA
Boże Narodzenie nie jest tylko świętem wzruszającej historii. Wracamy przez nią też do siebie, do ciała, do życia tu i teraz – gdzie właśnie rodzi się Bóg.

18 Przez szczelinę świata
ROZMOWA Z O. TOMASZEM BIŁKĄ
Na pytanie, gdzie się Bóg rodzi, odpowiadam: nie tam, gdzie się Go spodziewamy.

22 Równy gość
ZOFIA BARTOSZEWICZ
Przynosiłam opowieść wigilijną do kolejnego domu w kolejną Wigilię. Teraz zanoszę ją do wielu domów naraz.

26 Religia osieroconych
RYSZARD KOZIOŁEK
Dwie twarze tego samego wykluczenia: Maria i niemal ukamienowana Maria Magdalena. W oczach opinii publicznej jedna jest winna, bo pozwoliła się uwieść; druga, bo uwodzi.

32 Jaka ty tu jesteś piękna
ROZMOWA Z JUSTYNĄ DĄBROWSKĄ
Wiele kobiet ma przekonanie, że ich łono jest gdzieś bardzo daleko.

38 Nogawice świętego Józefa
MAGDALENA ŁANUSZKA
Średniowieczna sztuka z opiekuna Zbawiciela robiła pantoflarza, nieudolnego ojca, niedołężnego starca, a nawet seksualnego frustrata i głupca. Dlaczego?

43 Betlejem na talerzu
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Kuchnia palestyńska to kombinacja kultur, produktów i ich sezonowości. Kombinacja ziemi, słońca i wody. Ale wiele przypraw zawdzięcza polityce – mówi Fadi Kattan.

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

92 Tylko echa
MARCIN ŻYŁA
Te miejsca i czas naprawdę istnieją – jak dziwny rok, który przecież zdarzył się naprawdę. Ale żeby się do nich dostać, trzeba się wyprzeć logiki, zawiesić racjonalne sądy.

ZVONIMIR ATLETIĆ / EYEEM / GETTY IMAGES // CORINNA KERN / LAIF / FORUM // DOMENA PUBLICZNA // WESTEND61 GMBH / ALAMY / BEW // DIDIER DESCOUENS / DOMENA PUBLICZNA // JOANNA RUSINEK DLA „TP"

8 Tak dla większej integracji
OLAF OSICA

9-13 Obraz tygodnia

48-49 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

52 Polska gotowa na swojego Bidena
JAROSŁAW FLIS: *Amerykańskie wybory i polskie protesty*

56 Gruba Berta i inne zaklęcia
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Jak Renia walczy z rakiem*

60 Nieobecność
MAREK WĄS *o rodzinach tych, którzy zginęli w Grudniu '70*

64 Meandry jednostronne
ROZMOWA Z WIKTOREM KOTOWSKIM, *biologiem z Centrum Ochrony Mokradeł*

ŚWIAT

68 Ostatni telefon
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z ARMENII: *Przez całą wojnę matki wyczekiwały synów z Górskiego Karabachu. Nie wszyscy wrócili*

71 Lankijscy piekarze uciekają z Siedmiogrodu
KAMIL CAŁUS: *Rumunia z nieufnością patrzy na poczynania rządu Orbána*

74 Liczenie łódek
PAULINA MAŚLONA Z HISZPANII: *Wyspy Kanaryjskie to nowy cel afrykańskich migrantów*

78 Krecia robota
ROMAN HUSARSKI: *Wszyscy wspólnicy Korei Północnej*

80 Niemców portret własny
RAFAŁ WOŚ: *Serial kryminalny „Tatort" jest jak zwierciadło*

DANIEL MRÓZ

DODATKI SPECJALNE

2021: Rok Lema

Dokąd leci Planeta Lem? ▪ Jak brzmi kosmos? ▪ Czy wszechświat jest naszym lustrem? ▪ Jak wysłać wiadomość do tych, którzy będą żyli na Ziemi za 10 tysięcy lat, i dlaczego pomogą nam w tym rośliny?
Odpowiedzi na te i wiele innych pytań w dodatku towarzyszącym obchodom setnej rocznicy urodzin Stanisława Lema

107 Wawel otwarty na nowo

139 Zachęta. Wszystko zaczyna się od spotkania

FELIETONY

47 ZUZANNA RADZIK
67 DOROTA MASŁOWSKA
90 HANNA KRALL **98** ANDRZEJ STASIUK
132 JAN KLATA **133** PAWEŁ BRAVO
146 STANISŁAW MANCEWICZ
146 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: Francesco Solimena (1657-1747) Madonna z Dzieciątkiem
DEAGOSTINI / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

HISTORIA

84 Krzyżowcy północy
MACIEJ MÜLLER: *Po co nad Bałtykiem stworzyli sobie własną Ziemię Świętą*

NAUKA

100 Trzysta dwa neurony
DANIEL KOZŁOWSKI: *Jak badania nad nicieniem przekładają się na ludzi*

103 Kuchenna rewolucja
MICHAŁ KUŹMIŃSKI *o proszku do pieczenia*

Z ODDECHEM

112 Titanic
MICHAŁ KOMAR: *Joseph Conrad zrywa się z fotela, siada za biurkiem i pisze!*

144 O byciu razem
MAREK BIEŃCZYK: *Indianie, pancerni, detektywi z Niziurskiego i dzieci kwiaty*

KULTURA

114 Gadu, gadu, gadu
SEBASTIAN SMOLIŃSKI: *Szalona popularność Woody'ego Allena*

118 Odpowiedz mi
GRZEGORZ JANKOWICZ: *Keith Jarrett i klęski, po których następuje powrót*

122 W odbitkach
PIOTR KOSIEWSKI: *Joanna Piotrowska za pomocą ciał tworzy fotograficzne obrazy*

126 Prawdziwy koniec laboratorium
DARIUSZ KOSIŃSKI *o praktyce bycia, która spełnia się w samym istnieniu*

130 Anatomia różyczki
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Mank" Davida Finchera*

132 Między światami
LEKTOR *o książce „Panny z »Wesela«" Moniki Śliwińskiej*

ZMYSŁY

134 Powrót wilka
KRZYSZTOF STORY: *Żadne inne zwierzę nie budzi w nas takich emocji*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Temat opiekunów osób zależnych pojawia się na radarze polskiej opinii publicznej niemal wyłącznie wtedy, gdy może być politycznie użyteczny – o tym, dlaczego jest to szkodliwe, pisze **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Opowieści z Palestyny [Podkast Powszechny]
Boże Narodzenie to w Betlejem najważniejszy czas w roku. Miasto, które na co dzień boryka się z trudną sytuacją ekonomiczną i izolacją, nadrabia w święta – oprowadza nas po nim **KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET** powszech.net/podkast

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

TAK DLA WIĘKSZEJ INTEGRACJI

Polskiego weta nie było.
Ani wobec budżetu, ani wobec zwiększonych ambicji klimatycznych UE.
To dobry wybór, ale jak każda decyzja, ma konsekwencje.

OLAF OSICA

Zacznijmy od rzeczy najbardziej oczywistej. Od 1 stycznia 2021 r. Unia będzie mogła szykować się do uruchomienia Funduszu Odbudowy i rozporządzeń dotyczących budżetu na lata 2021-27. Przypomnijmy, że czeka na nas łącznie ok. 776 mld zł wsparcia, w tym 623 mld w formie dotacji i 153 w formie niskooprocentowanych pożyczek. To sumy, które dają nadzieję na szybkie nadrabianie strat wynikłych zarówno z kryzysu gospodarczego wywołanego pandemią, jak i zapóźnień rozwojowych.

Jest jednak kilka „ale", o których warto pamiętać. Przyczyna kryzysu politycznego ostatnich tygodni nie została zlikwidowana. Tzw. rozporządzenie „pieniądze za praworządność" pozostaje niezmienione. Nie ma jednak ono i nigdy nie miało tej siły sprawczej, na którą liczyli jego promotorzy. Nie jest i nigdy nie było też tak groźne, jak obawiali się ci, którzy widzą w nim zgodę na utratę suwerenności. Lektura dokumentu więcej mówi o nastrojach politycznych w Unii niż o sposobach egzekucji „praworządności". Ale faktem jest, że pozostaje ono bez zmian.

Za pomocą deklaracji politycznych zawartych w konkluzjach Rady Europejskiej rząd

Demonstracja przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów, Warszawa, 9 grudnia 2020 r.

zawęził jego stosowanie do spraw dotyczących korupcji czy malwersacji unijnych funduszy, wyłączając kwestie rozwiązań ustrojowych i społecznych. To sukces, bo dziś nie będzie chętnych do łamania porozumienia politycznego. W przyszłości zmiana kontekstu politycznego może jednak sprzyjać zmianie interpretacji tych deklaracji.

Co ważne, chcąc ograniczyć działanie rozporządzenia, rząd wniósł pod obrady Rady Europejskiej – i połączył je z działaniami Komisji – kwestie „tożsamościowe". Tym samym jednak, paradoksalnie, otworzył szerzej drzwi do ich dyskusji na forum Unii w przyszłości. Mamy zatem *de facto* bezprecedensowe wsparcie dla głębszej integracji politycznej, którego konsekwencje są oddalone w czasie.

Podobna sytuacja dotyczy zgody na nowy cel klimatyczny: obniżenie do roku 2030 emisji o 55 proc. z obecnych 40 proc., i to w sytuacji, w której formalnie rzecz biorąc Polska kontestuje Europejski Zielony Ład. Jego filarem jest właśnie ostra redukcja emisji CO_2, radykalna przebudowa europejskiej gospodarki oraz – nie oszukujmy się – stylu życia. 30 proc. funduszy ma być przeznaczone dla projektów „klimatycznych". Pytanie o naszą zdolność absorbcyjną w tym obszarze wydaje się być jednym z ciekawszych.

Czy jest to odważna i przemyślana strategia, wynikająca z przekonania, że i tak płyniemy z głównym nurtem polityki w Europie, nie ma więc sensu kruszyć kopii o to, co nieuchronne? A może to wynik braku takiego namysłu i tym samym nieświadome podminowywanie konsensu społecznego wobec Unii, który zniknie wraz z ostatnim euro funduszy? Dziś trudno o jednoznaczną odpowiedź. Spora część społeczeństwa może jednak nie zauważać, że rządom narodowej prawicy przyszło torować Polsce drogę do większej i głębszej integracji z Europą. Tak było z traktatem lizbońskim, który nie tylko zmienił zasady obliczania liczby głosów państw w Radzie (na niekorzyść Polski), ale i przesądził o głosowaniu większością kwalifikowaną jako regule podejmowania decyzji w UE. Podobnie jest dzisiaj. Eurosceptycyzm jako paliwo napędowe integracji Polski z Europą? Paradoks albo najlepsze podsumowanie naszego zagmatwanego stosunku do idei europejskiej. ©

Kaczyński, redaktor gazet Orlenu

ANDRZEJ STANKIEWICZ

PiS staje się właśnie największym dostarczycielem informacji w polskim internecie. To może być zmiana na rynku mediów ważniejsza od przejęcia kontroli nad TVP.

Prezes Orlenu Daniel Obajtek to pieszczoch władzy. Dawny wójt Pcimia, został obsypany prezesurami spółek po dojściu PiS do władzy. Zbigniew Ziobro po przejęciu kontroli nad prokuraturą wycofał z sądu akt oskarżenia wobec niego – chodziło o zarzuty korupcji i oszustwa. W Orlenie prezes Obajtek bez mrugnięcia okiem realizuje polityczne cele PiS i dostał nowe zadania. Właśnie ogłosił, że Orlen kupuje wydawnictwo Polska Press. To kontrolowany do tej pory przez koncern niemiecki hegemon na rynku regionalnym – wydaje 20 na 24 dzienniki wojewódzkie. Do tego z 17 mln odbiorców w internecie to największy serwis informacyjno-publicystyczny w polskiej sieci. Orlen nie zna się na mediach, wezmą się więc za nie politycy i propagandziści – tak jak stało się to z TVP i Polskim Radiem. Część zespołów przejmowanych gazet już protestuje – choćby w „Nowej Trybunie Opolskiej".

Podczas pięciu lat rządów PiS nie był w stanie administracyjne osłabić niezależnych mediów. Nie wyszła ani tzw. repolonizacja (pozbycie się zagranicznych właścicieli), ani dekoncentracja (ograniczenie rodzaju lub zasięgu mediów w ramach jednego koncernu). Dlatego teraz media PiS będzie kupował – przez państwowe spółki, bo tak szybciej i łatwiej.

Jarosław Kaczyński stara się kontrolować jak najwięcej mediów, licząc, że to pomoże mu zachować władzę. Z przekąsem można powiedzieć, że wraca do swej dawnej, dziennikarskiej profesji. Robi to jednak w imponującym stylu, biorąc pod uwagę niewielkie osiągnięcia. Kiedyś był jedynie redaktorem naczelnym niewielkiego „Tygodnika Solidarność", potem upolitycznił i doprowadził do ruiny „Express Wieczorny", który jego partia dostała w spadku po komunie. Teraz zostanie faktycznym naczelnym 20 gazet, ponad setki czasopism lokalnych i największego w polskiej sieci serwisu informacyjnego.

To nie koniec zadań, jakie Kaczynski stawia przed Obajtkiem. Na celowniku są dziś także inne media, w tym „Rzeczpospolita", na którą PiS od lat ma chrapkę. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

Obywatel podgrzany w kotle

JACEK TARAN

CEL ODBYWAJĄCYCH SIĘ w zeszłą środę „Spacerów dla przyszłości" – nacisk na odważniejszą politykę klimatyczną – był niekontrowersyjny z punktu widzenia władzy, bo dzień później na szczycie unijnym premier zaakceptował m.in. podniesienie redukcji emisji CO_2 na najbliższą dekadę. A jednak w Warszawie i Krakowie policja potraktowała uczestników – przeważnie młodzież – z zaskakującą brutalnością. Znów zastosowano taktykę okrążania grup, które wzywa się do rozejścia, chociaż im to właśnie uniemożliwiono, zamykając w tzw. kotle. Następnie wyciągano z tłumu kolejne osoby, formalnie w celu ich spisania – jednak odbywało się to z nieuzasadnionym użyciem siły i agresji słownej. Dzień wcześniej minister spraw wewnętrznych wezwany przed sejmową komisję, aby wytłumaczyć się z brutalnego traktowania poprzednich protestów kobiecych, zapewniał, że policja nie jest stroną konfliktu politycznego. W czasach, gdy każde działanie policjantów można łatwo zarejestrować i nagłośnić, nawet takie rytualne pojednawcze formuły przynoszą skutek odwrotny do zamierzonego – jeszcze bardziej podgrzewają atmosferę. ©℗ PB

WOJTEK RADWAŃSKI / AFP / EAST NEWS

Długa walka z COVID-19

PONAD 8,3 TYS. ZESPOŁÓW szczepiennych zgłosiło się do naboru ogłoszonego przez Ministerstwo Zdrowia. Na ostatniej prostej resort, przyjmując krytykę środowisk lekarskich, usunął z listy kryteriów warunek pracy przez pięć dni w tygodniu i zaszczepienia w tym czasie co najmniej 180 osób.

Taka armia ma potencjał przeprowadzenia miesięcznie prawie 3,5 mln szczepień. „Potencjał" to niestety słowo kluczowe: falstartem byłoby wyliczanie za pomocą tego wskaźnika, jak szybko osiągniemy w Polsce odporność grupową. Warunek przeprowadzenia 180 szczepień miał mocną logistyczną podstawę. Tyle dawek preparatu firmy Pfizer mieści się w jednym opakowaniu, a po jego otwarciu muszą one zostać zużyte w ciągu tygodnia. Dlatego większość z owych 8,3 tys. zespołów będzie zapewne czekać w rezerwie, aż do Polski przyjadą szczepionki innych producentów, niewymagające utrzymania tak ścisłego łańcucha chłodniczego. A to kwestia co najmniej kilku miesięcy.

Akcja, która ruszy zapewne na przełomie lutego i marca, obejmie najpierw osoby pracujące w ochronie zdrowia, potem mieszkańców domów pomocy społecznej i innych placówek, seniorów, służby mundurowe i pozostałe osoby dorosłe. Masowe szczepienia to kluczowy element walki z koronawirusem. Musimy jednak uzbroić się w cierpliwość: wszystko wskazuje na to, że ta walka potrwa przez większość 2021 r. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Polubowne rozstanie z frankiem

SZEF KOMISJI Nadzoru Finansowego Jacek Jastrzębski zaproponował, by kredytobiorcy frankowi mogli rozliczać się z bankami tak, jakby ich kredyty od początku były denominowane w złotówkach. Dał też do zrozumienia, że jego zdaniem klienci pozywający banki wykorzystują orzeczenie TSUE do zrzucenia niewygodnego kredytowego balastu. Wskutek niekorzystnych wyroków banki muszą rewidować w dół bilans zysków z kredytów walutowych (co próbują przedstawiać opinii publicznej jako „straty"). Stąd też propozycja KNF – choć mowa o rozwiązaniu, które same banki do niedawna odrzucały jako niekorzystne. Szef Komisji uważa, że powinny polubownie proponować klientom taką konwersję zadłużenia, zamiast czekać na wyrok. Nie wiadomo tylko, czy wyciągniętą do zgody rękę zechcą uścisnąć kredytobiorcy.

Analitycy szacują, że w przypadku kredytu hipotecznego na 300 tys. zaciągniętego w 2008 r. na 30 lat przekształcenie zmniejszyłoby saldo z ponad 407 tys. zł do niespełna 157 tys. zł. Rata spadnie z 2023 zł do 822 zł. ©℗ MR

KRAJ W SKRÓCIE

PRACA
W serwisie LinkedIn pojawiło się ogłoszenie dotyczące pracy w Kancelarii Premiera. W zakresie obowiązków napisano m.in. o „przygotowywaniu propozycji decyzji w obszarze właściwym dla stanowiska mających wpływ na kształtowanie polityki europejskiej RP". Lepiej późno niż wcale.

PRZEKONANIA
Min. Przemysław Czarnek przygotował nowelizację ustawy o szkolnictwie wyższym, zgodnie z którą nauczyciel akademicki nie będzie mógł zostać pociągnięty do odpowiedzialności za wyrażanie przekonań religijnych, światopoglądowych czy filozoficznych. Zdaniem części naukowców zapis ten umożliwi propagowanie na uczelniach pseudonauki i fanatyzmu.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

PRZYTYK
Podczas kolejnego protestu Ogólnopolskiego Strajku Kobiet sznur samochodów policji broniącej dostępu do domu Jarosława Kaczyńskiego liczył ok. 300 m długości, czego nie omieszkał wytknąć Donald Tusk. „Kiedy byłem premierem, pod moim mieszkaniem zwolennicy PiS zorganizowali kilkadziesiąt manifestacji, a nawet kilkudniowe miasteczko namiotowe. Porządku pilnowało dwóch policjantów" – napisał na Twitterze.

PRĄD
Prezes Urzędu Regulacji Energetyki zatwierdził nowe taryfy: rachunki za prąd mogą wzrosnąć w 2021 r. nawet o 13 proc.

Twardy brexit bardzo realny

PATRYCJA BUKLASKA

Rozmowy w sprawie przyszłych relacji będą trwały. Szansa na umowę zatem jest, choć mała.

Wielka Brytania nie jest już członkiem UE, ale do końca tego roku, w tzw. okresie przejściowym, nadal obowiązują zasady dotyczące np. swobodnego przepływu osób i towarów. Ostatnie miesiące były czasem negocjacji mających wypracować umowę handlową, która obowiązywałaby od 1 stycznia 2021 r. Choć w wielu punktach znaleziono porozumienie, pozostało kilka, w których jest to trudne. Chodzi m.in. o rybołówstwo i tzw. równe warunki gry, tj. regulacje dotyczące praw pracowniczych czy konsumenckich.

Ostatecznym terminem na decyzję, czy dalsze rozmowy mają jeszcze sens, była niedziela 13 grudnia. Nadzieje na umowę malały i dla obu stron widmo twardego brexitu i jego bolesnych skutków stało się realne. Po kolejnym zwrocie akcji w trwającym już ponad cztery lata brexitowym procesie uznano jednak, że warto podjąć jeszcze jeden wysiłek. Rozmowy będą więc trwały, bo do stracenia jest wiele. Brak umowy oznacza handel na ogólnych zasadach Światowej Organizacji Handlu (WTO), czyli możliwe cła i inne bariery – i trzeba podkreślić, że nadal jest to bardzo prawdopodobne.

Przedsmak kłopotów to w ostatnich dniach długi na kilkanaście kilometrów sznur ciężarówek przy wjeździe do francuskiego Calais w drodze na Wyspy – to efekt robienia przez Brytyjczyków zapasów w obawie przed twardym brexitem. Zapasy na wypadek kłopotów z dostawami rząd zasugerował też supermarketom. Od 1 stycznia w gotowości mają być cztery okręty patrolowe marynarki wojennej – po Nowym Roku miałyby strzec brytyjskich łowisk i rybaków przed zakusami ich francuskich kolegów w razie załamania się negocjacji.

Tymczasem premier Boris Johnson jak zawsze zapewnia, że cokolwiek się stanie, Wielka Brytania poradzi sobie „bardzo, bardzo dobrze". Optymizmu nie podzielają jego rodacy: w sondażu YouGov większość uznała, iż kraj nie jest dobrze – lub wręcz wcale nie jest – przygotowany na twardy brexit. ©℗

YAWAR NAZIR / GETTY IMAGES

OKOŁO 250 MLN LUDZI strajkowało 26 i 27 listopada w New Delhi i w innych dużych miastach Indii w proteście przeciw polityce rządu Narendry Modiego, który w obliczu pogarszającej się sytuacji ekonomicznej nie wprowadza dostatecznych działań osłonowych. Protesty trwają – na zdjęciu blokada autostrad na przedmieściach New Delhi. 14 grudnia w stolicy miał rozpocząć się także strajk głodowy farmerów. Miliony ubogich rolników, pracowników najemnych żyjących dosłownie z dnia na dzień, a także studentów, których stać na edukację tylko wtedy, gdy mają źródło utrzymania w dużym mieście, domagają się wprowadzenia tarcz antykryzysowych na kształt tych uruchomionych w USA i UE. Indie mają za sobą najostrzejszą fazę epidemii, ale po lockdownie większość sektorów gospodarki nadal nie wróciła na stare tory. Od marca wskaźnik rejestrowanego bezrobocia wzrósł z 6,7 do ponad 26 proc. Prawie połowa gospodarstw domowych odczuwa dotkliwy spadek dochodów. ©℗ MR

LICZBA TYGODNIA

8848,86

ADOBE STOCK

Tyle metrów wynosi „nowa" wysokość Mount Everestu – ogłosiły władze Nepalu i Chin po zeszłorocznych i tegorocznych pomiarach. Miały one na celu sprawdzenie, jak zmieniła się wysokość Dachu Świata po niszczycielskim trzęsieniu ziemi w 2015 r. Okazało się, że szczyt „urósł" o 86 cm w stosunku do pomiaru z 1955 r. Kartografowie odetchnęli z ulgą: nie będzie rewolucji na mapach i w podręcznikach. Ale Nepalczycy spekulują na temat wpływu chińskiej propagandy na uzgodnioną przez oba kraje wysokość; +86 to numer kierunkowy do Chin.

Facebook pod sąd

TO MOŻE BYĆ jedna z najważniejszych batalii sądowych w historii Doliny Krzemowej: prokuratorzy generalni z 48 stanów i terytoriów USA, a w oddzielnej sprawie także rząd federalny USA, pozwali Facebook za jego monopolistyczne praktyki. Domagają się rozbicia giganta.

Federalna Komisja Handlu twierdzi, że Facebook zbudował swoją pozycję, utrudniając działania konkurencji lub ją wykupując. „Działania Facebooka, mające na celu stworzenie i utrzymywanie monopolu, pozbawiają konsumentów korzyści wynikających z konkurencji" – napisano w pozwie. Komisja domaga się, by firma Marka Zuckerberga pozbyła się części aktywów, w tym Instagrama (wykupionego osiem lat temu za miliard dolarów) i komunikatora WhatsApp (kupionego w 2014 r. za 19 mld dolarów). Facebook odpowiada, że to „rewidowanie historii", bo na obie transakcje miał pozwolenie rządu federalnego, a rynek jest konkurencyjny, o czym świadczy pozycja takich serwisów jak TikTok czy Parler.

Podobny proces departament sprawiedliwości USA wytoczył jesienią firmie Google; trwają też śledztwa w sprawie Amazona i Apple'a. Sytuacja jest porównywana z procesem wytoczonym w 1998 r. Microsoftowi. Wtedy poszło o dołączaną do systemu Windows przeglądarkę Internet Explorer; najbardziej wpływowa firma technologiczna świata twierdziła, że to część systemu. Wyrok skazujący dał impuls do rozwoju innych przeglądarek i wpłynął na to, jak rozwijał się w kolejnych latach internet (za to nie zniszczył Microsoftu: Windows i Explorer mają się doskonale).

Sprawa Facebooka wygląda jednak o wiele poważniej – bo żadna przeglądarka nigdy nie miała takiego wpływu na to, jak się komunikujemy i jak docierają do nas informacje. Wystarczy wspomnieć skandal Cambridge Analytica czy pytania o współodpowiedzialność serwisu Facebook za ludobójstwo w Birmie. W 2019 r. Zuckerberg zapowiedział inwestorom, że „wyjdzie na ring i będzie walczyć". Może to być walka o znacznie więcej niż o losy jednej firmy.

© AGATA KAŹMIERSKA i WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

INACZEJ
Ożywione dyskusje wzbudziła szopka ustawiona w tym roku na placu św. Piotra. Jej figury nie przypominają tradycyjnie przedstawianych postaci biblijnych. Ceramiczne rzeźby ponadnaturalnej wielkości i o awangardowych kształtach są dziełem artystów z miejscowości Castelli

ELIZABETH LEV / TWITTER

koło Teramo w Abruzji, która od kilku wieków jest ważnym ośrodkiem tego rzemiosła. Wykonano je w latach 1965–1975. Zainteresowanie wzbudza zwłaszcza postać astronauty.

WCZEŚNIEJ
W tym roku Pasterkę w bazylice św. Piotra w Watykanie papież odprawi już o 19.30 w Wigilię Bożego Narodzenia. Chodzi o to, by nieliczni zaproszeni uczestnicy mogli wrócić do swych domów przed 22.00, czyli przed godziną policyjną obowiązującą we Włoszech. Uczestnikom przy wejściu będzie mierzona temperatura. Będą rozmieszczeni w dużych odstępach i z obowiązkowymi maseczkami.

MNIEJ
Z danych zebranych przed pandemią w październiku 2019 r. wynika, że w stosunku do 2018 r. o 1,3 punktu procentowego spadła liczba uczestników niedzielnej mszy (z 38,2 proc. do 36,9 proc.), zaś liczba przystępujących do komunii zmalała o 0,6 punktu procentowego (z 17,3 proc. do 16,7 proc.). Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego opublikował nowy Rocznik Statystyczny.

Po słowach o. Rydzyka: Kościół się jednak zmienia

ARTUR SPORNIAK

Skandal wywołany przez o. Tadeusza Rydzyka promującego bp. Janiaka jako męczennika mediów sprowokował szereg reakcji. Czy możemy mówić o przełomie w polskim Kościele? Przypomnijmy fakty.

Na słowa redemptorysty: „To, że ksiądz zgrzeszył? No zgrzeszył. A kto nie ma pokus?" – wypowiedziane podczas mszy z okazji jubileuszu Radia Maryja w obecności kilkunastu biskupów oraz polityków PiS, w tym ministra sprawiedliwości – zareagował prymas abp Wojciech Polak. Jako delegat Episkopatu ds. obrony dzieci i młodzieży domagał się reakcji ze strony prowincjała redemptorystów. Początkowo rzecznik zgromadzenia bronił o. Rydzyka, wskazując, że nie krytykował on działań Kościoła podjętych wobec bp. Janiaka. Ostatecznie prowincjał spotkał się z zakonnikiem i doprowadził do przeprosin o. Rydzyka za to, iż jego „spontanicznie wypowiedziane słowa zostały inaczej zrozumiane". Niewątpliwie i ojca prowincjała, i ojca dyrektora zaskoczyły oficjalne reakcje kilku „funkcyjnych" biskupów. Abp Grzegorz Ryś, jako administrujący diecezją kaliską po zawieszeniu bp. Janiaka, przeprosił ofiary za słowa o. Rydzyka. Także biskup toruński ostatecznie odciął się od nich, choć był obecny na mszy i wtedy nie zareagował.

Determinacja delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży – niewątpliwie ze wsparciem przewodniczącego Episkopatu – okazała się skuteczna na poziomie struktury. I jest to dobra wiadomość dla Kościoła w Polsce.

Ale gdy mówimy o przełomie, inne sygnały mogą być jego zwiastunem. Biskupi, którzy zareagowali, powinni byli to zrobić, bo to należy do ich obowiązków. Zapewnienie krakowskiego biskupa pomocniczego Damiana Muskusa skierowane do ofiar, „że są w Kościele ludzie, którzy pragną iść drogą oczyszczenia i solidarności z najsłabszymi", było już nadobowiązkowe. Nadobowiązkowa była także reakcja kilkudziesięciu księży, którzy wzięli udział w filmie opublikowanym w mediach społecznościowych „Tylko powiedz to każdemu", opowiadając się po stronie osób skrzywdzonych.

To właśnie takie reakcje na skandaliczne słowa są świadectwem, że w polskim Kościele następuje jednak proces zmiany mentalności w podejściu do przestępstw pedofilii. ©℗

Watykan z lego

FLICKR ROCCO BUTTLIERE

ZBUDOWAŁ GO, z 67 tys. klocków i w skali 1:650, włoski architekt Rocco Buttliere. Makieta ma wymiary 131 na 173 cm, twórca poświęcił ponad trzy miesiące na jej projektowanie i skonstruowanie. Wcześniej zasłynął z klockowych rekonstrukcji Circus Maximus i Koloseum czy Zakazanego Miasta w Pekinie. Buttliere wychował się w rodzinie katolickiej, ale nie uważa się za osobę religijną w tradycyjnym sensie. Watykan jest dla niego „czymś więcej niż duchowym ośrodkiem dla 1,3 mld katolików". Jak mówi: „to symbol wspólnego dziedzictwa i łącznik między minionymi tysiącleciami a teraźniejszością". ©℗ MAM

Kłopot z papieżem emerytem

GDY REZYGNUJE, powinien wrócić do swego nazwiska i tytułu kardynała, zrzucić białą sutannę, zaprzestać publicznych wypowiedzi. Te słowa nie padły z ust kościelnego progresisty i przeciwnika Benedykta XVI, ale zapisane zostały w dzienniku znanego z konserwatywnych poglądów George'a Pella. To pierwsza taka wypowiedź kardynała – do tej pory na temat roli emerytowanego papieża wypowiadali się głównie prawnicy, teologowie i historycy Kościoła.

Zapiski, które właśnie się ukazały, są ciekawe również z innych względów. To pierwsze, przynajmniej w czasach nowożytnych, dzienniki kardynała skazanego za czyn kryminalny (i uniewinnionego po 13 miesiącach więzienia). Hierarcha opisuje codzienne życie w celi, ale też komentuje najważniejsze wydarzenia polityczne i kościelne.

Otwarta na nowo dyskusja o statusie papieża emeryta w niewielkim już stopniu dotyczy coraz słabszego Benedykta XVI. Bardziej jest wyrazem obaw przed możliwą w bliskiej przyszłości abdykacją jego następcy, słynącego ze spontanicznych i nieprzewidywalnych wypowiedzi.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Gwiazdka w Night City

CD PROJEKT

W „CYBERPUNKU 2077” nie chodzi tylko o grę komputerową. Polski producent CD Projekt przejął cały nurt popkultury i stworzył globalną markę, na której może zarabiać długo po tym, kiedy gracze odłożą grę na półkę. Współpraca z największymi korporacjami przyniosła nie tylko konsole do gier czy karty graficzne zaprojektowanie w cyberpunkowej estetyce; powstały także m.in. seria butów Adidasa czy nawet półciężarówka Tesli – cybertruck. Sprawnie budowana atmosfera wyczekiwania na premierę gry służyła więc tyleż jej sprzedaży, co rozpoznawalności cyber-marki. Gwałtowne spadki cen akcji CDP po zeszłotygodniowej premierze, podobnie jak fatalne oceny grających są zaledwie przypadłością, o której zapomnimy po paru miesiącach łatania licznych błędów gry. Po zeszłorocznym sukcesie serialu „Wiedźmin” na podstawie rozsławionej przez poprzednią grę CDP sagi Andrzeja Sapkowskiego, tym razem świat skończy rok w Night City – najważniejszym mieście „Cyberpunka 2077”. ©℗ PATRYK STANIK

Sto pięćdziesiąt dróg do nielotności

DZIAŁALNOŚĆ LUDZI sprawia, że coraz większy odsetek ptaków... lata. Nie jest to jednak naszą zasługą, lecz skutkiem specyficznego wzorca wymierania gatunków ptaków. Z analiz Ferrana Sayola i jego współpracowników, opublikowanych w „Science Advances”, wynika, że blisko 30 proc. spośród 581 gatunków ptaków wymarłych z powodu działalności człowieka stanowiły nieloty lub ptaki słabo latające. Obecnie takich gatunków pozostało już tylko 60.

Procentowy udział gatunków nielatających się zmniejsza, ponieważ są one bardziej narażone na wyginięcie. Po pierwsze, są łatwiejszym łupem, a więc częściej padają ofiarą polowań ludzi czy udomowionych zwierząt, np. kotów. Po drugie – do wymierania ptaków najczęściej dochodzi na wyspach, będących ekosystemami wrażliwymi na wszelkie zmiany – w tym antropogeniczne – a to właśnie takie środowisko sprzyjało ewolucji nielotności u ptaków.

Badacze podkreślają, że analizy ewolucyjne, które nie uwzględniają wpływu zmian antropogenicznych, mogą prowadzić do mylnych wniosków. Dotąd bowiem nie docenialiśmy tego, jak częstym zjawiskiem u ptaków jest nielotność. Dziś wiemy, że wyewoluowała ona niezależnie aż 150 razy, w przeszło połowie rzędów ptaków.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

KULTURA W SKRÓCIE

ANIMACJA W GDYNI
Jury 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych przyznało Złote Lwy „Zabij to i wyjedź z tego miasta” Mariusza Wilczyńskiego. To pierwsza w historii animacja wyróżniona główną nagrodą na tym festiwalu. Srebrne Lwy powędrowały do reżysera Magnusa von Horna i producenta Mariusza Włodarskiego – twórców „Sweat”.

„NA RAUSZU” W BERLINIE
Z kolei najważniejsze tegoroczne Europejskie Nagrody Filmowe przyznano autorom „Na rauszu” w reż. Thomasa Vinterberga (zob. powszech.net/na-rauszu). Nominowane w czterech kategoriach „Boże Ciało” Jana Komasy nie zwyciężyło w żadnej z nich.

HOLLAND ZA WENDERSA
Podczas gali ogłoszono natomiast, że na czele Europejskiej Akademii Filmowej (organizacji zajmującej się wspieraniem i promowaniem kina) stanie – jako pierwsza kobieta w historii – Agnieszka Holland. Reżyserka zastąpi na tym stanowisku Wima Wendersa.

PRAWA DO DYLANA
Wytwórnia Universal podpisała umowę na zakup całego katalogu utworów Boba Dylana. To prawdopodobnie największe w historii jednorazowe przejęcie praw autorskich – cena transakcji szacowana jest na ponad 300 milionów dolarów.

RDC POLSKIE RADIO

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET (tekst na s. 43) będzie rozmawiać z Grzegorzem Chlastą w środę 16 grudnia o godz. 7.30. Tydzień później słuchaczom Polskiego Radia RDC o wilkach opowie **KRZYSZTOF STORY** (s. 134). Audycję można odsłuchać także w podkastach w internecie. | Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Nowe BHP dla polskiego kina

ANITA PIOTROWSKA

MA BYĆ BEZPIECZNIE, ZDROWO I RÓWNOŚCIOWO – tak można by podsumować ogłoszony niedawno Kodeks Etyki i Dobrych Praktyk Zawodowych, przygotowany przez grupę Kobiety Filmu pod redakcją Joanny Bielak. Nareszcie!

Środowiska artystyczne, co ostatnio wypłynęło w polskim teatrze, a wcześniej w światowym środowisku filmowym wraz z akcją #MeToo, są w szczególny sposób podatne na mobbing, dyskryminację czy molestowanie seksualne. Jak takie zachowania dostrzec i zdefiniować? Jak na nie reagować? Właśnie o tym mówi dokument, który – choć stworzony przez kobiety – nie ogranicza się wyłącznie do praw kobiet pracujących w środowisku filmowym. Mowa w nim o szeroko pojętej godności osobistej, która jakże często bywa naruszana w branży audiowizualnej pod pretekstem panujących tam obyczajów czy specyfiki „procesu twórczego”.

Dlatego kodeks przypomina o rzeczach zdawałoby się elementarnych – na przykładach o zatrudnianiu pod kątem rzeczywistych kwalifikacji czy o uprawnieniach osób na umowach cywilnoprawnych. Ale mowa w nim także o sprawach mniej oczywistych, na przykład o języku, jakim komunikują się osoby na planach filmowych czy telewizyjnych. Wreszcie, dobre praktyki obejmują również odpowiedzialność społeczną, w tym ekologiczną, ochronę prywatności oraz uczciwość i lojalność w warunkach konkurencji rynkowej.

Deklaracja ma postać dokumentu uzupełniającego, który ma być przedkładany pracownikom, współpracownikom czy współtwórcom, i sformułowana została w pierwszej osobie liczy mnogiej: „przestrzegamy”, „przeciwdziałamy”, „nie nadużywamy”... Jest zebranym w punktach wielogłosem środowiska filmowego, narastającym przez lata w ciszy lub w szeptanych rozmowach. A także czymś na kształt nowej broszury BHP, w której znalazły się te wszystkie „miękkie” problemy, o których nie wspominają „twarde” kodeksy.

Pozostaje mieć nadzieję, że to programowe „my” obejmie w pierwszej kolejności tych, od których zależy najwięcej. I przełoży się na trwałą zmianę. ©

BOŻE NARODZENIE

WIECZNIE BLISKIE NARODZINY

Boże Narodzenie nie jest tylko świętem wzruszającej historii. Wracamy przez nią też do siebie, do ciała, do życia tu i teraz – gdzie właśnie rodzi się Bóg.

PIOTR SIKORA

Obudził mnie hałas na dole. Garnki? Talerze? Z mgły splątanych półmyśli wypełzła niespodziewana wątpliwość: czy ja mam w ogóle ochotę na święta? Dużo w nie trzeba włożyć wysiłków, niosą spore wydatki. Po chwili doszło do mnie, że wątpliwość jest głębsza: cała ta ewangeliczna opowieść z roku na rok coraz bardziej wydawała mi się bajką dla dzieci. Nawet nie to, że cudownie niewiarygodna: chóry aniołów, pasterze i królowie-magowie ze Wschodu. Nie opakowanie było problemem, ale zawartość, która – ponoć – jest istotą święta. Historia o tym, że Bóg zszedł z nieba i stał się człowiekiem. Kiedyś – dawno, dawno temu; gdzieś – za siódmą górą i wielkim morzem.

Tak właśnie zaczynają się bajki, można się nimi wzruszyć, zwłaszcza gdy jest się dzieckiem. Opowieść o narodzeniu Boga w betlejemskiej stajni może nawet poruszyć naszą etyczną wrażliwość: uświadomić np., że godni uwagi są także ci, których nie zauważają możni tego świata. Lecz czyż nie miał racji średniowieczny kaznodzieja, gdy ironicznie powiedział do dorosłych słuchaczy: „Pewien mistrz mówi: Bóg stał się człowiekiem, a przez to cały rodzaj ludzki został wywyższony i uszlachetniony. Możemy się więc radować, że Chrystus, nasz Brat, własną mocą się wzniósł ponad wszystkie chóry anielskie i zasiada po prawej ręce Ojca. Mistrz ten dobrze powiedział, ja jednak, szczerze mówiąc, niewiele dałbym za to. Cóż by mi bowiem przyszło z tego, że miałbym bogatego brata, gdybym ja pozostał ubogi? Cóż by mi pomogło, jeślibym miał mądrego brata, gdybym ja sam był głupcem?”.

Rzeczywistość czy iluzja?

Byłem zły, że hałas mnie zbudził. Jeżeli rzeczywiście można nazwać to przebudzeniem. W oczach piasek, głowa ciężka, ciało... cóż, jeszcze senny, nie bardzo wiedziałem, czy w ogóle mam ciało. Wstać i pomagać? Cóż ma do mnie tamto, co kiedyś, gdzieś? Gdzie się łączy z dzisiejszą pobudką, osłabieniem mięśni, kłębkiem emocji i chaosem myśli? Cóż mi pomoże, że urodził się człowiek doskonały ↦

ZVONIMIR ATLETIC / EYEEM / GETTY IMAGES

W Bazylice Narodzenia Pańskiego w Betlejem.

↦ – wobec wszystkich moich wad? Świętować przyjście Zbawiciela, gdy świat nie wygląda na zbawiony?

Wszak tego roku, nawet żyjąc w uprzywilejowanych miejscach niebieskiej planety, doświadczamy namacalnie, że z tym najlepszym z możliwych światów ciągle jest źle: ni to żywe, ni martwe stworzonko sprawiło, że ludzie tracą nadzieję i pracę, że umierają samotnie w przepełnionych szpitalach, że z lękiem czytamy o powikłaniach czekających ponoć nawet tych, co przeszli zakażenie koronawirusem bezobjawowo. Narracja o dziele zbawienia, które jest tak nadprzyrodzone, że aż zupełnie poza naszym doświadczeniem, i nie zmienia nic w świecie, jaki znam, i we mnie, jakiego jestem świadomy, wydawała mi się zawsze podejrzana. Teraz to podejrzenie urosło: skoro wszystko wydaje się rozpadać nawet bardziej niż zawsze – czy nie na darmo Bóg posłał swego Syna na świat?

Dość ponura myśl. Z zakamarków pamięci usiłowałem wydobyć coś bardziej motywującego. Np. dalsze słowa ironicznego kaznodziei, Mistrza Eckharta, który odwraca uwagę od tego, co dawno i daleko, celując w środek mnie: „»Bóg posłał swego Syna Jednorodzonego na świat«. Nie rozumiejcie tych słów w odniesieniu do świata zewnętrznego, w którym jadł On i pił z wami, lecz w odniesieniu do wewnętrznego. Jak Ojciec w swej prostej naturze prawdziwie rodzi swego Syna według natury, tak samo prawdziwie rodzi go w najgłębszym wnętrzu ducha, i to stanowi ten świat wewnętrzny. Tutaj głębia Boga jest moją głębią, a moja – Jego. Tutaj żyję moim własnym życiem, tak jak Bóg swoim".

To już brzmi lepiej. Tekst nie zaprzecza codziennemu doświadczeniu. I jest w nim obietnica, że – skoro te boskie narodziny dzieją się we mnie – możliwy jest jakiś ruch świadomości, jej podróż do środka, na końcu której jawne się stanie, czy za opowieścią kryje się rzeczywistość. Z drugiej strony – podpowiadał wewnętrzny sceptyk – słowo „głębia" również może być narzędziem teologicznego iluzjonisty: głęboko to przecież daleko od dobrze znanej powierzchni twojej świadomości.

Bez przyszłości

A zatem, średniowieczny kaznodziejo, czy masz coś bardziej konkretnego do powiedzenia człowiekowi żyjącemu w czasach pierwszej pandemii XXI wieku? W czasie, który zabrał nam przyszłość – czyli szczęście? Żyliśmy w stabilnym świecie, w którym mogliśmy planować sprawy małe i duże. Awans zawodowy i budowę domu. Wakacyjny wyjazd, kupno nowej koszuli, kawę lub piwo w gronie przyjaciół. Naszym szczęściem była nie tylko realizacja tych planów – lecz planowanie samo, przygotowania, oczekiwanie. Tacy jesteśmy, tak nas ukształtowały – mówią badacze – milenia ewolucji gatunku *Homo sapiens*.

A teraz? Rzecz nie tylko w tym, że od niemal roku spora część z tego się sypie. Nawet nadzieja szczepionki nie przywróci nam zaufania do świata, traumatyczna niepewność będzie czaić się jeszcze długo (już zawsze?) w zakamarkach świadomości. Co ty na to, Eckharcie? Którędy w dzisiejszych warunkach wiedzie droga do głębi, w której Ojciec rodzi Syna?

Ale czy świat w czasach Eckharta był bardziej stabilny? Czy nie przemawiał on raczej do ludzi, którzy w znacznie mniejszym stopniu niż my panowali nad swoim losem? Czy Eckhart nie uniósłby tylko brwi na widok naszej trwogi i nie powiedział: koniec złudzeń, witamy w domu... Może – w odpowiedzi na nasze skargi, że jutro wciąż się wymyka, że dzisiejsze działania mogą nie przynieść skutków, dla których je podejmujemy – poradziłby tak: „Wszystkie twoje uczynki powinny wychodzić z tej wewnętrznej głębi bez żadnego »dlaczego«. Mówię prawdę: dopóki spełniasz swoje uczynki dla Królestwa niebieskiego, dla Boga albo dla swojej wiecznej szczęśliwości, a więc z motywu zewnętrznego, nie jesteś taki, jaki naprawdę powinieneś być".

Jeśli to święto wcielenia, to głębia jest tuż, pod skórą.
Głębią czuję ruch powietrza na przedramieniu i delikatne kroki muchy na podbiciu stopy.

Więc może to tu? Jeśli uczynki wychodzą z głębi bez „dlaczego", to „bez »dlaczego«" jest do głębi ścieżką. Jeśli nawet pandemia zabrała mi (pewną) przyszłość, to przecież nie wzięła tego, że teraz właśnie tu leżę. Oddycham, coraz bardziej rozbudzona świadomość koncentruje się w słuchu, każdy dźwięk z kuchni i z podwórka jest zaskakująco niespodziewany, co mnie dziwnie cieszy. Powoli zdaję sobie sprawę, że ścierpła mi ręka, co uświadamia mi pierwsza igła krwi przywracająca czucie w czubku serdecznego palca, narastający ból, dający znać, że to żywe ciało.

Życie chwilą

A więc żyję? Ale po co? Dla czego? „Gdyby ktoś przez sto lat pytał życia: dlaczego żyjesz? – gdyby mogło mówić, odpowiadałoby zawsze to samo: żyję dlatego, że żyję. Wynika to stąd, że życie żyje mocą swojej własnej głębi i tryska z siebie samego; żyje ono bez »dlaczego«, ponieważ żyje dla siebie samego".

Otwieram oczy na dźwięk budzika i wcale nie muszę od razu skupiać uwagi na tym, co czeka mnie w następnych godzinach, myśleć o czasie przyszłym, zaplanowanym w tygodniowym rytmie, z niewielkimi odchyleniami od rutyny. Bo przecież, tak naprawdę, zazwyczaj „tak samo" jest tylko w zarysie. Ileż mój umysł musi zaniedbać, by stwierdzić, że jeden tydzień nie różni się od następnego! Wcale nie trzeba świąt, by zmienić coś w – pozornie – kolistym kształcie czasoprzestrzeni.

Przedwczorajszy dźwięk budzika wybił mnie z innego snu niż ten, który śnił mi się wczoraj, niby ta sama melodyjka złączyła się z innymi uczuciami – zabrzmiała inaczej. Dzisiejsze otwarcie oczu inne jest niż to poprzednie – inne chmury za oknem, światło bardziej srebrne niż złote, wczoraj w polu widzenia nie było kota. Każda chwila jest pierwsza, w każdej świat na nowo się staje, każda to Narodziny. I każda – ostatnia. Jesteś pewien, czy będzie następna? A jeśli nawet – skąd wiesz jaka?

A jeśli to święto wcielenia, to głębia sięga do samej skóry. Głębią czuję ruch powietrza na przedramieniu i delikatne kroki muchy na podbiciu stopy. Głębia wciąga powietrze, głębia pulsuje tętnem.

Otwarta przestrzeń

Czy jednak takie życie – nieszukające żadnego zewnętrznego wobec siebie

motywu, płynące samo z siebie i jedynie dla samego siebie, tu i teraz czerpiące radość z siebie samego, ze swoich narodzin z chwili na chwilę – czy ono nie jest zwykłym egoizmem, zasłaniającym swą pospolitą twarz kapturem egzotycznej mistyki? Oto leżę i z radosną uwagą słyszę swój oddech i czuję bicie rozbudzonego serca i nie ma mnie tam, gdzie od jakiegoś już czasu krzątają się moi bliscy.

Teraz już słyszę nie tylko swe tętno, ale także ich głosy. Samym swym brzmieniem wyciągają mnie z łóżka. Życie z siebie wypływa, bez „dlaczego" – a gdy odbieram je w taki sposób, przestaję widzieć granicę. Eckhart mówi z uśmiechem: „Otóż On nie wymaga od ciebie nic więcej ponad to, żebyś wyszedł z siebie według twojej stworzoności i pozwolił Jemu być w tobie Bogiem".

Każde stworzenie, powtarzał kaznodzieja, jest czym jest, przez to, że odróżnia się od innych stworzeń. Ma granicę. Jest tym, a nie tamtym. Wyjść z siebie według stworzoności znaczy zatem – wyjść ze swoich granic, przestać dzielić rzeczywistość na ja i nie ja, moje i nie moje.

Gdy tworzę granice i bronię ich, chroniąc własną ograniczoną tożsamość, nie pozwalam Bogu rodzić się we mnie, takim, jaki jest – boskim. On bowiem w swojej boskości tym różni się od każdego stworzenia, iż jest nie-inny, nie jest, jak mawiał Eckhart, tym, a nie tamtym, nie jest jednym z bytów, nawet najdoskonalszym. Wszystko całkiem wypełnia, jest byciem wszystkiego, wszelkie istnienie jest Jego byciem. Jego są moje myśli; Jego – uczucia moich bliskich. Jego – mruczenie kota; Jego – ruch skrzydeł ćmy; Jego – ciężar drewna i lekkość kurzu.

Im bardziej On rodzi się we mnie, tym bardziej moim jest zimowe uśpienie dębu, lot dzięcioła, strach sarny, zmęczenie i radość człowieka obok. Życie, które z siebie wytryska, jedno jest. Oddycham wiatrem znad lasu (albo i znad kominów), myślę słowami, których mnie nauczyli rodzice. Uczynki życia, które są bez „dlaczego", tak samo (nie) są dla mnie, jak i dla innych. Każde działanie jest współdziałaniem – z polem grawitacyjnym Ziemi, jak i z czynami innych.

Dlatego właśnie Eckhart ostrzega: „Dopóki swojej osobie życzysz lepiej niż człowiekowi, którego nigdy nie widziałeś, mylisz się i nigdy jeszcze, przez jedno nawet mgnienie oka nie patrzyłeś w tę prostą głębię". Egoizm nie jest, mówi kaznodzieja, problemem głównie moralnym. To raczej pomyłka, trwanie w złudzeniu zasilanym strachem o utratę siebie, jedynej rzeczywistości, jaką – zdaje się nam – mamy. „A jakąż to stratę poniesiesz, drogi człowiecze, jeśli pozwolisz Bogu być w tobie Bogiem?". Bez „dlaczego" boskiego życia znaczy bowiem także: bez zysku i straty. Jaki sens miałaby próba zamknięcia fragmentu życia w granicach tego, co „moje"? Gdzie i co miałbym tak zamknąć? Czy to doznanie, czy to aktywność – po prostu jest, po prostu dzieje się – w łączności z całym światem.

Źródło

Historia z rodzinnym porodem w stajni, pasterzami i aniołami ma sens dlatego, że mówi o tym, co stało się kiedyś, ale zawsze się dzieje. Parafrazując inne jeszcze zdanie Eckharta: „teraz", w którym Bóg stwarza świat, „teraz", w którym rodzi się w stajni, i „teraz", w którym rodzi się we mnie – jest zawsze to samo. Jak nie ma sensu próba określenia nieprzekraczalnych granic między sobą a światem, tak jeszcze bardziej nie ma sensu oddzielanie siebie od Niego. Gdy myślę, że ja jestem tu: w swej codzienności, w swoim ciele, uczuciach czy myślach, a On tam, gdzie indziej: w historii albo gdzieś w „niebie", gdy traktuję Go jako kogoś wobec mnie zewnętrznego – nie pozwalam Mu być Bogiem (we mnie), czynię z Niego bożka.

Zamiast trwać w takich złudnych wysiłkach, lepiej świadomie wrócić do tego, co jest; do procesu, który zawsze się dzieje. Jeszcze raz posłuchać Mistrza, kiedy zachęca: „Wyjdź całkowicie z siebie dla Boga, a On wyjdzie cały z siebie dla ciebie. Kiedy Bóg i człowiek wychodzą z siebie, to, co pozostaje, jest prostym Jednym. W tym Jednym, w najbardziej wewnętrznym źródle, Ojciec rodzi swego Syna".

©℗ PIOTR SIKORA

REKLAMA

Mały kraj – wielka literatura

Poznaj **literaturę duńską**
wejdź na www.ksiegarniadunska.pl

Przez szczelinę świata

O. TOMASZ BIŁKA, DOMINIKANIN:

Na pytanie, gdzie się Bóg rodzi, odpowiadam: nie tam, gdzie się Go spodziewamy.

ARTUR SPORNIAK: Zanosi się, że święta w tym roku będą ascetyczne. Może to pozwoli nam dojrzeć Boga, który się rodzi?

TOMASZ BIŁKA OP: Nie wiem. Mam kłopot z pytaniami o przyszłość, rzeczywistość bowiem jest tajemnicza i bogatsza niż intelektualne konstrukty, w które próbujemy ją uchwycić. Poza tym musiałbym wypowiadać się w imieniu jakiejś zbiorowości, którą trudno mi sobie wyobrazić jako jednolitą. W końcu odkąd pamiętam, sam miałem problem ze świętowaniem...

Przeszkodą jest liczba mnoga?

Należę do pokolenia (rocznik 1983), w którym przekaz wiary się urwał. Wydaje mi się, że nasi rodzice albo byli już niewierzący, albo nie umieli o wierze opowiadać. Uczestniczyliśmy w obrzędach, w które nas nikt nie wprowadził. Poruszający oczywiście był klimat, jednak jako dziecko oglądałem rzeczywistość jak przez szybę. Niezrozumiałe obrzędy i związane z nimi napięcia, rytualne pucowanie domu, wkładany w to przez rodziców trud, nerwowe oczekiwanie, nie wiadomo właściwie na co. Na końcu zaś doświadczenie pustki. Nic się nie rodziło. To było dojmujące. Rok w rok rodziło się Nic. Długo nie umiałem tego nazwać. Rozczarowanie, które przechodzi w odczarowanie sakralnego świata.

Mam poczucie, że moja wiara później była szyta metodą patchworku ze strzępek Słowa odnalezionego w tekstach, z fragmentów świadectw. Długo nie chciało mi się to zszyć w żadną całość.

Prezenty, choinka, szopka – magia świąt nie działała?

Nie bardzo. Oczywiście ważne były momenty obdarowania prezentami – dostrzegałem starania rodziców, które budziły moją wdzięczność i miłość. Ale nie umiałem z tego poziomu przejść do wiary.

A świętowanie dzisiaj jest dla mnie określone przez przeżywanie „wiary widzącej"; szczególnej optyki świata, ludzi, samego siebie i – nareszcie – Boga. Otrzymaliśmy przecież – jak pisze św. Jan – „dar dla umysłu poznania Boga prawdziwego". Dlatego tak ważna jest dla mnie liturgia i sztuka. To dzięki nim jakoś otrzymuję wgląd w Rzeczywistość, w której uczestniczę, a nawet przez którą jestem zagarniany. Misteria Bożego Narodzenia są wydarzeniem, w którym poznajemy, że Słowo ma Oblicze, ma Twarz.

Oblicze dziecka?

Także.

Ale co to znaczy? Przeglądnąłem książki teologiczne o Jezusie. Walter Kasper, Joachim Gnilka, Gerhard Lohfink, Henryk Seweryniak – żaden z nich nie zajmuje się narodzeniem i faktem, że Bóg stał się dzieckiem.

To ciekawe. Z kolei Benedykt XVI dopiero ostatni, trzeci tom „Jezusa z Nazaretu" poświęca ewangelii dzieciństwa – jakby ona była punktem dojścia. „Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego" – mówi Jezus.

Ostatnio sporo rozmyślam o – jak to sobie nazwałem – komunijności poza konfesyjnością, czyli sposobie bycia Boga w świecie czy ze światem. To niezwykły paradoks, że Jezus-Logos, będący dosko-

GORAN KOVACIC / PIXSELL / FORUM

Szopka bożonarodzeniowa w portowej kawiarni Corto w Rijece. Chorwacja, grudzień 2020 r.

nałym wypowiedzeniem się Boga o sobie, przychodzi do nas jako niemowlę, czyli niemowa. Niepojęty ma granice. Boski Sens zostaje pomieszczony w ludzkim ciele. Bóg przychodzi do nas w taki sposób, w jaki jesteśmy w stanie go przyjąć.

Długo zastanawiały mnie słowa kolędy, w której śpiewamy „cztery tysiące lat oczekiwany". Po co był potrzebny ten czas? Dlaczego Bóg „zwlekał"? Po co ten tasiemcowy serial Starego Testamentu? Czy historia zbawienia nie mogła się zacząć od Nowego Testamentu? Czemu Wcielenie nie było kolejnym działaniem Boga po upadku człowieka? Odpowiedź przyniosła mi ewangelia. Po grzechu pierworodnym staliśmy się niezdolni przyjąć Boga. To wielki dramat dla samego Boga: nie móc obcować z nami tak, jak tego pragnie i jak my sami jesteśmy do tego przeznaczeni, będąc stworzeni na Jego obraz i podobieństwo. To Jego dramat, że musi powściągać swoją miłość, żeby nas nie rozsadziło, jak stare bukłaki młodym winem.

Trzeba Mu było dopiero stworzyć nowy bukłak przez Wcielenie, a to nie mogło dokonać się od razu. W każdym razie był taki czas, w którym królestwo Boże, czyli pełna harmonii komunia między Bogiem i człowiekiem, mieściło się w samym tylko Jezusie, w Ciele pełnym Słowa.

W jednej z niedawnych homilii podczas mszy transmitowanej z klasztoru w Łodzi powiedział Ojciec, że Jezus do nas przychodzi „z dołu, nie z góry". Co to znaczy?

Nie zaczyna od dogmatów. Nie warunkuje swojej obecności tym, co o nim wiemy i co wyznajemy, bo my po grzechu pierworodnym o Bogu mogliśmy tylko kłamać. To dlatego Pan zakazuje Izraelowi tworzenia obrazów.

Widzę dramat Boga i pierwszeństwo Jego miłosnej obecności, a dopiero za tym idzie przestrzeń konfesji – wyznanie wiary i jej głoszenie. Najpierw jest bycie pośród nas; Emmanuel – to znaczy „Bóg z nami". Dzieciątko Jezus, które leży w żłobie, ustanawia komunijność poza konfesyjnością. To Jego ogołocenie z chwały.

Zresztą ostatnim Jego słowem też nie było kazanie, lecz ukrzyżowana obecność, misterium upodabniającej miłości. Hans Urs von Balthasar pisał, że ostatnim słowem Boga nie jest Objawienie, pouczenie, lecz uczestnictwo, *communio*. Wydarzenie Wcielenia rozumiał właśnie jako przejęcie przez Boga zamknięcia słuchaczy, wejście w milczenie swego stworzenia, jego od-mowę, odwrócenie się od Tego, który „mową wzbogaca język nasz". Ta komunia mimo braku wspólnoty poznania oznacza więc po drugiej stronie słowa i czynu cierpienie. To w moim przekonaniu wyznacza także sposób bycia Kościoła w świecie i ze światem.

Co to dokładniej znaczy?

Że Jego obecność przychodzi jako łaska, przekraczająca nasze rozumienie. Jezus przychodzi do nas jako dziecko, bo tylko jako dziecko możemy go przyjąć. ↦

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 475/19 postępowanie z wniosku Zenona Taciaka i Małgorzaty Taciak o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Witaszycach o powierzchni 0,02,64 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 257 arkusz mapy 3, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00003158/0.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

↦ A nawet to jest trudne. Z opisu ewangelii wiemy, że przyjmują go mędrcy i pasterze. Mędrcy są przedstawicielami świata pogan, którzy dochodzą do poznania Boga. Pasterze z kolei to ubodzy Izraela. Mądrość i ubóstwo poznaje Pana. Nie przyjmuje go natomiast Herod i uczeni w Piśmie, ani władza religijna, ani władza polityczna. Przeciwnie: oni drżą z lęku, że nowe, które przychodzi, rozsadzi stare bukłaki. Niemowlę stanowi dla nich zagrożenie. Niemowa odbiera im mowę.

Pyta mnie pan o choinkę, klimat świąt – dla mnie długo te rzeczy nie były ważne.

A stały się takie?

Tak, ale dopiero w zakonie. Momentem odkrycia było dla mnie składanie sobie życzeń i łamanie się opłatkiem z braćmi. Nigdy wcześniej tego nie lubiłem, bo życzenia zwykle były czymś zdawkowym. W zakonie odkryłem, że „łamanie się opłatkiem" jest synonimem kaznodziejstwa, czyli głoszenia ewangelii. Składanie życzeń nie polega na robieniu komuś *correctio fraterna* – wypominaniu, czego ci brakuje, tylko na błogosławieniu, proroczym opowiadaniu komuś prawdy, tego, co jest jego pragnieniem i przeznaczeniem. Pamiętam takie Wigilie, podczas których składanie życzeń trwało godzinę i więcej.

Drugim momentem olśnienia było zrobienie tradycyjnej szopki. Któregoś roku otrzymałem zadanie przystrojenia salki braci studentów. Znajdowała się w tej części klasztoru, w której panował permanentny remont. Obok salki znajdującej się na najniższym piętrze, przy schodach była wnęka zawalona stertą krzeseł. Postanowiłem tam umieścić szopkę. Nie pod choinką, w miejscu centralnym, lecz w miejscu przejściowym, tranzytowym, które właściwie nie jest miejscem do życia. W takim nie-miejscu rodzi się Dziecię. Czytamy w ewangelii przecież, że „nie było dla Niego miejsca". Połączyło mi się to jakoś z wydarzeniem Krzyża. I jak *titulus* nad krzyżem, nad szopką umieściłem w trzech językach, greckim, hebrajskim i po łacinie, właśnie ten napis: „Nie było dla Niego miejsca". Widziałem, że braci ta instalacja poruszyła. W klasztorze także może nie być dla Niego miejsca.

Dzisiaj myślę, że bliskość jest istotą Świąt.
Umiejętność przyjmowania siebie nawzajem, czułego bycia samemu ze sobą i czułego bycia wobec innych.

Mam nadzieję, że nie brzmi to jak oskarżenie. Ja tak rozumiem Boże przyjście: to wciśnięcie się Boga przez szczelinę świata. Na pytanie, gdzie się Bóg rodzi, odpowiadam: nie tam, gdzie się Go spodziewamy.

I możemy Go przegapić?

Tak, stąd adwentowe wezwanie do czuwania, do obudzenia się. Cały kłopot w tym, „czy można obudzić grzecznie", jak pytał Norwid. Czy Boże Narodzenie będzie też naszym narodzeniem? „Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi, (...) którzy ani z krwi, ani z żądzy ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili" – czytamy w prologu Ewangelii Jana. Sensem Bożego Narodzenia jest moje narodzenie z Niego.

Co to znaczy: z Boga się narodzić?

Nie mogę powiedzieć, że to rozumiem. Tak jak nie mogę powiedzieć, że wiem, jak się kogoś nawraca. Nie ja to robię. Nie wiem, jak On to robi. Wiem tylko, że uczestniczę w pewnej łasce, gdy opowiadam o Jezusie i moje słowo staje się Jego Słowem. Wtedy następuje wydarzenie Wcielenia.

Więc trudno mi powiedzieć, co znaczy: narodzić się z Boga. Dla mnie była to zmiana jakościowa. Gdyby ktoś mnie wcześniej zapytał, co ci jest, to mógłbym powiedzieć: nic mi nie jest. Ale to „nic", które boli. Po przyjęciu Jezusa w dorosłym życiu był taki moment, że bardzo się bałem, że od Niego odpadnę. I w ogóle nie mogłem uwierzyć, że to się wydarzyło, że jakoś odnalazłem własną najgłębszą stratę. Różne rzeczy później działy się w moim życiu, ale nigdy więcej nie poczułem tego „nic". Nie było tego strasznego cierpienia, które znałem wcześniej.

Świadomość Jego obecności?

Nie wiem, czy to jest związane ze świadomością. Raczej z jakimś wypełnieniem. Serce człowieka jest żarłoczne. Pismo mówi, że serce jest jak Szeol, niepoprawne – któż je zgłębi? Niosłem w sobie żarłoczność – pustkę, która była jak czarna dziura. Wszystko tam mogłeś wrzucić: dobro, światło, majątek, miłość, i nie wystarczyłoby, aby nasycić. Dopiero Jezus, zstępujący do mego serca jak do pustego żłobu czy jak do Szeolu po swojej śmierci, jest jedynym światłem, które tę czarną dziurę może wypełnić. I wtedy się odwraca kierunek: z pochłaniania na dar i na wdzięczność. Tak rozumiem nowe narodziny.

Gdy patrzę na polski pejzaż, mam wrażenie, że żyjemy w społeczeństwie, które poganieje. Przeżywamy naszą wiarę na sposób pogański. Zamykamy się w kastach. Odradza się mentalność klanowa. Przynależąc do klanu, podpisujesz się pod jakimś kontraktem: mówisz takim, a nie innym językiem, wyznajesz to, a nie tamto, ubierasz się tak, a nie inaczej.

Mowa o katolikach?

O różnych środowiskach chrześcijan. Różnica między chrześcijaństwem

POŻEGNANIE

Drogi Wojtku,

W takich chwilach słowa nie mają wystarczającej mocy,
ale tak próbujemy Cię teraz wesprzeć.

Przyjmij nasze wyrazy współczucia po stracie

Mamy

Koleżanki i koledzy z PZL

a religiami pogańskimi jest zasadnicza. W rzeczywistości pogańskiej bóstwo jest kimś, kogo trzeba obłaskawić. Jest siłą, z którą musisz się liczyć. Sposobem ujarzmiania tej nieobliczalnej siły jest konkretny zestaw zachowań, rytuałów, także poglądów. Pojawia się dogmat rozumiany jako dający bezpieczeństwo w obcowaniu z bóstwem. Wydaje mi się, że wielu tak właśnie przeżywa wiarę. Nie chcę przez to powiedzieć, że przestrzeń dogmatu i prawdy nie jest ważna. Ona prowadzi do pełni komunii i zjednoczenia. Ale pandemia ujawniła zabobonną odmianę naszego katolicyzmu. Tymczasem jako chrześcijanie powinniśmy mieć głęboką świadomość, że On pierwszy nas ukochał, i to jeszcze wtedy, gdy byliśmy grzesznikami.

I to jest wyzwalające?

To jest megawyzwalające. Jako grzesznik nie jestem zdolny i godny do obcowania ze Świętym. A tu okazuje się, że przez tego Świętego jestem ukochany i przyjęty. Mój upadek w niepodobieństwo do Niego sprawia, że zawsze wyobrażam sobie Boga niewłaściwie (Kościół zresztą głosi w nauce Soboru Trydenckiego, że w każdym naszym obrazie jest więcej niepodobieństwa niż podobieństwa do Boga). Ale Boga to wcale nie ogranicza. Pytanie, jak się otworzyć na tę większą radość. Z ewangelii wiemy, że i mądrość, i ubóstwo są predestynowane do rozpoznania Pana. Mędrcom i pasterzom zwiastuje się wielką radość. Jak wejść w tę adorację i zachwyt?

W supermarkecie mamy święta, które są urynkowionym widowiskiem. A Bóg, który rodzi się gdzie indziej, gdzieś pod schodami, wprowadza nas w doświadczenie obecności. Mam wrażenie, że On zrodzi się między nami, gdy będziemy dla siebie. Gdy zawieszę swoje sądy i przesądy i wejdę w bycie z drugim. Każde takie spotkanie jest przemieniające dla jednej i drugiej strony.

A co przeszkadza?

Jako ludzie mamy niesamowitą zdolność do różnicowania się i dzielenia. Żyjemy w wieży Babel, w pomieszaniu języków. I nawet jak kochamy siebie i zależy nam na tym samym, i tak jesteśmy w stanie się pokłócić. Tymczasem Chrystus „zburzył rozdzielający nas mur – wrogość". Jak to się dzieje? Jakoś ukazuje to greckie słowo oznaczające „miłosierdzie": *splanchnidzomai*. Wszędzie, gdzie pojawia się w ewangeliach, jest związane z raną. Zawiązuje jakieś przymierze rany. Widok czyjejś biedy dotyka mnie jako moja własna bieda. I to czyni nas braćmi. Zarówno w opowieści o Samarytaninie, jak i o miłosiernym ojcu. Bieda syna marnotrawnego staje się biedą ojca, a bieda pobitego staje się biedą Samarytanina.

SEBASTIAN NYCZ

O. TOMASZ BIŁKA jest dominikaninem, kaznodzieją, malarzem i grafikiem. Opiekun duchowy Wspólnoty Twórców Chrześcijańskich Vera Icon. Mieszka w Łodzi.

Swoją drogą, jest dla mnie poruszające, że Bóg, gdy chce o sobie coś powiedzieć, przedstawia się jako heretyk, a nie dogmatyk (heretyk – ten, o którym wiadomo, że się myli). Podobnie Jan Chrzciciel mówi: pośród was stoi ten, którego wy nie znacie. Mam wrażenie, że trudno nam się zgodzić na to, że nie znamy Boga. Wydarzenie spotkania jest czymś, czego nie kontrolujemy i dlatego budzi nasz lęk i niezgodę.

Wracając do tego, co czyni nas braćmi – ciekawe, że Jezus w ewangeliach braćmi nazywa apostołów dopiero po zmartwychwstaniu. „Idź do moich braci i powiedz im..." – zwraca się do Marii Magdaleny. Dopiero Pascha czyni nas braćmi – „burzy rozdzielający nas mur". To ona dopełnia Wcielenie.

Spotkania ze Zmartwychwstałym i z Dzieciątkiem korespondują ze sobą. I Maria Magdalena z apostołami, i mędrcy z pasterzami doświadczają wielkiej radości. Jedni i drudzy wchodzą w spojrzenie, które jest adoracją i zachwytem właśnie nad ciałem przebóstwionym. Bo jeśli mówimy o wydarzeniu Wcielenia i objawieniu, jakim są narodziny, trudno nie uwzględnić czułości. Dziecko jest tym, kto się czułości domaga.

To czułość jest więc przestrzenią komunikacji i komunii.

Tak, podkreślam to, bo komunikacja i komunia, czyli to, do czego przeznaczony jest człowiek, czyni nas Kościołem. Po łacinie te słowa mają wspólny źródłosłów: *communicatio*, *communio*, *communitas*. Gdy Olga Tokarczuk w mowie noblowskiej mówiła o czułym narratorze, to oczywiście wiedzieliśmy – mam na myśli moich braci dominikanów – że odwołuje się ona do innego niż nasze rozumienia. Ale od razu „rzuciliśmy się" na to wyrażenie, rozpoznając w nim Boga i Ducha Świętego, który mówił przez proroków i objawiał to, co wypełnia się w Bożym Narodzeniu. Ciekawe, że ta mowa noblowska była odpowiedzią na pewien konkretny kryzys – braku wspólnej płaszczyzny. W kulturze nastawionej na promowanie indywidualizmu przestaliśmy umieć tworzyć wspólnotę. Także w znaczeniu chrześcijańskim – czyli Kościół. Kryzys Kościoła polega też na tym, że my nie umiemy być ze sobą. Czułość zaś jest wyśmiewana jako naiwna.

Na nią wskazują święta Bożego Narodzenia?

Długo sam nie ceniłem ich familiarności. A dzisiaj myślę, że może właśnie bliskość jest istotą tych świąt. Umiejętność przyjmowania siebie nawzajem, czułego bycia samemu ze sobą i czułego bycia wobec innych – to dopiero ustanawia fundament dla budowania wspólnoty. I niech sobie mówią, że to naiwne. Dla mnie to ubóstwo jest mądrością tych, co poznają Pana.

Czyli wróciliśmy do choinki i szopki.

Wspomniani teolodzy, którzy pomijają moment narodzin Jezusa i zaczynają refleksję od Paschy, wskazują chyba na jakieś powszechne doświadczenie. Dzisiaj w kulturze najpierw narzuca się nieobecność Boga, jego śmierć. A narodziny dopiero są oczekiwane. Jak w wierszu „bez" Różewicza, choć czytam ze zmienioną kolejnością: „Największym wydarzeniem w życiu człowieka są śmierć i narodziny Boga".

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

MIGNON STEPHANE / GETTY IMAGES

Równy gość

ZOFIA BARTOSZEWICZ

Przynosiłam opowieść wigilijną do kolejnego domu w kolejną Wigilię. Teraz zanoszę ją do wielu domów naraz.

TYLKO RAZ DO ROKU TO MA SENS. Między godziną szesnastą a dziewiętnastą. Może trochę przed i trochę po, ale nie dłużej. Od lat w tych godzinach, tego szczególnego dnia w roku, jestem gościem. Niespodziewanym Wigilijnym Gościem w nieznanych mi domach.

PUK! PUK! Ważne, żeby zapukać do drzwi. Dzyń, dzyń do domofonu nie zadziała. Zbyt łatwo mnie zbyć, jestem za daleko, jakbym dzwoniła z zagranicy. A trzeba mi spojrzeć w oczy, nie okiem kamery, a własnym, lewym i prawym. Trzeba stanąć ze mną oko w oko, czyli najpierw odważyć się otworzyć drzwi.

LUBIĘ DRZWI, potrzebuję ich, mają znaczenie. Zamykam je za sobą i jestem u siebie. Prywatna, czyli jaka? Zawsze mnie interesowało, kim jesteśmy za zamkniętymi drzwiami? Jakie prawa ustanawiamy w swoich domach? Czy u siebie jesteśmy bardziej prawdziwi? Jaka jest ta domowa prawda o nas? Jaki ustrój polityczny funkcjonuje w naszych czterech ścianach i czy się sprawdza?

Co robimy u siebie po swojemu? Czy na co dzień jest nam dobrze z bliskimi, a im z nami? Czy dom jest moim schronieniem, czy też będąc w domu jestem na wojnie i próbuję przetrwać? Dom. Nieoczywista przestrzeń. Co się w nim zmienia, gdy nadchodzą święta?

JEST WIGILIA. Stoję przed czyimiś drzwiami. Jestem obca dla kogoś po tamtej stronie drzwi i ten ktoś jest obcy dla mnie. Oboje/obie stoimy przed i za drzwiami jednocześnie. Ich otwarcie otworzy możliwość spotkania. Postawi nas po dwóch stronach progu. Próg ma znaczenie, to kilkunastocentymetrowa granica między ludźmi, czyli światami, kulturami i mitami tych kultur.

KIEDY PIERWSZY RAZ byłam Wigilijnym Gościem, wiele drzwi, mimo mojego puk, puk, zostawało zamkniętych, chociaż słychać było za nimi obecność. Niemal wszędzie chodziły, grały, śpiewały kolędy i przemawiały telewizory. Często ktoś zbliżał się do drzwi i przyglądał mi się przez wizjer, zwany potocznie judaszem. Byłam lustrowana i nie ma się czemu dziwić.

Fascynują mnie funkcje szkła i związane z nim metafory. Jego kawałek w drzwiach pozwala widzieć nie będąc widzianym, jest soczewką, oczkiem, peryskopem. Ciekawe, że dzięki szkłu powstającemu z piasku, którym można przecież sypnąć w oczy, możemy widzieć wyraźniej. W słowie lustracja natomiast mamy lustro. Przeglądamy się w osobach lustrowanych?

„Kto to był? – Nikt" – docierało do mnie zza drzwi. Byłam Nikim kilkakrotnie tego dnia. A wtedy padał śnieg i było nieprzyjemnie. Wilgoć i chłód. Potrzebowałam

dosyć szybko się nauczyć, jak być Wigilijnym Gościem, któremu w końcu otworzą i z którego, być może, nawet się ucieszą. Uczyłam się więc. Jasne, że się bałam i nie ma się czemu dziwić. Nie tyle nieznanych ulic, zaułków, kamienic, umownie oświetlonych korytarzy, bałam się... Czego dokładnie? Serce mi łomotało, kiedy stałam przed drzwiami, za którymi nieznani mi ludzie siedzieli przy wigilijnej kolacji albo właśnie do niej zasiadali. Trwałam z gotowym do naciśnięcia dzwonka palcem, po czym zwiewałam spod drzwi, jednych, drugich, trzecich... Zadzwoniłam może dopiero do piątych, ale potem już do każdych następnych, które wybierałam w kolejnych kamienicach, aż, jak to w opowieściach bywa, do ostatnich i te otworzyły się przede mną na oścież. Ale zanim ktokolwiek chociaż uchylił przede mną drzwi, musiałam znaleźć pierwsze zdanie. Pierwsze zdanie ma znaczenie. Szukałam go i znalazłam.

– DOBRY WIECZÓR! Chciałam zapytać, czy u Państwa na stole jest talerz dla Niespodziewanego Gościa?

– Taak.

– To jest talerz dla mnie.

I WTEDY KTOŚ PATRZY MI W OCZY. Spojrzenie w oczy ma znaczenie. Robiąc wdech i wydech podejmuje decyzję drugą, po tej pierwszej o otwarciu drzwi, czy zaprosić mnie do środka, czy nie?

Brano mnie za ankieterkę, którą nasłał proboszcz, żeby sprawdzić, jak się szanuje tradycję. Uchylano drzwi na szerokość łańcuszka. Usłyszałam parę razy różne wersje zdania: „Nie mogę pani wpuścić, bo pani nie znam". Tego pierwszego razu te ostatnie drzwi otworzyła przede mną Pani Ewa. Jej imienia nie zmieniłam. Świętowała Wigilię i swoje imieniny.

– Proszę – powiedziała. Już wiedziałam, bo czułam, że oto wydarza się święto, i przekroczyłam próg.

Kiedy byłam małą dziewczynką, czekałam na Niespodziewanego Gościa. A nuż zapuka? Ale byłaby niespodzianka! Czekałam i rosłam, ale nigdy... I tak sama zostałam Wigilijnym Gościem.

Pani Ewa podała mi kapcie, gorącą herbatę i bodaj dwanaście potraw. Długo rozmawiałyśmy. Obdarowała mnie zaufaniem i utwierdziła moje zaufanie do ludzi. Bez Niej nie zostałabym Niespodziewanym Gościem. Byłam już na tyle zmęczona, że nie zapukałabym do kolejnych drzwi. Może spróbowałabym za rok, a może dałabym sobie spokój? Pani Ewa, otwierając przede mną drzwi, otworzyła o wiele więcej. Snułyśmy z panią Ewą naszą wigilijną opowieść. Tkałyśmy wspólnie nasze spotkanie. I tak zrodziła się moja świąteczna tradycja, chociaż nie wierzę w Boga. Wierzę natomiast w ludzi i jestem praktykująca.

Kiedy byłam Wigilijnym Gościem po raz pierwszy, uczyłam się, jak nim być. W kolejnych latach było mi łatwiej. Już miałam przecież pierwsze zdanie, byłam spokojniejsza i bardziej skupiona. Wiedziałam więcej o tym, dlaczego i po co to robię. Dlaczego wystawiałam siebie samą, swoje wyobrażenia, lęki, nadzieje i wiarę na próbę?

Teraz, 24 grudnia, idąc nieznaną ulicą zatrzymuję się często, ale nie ze strachu, tylko żeby wietrzyć sytuację. Jak zwierzę, którym przecież jestem. Powoli wyczuwam, gdzie skręcić, czy iść dalej, czy zawrócić. Nogi mnie same prowadzą, i oczy, i uszy, i co jeszcze? Intuicja? Pewnie tak. Wiem, bo czuję, przed którymi drzwiami stanąć, i zazwyczaj one się przede mną otwierają. To nieprzypadkowe przypadki. Tak lubię myśleć.

MOJE OPOWIEŚCI WIGILIJNE, z miasta stołecznego i innego, z małego miasteczka, ze wsi tej i tamtej, to moje skarby, święte obrazki niewierzącej. Zbieram je, ale nie kolekcjonuję. One są we mnie, przemieniają mnie, wspierają, rezonują we mnie i czasami o nich opowiadam.

Kiedy zasiadam przy wigilijnym stole z nieznanymi ludźmi, jestem pytana, skąd ten pomysł. Mówię, że to raczej potrzeba i skąd się wzięła, opowiadam moje wigilijne opowieści. Rozmawiamy o pustym talerzu, pustym geście. O wędrowcach, o obcych, o zapraszanych niegdyś do stołu duszach zmarłych. O tym, czy ktoś wpuściłby do domu mężczyznę, a do tego bezdomnego albo uchodźcę? Rozmawiamy o zaufaniu do ludzi, o tej często zapomnianej potrzebie ufania ludziom. Bywa, że rozmawiamy o przedchrześcijańskim święcie powrotu światła, o zimowym przesileniu i nadziei na kolejną wiosnę. Dobrze sobie życzymy, czasami śpiewamy kolędy i mówimy niewiele. Nikt mnie nie zapytał, jak dotąd, o poglądy polityczne, o orientację seksualną, o wyznanie. Jestem pytana o to, czy mam rodzinę i jak ona znosi moją nieobecność w Wigilię. Odpowiadam, że moi bliscy, rodzina, przyjaciele, szanują moją tradycję i czekają na mnie z wigilijną kolacją. Zaczynamy, kiedy już wszystkie gwiazdki na niebie rozbłysną.

Przynosiłam opowieść wigilijną do kolejnego domu w kolejną Wigilię.

Teraz zanoszę ją do wielu domów naraz. Przepraszam, że bez pytania Was, którzy mnie przyjmowaliście, o zgodę. Pukając do Waszych drzwi realizowałam swoją potrzebę, a nie pomysł na reportaż. Po latach zdecydowałam się napisać o naszych spotkaniach. Przekonano mnie, że warto.

A TERAZ KILKA świętych obrazków z moich wizyt w porządku niechronologicznym. Mam nadzieję, że Wy, moi Drodzy, którzy gościliście mnie w swoich domach, zaakceptujecie formę ich opisu.

PIERWSZY. Było tak: w szerokim fotelu spał wąski Gospodarz. Musiał być zmęczony i być może przechylał na zdrowie pana Jezuska (i Dzieciątko narodziło się zdrowe!). Nagle Gospodarz się budzi i wskazując na kobietę przy zastawionym stole, pyta: „A, to ciocia jednak przyjechała? Mówiła, że nie przyjedzie".

Gospodyni nie miała zamiaru tłumaczyć mężowi, że to Wigilijny Gość, bo mąż jeszcze nie zapadł w jawę, powiedziała tylko: „Śpij, śpij, kochanie. Odpocznij sobie".

Naprzeciwko kobiety siedział syn Gospodarzy. Siedział, patrzył i wyglądał, jakby nie dowierzał temu, co widzi. Gość Wigilijny? U nas? I nie jest to ukryta kamera?

Kobiety toczyły rozmowę przy stole, a pod stołem Młody Mężczyzna stawiał znaki zapytania. Co pewien czas szturchał stopą nogę nieznajomej, jakby chcąc sprawdzić, czy jest z kości i krwi, i mimo że zyskiwał odpowiedź twierdzącą, to już po chwili wątpił. Wyrwał mu się przy tym raz, może dwa, nerwowy chichot, ale było tak spokojnie, nieśpiesznie i dobrze przy tym stole, że jego nerwy zaznały ukojenia. Cała trójka świętowała najprościej, jak można, a kiedy czas się wypełnił, nieznajoma wstała, podeszła do strojnej choinki, zostawiła pod nią drobny podarek i wzruszona podziękowała Gospodyni za otwarcie: i drzwi, i serca. Chłopak koniecznie chciał odprowadzić gościa choćby kawałek, więc wyszli razem ↦

↦ i w mijanych domach zawieszali na klamkach pozostałe prezenty. I to było dobre. A potem On bez słów uścisnął ją na pożegnanie. I tyle się widzieli.

DRUGI. Poprzedniej zimy zdarzyło się, że zapukała do drzwi rodziny, która wróciła godzinę wcześniej ze szpitala, bo syn im ciężko chorował. W tym domu wszyscy wymownie milczeli bardziej, niż mówili. A kiedy Mama Chłopca powiedziała: „Dla nas to dobry znak, że pani w Wigilię wybrała nasz dom", popłakały się obie. Dla niej to też był znak.

TRZECI. Kiedy śniegi sięgały kolan, było tak: ona puka, a tu drzwi lekko uchylone, więc zadziwiona otwiera je, wchodzi i woła „Dobry wieczór!", a kiedy się pojawia długowłosa Kobieta, pyta o talerz. „Tak, tak! Zaraz, zaraz!" i Kobieta zaprasza ją do środka, prowadzi do pokoju, gdzie jej starszy syn przystraja w pośpiechu choinkę, a sama znika. Jeszcze pusty stół, jeszcze nic nie gotowe. Uwija się Gospodyni i jej dwaj synowie. Wszyscy dopiero co wrócili z pracy. Niespodziewany Gość niespodziewanie się przydał (przydała?). Pomógł pięknie ozdobić drzewko i nakryć do stołu, a Starszy Syn w tym czasie dostał nagłej i postępującej gorączki. Poty wystąpiły mu na czole, od pierwszych po siódme i zaczął drżeć. Wtedy jej czas się skończył. Musiała się zbierać, czekano na nią. Gospodyni nie chciała o tym słyszeć: „W takim razie proszę koniecznie przyjść w Święta. Koniecznie!"– powiedziała. Bodaj po raz pierwszy w historii Gość Wigilijny przyszedł w gości drugiego dnia Świąt Bożego Narodzenia, i to w towarzystwie. Wtedy się okazało, że gorączka syna Gospodyni, której doświadczył dwa dni wcześniej, nie była oznaką choroby, a głębokiego przejęcia niespotykaną sytuacją.

Kiedy zasiadam przy wigilijnym stole z nieznanymi ludźmi, jestem pytana, skąd ten pomysł. **Mówię, że to raczej potrzeba i skąd się wzięła.** Opowiadam moje wigilijne opowieści.

CZWARTY. Pod lasem mieszkała rodzina, która z nastaniem pierwszej gwiazdki, choć każdy starał się jak mógł, żeby do tego nie doszło, pokłóciła się ze sobą nawzajem. Nie zdążyły jeszcze opaść na podłogę ciężkie słowa, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Pani domu zaprosiła Niespodziewanego Gościa do środka. Tak, zrobiła to. Jej wnuczek wgramolił się Gościowi na kolana i pozwolił nakarmić się barszczem z uszkami. Pan domu zaś siedział samotnie w swoim pokoju i tam trawił zupełnie co innego niż barszcz, zresztą tak jak i pozostali domownicy.

Gość nie zabawił długo, nadszedł bowiem czas, żeby rodzinę zostawić samą. No, nie całkiem samą. Dzieciątko, którego spojrzenie, uśmiech, dotyk, sama obecność jest miłością, za chwilkę się przecież narodzi.

PS. POZDRAWIAM WSZYSTKICH WAS, Moi Drodzy, którzy przyjęliście mnie pod swoje dachy, w tym Młodą Dziewczynę, która otworzyła mi drzwi i przedstawiła licznej rodzinie zasiadającej do stołu, a potem zadbała nawet o podarek dla mnie. Mam go. Stoi w widocznym miejscu. Pozdrawiam Dwudziestoparolatka, który wzruszony powiedział, że mi dziękuje i nigdy nie zapomni. Ja też nie zapomnę i dziękuję. Pozdrawiam pewne rodzeństwo, samotnie żyjącego Brata, który otworzył mi drzwi, a właśnie się golił przed Wigilią u Siostry, i tę Siostrę, której dom mi wskazał, dodając, że tam na pewno mnie wpuszczą. I wpuścili, a Siostra na odchodne rzekła do wnuka: „Teraz to będziesz miał o czym opowiadać na religii". Pozdrawiam Gospodarza, który dodał mi otuchy słowami: „Zapraszam, ale za dwa tygodnie, bo my jesteśmy prawosławni".

© ZOFIA BARTOSZEWICZ

POŻEGNANIE

25 listopada 2020 r. zmarła w Warszawie po długiej chorobie

Ś.† P.

Anna Hannowa

Teatrolog, dziennikarka radiowa, nauczyciel akademicki.
Córka Ziemi Częstochowskiej, harcerka Szarych Szeregów,
absolwentka Uniwersytetu Poznańskiego,
dziennikarka Polskiego Radia w Szczecinie,
kierownik redakcji literackiej Polskiego Radia we Wrocławiu.
Twórczyni i animatorka nowatorskich inicjatyw edukacji teatralnej
„Młodzież poznaje teatr" i „Klub 1212" przy Teatrze Polskim
we Wrocławiu, mentorka i wychowawczyni
kilku pokoleń młodzieży Wrocławia i Dolnego Śląska.

Odznaczona Złotym Medalem Gloria Artis i wieloma innymi
odznaczeniami, laureatka Nagrody Wrocławia.

Ukochała wrocławską młodzież.

Żegnamy ją w ogromnym żalu, ale z nadzieją życia wiecznego.

Wojtek z Moniką i Jackiem
oraz Rodziną

REKLAMA

W tym roku zmieniło się wszystko, a kultura ucierpiała szczególnie. Pandemia i wynikające z niej restrykcje odcięły artystów od publiczności i od zarobków. Środowisko twórców zostało jako pierwsze dotknięte kryzysem wywołanym epidemią i wszystko wskazuje na to, że jako ostatnie powróci do swojej normalnej aktywności. Pomoc ze strony państwa jest jak dotąd wybiórcza i doraźna, choć rozwiązania systemowe dla kultury, z powodzeniem i od dawna stosowane w Europie, są przecież na wyciągnięcie ręki. ZAiKS prosi o nie od lat i oczekuje na podjęcie stosownych decyzji przez kolejnych ministrów kultury.

Na co w takiej sytuacji mogą liczyć twórcy? Na solidarność środowiska – pomoc przyznawaną przez ZAiKS i inne organizacje, niezwykłe wsparcie płynące od artystów dla artystów. Pomagajmy sobie. Nie łudźmy się, że solidarność okażą nam wielkie korporacje, które swoje fortuny zbudowały dzięki treściom kreatywnym, a którym tak trudno jest podzielić się ułamkiem zysków z autorami w Polsce.

W nadchodzącym czasie kultura będzie w Państwa domach. Książki, filmy i muzyka sprawią, że te święta, choć trudniejsze, będą nieść nadzieję. Wspieramy wyobraźnię twórców, by mogli Państwu towarzyszyć i by nikt nie został sam.

Świąt pełnych wyobraźni życzy ZAiKS

ZAiKS

Religia osieroconych

RYSZARD KOZIOŁEK

Dwie twarze tego samego wykluczenia: Maria i niemal ukamienowana Maria Magdalena. W oczach opinii publicznej jedna jest winna, bo pozwoliła się uwieść; druga, bo uwodzi.

Krystynie

Ciekawe, kiedy Jezus po raz pierwszy zapytał Marię, kto jest jego prawdziwym ojcem? Ewangelie o tym milczą, ale epizod z trzydniową ucieczką chłopca podczas wizyty z rodzicami w Jerozolimie sugeruje, że stało się to w ramach buntu wczesnego nastolatka, który zaczyna myśleć samodzielnie i przestaje wierzyć wszystkiemu, co opowiadają mama i tata. Może zaczął dostrzegać uśmieszki, aluzje, uszczypliwości sąsiadów kierowane w stronę bardzo ładnej i bardzo młodej mamy, mocno podstarzałego ojca, a wreszcie w stronę jego samego. Może zresztą kumpel na podwórku chciał mu dokuczyć lub po prostu się wygadał?

Pewne jest, że podczas pielgrzymki do Jerozolimy dwunastoletni Jezus już wie. I robi to, co robi wkurzony, oszukany, zdradzony nastolatek – buntuje się i ucieka z domu. Czas i miejsce wybrał znakomicie. W Nazarecie, który jest małą dziurą, wszyscy go znają. Co innego metropolia, jaką jest Jerozolima, i to w dodatku w Święto Paschy, kiedy ściągają do niej tysiące pielgrzymów. Sprytnie wyprowadza w pole

DIDIER DESCOUENS / DOMENA PUBLICZNA

Giovanni Bellini „Madonna z dzieciątkiem ze św. Katarzyną i Marią Magdaleną", ok. 1490 r., Gallerie dell'Accademia w Wenecji

Marię i Józefa, mówiąc, że będzie wracał do Nazaretu z wujem, który wyrusza wcześniej, i pryska w miasto.

A gdy minęły te dni i już wracali, dziecię Jezus zostało w Jerozolimie, ale Józef i jego matka o tym nie wiedzieli.

Lecz sądząc, że jest w towarzystwie podróżnych, przeszli dzień drogi i szukali go wśród krewnych i znajomych.

A gdy go nie znaleźli, wrócili do Jerozolimy, szukając go.

A po trzech dniach znaleźli go siedzącego w świątyni wśród nauczycieli, słuchającego i pytającego ich.

I wszyscy, którzy go słuchali, zdumiewali się jego rozumem i odpowiedziami.

A rodzice, ujrzawszy go, zdziwili się. I powiedziała do niego jego matka: Synu, dlaczego nam to zrobiłeś? Oto twój ojciec i ja z bólem serca szukaliśmy ciebie.

I powiedział do nich: Czemu mnie szukaliście? Czy nie wiedzieliście, że muszę być w tym, co należy do mego Ojca?

(Łk 2, 42-49)

Cóż za arogancka odpowiedź! Nie dość, że prawie trzy dni odchodzili od zmysłów, to jeszcze im pyskuje. Zarazem, jakie to psychologicznie przekonujące! Ile w tym ironii, ile próżności płynącej z pierwszego odkrycia siły własnej inteligencji i elokwencji, która zjednuje zainteresowanie części dorosłych i pozwala młodemu zatriumfować nad dużo starszymi, którym się wydaje, że przyrost mądrości zawsze postępuje z wiekiem. Globalny sukces Ewangelii polega na ich prawdopodobieństwie. Cudowność i moralitet mają w nich realistyczne fundamenty. W tej jednej scenie Jezus staje się prototypem nastoletnich buntowników, rozczarowanych zakłamanym światem dorosłych.

Taki będzie Holden Caulfield, który w „Buszującym w zbożu" wybiera Nowy Jork na miejsce ucieczki: „Był poniedziałek, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, wszystkie sklepy pootwierane. Dość przyjemnie się szło Fifth Avenue. (...) W końcu namyśliłem się i postanowiłem, że nigdy nie wrócę do domu i nie dam się zapakować do żadnej nowej szkoły" (przeł. Maria Skibniewska). Albo Smith, nastoletni bohater „Samotności długodystansowca", kiedy biegnie w wyścigu o lepsze życie. Może wygrać ku uciesze znienawidzonego dyrektora i wyjść z poprawczaka lub skręcić w pole i uciec. I choć od połowy biegu jest na czele, zatrzymuje się przed metą, pozwalając się wyprzedzić: „Co do mnie, dotknę tej linii dopiero wtedy, kiedy zdechnę i kiedy wygodna trumna będzie stała przygotowana po drugiej stronie. Ale do tego dnia będę długodystansowcem biegnącym na przełaj swoją własną ścieżką, choćby mi było na niej bardzo źle" (przeł. Maria Skibniewska).

Wszyscy trzej zatrzymają się w swoim buncie, jakby chcieli pokazać światu, że wiedzą, w co się tu z nimi gra, ale jeszcze trochę mu na to pozwolą („Wtedy poszedł z nimi i wrócił do Nazaretu, i był im posłuszny", Łk 2, 51). A może przeciwnie: ich nagła konfrontacja ze światem przynosi wiedzę o jego potwornych, bezwładnych mechanizmach, których nie zmieni bunt, a jedynie inny system, równie bezwzględny jak ten, przeciw któremu się buntują? Faktem jest, że ani my, ani „oni nie zrozumieli tego słowa, które im mówił" (Łk 2, 50).

Myślę, że dla Marii to nie krnąbrny, boski nastolatek był największym zmartwieniem, ale okrutne, pełne hipokryzji, cynicznie purytańskie społeczeństwo, które głosi świętość życia, ale dzieli to życie na lepsze i gorsze. Gorszym jest życie dziecka bez ojca i bycie młodziutką matką bez męża. Maria i niemal ukamienowana Maria Magdalena to dwie twarze tego samego wykluczenia. W oczach opinii publicznej jedna jest winna, bo pozwoliła się uwieść; druga, bo uwodzi. Drugą na chwilę obroni Jezus, pierwsza przez jakiś czas broniła się sama.

Marie Magdalenki

Byłam wciąż niezamężna
Mimo że skończyłam dwadzieścia siedem lat
Przez to, jak patrzyli na mnie mężczyźni
Przezwano mnie Jezabel
I wysłano do Sióstr
Wiedziałam, że nie jestem przeznaczona niebu ↦

Zostałam więc we wstydzie strącona
Do Pralni Magdaleny

Większość dziewcząt przychodzi tu w ciąży
Niektóre przez własnych ojców
Bridget dostała ten brzuch
Od swojego proboszcza
Staramy się, aby pranie było białe jak śnieg
My wszystkie, nieszczęsne córki
Wśród parujących plam
Pralni Magdaleny

Prostytutki i nędzarki
I kusicielki, jak ja
Upadłe kobiety
Skazane na znój i bezsenność
Dlaczego nazywają to okrutne miejsce
Naszą Panią Miłosierdzia?
Miłosierdzia!
(Joni Mitchell, „Magdalene laundries", fragment)

W przejmującej pieśni „Pralnie Magdaleny" (polecam szczególnie wykonanie Emmylou Harris) Joni Mitchell opowiada o irlandzkich instytucjach dla „upadłych dziewcząt". Prowadzone przez Kościół od początku XVIII do lat 70. XX wieku (!), były często obozami pracy dla kobiet i dziewcząt, które zostały tam wysłane przez rodziny lub władze z powodu ciąży pozamałżeńskiej albo za niemoralne prowadzenie się. Zwykle zmieniano im imiona i nazwiska, a urodzone dzieci były przekazywane do adopcji bez wiedzy matek, które później często bezskutecznie szukały swojego potomstwa (dorosłe już dzieci też poszukiwały swoich rodziców). Wiele kobiet zmarło w tych domach i zostały pochowane w bezimiennych grobach.

Joni Mitchell opowiada o takim miejscu prowadzonym przez zakon Sióstr Miłosierdzia w Dublinie. Kiedy przekazano je państwu, odkryto na jego terenie ponad 130 anonimowych grobów kobiet. Część udało się zidentyfikować dzięki rodzinom, które przez lata bezskutecznie szukały swoich córek i sióstr. Niezidentyfikowane szczątki przeniesiono na cmentarz Glasnevin w Dublinie.

Jeszcze bardziej wstrząsające fakty odkryła córka jednej z pensjonariuszek domu zakonnego w Tuam, Catherine Corless. Opisał to Dan Barry w tekście „Zaginione dzieci z Tuam" („New York Times", 28 października 2017 r.). Po likwidacji domu na początku lat 60. zaczęto odkrywać na terenie posiadłości pogrzebane bezładnie szczątki dziecięce. Okazało się, że były to zwłoki dzieci zmarłych niedługo po urodzeniu lub w pierwszych latach życia. Urodzone z ciąży pozamałżeńskiej, zostały uznane przez zakonnice za grzeszne i pochowane bezimiennie pod murem otaczającym dom opieki.

Catherine rozmawiała z mieszkańcami sąsiednich domów. Ci z pięter powyżej zakonnego muru przypominali sobie, że widzieli pochówki zmarłych niemowląt w kącie klasztornej posesji... Udało jej się zidentyfikować tożsamość 796 dzieci. Skromna, nieśmiała kobieta prowadzi od lat prywatne poszukiwania, odpowiadając na dziesiątki zapytań o losy zaginionych córek, sióstr, znajomych dziewcząt oddanych do Tuam.

W Irlandii trwa proces mierzenia się władzy i opinii publicznej z horrorem, jaki ludzie w wielu kościelnych instytucjach opiekuńczych zgotowali kobietom i ich dzieciom. Ten proces jest i będzie bolesny, ponieważ całe społeczeństwo było w nim umoczone. Rodziny ze wstydu przed sąsiadami pozbywały się córek, Kościół piętnował je oraz ich potomstwo jako grzeszne i niszczące więzi społeczne, a państwo umywało ręce. Dochodziły jeszcze zyski z darmowej pracy i pieniądze za adopcję tysięcy dzieci do rodzin w Wielkiej Brytanii, USA, Kanadzie i Australii.

Dramat pensjonariuszek tych „domów" byłby więc nie do pomyślenia bez aprobaty większości społeczeństwa, które w złej wierze oddało Kościołowi w zarząd swoje winy. W złej, ponieważ chciało mieć spokój – praktyczny i ten sumienia – od panien z dziećmi, od zdradzających się mężów i żon, od wydatków publicznych na oświatę seksualną i wsparcie dla samotnych rodziców oraz sierot. Skrajny idealizm etyczny staje się potworny, jeśli dać mu prawne oraz instytucjonalne narzędzia do wcielania w czyn swoich zasad.

Trwające do ostatnich dekad XX wieku izolowanie i poniżanie kobiet za fakt zajścia w ciążę pozamałżeńską wydaje się inkwizycyjnym reliktem, a jednak działo się to do niedawna w samym środku nowoczesnych demokracji, które nadal nie potrafią sobie ułożyć relacji z religiami. W przypadku chrześcijaństwa kluczowe wydaje się rozerwanie więzi między winą religijną a świecką karą za tę winę. Heinrich Heine nazwał tę więź „konkordatem między Bogiem a diabłem, to znaczy między duchem i materią, na mocy którego to konkordatu stwierdza się w teorii niepodzielne panowanie ducha, umożliwiając zarazem materii egzekwowanie w praktyce wszystkich jej anulowanych dopiero co praw. (...) Wolno ci iść za podszeptem czułych skłonności serca i wziąć w ramiona nadobne dziewczę, musisz wszakże przyznać, że był to grzech haniebny, i za grzech ten odbyć pokutę" (przeł. Tomasz Zatorski). Co oznacza w praktyce – dodajmy – przekonanie wiernych w niektórych społeczeństwach, że pokuta wymaga ofiar finansowych lub kar sądowych.

Ten sam proces rozerwania konkordatu Boga z diabłem czeka nas w Polsce, a proces zakonnicy z Ośrodka Wychowawczego Sióstr Boromeuszek w Zabrzu jest zapowiedzią historii polskich „pralni Magdaleny". Zanim jednak to, co nieuniknione, nastąpi, dobrze czytać nie tylko reportaże o tych wydarzeniach, ale klasyczną literaturę, która kolejny raz okazuje się niezamierzonym proroctwem o niewyczerpanym spełnieniu.

Kładki

Fenomenalny rozdział „Lalki" Bolesława Prusa, pod znamiennym tytułem „Kładki, na których spotykają się ludzie różnych światów", przynosi ostry wgląd w rodzimy problem „magdalenek". Podczas soboty wielkanocnej Wokulski spotyka w kościele prostytutkę. Wcześniej wziął udział w dobroczynności na pokaz i rzucił stos złotych monet na tacę trzymaną przez Izabelę, teraz patrzy na modlącą się dziewczynę i wzrusza się jej płaczem. W myślach przystraja ją w dewocyjny kicz i poruszony przez swoją wyobraźnię prowadzi dziewczynę do Rzeckiego, aby wspólnie jej pomogli. Ta, widząc starego subiekta, pyta spokojnie: „Dwu?". A następnie niszczy fantazję Wokulskiego o cnotliwej, rozmodlonej niedoli: „Poszłam na groby – mówiła dalej dziewczyna – myślałam, że się trochę rozerwę. Gdzie tam, com wspomniała o starej, to aż mi łzy pociekły ze złości. Zaczęłam prosić Pana Boga, ażeby albo starą choroba zatłukła, albo żebym ja od niej wyszła".

CHARLES MCQUILLAN / GETTY IMAGES

Czuwanie w pobliżu dawnego domu opieki w Tuam, gdzie w kącie klasztornej posesji zakonnice grzebały niemowlęta narodzone w związkach pozamałżeńskich. Na archiwalnej fotografii jedna z pensjonariuszek. Irlandia, 2018 r.

Dziewczyna ma nadzieję, że Wokulski lub Rzecki będą jej sponsorami i uwolnią ją od gospodyni-alfonsa. „Nie pójdziesz do żadnego pana – mówi wzburzony Wokulski – tylko do magdalenek". Ma na myśli zakon św. Magdaleny, który prowadził w Warszawie dom poprawczy dla upadłych dziewcząt. Znamienny jest dialog mężczyzn po odejściu dziewczyny. Chwilowa litość zmienia się w pogardę:

„– Nie widziałem jeszcze podobnego bydlęcia, chociaż znam dużo bydląt.

– W samej Warszawie jest ich tysiące – odparł Rzecki.

– Wiem. Tępienie ich do niczego nie doprowadzi, bo ciągle się odradzają, więc wniosek, że prędzej czy później społeczeństwo musi się przebudować od fundamentów do szczytu. Albo zgnije".

Trzeba zadać sobie trochę trudu, żeby uchwycić gorzką ironię Prusa. Wszak Marianna, resocjalizowane w powieści „bydlę", jest wykorzystywane przez mężczyzn z wszystkich klas. Jej klientem jest Starski (arystokracja), potencjalnymi Wokulski (burżuazja) i Rzecki (drobnomieszczaństwo), a mężem będzie Wysocki (proletariat). W dodatku w kościele odbywa się zbiórka pieniędzy na „ochronkę", czyli klasztorny dom opieki dla samotnych matek i sierot, do którego trafi bohaterka pieśni Mitchell i powieści Prusa.

Ten ostatni idzie jednak dalej i stawia przed oczami czytelnika w tej samej przestrzeni kościoła, obok prostytutki, także porzuconą przez męża Stawską z córką oraz ziewającą z nudów Izabelę. Wokulski pomoże finansowo wszystkim trzem, co oznacza, że wszystkie są od niego zależne. Łęcki jest niemal bankrutem, a porzucona przez męża Stawska, mając na utrzymaniu siebie, matkę i córkę, ledwo wiąże koniec z końcem. Gdyby przegrała proces o kradzież lalki, trafiłaby do więzienia, a córka do ochronki. Bez interwencji „dobrego pana Stanisława" mogłaby podzielić los Marty, tytułowej bohaterki powieści Orzeszkowej, która po śmierci męża obsuwa się z poziomu mieszczańskiego komfortu w nędzę i śmierć.

Mimo że realizm XIX-wieczny odegrał kolosalną rolę w ukazywaniu, jak społeczeństwo zarządza życiem kobiet oraz ich potomstwem, niełatwo znaleźć tam opis kobiecego doświadczenia. Rację ma Joni Mitchell: dużo więcej potrafi wyrazić pieśń. Poza tym, nie da się czytać ani pisać książek w pralni, zwłaszcza jeśli nie umie się czytać ani pisać. Kto chce być archeologiem kobiecego doświadczenia, powinien słuchać kobiecych pieśni, a zwłaszcza kołysanek – tych prawdziwych kobiecych *work songs*.

Jak pokazała Beata Stefaniak w pracy o historii kołysanki, wiele z nich nie nadaje się dla dzieci i nie do dzieci jest kierowana. ↦

↦ Zwłaszcza kołysanki ludowe pełne są świadectw kobiecego losu, niemożliwego do wypowiedzenia w sposób jawny. Pod pozorem śpiewania dziecku, nie przerywając pracy, jawnie, lecz w istocie skrycie, kobieta może mówić o sobie rzeczy zakryte hipokryzją i fałszem.

Dziecko leży w kołysce z zapłakanymi oczami,
Matka leży w ziemi z wyciągniętymi nogami.

■■■

Ej uśnijże mi, uśnij, maluśki narodzie,
Bożem cię znalazła w grzędach na ogrodzie;
Ej jakżem cię szukała, takżem se śpiwała,
Jakżem cię znalazła, tom se zapłakała.

■■■

Oj, brzuszku mój, brzuszku,
czemuż tak wysocki,
jużci mię nie chce stać
mój fartuch szerocki.

W tradycji ludowego lamentu kołysankowego należy szukać źródeł wyjątkowego smutku wielu polskich kolęd, tak różnych od rozradowanych *christmas carols*, które są nastrojowo całkowicie nieadekwatne wobec społecznej i psychologicznej sytuacji, w jakiej znalazła się patchworkowa rodzina dopiero co narodzonego Jezusa. I choć dzięki pozamałżeńskiej ciąży Marii powstał Kościół, to właśnie Kościół potępiał przez wieki dziewczęta i kobiety, które powtórzyły jej los.

W dostępie do ich doświadczeń pomaga, jak zwykle, literatura. Mówiona, pisana, śpiewana, przedstawiana – jeśli żyje wśród ludzi wystarczająco długo, staje się mową duchów. Duchy to nasze nieme lub niewypowiedziane historie i przeżycia, które dzięki pieśniom i opowieściom odzywają się po raz pierwszy, mówiąc: „To o mnie".

Mamy dość

Kantatę „Ich habe genug" („Mam dość") napisał Johann Sebastian Bach na święto Oczyszczenia Marii Panny (2 lutego). Treść mówi o Symeonie z Ewangelii Łukasza – starym zmęczonym mężczyźnie, który pragnie śmierci. Nie może jednak umrzeć, dopóki nie ujrzy Mesjasza. Kiedy Maria przynosi niemowlę do świątyni, Symeon rozumie, że spełniło się proroctwo. Szczęśliwy, że wreszcie uwolni się od życia, wypowiada słynne słowa ulgi, które każą z powagą i bez histerii patrzeć na pragnienie śmierci: „Teraz puszczasz sługę twego, Panie! według słowa twego, w pokoju" (Łk 2, 29). Najbardziej liryczny fragment kantaty to kołysankowa aria o pragnieniu śmierci, którą stary mężczyzna śpiewa sobie sam.

Zamknijcie się oczy znękane
I zapadnijcie w błogi sen!
Tutaj w nędzy tylko płaczę
Tam natomiast, tam zobaczę
Pokój, słodycz, szczęście, miłość.

(przeł. Armin i Andrzej Teske)

Niezbyt ufam narcystycznemu lamentowi Symeona (poza wykonaniem Hansa Hottera, które podarowała mi Dorota Kozińska). I Bach chyba też nie był przekonany wyłącznie do wariantu na bas, ponieważ sporządził odmianę tej kantaty na sopran, aby mogła śpiewać ją jego żona. Anna Magdalena była drugą żoną kompozytora, którą poznał niedługo po śmierci pierwszej – Marii. Chyba tworzyli dobre małżeństwo. Napisał dla niej wiele kompozycji, była zawodową śpiewaczką, doskonałą kopistką, dzięki niej dom Bacha stał się centrum muzycznym Lipska. Z Marią miał siedmioro dzieci, z których przeżyło czworo. Anna Magdalena zajęła się dziećmi Marii i urodziła Bachowi kolejne trzynaścioro, z których wcześnie zmarło siedmioro.

Dziesięć dziecięcych śmierci... Jako rodzic nie potrafię pojąć tego doświadczenia, ale myślę, że w jej wykonaniu fraza „*Ich habe genug*" musiała brzmieć przekonująco. „Mam dość" rodzenia martwych lub umierających dzieci; „mam dość" godzenia się, że Jan Sebastian postanowił kształcić tylko synów, a córki nie; „mam dość" lęku, że po śmierci męża można zostać bez środków do życia, bo kto weźmie za żonę dojrzałą wdowę z trójką córek na wydaniu...

Jeśli takie myśli przychodziły Magdalenie do głowy podczas śpiewania kantaty, to wszystkie się spełniły. Po śmierci Bacha synowie opuścili Annę Magdalenę, trzech zrobiło świetne kariery muzyczne, ale z nieznanych powodów nie wspierali matki. Kościół eksmitował ją wraz z trzema córkami z domu, który zajmowali z Bachem przez 30 lat. Zmarła w przytułku i została pochowana w zbiorowym grobie dla biedaków na cmentarzu kościoła św. Jana w Lipsku. Na tym samym cmentarzu od 10 lat leżał jej mąż. W 1894 r. przeniesiono zwłoki Bacha pod posadzkę kościoła św. Tomasza. Jakże przezornie, bo kościół i cmentarz św. Jana zostały zniszczone przez bomby podczas II wojny światowej. Szczątki ciała Anny Magdaleny są już nie do odzyskania. Wystarczy. „*Ich habe genug*".

#BN (bez nich)

Alfred Whitehead twierdził, że cała filozofia to przypisy do Platona. Idąc śladem tej metafory, można uznać, że literatura powstała po upadku starożytnego Rzymu, to przypisy do Biblii. Nie tylko w niepoliczonych nawiązaniach i przetworzeniach tematycznych, ale w generalnej idei, na której spoczywa Biblia. A jest nią opowieść o niekończących się próbach odbudowania zerwanej łączności z Bogiem. Roland Barthes uważał, że większość opowieści Zachodu ma jeden wspólny temat, czyli poszukiwanie ojca. Nie tyle ojca osobowego, ile ojca jako figury prawdy, sensu, źródła, tożsamości. Wydaje się, że to przesadna generalizacja, a jednak czego się tkniemy – czy to będzie „Odyseja", „Czerwony Kapturek" , „Wojna polsko-ruska", „Podróż ludzi Księgi" – wychodzi na jego.

Chrześcijaństwo radykalizuje to osierocenie, czyniąc je po Zmartwychwstaniu właściwym stanem ludzkiej kondycji. Jezus od wspomnianej sceny w świątyni kwestionuje ludzkie iluzje, że rodzina, plemię, naród, rytuały religijne dadzą nam dostęp do prawdy, bezpieczeństwo, spokój ducha, poczucie ostatecznego sensu. „»Niewiasto, oto syn Twój«. Następnie rzekł do ucznia: »Oto Matka twoja«" (J 19, 26-27) – mówi Jezus w ostatnich chwilach życia. A po jego śmierci dwaj aniołowie przypominają: „Nie ma Go tutaj" (Łk 24, 6). I to jest najważniejsza lekcja egzystencjalna, jaką dostaje chrześcijanin. Pierwsza słyszy ją Maria Magdalena, kiedy z dwiema towarzyszkami odkrywa pusty grób Jezusa.

Skoro tak, skoro nie ma ojca, a raczej był, ale zniknął, chrześcijaństwo ma zająć się sierotami po boskim ojcu i traktować ludzkość jako jedną wielką rodzinę zastępczą. Ernest Renan w ateistycznej i zakochanej w Jezusie jego biografii pisał, że ten „nie cenił związków krwi. Za »bliskich« uważał tylko ludzi jednej z nim myśli. (...) Niebawem obaczymy, że zbuntuje się jeszcze bardziej i podepcze wszystko, co człowiek zwykł cenić, pokrewieństwo, miłość, ojczyznę, a całą duszę i całe serce swoje zwróci wyłącznie ku idei, która według niego była objawem bezwzględnej prawdy i bezwzględnego dobra" (przeł. Andrzej Niemojewski). Dzięki temu porzuceniu przez Jezusa rodziny i narodu chrześcijaństwo zmieniło się z żydowskiej herezji w religię powszechną.

Chrześcijaństwo ma zająć się sierotami po boskim ojcu i traktować ludzkość jako jedną wielką rodzinę zastępczą.

Istnieje stara teoria spiskowa, która mówi, że chrześcijaństwo to broń wymyślona przez Żydów, aby zniszczyć Rzym. Skoro ten cel się powiódł, czas wymyśleć nową. Wyobrażam sobie oto, że chrześcijaństwo jest dziełem Marii, która przechwyciła i sprywatyzowała żydowską opowieść o Mesjaszu, aby uchronić siebie i nieślubne dziecko przed pralnią Magdaleny. Udało jej się, choć na krótko. Kobietę i dziecko szybko przejęli starzy, wpływowi mężczyźni. W przeciwieństwie do Marii i Józefa, którzy „nie zrozumieli słowa, które im mówił" – tak wrogowie Jezusa, jak i ojcowie założyciele Kościoła pojęli doskonale ducha wolności i buntu, jakim tchną słowa i czyny Jezusa. Żywego ukrzyżowali, a z martwego i z matki zrobili władców feudalnych; ukoronowali ich i uczynili boskimi strażnikami swoich praw.

Polska jest jednym z ostatnich państw Zachodu, w którym odbywa się właśnie stopniowe, pokojowe obalanie feudalnego państwa kościelnego. Byłoby historyczną głupotą, porównywalną do polexitu, gdybyśmy pozwolili upadającemu Kościołowi pociągnąć za sobą młodziutką dziewczynę w ciąży i jej boskiego, buntowniczego syna. Coś mi jednak mówi, że umkną katastrofie, zostawiając nam „złote, ale skromne" rekwizyty i puste kościoły. A może jest nadzieja i nadchodzi pora, kiedy jakaś mądra kobieta odnowi chrześcijaństwo. Tym razem niech starannie przemyśli – a my razem z nią – słowa, które próbuje przekazać jej krnąbrny syn i jego zbuntowani naśladowcy i naśladowczynie. Jest na to dobry czas.

© RYSZARD KOZIOŁEK

PROF. RYSZARD KOZIOŁEK *jest rektorem Uniwersytetu Śląskiego, laureatem Nagrody Literackiej Gdynia za esej „Ciała Sienkiewicza". Ostatnio opublikował „Wiele tytułów", stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".*

REKLAMA

FSD
FUNDACJA SZCZĘŚLIWEJ DROGI
Tu zachwycamy się każdym dzieckiem

www.szczesliwejdrogi.org
nr konta: 73 1140 2004 0000 3402 7596 4920

Jaka ty tu jesteś piękna

JUSTYNA DĄBROWSKA:

Wiele kobiet ma przekonanie, że ich łono jest gdzieś bardzo daleko. Że to jest jakby nie ich, że ktoś inny tym zawiaduje. A to jest takie odkrycie: powiedzieć sobie, że to jestem ja.

MICHAŁ OKOŃSKI: Bardzo mi zależy na stworzeniu bezpiecznej przestrzeni do tej rozmowy.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Ja się czuję bezpiecznie. Dlaczego potrzebujesz to podkreślić?

Kończący się rok pokazał, że rozmowom o kobiecym łonie brakuje poczucia bezpieczeństwa.

Bo w naszym świecie łono nie jest bezpieczne. Niektóre zagrożenia są kulturowe, a niektóre wiążą się z emocjami, które wywołuje kobieca seksualność.

W mężczyznach?

W kobietach także. Mówiąc obrazowo: łono i wagina to najdelikatniejsze miejsca w ciele kobiety, a w związku z tym także w jej umyśle. Miejsca, które łatwo zranić. I które mogą być wielokrotnie ranione, od samego początku.

Kiedy dziewczynka się rozwija, staje się dziewczyną, a potem kobietą, to na przestrzeni wszystkich tych lat może być zmuszona do przejścia przez wiele urażających ją doświadczeń. To się zaczyna już w okresie, kiedy jest pielęgnowana jako noworodek, i kiedy jej intymne miejsca nie są zaopiekowane z wystarczającą delikatnością.

Gdy ta hipotetyczna dziewczynka jest w wieku przedszkolnym, może zacząć się masturbować. Trzeba pamiętać, że dla dziecka to normalny fizjologiczny czas, kiedy ono – trochę z ciekawości, a trochę żeby rozładować napięcie, którego w tym okresie życia jest sporo – zaczyna się dotykać, sprawdzać, co jest przyjemne, a co nie. Co wtedy słyszy? Że to jest brzydkie i złe. Że nie wolno. Często słyszy nawet, że ma tam „drugą pupę". A sama nie bardzo wie, trudno jej się tam zobaczyć. Chłopcy w tym wieku z wielką wprawą pokazują sobie siusiaki, dziewczynka musi uwierzyć innym, jaka jest. Na słowo.

Zobacz: to jest sam początek tej historii.

Mija parę lat i ta dziewczynka ma pierwszą miesiączkę.

I znów: często styka się z komunikatem – niekoniecznie wypowiedzianym wprost – że jest nieczysta. Dziewczyny wciąż opowiadają, że pierwsze krwawienie je przestraszyło. Że nie wiedziały, do kogo z tym pójść. Że szukały w ukryciu wiadomości w internecie. Dopiero teraz zaczynamy mówić o tym, że dobrze byłoby, aby podpaski i tampony mogły być dostępne w szkolnej łazience, najlepiej nieodpłatnie.

Tak trudno mi znaleźć dobre słowa do tej rozmowy... Unosi się nad nią to okropne słowo „srom" i faktycznie: jest wokół tematu łona dużo wstydu. Także tego, który wiąże się z podjęciem życia seksualnego. Wciąż niełatwo znaleźć kogoś bliskiego do rozmowy o tym, jak się przygotować do decyzji w tej sprawie – bo to przecież jest decyzja.

Czy to są oczywistości?

Może w gabinecie terapeutycznym tak, ale mam wrażenie, że w przestrzeni medialnej pojawiają się rzadko.

Bo kobieta rozpoczyna życie seksualne inaczej niż mężczyzna. Przeważnie ma błonę dziewiczą, która zostaje w trakcie tego aktu naruszona. W większości przypadków to się wiąże z bólem. To naprawdę wymaga jakiegoś przygotowania. Mężczyzna podczas inicjacji może doświadczać napięcia, dezorientacji, niepewności, ale bólu na ogół nie doświadcza.

I teraz pytanie: skąd ta dziewczynka, dziewczyna czy kobieta ma czerpać spokój? Jak się ma na to wszystko otworzyć? Jak ma siebie poznać, dowiedzieć się, czego pragnie?

I jakich słów użyć.

Na kobiecych grupach dużo mówi się o braku języka adekwatnego do opisu tej nad wyraz delikatnej sfery. Pamiętasz obrazy Georgii O'Keeffe? Jak by to było pięknie, gdybyśmy mogły siebie widzieć poprzez tamte obrazy. Tymczasem kobiety często mówią o obrzydzeniu do swojej waginy, łona.

To jest takie smutne.

No a jak kobieta ma wydać na świat dziecko? Tutaj słowo „otworzyć" nie jest już metaforyczne: ona naprawdę się otwiera w trakcie porodu, i to mimo że jest w bólu (skurcze bolą, nie ma się co oszukiwać). Trudno mi sobie wyobrazić sytuację większej podatności na zranienie. A z czym ona się może wówczas spotkać?

WESTEND61 GMBH / ALAMY / BEW

Z brakiem delikatności? Z obcesowością i przedmiotowym traktowaniem? Z przemocą?

Tak. Z przemocą.

Wiesz, że towarzyszę kobietom w okresie okołoporodowym. Wszystko się zaczęło od doświadczeń osobistych, bo mój pierwszy poród był bardzo trudny i obie z córką o mało nie umarłyśmy. Pewnie dlatego tak ważne stało się dla mnie, żeby spróbować ochronić jak najwięcej kobiet np. od tego, żeby nie były rutynowo nacinane w porodzie. Bo kobiety w Polsce były i nadal są rutynowo nacinane w najdelikatniejszym miejscu swojego ciała, za pomocą nożyczek, przy pierwszym porodzie, 80 proc. z nich! A np. w Nowej Zelandii 11 proc.

Od lat próbuję walczyć o zmianę tej sytuacji. I od lat słyszę, że jestem nawiedzona. A przecież to się wydaje zupełnie podstawowe: że trzeba włożyć cały wysiłek w ochronę tego miejsca. Miejsca, które tak poza wszystkim – a raczej w pierwszym rzędzie – jest źródłem przyjemności, podmiotowości i żywiołowej siły kobiety.

Chciałem o to zapytać.

Ale najpierw chciałam dokończyć, że ta sytuacja nie jest niczym wyjątkowym i nie dotyczy tylko Polski. Na całym świecie łono jest okaleczane i ranione. Więc pewnie chodzi o coś więcej.

O co?

Zastanawiam się nad tym od dawna. Odpowiedź, która przekonuje mnie najbardziej, mówi, że chodzi o dyscyplinowanie kobiet.

Przez mężczyzn?

Przez inne kobiety także. Nie tylko ginekolodzy potrafią burknąć: „Dlaczego się pani nie ogoliła?” albo „A co to, pani jeszcze jest dziewicą? Na co pani czeka?”. Robią to także ginekolożki, być może odtwarzając i próbując w ten sposób uwolnić się od swoich dawnych traum. Ale są kraje, w których dziewczynkom wycina się łechtaczki, czasami też wargi mniejsze, zaszywa się je. Aż mi trudno o tym wszystkim mówić na głos.

Skąd ta potrzeba dyscyplinowania? ↦

↦ Myślę, że to reakcja na lęk, który kobieca seksualność budzi w mężczyźnie. Bo jest w kobiecej seksualności ogromna siła. Po pierwsze, wiąże się ona z mocą dawania i odbierania życia. Po drugie, wpływa na mężczyznę w taki sposób, że jego odpowiedź jest widzialna.

Rozumiem, że mówimy o erekcji.

Tak. Reakcja kobiety nie jest aż tak widoczna jak erekcja (choć owszem: partner znający dobrze swoją partnerkę wie, jak ona reaguje). Mamy więc do czynienia z sytuacją, w której kobieta panuje nad mężczyzną. Wpływa na niego. Ale do tego dochodzi chyba coś jeszcze: sposób, w jaki kobieta przeżywa przyjemność seksualną, jest o wiele bardziej złożony niż przyjemność męska. Wiem, że spłycam, bo mężczyzna też może przeżywać przyjemność w wielu wymiarach, emocjonalnie, duchowo i fizjologicznie, niemniej to kobieta jest w stanie osiągnąć orgazm nie tylko w wyniku pobudzania łechtaczki, pochwy czy piersi. Wygląda na to, że jej seksualność jest o wiele bardziej różnorodna. To może budzić jakiś rodzaj zawiści, prawda?

Mężczyźni, o ile wiem, z trudem rozmawiają o kobietach na głębokim poziomie. Ale wydaje mi się, że kiedy już zdobywają się na szczerość, mówią o lęku. I o złości, np. za bycie odrzuconym.

No bo jak mężczyzna przychodzi do kobiety jedynie z pożądaniem, to może usłyszeć, że ona nie jest zainteresowana. Naprawdę może.

Wiesz, łapię się na tym, że mam potrzebę mówienia o tym, co przeżywają mężczyźni. Kiedy opowiadałaś o dziewczynkach, które się karci i zawstydza, jeśli próbują się dotykać, myślałem, że chłopców spotyka to samo. Spróbuję tego nie robić: poprosiłem Cię o rozmowę o łonie, żeby posłuchać kobiety.

Ale ja też nie chcę twierdzić, że ktoś ma łatwiej, a ktoś trudniej. I to nie jest tak, że mówimy o całkiem odrębnych światach. Kiedy mężczyzna kładzie noworodka na piersi, kiedy bierze go do chusty, w jego organizmie także pojawia się oksytocyna, o której kiedyś myślano, że jest tylko żeńskim hormonem. W każdym mężczyźnie jest też część kobieca, wynikająca z uwewnętrznionej relacji z matką, w której to on był zaopiekowany. Wiem, że niektórzy mężczyźni boją się kontaktu z tą swoją wrażliwą częścią, bo boją się, że wydadzą się wtedy słabi, zależni. A przecież mogą działać sprawnie i zadaniowo, a jednocześnie uruchamiać swoją stronę opiekuńczo-oksytocynową. Zwłaszcza że oksytocyna znosi agresję.

No więc na razie dość o mężczyznach.

Przypomniało mi się, jak przed laty rozmawiałam z holenderską położną Beatrijs Smulders, która przyjęła porody ok. 5 tysięcy dzieci (lubię mówić: „przyjęła", nie „odebrała"), w większości w domu, bo w Holandii porody domowe są na porządku dziennym. Piękna, mocna kobieta, którą pytałam, jak pracuje. Odpowiadała: „No wiesz, dzwonię, słyszę po głosie, na którym ona jest centymetrze rozwarcia, i jak słyszę, że na siódmym, to jadę".

Wspaniałe.

Tak. W tym jest ogromne zaufanie do kobiety. A porody w Holandii należą do najbezpieczniejszych.

Ale Beatrijs mówiła też: „Wiesz, kiedy widzę, jak kobieta w trakcie porodu się otwiera, to mogę z dużą dozą pewności powiedzieć, jakie ona ma życie seksualne". To wtedy było dla mnie wielkie odkrycie, a dziś już sama widzę, jak bardzo to jest powiązane. Przy czym nie chodzi tylko o to, że i tu, i tu w grze są te same hormony: orgazmowi i porodowi towarzyszą endorfiny i oksytocyna. Chodzi też o to, że kobieta schodzi swoim umysłem w dół, do miednicy, nie boi się tego, co się tam dzieje, tego falowania, pulsowania. Że jest w stanie z tą częścią swojego ciała współgrać. Zobacz, ona w porodzie otwiera się mimo bólu, który zwykle powoduje przecież, że człowiek się zamyka i kurczy.

W seksie też chodzi o otwarcie.

No a w Polsce wiele kobiet ma problem z tym, żeby się seksualnie otworzyć.

Bo trudno im o zaufanie do partnera?

Zacząłeś od tego rozmowę: bo się nie czują bezpiecznie. Bo blokuje je wstyd. Bo trudno im tam siebie poczuć. Bo skoro nigdy się nie dotykały, to mogą nie wiedzieć, co sprawia im przyjemność. Przyczyn jest wiele.

Prowadziłam kiedyś zajęcia z wychowania seksualnego w liceach. Pamiętam, jak dziewczyny pytały mnie o różne sprawy na karteczkach, bo nie miały odwagi zapytać publicznie. Pamiętam, jakie poruszenie towarzyszyło mojej sugestii, że mogą zobaczyć, jak wyglądają ich waginy. Z kolei kiedy prowadziłam zajęcia w szkole rodzenia, opowiadałam, jakim przeżyciem może być dla kobiety dotknięcie wychodzącej już na świat główki. Naprawdę, wiele kobiet ma przekonanie, że ich łono jest gdzieś bardzo daleko. Że to jest jakby nie ich, że ktoś inny tym zawiaduje. One czasem mówią: „W drugim porodzie wyciągnęłam rękę, dotknęłam siebie tam i dotknęłam włosów na jego główce". To jest takie odkrycie: powiedzieć sobie, że to jestem ja.

Są kobiety, które przeszły już chyba drogę do tego odkrycia. Czytałem o spotkaniach przygotowujących dziewczynki do menstruacji i celebrujących z nimi to wydarzenie, o warsztatach poświęconych odkrywaniu własnej seksualności czy świadomości własnego łona. Zobaczyłem, że można swoją kobiecość świętować i także w ten sposób zmieniać opresyjny świat.

Tak, świat się zmienia. Ale to poczucie niezintegrowania – postawa, że ja to przede wszystkim moja głowa, a łono już nie – może się brać także z tego, że doszło do naruszenia. Moje łono jest nie moje, bo stało się obiektem przemocy. Powiedziałam, że świat się zmienia, również z nadzieją, że dziś dziewczynki są lepiej chronione przed niechcianym dotykiem. Ale oboje wiemy, że wobec bardzo wielu dziewczynek, dziewczyn i kobiet przekroczono granice.

To było uderzające w trakcie akcji #MeToo: zobaczyć, że prawie każda ze znajomych kobiet mówiła, że tak, ona też. Ile z nich opowiadało wtedy o wspomnieniach niechcianych czy wypartych po to, żeby się dało dalej żyć. Podobnie było przy tegorocznych protestach: ile świadectw się pojawiło o ciążach obumarłych, o poronieniach czy aborcjach z powodu wad letalnych.

Otworzyła się przestrzeń rozmowy na ten temat, ale otworzyła się też przestrzeń gniewu. To również warto powiedzieć: dół brzucha jest siedliskiem siły. Kobieta, która ma połączenie ze swoim łonem, ma lepszy dostęp do swojego gniewu.

Hindusi mówią o czakrach: ośrodkach energetycznych w ciele. Tam, w dole brzucha, umiejscawiają czakrę odpowiedzialną za seksualność, emocje i twórczość.

Wystarczy wyobrazić sobie, jak niezwykłą siłę mają mięśnie macicy. Jak bardzo potrafią się rozciągnąć, żeby pomieścić w sobie dwóch lub nawet więcej małych ludzi, a potem ich wypchnąć siłą swoich skurczów. Jaka to jest moc!

Joan Raphael-Leff, psychoterapeutka zajmująca się porodami i moja nauczycielka, mówi, że macica to *power house*. Tłumaczy, że łono kobiety ciężarnej to prawdziwa fabryka, w której dzieje się mnóstwo rzeczy i dzięki której zyskuje się nową tożsamość. I że jeszcze jedna rzecz się w tym miejscu dokonuje: wymiana.

Bo widzisz, to nieprawda, że tam jest jak w raju, a ciąża jest czasem „jedni" czy idealnej symbiozy. Wydaje mi się, że stwarzanie takiego obrazu niepotrzebnie obciąża kobiety, zmagające się potem z poczuciem, że dziecko ten raj utraciło, i daremnie próbujące zamienić macierzyństwo w równie idealny ciąg dalszy. Otóż to nie jest raj. Tam, w środku, znajduje się jakiś przybysz, dla niektórych kolonizator, dla innych „alien". Ktoś genetycznie w połowie obcy, ktoś, z kim trzeba się nauczyć żyć – jak z gościem w domu. Kobieta dostarcza dziecku to, co niezbędne do rozwoju i wzrostu, ono oddaje jej produkty przemiany materii, z którymi ona musi sobie poradzić. Ono by chciało więcej ruchu, a ona by chciała się położyć...

Zwykle mówi się nam, że ciąża jest źródłem radości.

Jest źródłem wielu różnych uczuć, i radość też tam często jest. Ciąża może również dawać poczucie kreatywności: oto moje ciało jest w stanie stworzyć coś nowego, dobrego! Tutaj dotykamy zresztą kolejnej nieprawdy: o tym, że ciąża to stan bierny. Najpopularniejsza książka na jej temat nosi tytuł „W oczekiwaniu", a to nie jest żadne oczekiwanie, tylko nieustanna transformacja. I ciała, i umysłu.

To słowo „bierność" wiąże się z jednym z najbardziej krzywdzących stereotypów opisujących spotkanie kobiety i mężczyzny.

Tak, mówienie, że ona jest bierna, a on aktywny. I że ona ma w tej bierności pozostać. Myślę, że okaleczanie kobiet to też jeden ze sposobów na utrzymanie tej sytuacji. Masz być pasywna, masz być „w oczekiwaniu", masz go „przyjąć", i jeszcze masz cierpieć.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

JUSTYNA DĄBROWSKA jest psychoterapeutką, specjalizującą się w pomocy okołoporodowej. Założycielka i wieloletnia redaktorka naczelna miesięcznika „Dziecko". Autorka książki „Matka młodej matki" oraz kilku zbiorów rozmów – wiele z nich miało swoje pierwodruki w „Tygodniku Powszechnym, z którym stale współpracuje.

To jest męska opowieść? Mężczyźni ją narzucili?

Nie wiem, kto ją narzucił.

Olga Tokarczuk napisała w trakcie tegorocznych protestów: „Obsesyjna nienawiść do kobiet, do ich ciała, kompulsywna potrzeba kontroli seksualności i rozrodczości bierze się z przeczuwanej własnej słabości. Patriarchat to kolos na glinianych nogach".

Znów wracamy do początku rozmowy: kobieta w Polsce, i nie tylko w Polsce, ma prawo nie czuć się bezpiecznie. Z badań instytutu Open Democracy wynika, że kiedy zaczęła się pandemia, w całej Europie na porodówkach i na oddziałach neonatologicznych właściwie zawieszono prawa człowieka. Wszystko, co przez lata wywalczyłyśmy, okazało się niezwykle kruche. Jak łatwo można było powiedzieć: „Nie, nie może pani rodzić z partnerem ani z doulą", „nie, nie może pani rodzić aktywnie", „nie, nie będzie kontaktu skóra do skóry", „nie, nie będzie pani razem z dzieckiem na tej samej sali". Jeżeli kobieta miała pozytywny wynik testu na koronawirusa, dziecko tuż po porodzie natychmiast zabierano. Wyobrażasz to sobie? Z naszą wiedzą o teorii przywiązania?

Żeby tego uniknąć, trzeba było przyjść do porodu z oświadczeniem napisanym przez prawnika o niezgodzie na izolację od dziecka. Przecież to się nie mieści w głowie: kobieta w porodzie oddala się, jak mówił Michel Odent, „na inną planetę". Żeby wydać dziecko na świat, nie powinna za wiele myśleć, tylko raczej podłączyć się do swojej seksualności, a tymczasem musi stać się wojowniczką, świadomą prawnych niuansów i zaopatrzoną w odpowiednie dokumenty.

Czy są w świecie miejsca, w których kobieta może się czuć bezpieczna? Widzisz coś, do czego można się odwołać podczas kruszenia kultury patriarchatu? Jakąś tradycję? Mit?

Wiesz, myślę o tej Holandii. Albo o Danii czy Szwecji, gdzie kobiety cieszą się większą autonomią – co możemy poznać także po tym, że położne mają silniejszą pozycję przy porodzie. Tam panuje przekonanie, że kobieta wie, co robi, a nie – jak w Polsce – że nie można jej zaufać.

To kraje, w których łatwiej o równość, tak?

Tak. Ale dlatego, że ta równość została wywalczona – co wydaje mi się ważne, bo równości nie dostaje się w prezencie. Trzeba ją sobie wywalczyć i, jak widać, nawet wywalczona pozostaje krucha.

Kiedy zastanawiałam się nad źródłami przemocy w szpitalach położniczych, to przeczytałam wspaniałą książkę Adrienne Rich „Zrodzone z kobiety". Autorka opisuje proces odbierania kobiecie podmiotowości. Dopóki porody przyjmowały akuszerki, a wiedza była przekazywana z pokolenia na pokolenie w kręgach kobiet, przemocy w obszarze okołoporodowym było mniej.

Ale akuszerki również budziły mnóstwo niepokoju. Posądzano je o czary. W końcu poród został przejęty przez chirurgów i zmedykalizowany. Zaczęły się gorączki połogowe, na które umierały całe oddziały szpitalne. Zaczęto kobiety kłaść do porodu, znowu: zmuszono je do przyjęcia biernej pozycji. Czasem usypiano chloroformem. Wynaleziono kleszcze. No i zaczęto je nacinać, bo żeby użyć kleszczy, trzeba kobietę naciąć.

Wydawałoby się, że mówisz o porodzie, a tak naprawdę mówisz o czymś znacznie większym i szerszym.

Bo to jest symboliczna sytuacja. Dziecko wyjmowane z kobiety. Nie kobieta, która rodzi. Kreatywna i sprawcza: w swoim porodzie, w seksie, w życiu. ↦

Czy można myśleć i czuć łonem, tak jak się myśli i czuje sercem?

Są kobiety, które potrafią się podłączyć do tej siły. Ale wiem, że są też takie, dla których to jest bardzo trudne.

To kwestia nadużyć, które je spotkały?

Także relacji z matką. Ten błysk zachwytu w oczach matki, kiedy widzi, jak jej córka rośnie, jest bardzo potrzebny. Również błysk zachwytu w oczach ojca, którego nie wystrasza fakt, że kobiecość córki rozkwita. Te historie też się często słyszy: o ojcu, który wycofuje swoją miłość, kiedy córka zaczyna dojrzewać, być może przestraszony swoimi reakcjami. Kiedy ojciec i matka się nami zachwycają, łatwiej nam o zachwyt samymi sobą.

Doule i położne opowiadają, jak istotne są słowa, które czasem mówią kobiecie: „Ach, jaka ty jesteś tu piękna". „Ach, jak ty wspaniale sobie radzisz". Kobiety to zapamiętują. I opowiadają potem, długo po porodzie, że to było dla nich jak światło w tunelu. Potrafią te słowa pamiętać do końca życia.

Może akurat to mężczyzna powinien w tym momencie powiedzieć. Że oprócz całego splotu emocji, które odczuwa na myśl o kobiecym łonie: fascynacji, lęku, pożądania czy pragnienia, on odczuwa też zachwyt.

Dobrze, by to mówił. Bardzo istotne jest, na ile on jest delikatny, uważny, kiedy prowadzą miłosny dialog. A poznawanie siebie i swojego ciała jest procesem, który trwa całe życie. Pytanie, jaka ja jestem i co lubię, warto sobie zadawać często, bo odpowiedzi mogą się zmieniać.

Ale to otwiera też temat, jaki mamy stosunek do naszych ciał w dzisiejszym świecie. Że trudno o ten zachwyt w związku z narzucanymi nam wymogami. Że mamy być wygładzone, wygolone. Że mamy nie mieć żadnych wydzielin. Że miesiączki w reklamach mają fiołkowy kolor.

„Sorry, ale cała ta kobiecość to śluz, krew i nic prostego, więc witajcie w naszym świecie. Albo wybieracie rzeczywistość, albo ideologię" – napisała Zuza Radzik, niby do biskupów, ale wygląda na to, że nie tylko.

Dobrze napisała. Wstyd, o którym mówiliśmy, jest pochodną języka, z którym dziewczynki stykają się na lekcjach religii i który słyszą na mszy czy podczas spowiedzi. Trudno uwierzyć, ale w XXI wieku wiele kobiet słyszy od księdza, że „to" jest miejsce zakazane, siedlisko grzechu.

Bo przecież ta krew i śluz są święte. Albo prościej: godne szacunku.

Ale jak często są uznawane za nieczyste?

Wiesz, cała nasza rozmowa jest o tym, ile wysiłku trzeba włożyć w odzyskanie siebie. Żeby móc po prostu być, mieć przyjemność. A potem jeszcze, żeby siebie ochronić. Bo sama dobra relacja z sobą nie wystarczy, jak widzisz: trzeba być jeszcze wojowniczką.

Dół brzucha jest siedliskiem przyjemności, podmiotowości i żywiołowej siły. Kobieta, która ma połączenie ze swoim łonem, **ma też lepszy dostęp do swojego gniewu.**

Załóżmy zresztą: jest kobieta, która ma świetną relację ze swoim ciałem, zna swoje orgazmy i idzie do porodu z zaufaniem, że urodzi bez problemu. To jest ryzykowne.

Powiedziałabym jej: zabezpiecz się. Jeśli nie rodzisz w domu, zadbaj, by ktoś poszedł z tobą. Miej przy sobie oświadczenie, że nie życzysz sobie izolacji od dziecka. Sprawdź, czy dadzą ci znieczulenie, jeśli będziesz tego potrzebować. Domagaj się, by twoje łono było chronione. Mieliśmy kiedyś taką akcję w miesięczniku „Dziecko": „Nie daj się naciąć".

Bycie wojowniczką bierze się właśnie z siły łona?

Tak. Myślę, że można powiedzieć kobiecie, że tam jest źródło jej mocy. Takiej, której nie da się skontrolować, mimo wszelkich prób.

I ta moc nie ustaje w czasie menopauzy, prawda? Także ona może być trudnym doświadczeniem, ale widywałem uśmiech kobiet, które przeszły ten próg i wydawało się, że zyskały jeszcze więcej mądrości i wolności.

Jak najbardziej! Kobieta w menopauzie, czy też po niej, może poczuć się wyzwolona. Wraz z dojrzałością przybywa szczerości, a także – paradoksalnie – odwagi. Kobiety dojrzałe mówią często, że dopiero teraz wiedzą, czego im potrzeba, mniej się przejmują konwenansem. Prof. Teresa Hołówka, zapytana o swoją najszczęśliwszą chwilę, opowiadała mi, jak w swoje 73. urodziny pojechała rowerem do lasu, rozebrała się i naga pływała w jeziorze, a potem wysychała na słońcu, na trawie. Piękny, zmysłowy obraz.

Wiesz, dla mnie to wszystko jest także o mówieniu przez kobietę „tak" albo „nie". Albo „inaczej". Albo „jeszcze". Ale przede wszystkim „tak" albo „nie".

W sensie, że to ona ostatecznie decyduje?

Tak. I ma do tego prawo. W tym jest wszystko, o czym mówimy. Decyzja o daniu życia. Zgoda na seks i definicja gwałtu, która ostatnio w Polsce wzbudziła kontrowersje.

Tak. I to, że sprawa zgody na seks wzbudza takie emocje, to też jeden z powodów, dla których kobiety w Polsce nie czują się bezpiecznie. Bo to do nich musi należeć ostatnie słowo. Także w kwestii, czy zatrzymają w sobie życie, czy nie. Świadomie, intencjonalnie, ale też na nieświadomym poziomie. Przecież macica sama może się pozbyć zagnieżdżonego już zarodka.

Skoro ta rozmowa jest na Boże Narodzenie, to powiem jeszcze i to: w centrum historii, którą wspominamy 24 grudnia, jest kobieta, która mówi „tak". Ona mogła powiedzieć „nie", nawet jeśli pytającym był wysłannik Boga.

Tak, to jest symboliczne. Niestety, tego właśnie mężczyźni się boją: że decyzja naprawdę należy do kobiety. Warto, żeby przestali się bać. W końcu oni też przyszli z łona.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Kup na przekroj.pl

PRZEKRÓJ

nr 1 (3572)/21 19,90 zł (w tym VAT 8%)

– Hej! – powiedział Ryjek. – Odkryłem ciekawą ścieżkę. Wygląda niebezpiecznie.
– Jak niebezpiecznie? – spytał Muminek.
– Powiedziałbym, że niezwykle niebezpiecznie – odparł poważnie mały zwierzaczek.

Tove Jansson, *Kometa nad Doliną Muminków*

zdjęcie: Weronika Izdebska

© Moomin Characters TM

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRÓJ

GRUDZIEŃ 2020 – MARZEC 2021
INDEKS 371424
ISSN 0033-2488
9 770033 248007 12

Nogawice świętego Józefa

MAGDALENA ŁANUSZKA

Średniowieczna sztuka z opiekuna Zbawiciela robiła pantoflarza, nieudolnego ojca, niedołężnego starca, a nawet seksualnego frustrata i głupca. Dlaczego?

Ze wszystkich świętych katolickich / najbardziej lubię Józefa / bo to nie był żaden masochista / ani inny zboczeniec / tylko fachowiec" – pisał Andrzej Bursa. To fakt: z opiekunem Mesjasza nie wiążą się makabryczne opowieści o męczeństwie, nie przypisywano mu też cudów nie z tej ziemi. Jednocześnie jednak średniowieczna literatura i sztuka pokazują go jako postać wyjątkowo pełną sprzeczności.

Problemy wychowawcze

Józef, inaczej niż Maria, nie pojawia się w ewangelicznych przekazach o publicznej działalności Jezusa – co interpretowano tak, że opiekun Zbawiciela zmarł, gdy Chrystus był jeszcze młody. Ewangelie w ogóle mało mówią o Józefie, głównie dlatego, że właściwie przemilczają dzieciństwo Mesjasza (wyjąwszy odnalezienie dwunastoletniego Jezusa w świątyni, opisane przez św. Łukasza). Oczywiście w tej sytuacji luki uzupełniły apokryfy – zwłaszcza Ewangelia Dzieciństwa, zwana też Ewangelią Tomasza. Niestety, Józef w ojcowskiej roli nie jawi się tu zbyt pozytywnie.

W Ewangelii Dzieciństwa kilkakrotnie powraca motyw, że ktokolwiek sprzeciwił się małemu Jezusowi, padał martwy. Źle skończyło się nawet wysłanie Jezusa do szkoły, a Józef ewidentnie nie umiał sobie poradzić z wychowaniem przybranego syna: „Nauczyciel rozgniewał się, uderzył go i natychmiast padł martwy. Jezus powrócił do swoich rodziców. I Józef zawoławszy jego matkę, nakazał jej, by nie pozwalała mu wychodzić z domu, aby ci, co go uderzą, nie umierali" (ten i kolejne cytaty z apokryfów w przekładzie ks. Marka Starowieyskiego).

Wydawać by się mogło, że Jezus nie powinien być opisywany jako dziecko trudne czy też krnąbrne – a jednak wczesnochrześcijańskie apokryfy oraz bazujące na nich późniejsze legendy średniowieczne przedstawiały go jako chłopca wchodzącego w konflikty ze swymi rodzicami. Jego wykraczająca poza wiek mądrość sprawiała, że nie był on pokorny i posłuszny, nie dawał się uczyć (i pouczać), nie dostosowywał się do oczekiwań otaczających go dorosłych. Jednocześnie miał „magiczne" moce, pozwalające mu na takie wybryki jak zamiana innych dzieci w świnie.

Również apokryficzna Ewangelia Pseudo-Mateusza, powstała w VI wieku, przedstawia Józefa jako człowieka, któremu brakuje mądrości i odwagi; w obliczu wyzwań chce uciec, brak mu pewności siebie. Średniowieczna legenda „Liber de Infantia Salvatoris" łączyła fragmenty Ewangelii Pseudo-Mateusza i Ewangelii Dzieciństwa Tomasza. Na podstawie tej łacińskiej legendy powstawały z kolei teksty w językach narodowych. W wielu z nich Józef nie daje sobie rady z dyscyplinowaniem Jezusa i zwraca się do Marii, aby przejęła jego rolę. Jak zauważają badacze, w owych tekstach relacja między Jezusem a Marią przypomina relację księcia (czy też młodego króla) z królową matką; Józef zaś jest postrzegany przez Jezusa nie jako jego opiekun, lecz jako małżonek matki, niemający nic do powiedzenia w kwestii jego wychowania. Właściwie Józef w wielu z tych źródeł boi się Jezusa: nie chce go zdenerwować z obawy, że Mesjasz użyje swych sił przeciwko niemu.

Oczywiście, elementy te miały w założeniu podkreślać boskość Jezusa – ale efekt okazuje się nieco odmienny od zamierzonego. Jednocześnie jednak tego typu opowieści mogły cieszyć się popularnością wśród średniowiecznych odbiorców, bo pozwalały im się utożsamiać z Matką Boską i św. Józefem: po prostu pocieszające było, że nawet oni mieli problemy wychowawcze ze swoim świętym synem.

Józef z wiertłem i pułapką na myszy. Część środkowa i prawe skrzydło Tryptyku Mérode, ok. 1427–1432 r., Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku

DOMENA PUBLICZNA

Było mu dane tulić Mesjasza

Z drugiej strony, pisma późnośredniowiecznych teologów i mistyków kreują zupełnie inny obraz św. Józefa, a także Jezusa w wieku dziecięcym. XIV-wieczne „Medytacje o życiu Chrystusa" wspominają, jak Jezus pomagał matce nosić wodę ze studni. Szerzej opowiedział o tym św. Wincenty Ferreriusz w jednym ze swych kazań: Jezus postanowił przynieść wodę ze studni, choć jego rodzice sami chcieli po nią iść; on jednak podkreślił, że chce służyć swym rodzicom po to, aby dać dobry przykład innym dzieciom.

O tym, że Jezus był cierpliwym i pracowitym dzieckiem, zapewniała także w swych „Objawieniach" św. Brygida Szwedzka. Już św. Bernard z Clairvaux podkreślał, że jakkolwiek zaskakujące wydaje się, iż Bóg mógł być posłuszny ludziom, to jednak Jezus był posłuszny Marii, a ze względu na nią – także Józefowi. Bernard zresztą w jednym ze swych kazań bardzo pozytywnie odniósł się do czułości opiekuna wobec Jezusa, głosząc, że Józefowi było dane noszenie, przytulanie, całowanie Mesjasza, a także karmienie go i opiekowanie się nim.

Średniowieczni teologowie podkreślali, że Józef bez wątpienia uchodził za ojca Jezusa, co zresztą jest zgodne z przekazem biblijnym. Np. św. Bernardyn ze Sieny dowodził, że relacja Józefa i Jezusa musiała być realnie relacją ojca i syna, bo w przeciwnym razie ludzie domyśliliby się, że Józef nie jest ojcem Jezusa. Dlatego z pewnością Józef zachowywał się wobec Jezusa jak ojciec: w słowach, czynach, opiece i autorytecie.

Patron partnerów

Aby podkreślić (usprawiedliwić?) dziewictwo Marii pomimo jej zamążpójścia, apokryfy i ludowe opowieści podkreślały znaczną różnicę wieku między nią a Józefem. Miał on także zostać jej „opiekunem" wbrew swej woli, na mocy wskazania boskiego (mężczyźni przynieśli różdżki do świątyni, a z tej należącej do Józefa wyleciała gołębica, co było znakiem decyzji Boga, komu ma być powierzona Maria). Datowana na 2. połowę II wieku Protoewangelia Jakuba mówi, że „sprzeciwił się Józef, i rzekł: »Mam synów, jestem starcem, ona zaś jest młodziutką dzieweczką. Nie, zaiste, bo stanę się pośmiewiskiem dla synów ↦

↦ Izraela«". Wspomniana wcześniej Ewangelia Pseudo-Mateusza rozwija wątek niechęci Józefa i sugeruje, że właściwie wziął on ostatecznie Marię pod opiekę z zamiarem wydania jej za któregoś ze swoich synów: „Józef zaś począł błagać i prosić nieśmiało zapytując: »Jestem stary i mam synów; dlaczego więc mnie powierzacie tę dzieweczkę, która ze względu na wiek mogłaby być moją wnuczką, a nawet jest młodsza od moich wnuczek (...) Nie sprzeciwiam się woli Bożej, lecz dotąd będę strzegł dzieweczki, aż poznam, który z moich synów zgodnie z wolą Bożą może wziąć ją za małżonkę«" (przeł. ks. Kazimierz Obrycki).

W obu tych apokryfach Józef na dłużej wyjeżdża do pracy przy budowie domów – gdy wraca, zastaje Marię w zaawansowanej ciąży. Nic dziwnego, że wpada w rozpacz i wątpi w jej uczciwość.

Tu jednak znów odnajdziemy w średniowieczu także zupełnie odmienne opowieści. Propagator kultu św. Józefa, kanclerz paryskiego uniwersytetu Jan Gerson, porównywał Świętą Rodzinę do Trójcy Świętej, Józefa uznając za głowę tejże rodziny. Podkreślał, że Józef karmił Jezusa, opiekował się nim i zabrał go do Egiptu; był zatem sprawnym mężczyzną i nie mógł być naprawdę stary. Oprócz Gersona także np. św. Bernardyn ze Sieny odnosił do św. Józefa figurę młodego męża dziewicy z Księgi Izajasza („Bo jak młodzieniec poślubia dziewicę, / tak twój Budowniczy ciebie poślubi, / i jak oblubieniec weseli się z oblubienicy, / tak Bóg twój tobą się rozraduje"; Iz 62, 5 w przekładzie Biblii Tysiąclecia).

W późnośredniowiecznej sztuce i w dramatyzacjach liturgicznych Józef często gotuje, szykuje kąpiel dla Dzieciątka czy też troszczy się o jego ubranie. Mogło się to ówczesnym wydawać niemęskie, mogło być jednak odbierane pozytywnie – jako wyraz troski i opiekuńczości. Aktywność Józefa w tych przedstawieniach przeczy także założeniu, że był niedołężnym starcem.

Wydaje się, że w początkach XV wieku doszło w kulcie św. Józefa do przemiany, która jest ważnym elementem badania koncepcji świeckiej męskości w późnośredniowiecznej i nowożytnej Europie. Ze słabego starca czy też antycznego mędrca Józef zamienił się wówczas w dojrzałego, lecz zaradnego mężczyznę, sprawnego robotnika czy też rzemieślnika. Rozwój kultu św. Józefa musiał odpowiadać rozwijającej się klasie mieszczańskiej – nieprzypadkowo zauważyć można wówczas powstawanie coraz większej ilości bractw pod wezwaniem św. Józefa. Bogaci mieszczanie chcieli widzieć swego patrona jako sprawnego zarządcę domu, dobrego męża i kochającego ojca – co pozwalało im się z nim identyfikować.

W późnośredniowiecznej sztuce ze słabego starca **Józef przemienia się w zaradnego mężczyznę.** Bogaci mieszczanie chcieli widzieć swego patrona jako sprawnego zarządcę domu, dobrego męża i kochającego ojca.

Św. Józef gotuje. Kwatera z ołtarza Konrada von Soesta w Bad Wildungen, 1403 r.

DOMENA PUBLICZNA

Z gołymi nogami

W sztuce średniowiecznej niektóre przedstawienia Bożego Narodzenia podkreślały świętą relację między Bogiem Ojcem, Marią a Jezusem – Józef zaś bywał ukazywany jako ignorujący cudowność narodzin Mesjasza lub... po prostu zbyt głupi, aby zdawać sobie sprawę z tego, czego jest świadkiem. W XV-wiecznych niemieckich sztukach bożonarodzeniowych (takich jak „Schwäbisches Weihnachtsspiel" czy „Erlauer Weihnachtsspiel") Józefowi przypisywano nadużywanie wina, a pijaństwo było często cechą wiązaną z postaciami prymitywnymi, z chłopami z prześmiewczych opowiastek.

Jednocześnie trudno nie dostrzec komizmu o podtekście seksualnym w przedstawieniu Józefa pijącego z okrągłego bukłaka, podczas gdy obok jego dziewicza małżonka karmi dziecko piersią. Frustracja seksualna była jednym z głównych aspektów związanych z popularnym w ówczesnych świeckich opowieściach motywem „źle dobranej pary". Ośmieszano w nich małżeństwa o zbyt dużej różnicy wieku: w takich historiach stary mąż młodej żony występował w roli głupca i zazwyczaj kończył jako rogacz.

Jednym z wielu przykładów jest oczywiście „Dekameron" Giovanniego Boccaccia, szczególnie opowieść dziesiąta z dnia drugiego („Kalendarz starych mężów"). Stary sędzia Riccardo di Chinzica poślubił młodą i piękną Bartolomeę, ale szybko okazało się, że wiek i stan zdrowia nie pozwalają mu na częste dzielenie z żoną łoża. Przedstawił on jej zatem całą listę dni świątecznych i postnych, w które należało pobożnie powstrzymać się od zbliżeń. Pewnego razu Bartolomea została porwana przez korsarza Paganina, który – jak się okazało – żadnych świąt nie obchodził. W rezultacie młoda kobieta, zasmakowawszy rozkoszy w łożu sprawnego fizycz-

nie kochanka, odmówiła powrotu do męża, choć ten chciał wpłacić za nią okup.

Słowa, które skierowała do męża, są zarazem krytyką powszechnego wtedy zwyczaju wydawania młodych dziewcząt za zbyt starych mężczyzn, i usprawiedliwieniem niewierności kobiety wydanej za mąż wbrew swojej woli: „O cześć moją – odparła Bartolomea – sama będę miała staranie; niech nikt się o nią nie troska, zwłaszcza że już i tak zbyt późno na to. Rodzice moi winni byli pomyśleć o niej, gdy mnie wam za żonę dawali, skoro jednak o nią wówczas nie dbali, tedy i ja dzisiaj o nich dbać nie chcę. Grzech śmiertelny, w którym żyję, już się na powszedni przemienił" (przeł. Edward Boyé).

Zapewne zatem nawet przedstawienia Marii i Józefa, które kojarzyły się z prześmiewczym motywem „niedobranej pary", pozwalały wielu późnośredniowiecznym wiernym na utożsamianie się z nimi.

Bardzo ciekawym motywem powracającym w scenach Bożego Narodzenia jest przedstawianie Józefa zdejmującego nogawice. Można to interpretować różnie, także prześmiewczo: gołe nogi, sugerujące nagość od pasa w dół, znajdziemy w późnośredniowiecznych przedstawieniach błaznów, występujących w roli nie zawsze spełnionych amantów.

Znakomitym, choć późnym przykładem może być miniatura w krakowskim Kodeksie Baltazara Behema (ok. 1506), w której błazen flirtuje ze sprzedawczynią z ulicznego kramu (zapewne żoną kupca): zalotnik ten ma nie tylko gołe nogi, ale także majtki zawieszone na plecach. Ponadto mąż gubiący bieliznę występował często w satyrycznych przedstawieniach „pantoflarza" i dominującej żony.

Z drugiej jednak strony ten sam gest może mieć zupełnie inne, całkiem poważne znaczenie: po pierwsze, obnażanie nóg przez Józefa niesie skojarzenie z Mojżeszem, który zdjął sandały, zanim zbliżył się do gorejącego krzewu. W takiej interpretacji Józef w Bożym Narodzeniu przestaje być głupcem niezdającym sobie sprawy z powagi chwili – przeciwnie, dostrzega on, że oto w nowonarodzonym Dzieciątku objawia się sam Bóg.

Przede wszystkim jednak dla średniowiecznych odbiorców istotny był w tym przypadku kontekst bożonarodzeniowych dramatyzacji i pieśni: oto bowiem Józef miał dać Marii swoje nogawice, aby zawinęła w nie nowonarodzonego Jezusa. Kult relikwii nogawic św. Józefa, które miały posłużyć za zawiniątko dla Mesjasza, jest poświadczony w katedrze w Akwizgranie od XIII wieku!

Harmonia sprzeczności

Nad wieloma późnośredniowiecznymi przedstawieniami św. Józefa badacze toczą spory, proponując skrajnie różne interpretacje – choć dziś coraz częściej zauważa się, że rozmaite skojarzenia wcale nie muszą się w tych dziełach wykluczać. Dotyczy to nie tylko problemu nogawic opiekuna Zbawiciela, ale także jego działalności jako cieśli. Bardzo często bowiem w wizerunkach Świętej Rodziny Józef ukazywany był przy pracy nad drewnem, np. przy wierceniu dziur. Z jednej strony oczywiście była to ilustracja jego zawodu, a także podkreślenie siły i pracowitości męża Marii. Z drugiej strony, często interpretuje się to jako zapowiedź przyszłej męki Zbawiciela, w drewnie dopatrując się desek krzyża, a w wyposażeniu Józefowego warsztatu – odniesienia do Narzędzi Męki Chrystusa.

DOMENA PUBLICZNA

Św. Józef i jego nogawica. Kwatera z poliptyku z kartuzji Champmol (tzw. Antwerp-Baltimore Quadriptych), ok. 1400 r., Museum Meyer van den Bergh w Antwerpii

Kult św. Józefa mieszał ze sobą szacunek i ośmieszenie, my zaś na siłę próbujemy oddzielać sacrum od profanum. Tymczasem zabawne niedoskonałości świętego **czyniły go bardziej ludzkim.**

Jednocześnie jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że przedstawienie męża dziewiczej żony jako wiercącego dziury w desce wzbudzać może skojarzenia z frustracją na tle seksualnym; ówczesna świecka literatura w wielu językach posługiwała się metaforą „przebijania" czy „dziurawienia" w kontekście erotycznym.

Bardzo interesującym przykładem takich problemów interpretacyjnych może być przedstawienie św. Józefa na prawym skrzydle Tryptyku Mérode: oto wierci on dziury w niewielkiej deseczce, na stole zaś obok niego leży pułapka na myszy. Mysz – jako szkodnik – symbolizować mogła diabła, a św. Józef sam był „pułapką na diabła" czy też „osłoną" dla Marii: podstawionym niby-mężem, dzięki któremu szatan nie brał jej pod uwagę ↦

ART COLLECTION / ALAMY / BEW

Św. Józef pijący z bukłaka. Mistrz Bertram, „Ucieczka do Egiptu", kwatera z ołtarza z kościoła św. Piotra w Hamburgu, 1383 r.

W średniowieczu okres Bożego Narodzenia to też czas karnawału, gdy dochodzi do odwrócenia porządku świata. **W obrazoburcze zabawy angażowało się nawet duchowieństwo.**

jako przyszłej dziewiczej matki Mesjasza. W środkowej części tegoż tryptyku widnieje Zwiastowanie, czyli moment Wcielenia. Deseczka, którą nawierca Józef, przypomina podobnie skonstruowany parawan przy kominku. Stąd też skojarzenie z „osłoną" wydaje się właściwe (choć niektórzy badacze widzieli w nawiercanej deseczce raczej element prasy winiarskiej, czyli odniesienie do eucharystycznego wina).

Tymczasem późnośredniowieczny odbiorca mógł jednak w wizerunku Józefa wiercącego dziury dostrzec żart o podtekście seksualnym, a to za sprawą owej pułapki na myszy. Oto bowiem mysz funkcjonowała w ludowej literaturze jako eufemizm kobiecych narządów płciowych. Ekstremalnym przykładem wykorzystania tego motywu jest dość absurdalna XIII-wieczna opowiastka „De la sorisete des estopes". Jej bohater to wiejski głupiec, któremu młoda żona zaraz po ślubie odmówiła skonsumowania związku twierdząc, że pozostawiła swe narządy płciowe w domu matki. Z kolei teściowa mężczyzny dała mu kosz, z którego wyskoczyła mysz; on zaś, naiwnie wierząc swej żonie, zaczął gonić zwierzę, które ostatecznie mu uciekło. Zmartwiony wrócił do domu, lecz tam żona pocieszyła go, że jej pochwa jest już na miejscu, choć zmęczona i spocona po biegu przez pole. Tymczasem w rzeczywistości wilgoć była skutkiem tego, że pod nieobecność głupiego męża żona oddawała się kochankowi. Oto zatem kolejny kontekst stawiający Józefa z pułapką na myszy w roli głupca czy starego męża, którego losem są rogi.

Święta niedoskonałość

Satyryczne motywy w kulcie św. Józefa na przełomie średniowiecza i nowożytności to interesujący temat badań publikowanych ostatnio przez Anne L. Williams (m.in. w książce „Satire, Veneration, and St. Joseph in Art, c. 1300-1550", Amsterdam University Press, 2019). Badaczka podkreśla, że błędem jest poszukiwanie jedynej słusznej interpretacji owych przedstawień – mogły one mieć kilka zupełnie różnych warstw znaczeniowych. Kult św. Józefa naprawdę mieszał ze sobą szacunek i ośmieszenie, my zaś na siłę próbujemy oddzielać *sacrum* od *profanum*. Tymczasem prześmiewcze aspekty postaci Józefa, porównywanie go do rogacza, impotenta, głupca, wcale nie musiały podważać jego kultu. Po pierwsze, te właśnie aspekty wiązały się z zapewnieniem o czystości Marii; po drugie, zabawne niedoskonałości świętego czyniły go bardziej ludzkim, bliższym odbiorcom. A to w ostatecznym rozrachunku tylko wzmacniało jego kult.

Ważny jest jeszcze jeden aspekt: Józef występował w literaturze i sztuce w zasadzie wyłącznie w kontekście Bożego Narodzenia. A to w średniowiecznej rzeczywistości czas karnawału, gdy dochodzi do odwrócenia porządku świata. Święto Głupców, osadzone w tradycjach rzymskich Saturnaliów, pozwalało wszystkim na chwilę naruszyć ustaloną hierarchię wartości chrześcijańskiej Europy.

Dziś trudno nam to sobie wyobrazić, ale wówczas w obrazoburcze zabawy angażowało się nawet duchowieństwo, zwłaszcza niższe, na co zresztą odnotowano skargi. Przykładowo, XV-wieczny list paryskich teologów wymienia z oburzeniem występki księży i klerków w czasie owych „świąt głupców", takie jak noszenie masek, tańczenie w prezbiterium w przebraniu kobiet, śpiewanie sprośnych piosenek, jedzenie kaszanki na brzegu ołtarza podczas gdy celebrans odprawia mszę, granie przy ołtarzu w kości i inne przewinienia. Zatem i spektakle bożonarodzeniowe musiały zawierać również dawkę humoru – często to właśnie postać Józefa zapewniała element komiczny, którego w tym czasie oczekiwali odbiorcy.

Józef ze średniowiecznych ołtarzy jawi nam się jako jeden z najbardziej ludzkich świętych: nieheroiczny, pozbawiony „magicznych" mocy, niedoskonały; ale zarazem to jedna z najbliższych samemu Zbawicielowi osób. Nawet jeśli występował on w roli głupca, to kryła się w tym zarazem pocieszająca dla wiernych myśl, że niesie on nadzieję wszystkim grzesznikom, którzy mimo własnej głupoty i niedojrzałości duchowej mogą liczyć na zbawienie.

A poza tym był on dowodem na to, że nawet ze świętych wolno się czasami pośmiać.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

Autorka jest historyczką sztuki, mediewistką, stale współpracuje z „Tygodnikiem". Autorka cyklu „Sztuka powszechnie nieznana" w Podkaście Powszechnym oraz blogu www.posztukiwania.pl.

CORINNA KERN / LAIF / FORUM

Fadi Kattan przy stoisku Um Nabil na targu w Betlejem.

Betlejem na talerzu

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Kuchnia palestyńska to kombinacja kultur, produktów i ich sezonowości. Kombinacja ziemi, słońca i wody. Ale wiele przypraw zawdzięcza polityce – mówi Fadi Kattan, jeden z jej najważniejszych kucharzy.

Numer zaczyna się od +972, jak każdy izraelski. A przecież rozmowa, która zaraz nastąpi, powinna być międzynarodowa.

– Czekałem na ten telefon. Uwierz mi, naprawdę. W Polsce wszyscy pytają o konflikt, a Betlejem ma przecież tyle innych tematów do zaoferowania! – Fadi Kattan teatralnie wzdycha, ale w jego głosie brzmi zadowolenie. Mówi dużo i chętnie, bez pośpiechu – ma czas. Od marca, gdy z powodu pandemii zmuszony był zamknąć restaurację i pensjonat, niemal nie pracuje. Nadmiar wolnego czasu go drażni, nie przywykł do tego. A na spotkanie umawia się z dnia na dzień; w obliczu rosnącej liczby zakażeń Autonomia Palestyńska planuje wprowadzić przed świętami kolejny lockdown.

Kardamon

Samochód wjeżdża w wąskie gardło ulic betlejemskiego targu, suku, w godzinach porannych pełnego ludzi. Zza otwartych okien dobiega zapach świeżo palonej kawy z kardamonem, smród spalin, klaksony, okrzyki sprzedawców, głośne rozmowy. Nie słychać, za to widać tych, których nie było tu w takiej liczbie w poprzednich latach: żebraków i starsze, wychudzone kobiety sprzedające zioła za grosze.

Dom Fadiego mieści się w pobliżu suku, przy prowadzącej w dół, zaskakująco cichej jak na to położenie ulicy. Wita się – w maseczce, dżinsach, czarnej koszulce – i zaprasza do środka. Przez pomieszczenia o wysokich, ostrołukowych sklepieniach wchodzimy na otwarty dziedziniec dwupiętrowego domu – typowy betlejemski *hosh*. Z balkonu powyżej roztacza się widok na zielony ogród, dachy domów i zwieńczenia okolicznych kościołów: figury świętych, krzyże, dzwonnice.

– Pochodzę z jednej z najstarszych rodzin chrześcijańskich w Betlejem – mówi. – Dom, w którym się znajdujemy, został zbudowany przez moich przodków od strony ojca w 1738 r. Na początku XX wieku rozjechali się po świecie, ale zostali w przemyśle bawełnianym (stąd zresztą nasze nazwisko: Kattan to po arabsku „producent bawełny"). Nie dziwią miejsca, które wybrali: Wielka Brytania i Manchester, Chile i Sudan, jeden z braci dziadka udał się do Japonii. Po bombardowaniu Kobe w 1945 r. uciekł do Bombaju, bo tam też było zagłębie tekstyliów. Do Palestyny wrócili w latach 50. Rodzina mamy z kolei opuściła Betlejem jeszcze w XIX wieku (dziadek urodził się w Paryżu), a wróciła przed wybuchem II wojny światowej. Część moich przodków jest więc francuskojęzyczna, a część anglojęzyczna. Jesteśmy Palestyńczykami, Francuzami i Anglikami. ↦

Gdy opowiada, próbuję zrozumieć, co w jego zachowaniu się nie zgadza; co sprawia, że ta rozmowa jest inna od tylu wcześniejszych, które prowadziłam w Betlejem. Po chwili dociera do mnie: Fadi patrzy prosto w oczy. Nie ucieka wzrokiem, nie spuszcza głowy. Ma pewność siebie człowieka Zachodu, który zakosztował życia poza Palestyną. To spostrzeżenie mnie zasmuca.

Akkoub, czyli gundelia

Urodził się i dorastał w Betlejem, chodził do francuskiej szkoły w Jerozolimie („jeszcze przed powstaniem tego okropnego muru"). Na studia wyjechał do Paryża, potem do pracy do Londynu. Do rodzinnego miasta wrócił w 2000 r. i od razu dostał pracę w nowo otwartym hotelu Intercontinental. Po drugiej intifadzie hotel zamknięto. Fadi zostawił gotowanie i zaczął pomagać w rodzinnym biznesie – najpierw przy projektowaniu kuchni przemysłowych, potem w transporcie, aż wreszcie przy małej agencji turystycznej, w sprawie której przyjeżdżał do Polski („Polacy byli jednymi z najlepszych klientów, jakich miałem"). Gdy w Betlejem wystawiono na sprzedaż zabytkową kamienicę z kilkunastoma pokojami i przestrzenią na restaurację, zobaczył w niej potencjał. Pięć lat temu założył pensjonat – Hosh-Al Syrian – i restaurację, którą nazwał Fawda – czyli *fauda*, po arabsku: chaos.

– Wiem, o co teraz zapytasz – mówi. – Nie, netfliksowego przeboju nie oglądałem, na pomysł nazwy wpadłem sam. Mam problem z wszelkimi produkcjami izraelskimi o konflikcie, bo wiem, że będą subiektywne, nawet te lewicowe. „Walc z Baszirem"? Wszystkim się podobał, a ja płakałem z wściekłości. Może dlatego, że nie wierzę w przemoc: gdybym mieszkał w kraju, w którym musiałbym odbyć służbę wojskową, chyba wybrałbym więzienie, zamiast noszenia broni. Uważam, że to obłudne: najpierw stać z karabinem na checkpointach i traktować ludzi jak zwierzęta, a potem jechać do Indii, żeby zapomnieć, jak okropnie się zachowywało przez cztery lata. A i tak ci, którzy tak robią, należą do mniejszości.

Fadi wyraźnie się zapala. – Uważam, że wybór przemocy, który wszyscy w tym regionie podjęliśmy, jest dla nas najgorszy – kontynuuje. – W obu społeczeństwach mamy świetnych ludzi, ale ich głosy zachęcające do pokoju są ledwo słyszalne. Pojechałem kiedyś do Berlina, i ze zdumieniem odnalazłem tam izraelską lewicę, która nie może głosować poza miejscem zamieszkania. Krzyczałem do nich: co wy tu robicie?! Wracajcie do Izraela i zacznijcie zmieniać sytuację od środka!

Sam przez lata mieszkał w Paryżu. Mówi, że był tam najszczęśliwszy: – Kochałem to życie – teatry, kina, ale i wygodną odległość od tego, co się tu dzieje. Aż pewnego dnia moja babcia – aktywistka, założycielka unii arabskich kobiet w Betlejem – powiedziała mi: „Niczego nie zmienisz, siedząc w Paryżu i popijając whisky. Wracaj". Pomyślałem, że dobrze: zrobię to. I że jeśli uda mi się zmie-

PRZEPISY FADIEGO

Burbara

SKŁADNIKI:
1 szklanka ziaren pszenicy
3 i 1/2 szklanki wody + woda potrzebna do namoczenia pszenicy
2 laski cynamonu
1 łyżeczka mielonego anyżu
1 łyżeczka mielonego kopru włoskiego
1/3 szklanki cukru
1 szklanka posiekanych owoców suszonych (moreli, rodzynek)

Moczymy ziarna pszenicy przez noc. Woda powinna być zimna i całkiem je zakrywać. Następnie odsączamy. Na średnim ogniu gotujemy 3 szklanki wody, cukier, pszenicę i laski cynamonu. Mieszamy regularnie, tak by ziarna nie przyklejały się do dna rondla. Podczas gotowania pszenicy, po ok. 15 minutach, dodajemy zmielone przyprawy i suszone owoce. Gotujemy kolejne 20 minut. Jeśli woda nadmiernie wyparowała, dodajemy odrobinę wrzątku. Ugotowane ziarno pszenicy powinno być puszyste.

Podajemy w małych miskach udekorowane dodatkami: orzechami (włoskimi, migdałami, pinii, pistacjami), ziarnami granatu, nasionami kopru włoskiego w cukrze, kandyzowaną ciecierzycą, migdałami.

Frikeh

SKŁADNIKI NA BULION WEGETARIAŃSKI:
Na bulion wegetariański: resztki warzyw i ziół (tymianek, oregano, marchew i cebula, korzeń i nać pietruszki, świeże oregano, gniazda nasienne pomidorów, kawałki selera), woda

NA FRIKEH:
6 szklanek bulionu warzywno-ziołowego
kilka listków szałwii
1 łyżka nitek szafranu
3 łyżki oliwy
2 małe cebule, posiekane
szczypta mielonego kardamonu
szczypta mielonego imbiru
2 szklanki frikeh – zielonej pszenicy, opłukanej
1 szklanka wina Taybeh Sauvignon Blanc lub innego rześkiego białego wina o wysokiej kwasowości
1/2 szklanki palestyńskiego sera Baladi (można zastąpić świeżą ricottą)
1 łyżka oliwy
gruboziarnista sól (najlepiej z Morza Martwego)
świeżo zmielony biały pieprz

Resztki warzyw i zioła przekładamy do garnka, zakrywamy wodą, gotujemy 45 minut. Później na średnim ogniu podgrzewamy gotowy bulion z szałwią i pokruszonym szafranem. W szerokim rondlu podgrzewamy oliwę i dodajemy cebulę. Dusimy do miękkości. Dodajemy kardamon i imbir, a następnie – po dokładnym opłukaniu i usunięciu zanieczyszczeń – frikeh. Łączymy z cebulą i oliwą, kontynuując gotowanie przez 3 do 4 minut. Następnie dodajemy wino, mieszając, aż wyparuje. Gdy to nastąpi, dodajemy pół szklanki ciepłego bulionu. Mieszamy, aż frikeh wchłonie cały płyn.

Kontynuujemy, dodając za każdym razem po pół szklanki bulionu. Gdy frikeh będzie ugotowane i kremowe, zdejmujemy garnek z ognia, dolewamy oliwy, dodajemy ser, doprawiamy solą i pieprzem. ©

FOT. FADI KATTAN / ARCHIWUM PRYWATNE X2

nić choćby jedną małą rzecz, to już będzie osiągnięcie.

Guma arabska

W Fawdzie Fadi Kattan gotuje w oparciu o lokalne składniki i tradycyjne receptury. Mówi się, że to jedyna palestyńska restauracja, która zasługuje na prestiżową gwiazdkę, niechby i Michelina. W czasie pandemii, gdy jest zamknięta, Fadi przygotowuje autorski podkast „Sabah Al Yasmine" i prowadzi telewizyjny program „Teta's kitchen" – kuchnia babci. Opowiada fascynująco, ze swadą. Mówi, że dobry szef wie wszystko o pochodzeniu swojego dania. Drażni go, gdy izraelski kucharz pisze do niego, że chciałby kiedyś wspólnie przyrządzić dobry hummus: – Kuchnia nie może być pretekstem do wymazywania realności przestępstwa. A realność jest taka, że jesteśmy krajem pod okupacją. Najpierw zadbajmy o sprawiedliwość. Potem będziemy razem gotować.

Pytam, czy palestyńska kuchnia jest polityczna.

– Oczywiście, że tak – odpowiada. – Tak jest chyba zresztą we wszystkich kuchniach świata. Polityczny jest problem marnotrawienia żywności. Polityczny jest problem dostępu do ziemi i jej produktów, co u nas jest utrudnione. Przez długi czas Palestyńczycy bali się też otwierać restauracje poza granicami kraju, bo od razu byli utożsamiani z przemocą. A przecież kuchnia to najlepszy przykład *soft diplomacy*. Otwórz palestyńską restaurację, pozwól ludziom zachwycić się naszym jedzeniem, bez wpychania w to polityki.

Gałka muszkatołowa

Dzwony z sąsiednich kościołów biją na Anioł Pański. Zbieramy się na suk, zanim opustoszeje. Z wąskiej uliczki skręcamy w lewo i po chwili idziemy z tłumem ulicą Pawła VI. Pytam Fadiego, jak scharakteryzowałby kuchnię palestyńską.

– To kuchnia, która pochodzi z naszego *terroire* – kombinacja ziemi, słońca, wody, natury, połączonych w przestrzeni. Mamy szczęście być maleńkim krajem, w którym obok siebie występują tak różne krajobrazy: pustynia, wybrzeże, wzgórza i doliny. Są zioła, które rosną na południu, a nie rosną na północy, krajobrazy, w których dominują oliwki i figi. Palestyńska kuchnia to dla mnie serce babci, która gotuje w domu, wkładając duszę i wiedzę w każdą potrawę. To kombinacja produktów, ich sezonowość. Przed chwilą spadł deszcz, więc pojawi się masa fantastycznych ziół, ale za kilka tygodni zrobi się zimno, więc będzie liczyło się to, co udało ci się ukisić czy zawekować. Na stół wjedzie konserwowa okra, suszone pomidory, soczewica, dania będą bardziej ziemiste i ciepłe. Potem znowu przyjdzie wiosna, a wraz z nią wspaniały nabiał – świeże owcze sery, jogurty, mleko – produkowany u nas mistrzowsko przez Beduinów. W końcu znów nadejdzie wrzesień, sezon na oliwę, i będziemy świętowali kuchnię opartą na tym produkcie.

Fadi dodaje, że część tego kulinarnego świata została jego rodakom odebrana w 1948 r., po powstaniu Izraela: – Straciliśmy dostęp do morza, niektórzy z nas zostali na terytorium Izraela, niektórzy stali się uchodźcami. Zawsze jednak zabierali z sobą przepisy, stąd tak wiele w naszej kuchni dań z rybą i owocami morza. Kuchnia palestyńska to także mięso, głównie jagnięcina. Choć nie można powiedzieć, że na mięsie bazuje, bo kiedy trzeba, adaptuje się i staje się wegetariańska: w naszym regionie spotykają się przecież różne religie, a chrześcijaństwo i islam mają konkretne wymagania względem jego spożycia.

Palestyńczycy mają też wspaniałe wino, z Taybeh: – Przywiozłem tu kiedyś wybitnych francuskich i brytyjskich sommelierów, by sprawdzić, czy im też smakuje. Zakochali się z miejsca.

No i przyprawy: sumak, gałka muszkatołowa, ziele angielskie, kolendra, kumin, kardamon, cynamon. Historycznie znajdujemy się na skrzyżowaniu szlaków: przypraw z Indii i kawy z Jemenu. To w Palestynie kardamon spotyka kawę.

Ulubione produkty betlejemskiego mistrza kuchni?

– *Frikeh*, czyli zielona pszenica, wypalana i gotowana jak ryż, która pochodzi z naszego regionu, choć obecnie jej największym producentem na świecie jest Australia – zaczyna wyliczankę Fadi. – Na nowo odkryta i uznana za *super food*, a przecież znana od tysięcy lat. Guma arabska. *Akkoub* – gundelia – szeroko używana, choć kolczasta: kolce usuwa się i smaży, a następnie gotuje. Smak mieści się gdzieś pomiędzy karczochem i szparagiem.

Palestyńska kuchnia to suma wpływów kultur obecnych tu przez wieki. To *maqluba*, czyli po arabsku „do góry nogami", bo garnek z gorącą potrawą trzeba odwrócić. Beduiński *mansaf* – czyli jogurt, ryż i kawałki jagnięciny. *Sayadieh*, czyli danie rybne.

– Zbieram te wszystkie tradycje i opieram się na nich, tworząc palestyńską kuchnię współczesną – mówi Fadi Kattan.

Sumak

Z ulicy Pawła VI skręcamy w prawo; strome kamienne schody wiodą nas na właściwy suk. Stoisko ze świeżymi ziołami i warzywami rozłożyła na nich Um Nabil. Pochodzi z Artas, wioski na południe od Betlejem. Sprzedaje tu od 40 lat. Pokazuje towar: khubezę (kuzyna geranium), świeży zaatar, szałwię, pietruszkę, miętę – odmianę lokalną, intensywną w smaku i zapachu. Ostatnie bakłażany, bo sezon na nie właśnie się kończy.

Fadi długo rozmawia z Um Nabil. Jej obecność na targu jest dlań symboliczna: przywozi produkty samodzielnie wyhodowane. Mój rozmówca cieszy się, że na jego stole lądują produkty od małych producentów, a nie od wielkich koncernów. Jedzenie organiczne – w zachodnim świecie przywilej zamożnych – to w Palestynie standard.

Przed nami suk owocowo-warzywny. Dorodne pomarańcze i mandarynki z liśćmi, cukinie, pomidory, głowy kapusty i kalafiorów. Na widok Fadiego sprzedawcy przekrzykują się, licząc na to, że coś kupi. Wita się z wieloma, a potem pokonujemy kolejne schody, by dostać się do części mięsnej – serca suku. To właśnie po to, by skupić handel mięsem w jednym miejscu, betlejemski urząd miasta powołał ten targ w 1929 r. Wygląda niesamowicie: potężne tusze zwierząt kołyszą się na hakach, mężczyźni z nożami odcinają kawałki mięsa, ze sklepików spływają po bruku strużki baraniej krwi.

Fadi wchodzi do swojego ulubionego sklepu. Prowadzi go rodzina z jedną z najdłuższych – bo od pięciu pokoleń – masarskich tradycji w Betlejem.

– Mają swoje farmy i hodują zwierzęta odpowiedzialnie: nie masowo i dobrze je karmiąc – tłumaczy. Po masarni kręcą się dzieci. Pracują tu trzy generacje tej samej rodziny. Razem z Fadim i właścicielem mali chłopcy prowadzą mnie w głąb wielkiej lodówki.

– Patrz, co za skarbiec! – Fadi rozpromienia się na widok zimnej wołowiny. Właściciel wyciąga termos, nalewa do papierowego kubeczka mocnej, czarnej kawy. Ogrzewam dłonie. ↦

Wychodzimy z suku i idziemy do sklepu z przyprawami, położonego prawie przy placu Żłóbka. Pachnie tu jak w baśni. Świeżo mielona kawa, kardamon, wanilia, cynamon, gałka muszkatołowa, anyż. Worki ciecierzycy, grochu, soczewicy o różnych kolorach. Na półkach czekolada, oliwa, tytoń. Właściciel mieli przyprawy osobiście, pakuje je do woreczków i szczelnie zakleja.

Kolejny kubeczek z mocną kawą wędruje w moje ręce. Ale wychodzę też z torbą pełną zapachów: sumaku, zaataru, kawy z kardamonem, i z ulubioną herbatą ziołową, zwaną tu zhuratem.

To w Palestynie kardamon spotyka kawę. A betlejemski targ oszałamia zapachem świeżych ziół.

Kumin

Na widok przybysza z zewnątrz mieszkańcy Betlejem zatrzymują się, zagadują. Brakuje im turystów: miasteczko, w okresie Bożego Narodzenia przeżywające turystyczne oblężenie, a co za tym idzie: generujące największy w roku przychód, dziś jest pustawe. Jego sytuacja ekonomiczna jest katastrofalna. Większość sklepów z pamiątkami stoi zamknięta, tylko z nielicznych zakładów produkujących pamiątki i ozdoby świąteczne z drzewa oliwnego dobiegają odgłosy pracy. Mieszkańcy, z którymi rozmawiam, na pytanie, jak sobie radzą, spuszczają głowę i odpowiadają, że wciąż mają nadzieję na szybki koniec epidemii.

Dla Fadiego również będą to wyjątkowe święta: – Nie wiadomo, czy zrobią nam lockdown, czy nie. Chciałem spędzić ten czas z rodzicami we Francji – tak się nie stanie. Ale widzę też dobre strony. Rok temu nie miałbym chwili, żeby z tobą porozmawiać, bo szykowałbym świąteczne posiłki dla 120 osób. A teraz mogliśmy się spotkać i pokazałem ci moje miasto. Święta spędzę spokojnie, w domu, z żoną i córką. Upiekę bożonarodzeniowe ciasto według przepisu babci, która zagniatała i wkładała je do lodówki na 2-3 tygodnie przed upieczeniem. Rozwiesimy dekoracje.

Zaatar

Co ugotuje w święta? Czy w ogóle istnieje betlejemskie menu bożonarodzeniowe?

– Świąteczne menu w Fawdzie składa się z pięciu dań, głównie współczesnych, ale dbam o to, żeby nie zabrakło odwołań do tradycji. Do mięsa dodaję ryż i kasztany, specjalność mojej mamy. Specjałem mamy jest też zamarynowana uprzednio i pieczona tuż przed świętami szynka wieprzowa. Robię niemal to samo z wieprzową nogą. Piekę indyka, marynowanego uprzednio w solance, i jagnięcinę.

Czas świąteczny rozpoczyna się w Betlejem wraz ze wspomnieniem św. Barbary. – Nasza tradycja mówi, że uciekając przed ojcem, który nie chciał jej konwersji na chrześcijaństwo, schowała się na polu pszenicy, a zboże wyrosło tak szybko, że ją uchroniło – opowiada Fadi. – Na pamiątkę gotujemy zimowy pudding z pszenicy i słodkich dodatków. W święta przyrządzam też *frikeh*, czyli risotto z zielonej pszenicy. Większość palestyńskich rodzin faszeruje cukinie i liście winogron. To praktyczne danie niedzielno-świąteczne: nadziewasz, wstawiasz, idziesz do kościoła, a gdy wracasz – jest gotowe do podania.

– 24 grudnia spotykamy się w domu moich dziadków – kontynuuje – Niedawno odeszła nasza babcia, ale wciąż to robimy: otwieramy jej dom i tam się spotykamy.

Fadi ma jeszcze jedną bożonarodzeniową tradycję: przygotowując posiłki dla gości, odkłada te niezaserwowane, a z resztek produktów gotuje nowe dania, po czym częstuje nimi ubogich: – To dla mnie kolejny wymiar społecznej odpowiedzialności. Jeśli kupujesz rzeczy na święta – kup trochę więcej i przekaż potrzebującym. Jeśli uprawiasz coś w ogródku – utnij trochę więcej i komuś podaruj.

Żegnamy się pośrodku suku, obiecując sobie kolejne spotkanie, gdy już będzie mógł wejść do swojej kuchni. Ostatnie kroki przed odjazdem kieruję do Bazyliki Narodzenia – zwykle o tej porze roku zatłoczonej. Wchodzę niezauważona, jest cicho i pusto. Do Groty Narodzenia schodzę stromymi schodkami, wydreptanymi przez całe pokolenia. Po raz pierwszy – i ostatni pewnie – jestem w niej zupełnie sama. Siadam z boku i zostaję nieco dłużej. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w tej ciszy przesłanie Betlejem słychać wyraźniej.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

ZUZANNA

Radzik:
Gender Boga

Właściwie poczułam się oszukana. Osobne Biblie, niebieska dla chłopca, różowa dla dziewczynki, każda za 19.90, a w środku to samo. Skoro wydawca uznał, że „pierwsza Biblia Twojego dziecka z historią naszego zbawienia" powinna zapoznawać chłopców i dziewczynki z tematem inaczej, to liczyłam, że miał jakąś głębszą myśl. A jednak to tylko marketing, opakowanie. Powinnam się cieszyć, że przynajmniej cena ta sama. Nie jak z kobiecymi maszynkami do golenia czy szamponem, gdy za różowość trzeba dopłacać.

Pierwsza wersja historii zbawienia, z jaką wejdzie w kontakt dziecko dowolnej płci, jest zatem identyczna. To dobrze. Upewniam się strona po stronie: stworzenie świata, Noe, pominięcie paru istotnych tematów, Mojżesz w koszyczku, pominięcie fundamentalnych wydarzeń, Eliasz, Daniel, dzieciątko Jezus. I tak już do końca. Kluczem wyboru jest chyba obecność zwierząt, które można wyrysować tandetną kreską, co martwi bardziej niż fakt, że ideologia gender opanowała okładki. Biblia bez Abrahama i wyjścia z Egiptu słabo działa.

Wracając do okładek wyrażających płeć kulturową (gender!), to chyba najwięcej mówią nam one o kryzysie męskości w Kościele. Trwają rozpaczliwe poszukiwania treści męskości, bo skoro kobiecość wypełniono dumnie brzmiącym geniuszem, troską o życie, delikatnością, umiłowaniem szczegółu, to i męskość należałoby czymś wyrazić. Stąd może wojownicy, rycerze, zdobywcy...

I tak, na różowej okładce dziecięcej Biblii córka faraona wyławia koszyk z Mojżeszem. Gramy, rzecz jasna, księżniczką i opiekuńczą rolą kobiety, która w każdych szuwarach wypatrzy niemowlaka. Ale, jeśli dobrze spojrzeć, prawdziwą bohaterką tej sceny jest prorokini Miriam, obserwująca scenę z ukrycia siostra Mojżesza. Bohaterka biblijna pierwszej klasy. Na niebieskiej okładce dla chłopców są zaś... zwierzęta w raju. Tygrys, małpa, wieloryb i żyrafa. Same! Bez Adama.

Cieżko stwierdzić, czym różnią się od siebie z kolei Biblia dla kobiet / mężczyzn w postaci stojących na biurku cytatów na kolejne dni kalendarza. Cytatów jest tyle, że raczej losowo przydzielono je do dni i płci. Tylko znów grafik głowił się, jak pokazać różnice płciowe. Ostatecznie klasyka: kobieca w kwiatowe dekory, męska w geometryczne szlaczki, trochę jak z kafelków. No nie wiem, czy prawdziwego katolickiego mężczyzny bliskowschodnie szlaczki nie przestraszą islamizacją Europy. W końcu zastępy współczesnych rycerzy drżą głównie przed tym, oraz przed różnie rozumianą neobolszewią, która pomieści LGBT, feminizm i co tam jeszcze trzeba.

O ile cytaty w skoroszycie na biurko są wyrobem bibliopodobnym, to mamy też prawdziwą Biblię dla kobiet, tego samego wydawcy. Fenomen znany zresztą u braci chrześcijan zza oceanu, gdzie sklepowe półki zapełniają Biblie drwala i księżniczki. Nawet rozumiem, że trzeba być frontem do klienta, i że w zapale tworzenia linii Biblie na pierwszą komunię, ślub i inne okazje wydawcy rozpędzili się i podzielili je też na płcie. Choć chwileczkę: amarantowa Biblia dla kobiet nie ma swojej odpowiedniczki. Czyżby grafik wciąż dumał, czy oprawić ją w brąz, czy jednak w moro?

Żeby nie było: sama kobiecą Biblię kupiłam, bo lubię to tłumaczenie i kolor amarantowy. Tylko dopisek „dla kobiet" na okładce drażni, więc zakleiłam go wlepką od czeskich sióstr w chrześcijańskim feminizmie. „Nasz Bóg nie jest macho!" – wykrzykuje na niej Maryja.

Nasz Bóg, oprócz tego, że wcielił się i urodził mężczyzną – co właśnie świętujemy – nie jest ani macho, ani chłopakiem, ani rzecz jasna staruszkiem z białą brodą. Nie wiem, który gender Biblii pasowałby Bogu. Żaden? Obydwa? Róż? Błękit? Może tęcza bezpieczniej? Przecież bardziej nie jest tym, co umiemy powiedzieć, niż jest. Niby oczywiste, ale wyobraźnia i język płatają figle. Język polski zwłaszcza, bo odmienia przez gendery. Nie sposób uniknąć rozstrzygania, czy Bóg wyprowadził, czy wyprowadziła Izrael z Egiptu, oraz jaki dać zaimek, gdy Ona / On przychodzi z mocą.

Gender Boga to nie jest błaha sprawa, o czym pisała przed prawie 30 laty Elizabeth Johnson w klasycznej i wciąż niewydanej po polsku książce „Ta, która jest". Czekając, aż ktoś się zlituje i w końcu da nam ją do rąk, można przeczytać „Niewidzialne kobiety". To niby nie o Bogu, ale bardzo o tym, że te męskie słowa, określenia, rzeczowniki, zaimki, nazwy zawodów – że cały ten językowy męski świat kształtuje świat faktyczny.

W życiu wiary podobnie. Nienazywana żeńsko Bóg staje się facetem. Jak sobie z tym poradzić, rozważają językoznawcy i teolożki różnych języków. Nawet jeśli temat nie spędza snu z powiek Komisji Episkopatu ds. Liturgii, która od lat biedzi się nad nowym tłumaczeniem mszału, to już nam samym powinien. Bo robi różnicę, gdy przewietrzysz w swojej głowie zakrzepły męski obraz Boga. Po to Bóg przedstawia się Mojżeszowi czasownikowo, byśmy Jej / Go nie chwycili za łatwo, nie zamknęły Władczyni świata, Pana historii w swoim pojmowaniu, w naszej dzisiejszej gramatyce.

„Boże-Matko!" albo „Ty, która..." – wystarczy zacząć modlitwę i dzieje się coś niepokojącego, nieoczywistego. Bóg / / Boga zaczyna się wymykać naszym określeniom, oczekiwaniom, bezpiecznym ramom. Niepokoi nieoczywistym zaimkiem, drażni, oddycha, wywodzi nas stąd, gdzie jesteśmy dziś, tam, gdzie chciałaby/chciałby nas zaprowadzić. Zaskoczyć nas jako dzieciak w stajni, zabrać w nieznane przez morze i pustynię, wyprowadzić hen daleko z rodzinnego Ur. ©

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Zulejka

Dzieje Józefa – ukochanego syna praojca Jakuba – zostały rozpisane na wiele rozdziałów. Wetknięta pomiędzy nie historia Judy i Tamar stanowi dla głównego wątku li tylko dygresję. W tym męskim wirydarzu rada bym zawiesić oko na jakiejś heroinie: czyżby pozostała mi tylko Zulejka?

To imię przylgnęło w literaturze post-biblijnej do pierwotnie bezimiennej żony Potifara. Jej mąż nabywa sprzedanego do Egiptu Józefa i czyni zdolnego młodzieńca swoim ekonomem. Według midraszu Józef smakuje władzy i zaczyna m.in. trefić włosy, co wywołuje Boży niesmak w obliczu nieutulonej rozpaczy Jakuba po domniemanej stracie syna i sprowadza nań natychmiastową karę w postaci awansów Zulejki. Komentatorzy – zażenowani? – spieszą, by dwutorowo wyjaśnić kobiecą inicjatywę. Po pierwsze, winna jest zniewieściałość malującego oczy młodzieńca. Po drugie, dzięki astrologii Zulejka wie, że będzie niańczyć dzieci Józefa, ale nie ma jasności co do tego, kto je urodzi: ona czy jej córka. Znamienne jest takie postrzeganie kobiecego pożądania: kobieta inicjuje seks, bo w ten sposób chce osiągnąć coś innego, na czym jej zależy – na przykład na urodzeniu potomstwa, które spłodzi człowiek sprawiedliwy.

Nadchodzi – wedle Talmudu – dzień świąteczny, gdy kto żyw spieszy do pogańskiej świątyni, i Potifarowa żona, udając niedyspozycję, pozostaje sam na sam z Józefem. Ten odrzuca jej awanse, wtedy Zulejka oskarża go o próbę gwałtu i ten zostaje wtrącony do więzienia. Dzięki umiejętnej interpretacji snów faraona los Jakubowego syna znów się odmienia. Józef dostaje władzę, a wraz z nią – egipskie imię i egipską żonę: Osnat, córkę Potifery. Rabinom nie mieści się w głowie, że sprawiedliwy może poślubić bałwochwalczynię, w pierwszej przymiarce rzucają więc myśl, że przed ślubem przechodzi ona konwersję na judaizm. Następnie sugerują, że zadziwiające podobieństwo imion „Potifar" i „Potifera" to nie zwykły zbieg okoliczności, lecz jest to jeden i ten sam człowiek.

Jak to możliwe? Według midraszu Osnat jest córką Diny z gwałtu, którego dopuścił się na niej Sychem. Bracia Diny nie mogą znieść niezbywalnego dowodu na dyshonor klanu i chcą pozbyć się dziecka. Dziadek wiesza Osnat na szyi złotą ozdobę z napisem, który pozwala ją zidentyfikować i zostawia ją pod krzewem (hebr. *sne*, stąd imię dziewczynki). Dziecko trafia do Egiptu, gdzie bezdzietna żona Potifara wychowuje ją jako własną córkę. Na motywach tej historii powstał starożytny żydowski romans „Józef i Asenet" (tak nazywa się Osnat w Septuagincie). Również w nim Asenet decyduje się przyjąć wiarę przyszłego męża i powraca na łono Jakubowego klanu. Efraim i Manasses są więc „koszernymi" dziećmi i ich rodzice mogą żyć długo i szczęśliwie. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Rozdarł niebo i ziemię

Prorok Izajasz prosił Boga: „Obyś rozdarł niebo i zstąpił, a góry zatrzęsą się przed Tobą" – i Bóg spełnił jego prośbę. „Lud chodzący w ciemności ujrzał wielkie światło, a tym, którzy przebywali w mrocznej krainie śmierci, zajaśniało światło. Powiększyłeś radość, pomnożyłeś wesele! Rozradowali się przed Tobą jak radośni są we żniwa, jak się radują przy podziale łupów". Tę radość z podziału łupów możemy sobie podarować, pamiętamy przecież, że ci „którzy za miecz chwytają, od miecza giną". Zaś ta żniwna radość jest udziałem tych, których praca przyniosła „obfity owoc". Oto po latach wojny wynegocjowano pokój. Po wielu badaniach rozpoczynamy produkcję nowego leku, albo: po wielu staraniach wuj wreszcie dał się namówić na odwyk itd.

W adwencie śpiewaliśmy: „Niebiosa, rosę spuście nam z góry, Sprawiedliwego wylejcie chmury. Roztwórz się, ziemio, i z łona twojego wydaj nam, wydaj już Zbawcę naszego!". Czyli obiecany przez Boga Zbawiciel nie przyjdzie spoza granic Wszechświata, ale Ziemia się „roztworzy" i wyda Zbawcę. To się już dokonało w Nazarecie i Betlejem.

W każdą niedzielę osobiście ogłaszamy światu: „Wierzę w (...) Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, Jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami. Bóg z Boga, światłość ze światłości. (...) On to dla nas, ludzi, i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba. I za sprawą Ducha Świętego przyjął ciało z Maryi Dziewicy, i stał się człowiekiem". Z tego wynika, że nie można oddzielać Boga od świata, jak nie można oddzielić bóstwa Jezusa od Jego człowieczeństwa, duszy od ciała, wieczności od doczesności, jednym słowem ziemi od nieba.

Jezus, „Bóg z Boga", przychodzi do nas z łona Ojca i z łona Maryi, kobiety „z prochu ziemi". I tak więc dzięki temu rozdarciu nieba i ziemi, dokonanemu przez Jezusa 2 tysiące lat temu, my ludzie zobaczyliśmy, że kosmos jest domem Boga, a my jego domownikami. Nie jesteśmy prochem i w proch się nie obrócimy, skoro jesteśmy szczęście Boga. Jest się z czego cieszyć. Ale, żeby nasza bożonarodzeniowa radość „była doskonała", musi wynikać z radości domowników Boga i z radości samego Boga. Dlatego nie każmy Jezusowi, nadal szukającemu schronienia, dalej czekać u bram naszych domów i osiedli, u zadrutowanych bram Europy i Ameryki Północnej. Jezus mówi: „Będziecie zaś trwać w mojej miłości, jeśli zachowacie moje przykazania. (...) Powiedziałem wam to, aby wypełniała was moja radość i aby ta radość była doskonała. To jest bowiem moje przykazanie, abyście się wzajemnie tak miłowali, jak Ja was umiłowałem". Pamiętamy: „Wszystko, co zrobiliście dla jednego z tych najmniejszych moich braci...". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Jak dzieci

Paweł podniósł się z ziemi
i co zobaczył? Nic.
Znaczy to
– kiedy się podniósł,
w żadnej rzeczy
nie widział nic
poza Bogiem.

MISTRZ ECKHART

Jest prawda,
prawda prawdy i pokój.
Prawdą jest:
„Chłopiec ukradł jabłko”.
Prawdą prawdy:
„Chłopiec był głodny”.
Pokój brzmi:
„Nikt nic nie ukradł.
Teraz daj chłopcu jabłko”.

NACHMAN Z BRACŁAWIA

Wybrał PIOTR SIKORA

„Z KIM MAM PORÓWNAĆ to pokolenie? – pytał nas Jezus niedawno w liturgii (Mt 11, 16-19). – Podobne jest do przesiadujących na rynku dzieci, które głośno przymawiają swym rówieśnikom: »Przygrywaliśmy wam, a nie tańczyliście; biadaliśmy, a wy nie zawodziliście«. Przyszedł bowiem Jan, nie jadł ani nie pił, a oni mówią: »Zły duch go opętał«. Przyszedł Syn Człowieczy, je i pije, a oni mówią: »Oto żarłok i pijak, przyjaciel celników i grzeszników«. A jednak mądrość usprawiedliwiona jest przez swoje czyny”.

To pokolenie wcale nie przeminęło; przeciwnie – ma się bardzo dobrze. Dzisiejsza wersja jego pretensji mogłaby brzmieć na przykład następująco: gdy podczas liturgii śpiewają chorał – „Nudziarstwo”, „Skamienielina”, „Kto to jeszcze rozumie?!”; za to, gdy zaśpiewają kawałek nowoczesnej muzyki, wzmocnionej dodatkowo kilkoma ruchami czy tańcem – „Dyskotekę robią w kościele! Kto dopuścił do takiej profanacji?!”.

Zawsze oburzenie, i zawsze po to, by ostatecznie nigdy niczego w ogóle nie zaśpiewać. By nigdy nie wziąć udziału ani w pogrzebie, ani w weselu. Mimo że zapraszającym w obu przypadkach jest Bóg. Nic jednak nie jest w stanie ich poruszyć; są jak znudzone wszystkim dzieci, którym „się nie chce”. Nic ich nie zaskoczy; wszystko już było; wszystko już przerobiły...

A Jezus mówi: „Mądrość usprawiedliwiona jest przez swoje czyny”. Nie przez równie wygadaną, co jałową krytykę. Asceza radykalna? Wariactwo! Radość i miłosierdzie? Laksyzm i rozmywanie zasad! Jakże łatwo przychodzi osąd. Wygłoszony z pozycji eksperta. A Jezus mówi: pokaż mi swoje czyny! Na jakie działanie ta twoja wiedza się przełożyła? Co zrobiłeś? Co zrobiłeś razem z Bogiem?

Warto jeszcze sięgnąć do równoległego zapisu tej wypowiedzi Pana Jezusa u św. Łukasza (zob. 7, 31-35). W wersji Łukaszowej ostatnie zdanie Jezusa brzmi: „A mądrość usprawiedliwiona jest przez wszystkie swoje dzieci”.

W tym ujęciu dziecinadzie swoich adwersarzy Jezus przeciwstawia prawdziwego ducha dziecięctwa Bożego. Dzieci Mądrości przyznają Bogu rację. Akceptują Jego zaproszenia – nawet jeśli nie zawsze przychodzi im z łatwością je przyjąć. Płaczą z Nim, gdy On płacze; tańczą, gdy zaprasza do środka swojej radości. Nie muszą wszystkiego do końca rozumieć. Argumentem jest relacja – bliska, zażyła, pełna zaufania.

Przed nami Boże Narodzenie. Bóg staje się Dzieckiem. Bóg uczy nas dziecięctwa. Wzywa nas do dziecięctwa. Nie do dziecinady. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (20 XII – 3 I)

4. niedziela Adwentu: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16; Ps 89; Rz 16, 25-27; Łk 1, 26-38;
Poniedziałek: PnP 2, 8-14; Ps 33; Łk 1, 39-45;
Wtorek: 1 Sm 1, 24-28; 1 Sm 2; Łk 1, 46-56;
Środa: Ml 3, 1-4. 23-24; Ps 25; Łk 1, 57-66;
Czwartek: 2 Sm 7, 1-5. 8b-12. 14a. 16; Ps 89; Łk 1, 67-79;
Piątek, Uroczystość Narodzenia Pańskiego: Iz 62, 1-5; Ps 89; Dz 13, 16-17. 22-25; Mt 1, 1-25;
Sobota: Dz 6, 8-10; 7, 54-60; Ps 31; Mt 10, 17-22;
Niedziela, święto Świętej Rodziny: Rdz 15, 1-6; 21, 1-3; Ps 105; Hbr 11, 8. 11-12. 17-19; Łk 2, 22-40.
Poniedziałek: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 124; Mt 2, 13-18;
Wtorek: 1 J 2, 3-11; Ps 96; Łk 2, 22-35;
Środa: 1 J 2, 12-17; Ps 96; Łk 2, 36-40;
Czwartek: 1 J 2, 18-21; Ps 96; J 1, 1-18;
Piątek, uroczystość Świętej Bożej Rodzicielki Maryi: Lb 6, 22-27; Ps 67; Ga 4, 4-7; Łk 2, 16-21;
Sobota: 1 J 2, 22-28; Ps 98; J 1, 19-28;
2. niedziela po Narodzeniu Pańskim: Syr 24, 1-2. 8-12; Ps 147B; Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18.

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

+ PREZENT!

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dołącz do grona naszych Prenumeratorek i Prenumeratorów i ciesz się wyjątkowym prezentem

„Ks. Adam Boniecki. Ćwiczenia z optymizmu. Książka do pisania”
– to wyjątkowy notes z fragmentami wypowiedzi księdza Bonieckiego ilustrowany zdjęciami autorstwa Grażyny Makary i z prywatnego archiwum bohatera książki.

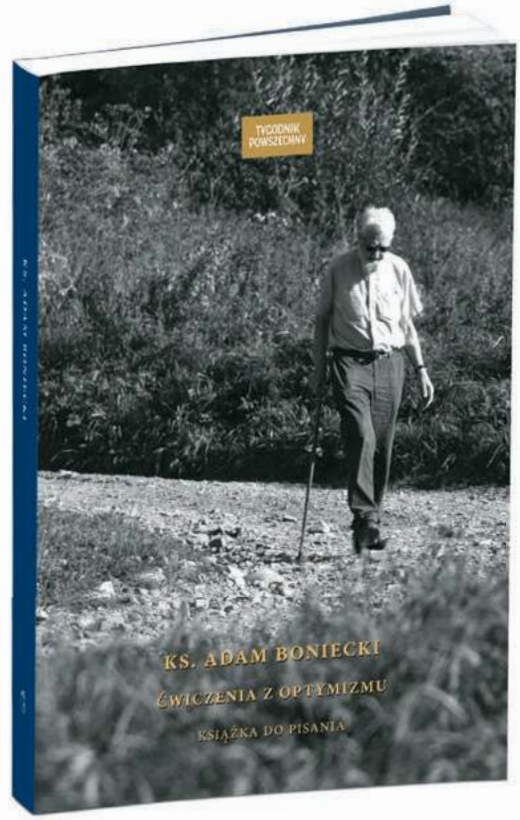

Jak go otrzymać?

1. **Już dziś** zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate** lub przez wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. „Książkę do pisania” otrzymasz razem z wydaniem „TP” 3/21 (17 stycznia 2021) – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

   Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 3 stycznia 2021 r. będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”*.

* Nie dotyczy Prenumeratorów, którzy swój egzemplarz otrzymali wraz z poprzednim wydaniem „Tygodnika”

Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych.
Jak zachować optymizm i pogodę ducha?
Jak nie poddać się zwątpieniu?
Czy Bóg ma poczucie humoru?
Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadł redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY

AUSTERIA

PARTNER:

ZAIKS

PARTNER MEDIALNY:

RMF Classic

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA NA OKŁADCE GRAŻYNA MAKARA DLA „TP”

KRAJ

POLSKA GOTOWA NA SWOJEGO BIDENA

Partia rządząca i największa siła opozycji albo straciły, albo nic nie zyskały na protestach. Nasze zmagania nie muszą się kończyć nokautem, a ten, kto wygra następne wybory, będzie zwycięzcą na punkty.

JAROSŁAW FLIS

ARTUR WIDAK / NUR PHOTO / AFP / EAST NEWS

Co mają wspólnego amerykańskie wybory z protestami w Polsce po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z października – poza tym że to dwa najbardziej spektakularne zdarzenia kończącej się jesieni? Z pozoru niewiele – Joe Biden zostanie wkrótce prezydentem, nic natomiast nie wskazuje, by oficjalne postulaty zgłoszone przez Ogólnopolski Strajk Kobiet przełożyły się na rzeczywistość. Lecz tym, co łączy rdzeń amerykańskich Demokratów z tą polską organizacją, jest przekonanie o nieuchronności nie tyle własnego zwycięstwa, co politycznego nokautu przeciwników i wiara w radykalną zmianę rzeczywistości społecznej. Rzeczywisty bieg zdarzeń nie potwierdził tych przekonań.

Rozgorączkowanie – widoczne także na ulicach USA w trakcie wcześniejszych ulicznych protestów antyrasistowskich – nie oznacza, że dojść musi do czarno-białych rozstrzygnięć. Zwycięstwo Bidena wcale nie było przytłaczające. Owszem, Republikanie nie obronili urzędu prezydenta, lecz Demokraci stracili z kolei nieco mandatów w Izbie Reprezentantów, a sprawę większości w Senacie rozstrzygnie druga runda w Georgii 5 stycznia. Nawet w najbardziej korzystnym dla Demokratów scenariuszu ich senacka większość będzie wisieć na włosku.

W Polsce też nic nie wskazuje, by najbardziej radykalne postulaty Strajku Kobiet w jakikolwiek sposób przybliżały się do realizacji wraz z mijającymi tygodniami. Na razie wymiernym sukcesem jest praktyczne zawieszenie wyroku Trybunału (czyli to, że rząd wstrzymał, naginając prawo, jego publikację). Ale to i tak mniej niż skromne zwycięstwo Bidena. Obydwie te sytuacje każą się zastanowić, dlaczego wyobrażenia o jednoznaczności całej sytuacji, będące udziałem aktywistów i zagorzałych zwolenników, nie znajdują potwierdzenia w zachowaniach społecznych.

Dziennikarz i Czepiec po latach

Po pierwsze – entuzjazm wywołany w USA przez Trumpa, podobnie jak i fakt, że PiS pomimo znaczących strat sondażowych dalej jest największą partią na polskiej scenie politycznej, pokazują, do jakiego stopnia obóz ich przeciwników dźwiga brzemię przeszłości. A w jeszcze większym stopniu – jak bardzo zmieniły się relacje pomiędzy „ludem" a „patrycjatem", czyli lepiej ustawioną i wykształconą, lecz przede wszystkim uważającą się za „oświeconą" częścią społeczeństwa. Skala problemu chyba ciągle nam wszystkim umyka.

Aby uzmysłowić sobie relacje pomiędzy patrycjatem a ludem, wróćmy do cza-

Instalacja „Alicja w Krainie Czarów" w Ogrodzie Doświadczeń w Muzeum Inżynierii Miejskiej w Krakowie, 7 grudnia 2020 r.

sów Wyspiańskiego i zastanówmy się, jak dzisiaj wyglądałaby rozmowa Dziennikarza z Czepcem na wiejskim weselu. Kiedyś stopień rozeznania w świecie, a także zasobności osobistej czy skali kontaktów, możliwości działania i sprawdzania wiedzy, tworzyły między nimi przepaść. Można porównać to do relacji pomiędzy 35-latkiem a jego pięcioletnim bratankiem. Przewagi pierwszego są pod każdym względem kolosalne. Oczywiście każdy pięciolatek testuje swoje zdanie i możliwości, jednak podchodzenie z szacunkiem do tych działań wynika raczej z ogólnej kultury niż z realnego respektu dla jego siły.

Teraz wyobraźmy sobie tę sytuację 20 lat później. Oczywiście, 55-latek może nadal mieć wiele przewag nad 25-latkiem. Może być zamożniejszy, lepiej zorientowany i ustosunkowany. Ma więcej doświadczeń, często lepsze stanowisko. Ale jeśli 55-latek będzie traktował 25-latka tak jak kiedyś 5-latka, mogą go spotkać bolesne riposty i nieprzyjazne reakcje. Charakter jego wpływu, jeśli chce go zachować, wymaga zupełnie innego podejścia.

Krakowski dziennikarz rozmawiający dzisiaj z miejscowym na wiejskim weselu będzie się od niego o wiele mniej różnił niż przed 120 laty. I nie chodzi tylko o strój; możliwości przemieszczania się, osobisty majątek, dostęp do informacji o świecie – to wszystko bardzo się zrównało. Jedna rzecz może pozostać po staremu, bo wydaje się głęboko zakorzeniona w psychologii ewolucyjnej. Tu jednak warto odwołać się już nie do ↦

↦ Wyspiańskiego, lecz do najnowszych ustaleń naukowców.

Sztywniacy i ważniacy

Badania przeprowadzone przez amerykańskich psychologów pokazują, że osoby o radykalnych poglądach są mniej chętne do weryfikowania swojej wiedzy o świecie, decyzji czy wyobrażeń na temat rzeczywistości. Dotyczy to obu końców amerykańskiego spektrum – postępowców i konserwatystów. Nieco inne są tylko motywacje, które przesądzają o poznawczej oszczędności w weryfikacji własnych wyobrażeń. Nie jest pewnie zaskoczeniem, że zwolennicy Republikanów wykazują się większą sztywnością, zwaną przez badaczy dogmatyzmem. Przywiązanie do swoich przekonań i do tego, co zostało już oswojone, bez wątpienia charakteryzuje ludzi wykazujących się w życiu ostrożnością.

Nie jest jednak tak, że po drugiej stronie dogmatyzm zanika. Ubywa go wśród umiarkowanych z obu stronnictw, lecz na drugim końcu znów idzie w górę. Jest do tego wzmacniany przekonaniem o wyższości własnych poglądów. Po stronie postępowej „sztywniacy" zastępowani są przez „ważniaków", ale efekt może być dokładnie ten sam. Przekonanie, że skoro jestem mądrzejszy i wiem lepiej, to nie muszę już niczego sprawdzać, również jest sposobem na rozjazd z rzeczywistością. Jedni są przekonani, że nie mogą się mylić, bo mocno wierzą w to, w co wierzą, drudzy zaś są nieomylni, bo przecież lepiej orientują się w tym, co się dzieje. A każdy ma kłopot z dopuszczeniem do siebie myśli, że może być w błędzie.

Jeśli coś poza taką symetrią jeszcze łączy oba bieguny, to nieoczywisty związek pomiędzy rewolucyjnym zapałem a zachowaniem *status quo*. Tym, co łączy Trumpa z politykami PiS, jest rewolucyjny zapał w głoszeniu powrotu do przeszłości. Choć literalnie chodziło mu o powrót wielkiej Ameryki, to przecież oczywiste było, że chodzi o powrót przewidywalności i niegdysiejszego społecznego ładu. Druga strona w istocie przejawia podobne tęsknoty, tylko do innych elementów „starych, dobrych czasów". Czasów, gdy wiara w postęp nie była podważana. Żaden lewicowy polityk nie głosił, że świat zdąża ku zgubie, przeciwnie, starał się utwierdzić innych w przekonaniu, że wszystko idzie ku lepszemu, a kierunek tych zmian jest oczywisty i łatwy do rozpoznania.

Tak czy owak, dzisiaj świat już taki nie jest. Zarówno stary ład, jak i stara wiara w postęp są wystawiane na rozliczne próby. Raz za razem zderzają się z problemami, w których część odpowiedzi pochodząca ze starych wzorców – także tego postępowego – do realiów już nie pasuje. Jednocześnie po obu stronach rewolucyjna retoryka najczęściej maskuje brak realnych pomysłów czy ignorowanie problemów, na które nie zna się odpowiedzi.

Medialna skandalizacja i (anty)społecznościowe platformy w internecie uwypukliły stanowiska radykalnych „sztywniaków" i „ważniaków". Bardziej rzuca się dziś w oczy kontrast pomiędzy nimi niż podobieństwo ich warunków życiowych. Dzisiejsze subtelne różnice w subiektywnym społecznym statusie cały czas są wpychane na siłę w dawno pokruszone ramy. To one, nie zaś realne społeczne dylematy, potęgują napięcia pomiędzy kolejnymi pokoleniami Dziennikarzy i Czepców. Choć większości problemów, którymi żyli bohaterowie „Wesela", dawno już nie mamy, to jednak tamto napięcie pozostało, nawet jeśli inaczej skonfigurowane.

Bez nowej jakości

Niezwykle wyrównany wynik amerykańskich wyborów pokazuje, że siły obu stron są podobne. Radykałowie po obu stronach przyjmują to z niedowierzaniem. Po jednej panuje głęboka wiara w to, że rzeczy wygadywanych przez Trumpa nie da się zaakceptować. Z drugiej strony króluje przekonanie, że stare i nowe pomysły postępowych elit są oderwane od rzeczywistości i nie ma żadnych szans, by wyszły one z wyborczego starcia zwycięsko. Oba te poglądy zostały zweryfikowane w specyficzny sposób.

Okazuje się, że pomiędzy tymi biegunami ciągle są osoby o mniej jednoznacznych poglądach. We wspomnianych badaniach przekładało się to zwykle na przekonanie, że rzeczywistość jest skomplikowana i zawsze warto włożyć większy wysiłek w upewnienie się, jak jest naprawdę. Jeśli w naszych pogmatwanych czasach coś jeszcze łączy oba bieguny, to uzależnienie ewentualnego sukcesu wyborczego od tej części społeczeństwa, która jest mniej przekonana do jednoznacznych racji.

Symbolem tego jest właśnie sam Biden. Trudno go nazwać nową jakością w amerykańskiej polityce. Można by się jej doszukiwać w jego kandydatce na wiceprezydentkę, Kamali Harris, choć w trakcie prawyborów reprezentowała ona raczej umiarkowany, a nie rewolucyjny nurt w samej partii. Naprawdę jednak o zwycięstwie Demokratów przesądziły uciułane z najwyższym trudem punkty.

Skromna skala sukcesu nie wynika z niedoboru rewolucyjnego zapału. Kluczowa okazała się umiejętność zagospodarowania części tego zapału i połączenia go z ostrożnością i przewidywalnością, której uosobieniem jest Biden. To tak naprawdę triumf „partii umiarkowanego postępu w granicach prawa", którą kiedyś wymyślił Jaroslav Hašek. Nie wiemy, czy pozwoli to na rozwiązanie realnych problemów. Wiemy, że zwycięstwo Obamy jako kandydata wielkiej zmiany trudno z perspektywy dekady nazwać czymś, co przenicowało USA. Mogą na to wskazywać pojedyncze sprawy, ale liczba tych, w których nic się nie zmieniło, jest potężna.

W sieci łatwiej się spotkać

Jak ma się to do polskich problemów? Joe Biden wygrał bez entuzjazmu z kandydatem, który wprawdzie wywoływał entuzjazm, ale niewystarczający do sukcesu – odpowiedniki tej sytuacji możemy dostrzec na polskiej scenie politycznej. Być może Trumpa byłby w stanie pokonać z większym przytupem ktoś dysponujący charyzmą i dający zagorzałym zwolennikom nadzieję triumfu, który nie sprowadza się tylko do odsunięcia od władzy starego prezydenta, ale zawiera też widowiskowy program pozytywny. Charyzmatyczne przywództwo jest jednak cechą pożądaną, ale rzadką. Demokraci, choć to napędzana milionami dolarów machina, otwarta na rekrutację kandydatów spośród elit 300-milionowego państwa, nie znaleźli nikogo, kto zdołałby wywołać szczery entuzjazm większości stronnictwa, a nie tylko poparcie z poczucia obowiązku i na zasadzie wyboru mniejszego zła.

Nasza opozycja, pomimo całego szeregu różnic, ma podobne problemy jak amerykańscy Demokraci. Ideowe rozczłonkowanie i personalne słabości liderów nasuwają się jako pierwsze. Przebieg wydarzeń związanych ze Strajkiem Kobiet jest dowodem na to, jak trudno zorganizowanej w ten sposób opozycji zagospodarować spektakularny wybuch niezadowolenia społecznego i protestów na niespotykaną dotąd skalę. Pomimo jednoznacznego

wsparcia zasadniczych postulatów kobiet przez Lewicę, jej notowania ani drgnęły. Deklaracje czołowych polityków PO, którzy pod wpływem protestów ogłosili śmierć pilnowanego niegdyś przez nich kompromisu aborcyjnego (co w zasadzie oznacza poparcie dla liberalizacji ustawy), nie przyniosły tej partii wzrostów. Spadki poparcia dla PiS oznaczały w pierwszej kolejności wzrost w rubryce „trudno powiedzieć", ale i nadzieję dla poszukiwaczy nowych opcji – w szczególności wzrost poparcia dla Hołowni.

Fakt, że partia rządząca i największa siła opozycji albo straciły, albo nic nie zyskały na protestach, ośmielił tych, którzy, jak się wydawało, zostaną zmiażdżeni przez radykalizację. Przykładem PSL. Choć nie wszystkie jego gambity są do końca zrozumiałe – w szczególności rozstanie z Kukizem – to jednak pokazują poszerzające się pole manewru. Ludowcy kierują swoje działania raz w stronę PiS, wystawiając dość prowokacyjną ofertę rozbicia koalicyjnej większości, raz w stronę partnerów z bloku senackiego (z postulatem szerszego porozumienia i umocnienia pozycji mniejszych ugrupowań). Być może to początek nowej gry – efekt uświadomienia sobie, że nasze zmagania też nie muszą się kończyć nokautem. Że ktoś, kto wygra następne wybory, będzie zwycięzcą na punkty.

Wiemy już, że będzie to zupełnie inna rozgrywka – nie mamy jednak pojęcia, jak zmieni ją pandemia. Widzimy, że pewne zmiany są już możliwe. Wzrosty poparcia nowej partii Hołowni mają sporo wspólnego z innym, nowym zjawiskiem na polskiej scenie politycznej, czyli wzrostem aktywności samorządowych liderów. Wspólną płaszczyzną dla jednej i drugiej inicjatywy jest to, że istotna jest dla nich sieć. Stare media są tylko jednym z pomocniczych narzędzi, zaś sejmowe kuluary, które i tak pustoszeją wskutek sanitarnych obostrzeń, okazują się w ogóle niepotrzebne.

> Wraz z końcem pandemii odejdą nadzieje zarówno na wielką rewolucję, jak i kontrrewolucję. **Powróci ostrożne myślenie o tym, jak uczynić świat oswojonym.**

Rzeka o wielu dopływach

Wszyscy mamy już dość spotkań *online* i wolelibyśmy wrócić do kontaktów w realu. Nie zmienia to jednak faktu, że rozmaite rzeczy, dla których do tej pory potrzeba bezpośredniego kontaktu stanowiła barierę, poprzez przyzwyczajenie do nowych metod komunikacji stały się naturalne. Pokazują to takie sytuacje jak „lajfy", czyli nadawane na żywo na Facebooku codzienne wystąpienia Hołowni i spotkania *online* aktywistów jego ruchu.

Podobnie działa stały kontakt pomiędzy samorządowcami. Jeszcze w zeszłym roku zarząd Związku Miast Polskich spotykał się zaledwie raz na parę miesięcy z uwagi na konieczność koordynacji planów wielu bardzo zajętych osób. Dzisiaj może spotykać się nawet kilka razy w tygodniu, bo wystarczy zostawić w kalendarzach godzinne okienko i założyć spotkanie na Zoomie, aby utrzymać stały kontakt rozproszonych geograficznie uczestników. To zaś pozwala z większym rozmachem prowadzić skoordynowane działania. Właśnie te punkty mogą przesądzić o wyniku kolejnych wyborów.

Ci, którzy już składają PiS do grobu, powinni zauważyć, że do zwycięstwa Trumpa wcale nie było daleko. Kilka nieprzemyślanych wypowiedzi mniej lub odpuszczenie sobie paru głupich twittów mogło wystarczyć, by pozostał na stanowisku. Tak samo wygrana Bidena to rzeka o bardzo wielu dopływach – nie wszystkie z nich muszą być tak spektakularne jak protesty Black Lives Matter, ale wiele z nich ma źródła w doświadczeniu, empatii i niedrażnieniu tych, którzy wciąż pamiętają stare grzechy niegdyś rządzących. Szalę przechylić mogą też trzaski słyszalne w partii rządzącej. Po spektakularnym podważeniu wiarygodności przywództwa Jarosława Kaczyńskiego i napięciach ideowych w związku z Unią Europejską są one coraz trudniejsze do opanowania.

Wszystko to może być zapowiedzią faktu, że wraz z końcem pandemii odejdą też nadzieje zarówno na wielką rewolucję, jak i na kontrrewolucję. Powróci ostrożne myślenie o tym, jak uczynić nasz świat oswojonym. W takim oswajaniu jest i troska o przewidywalność, i obietnica zmian na lepsze. Tylko że to nie mogą być zmiany służące samej zmianie czy podkreślaniu czyjejś wyższości. Zmiany przedyskutowane z odpowiedzialnymi ludźmi, solidnie przetestowane pod kątem możliwych efektów i wreszcie niewymuszone. Zaakceptowane także przez tych, którzy wiedzą, że proste odpowiedzi na skomplikowane pytania mogą być błędne.

© JAROSŁAW FLIS

REKLAMA

Gruba Berta i inne zaklęcia

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Do walki ze złymi myślami Reni – o rezonansach, chemiach, lecących na łeb płytkach krwi – zaangażowali armię. Z Dupkiem i Glutkiem na czele.

Na drugą stronę można przejść przez niebieską, odrapaną bramę. Z pozoru te przestrzenie niczym się od siebie nie różnią – tu i tam budynki, tu i tam gołe konary drzew, tu i tam pod butami skrzypią resztki zmrożonego śniegu. I po tej, i po tamtej stronie słychać łoskot samochodowych silników.

Granica tkwi więc bardziej w głowie Tomasza Zająca, czterdziestolatka, z którym w mroźne grudniowe przedpołudnie spacerujemy wokół gigantycznego kompleksu budynków Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie. Pogodną twarz Tomasza zasłaniają maseczka i zaparowane denka okularów – środki ostrożności weszły mu w krew na długo przed epidemią.

Podobnie jak tutejsze krajobrazy. Nawet z zawiązanymi oczami mógłby powiedzieć: te okna to hematologia, tamte OIOM, za nami parking. A tuż przed nami, za niebieską bramą, jedyny skrawek tej przestrzeni, który dobrze mu się kojarzy.

Trzydzieści kilka miesięcy, które ma za sobą jego rodzina, to też ponad trzy lata prób przekraczania tej bramy. Gdy inaczej się nie dało – tylko w wyobraźni.

Szpital zamiast sanek

Jesień 2017 r. „Mamo, tato, znowu boli mnie głowa" – słyszą od 7-letniej Reni Iwona i Tomasz Zającowie z Przemyśla. Ona jest, jak o sobie mówi, „wredną, rudą panią od kartkówek": uczy polskiego w szkole. On, z wykształcenia filozof, „zdobywa pieniądze" w agencji nieruchomości. Tamtej jesieni Renia od kilku tygodni chodzi do pierwszej klasy.

Ból głowy i wymioty pojawiały się pod koniec lata, ale potem przeszły. – Inne niespecyficzne objawy też nie dawały aż tak do myślenia. Kto by się przejmował, że siedmiolatka nie trzyma prosto ołówka? – wspomina dziś Iwona.

Ale już w grudniu zaczynają rajd po gabinetach: robią Reni morfologię, idą do okulisty i neurologa. „Tarcze źrenic nie są do końca ostre" – słyszą.

Piątek, szpitalny korytarz, Iwona i Tomasz czekają na opis rezonansu. Weekend mają zaplanowany: wspólne sanki. Tomasz: – Zobaczyłem wybiegającą z dyżurki lekarkę. Pomyślałem: biegnie, bo się spieszy, bo kończy pracę, bo jest jakiś inny powód.

Iwona: – Byłam pewna, że powie: „Jest OK". A gdy zobaczyłam jej niewyraźną minę, pomyślałam: „Pewnie zostajemy, ktoś zapomniał, że wynik był na cito".

Zamiast tego Zającowie słyszą: guz mózgu. I jeszcze: „Za pół godziny wyjazd karetką do Krakowa". Iwona: – Wchodzisz do sali, w której leży twoje dziecko. Chce usłyszeć: „Idziemy do domu". A ty się musisz uśmiechnąć i powiedzieć: „Nie idziemy". Rozpłakałam się. Mimo że wtedy byliśmy pewni: operacja, a potem do domu.

Z rejestracji w krakowskim szpitalu zostanie im obraz olbrzymów: doktor pierwszy, doktor drugi, rejestratorka, pielęgniarka i oni sami stoją, a półtora metra niżej widać głowę siedzącej na krzesełku Reni. – Ten obraz, którego znaczenie odkryliśmy później, to była lekcja: kucać do poziomu jej wzroku. I dosłownie, i metaforycznie. Żeby z nią rozmawiać, wsłuchiwać się w to, co czuje, mówić do niej, a nie o niej.

Operacja: skok w nieznane. I niekończące się półtorej godziny czekania. Potem słowa profesora: „Jeśli to »jedynka« [stopień złośliwości guza – red.], to jest dobrze; jeśli »czwórka«, zostało maks pięć lat". Iwona: – W ten sposób to nawet ja nie przekazuję informacji o złej ocenie w szkole.

Medulloblastoma, rdzeniak zarodkowy – złośliwy nowotwór u dzieci. Rokowania: niepewne. Taką dostają diagnozę.

Półtora miesiąca Renata przeleży na OIOM-ie. Z rurką tracheostomijną, pod

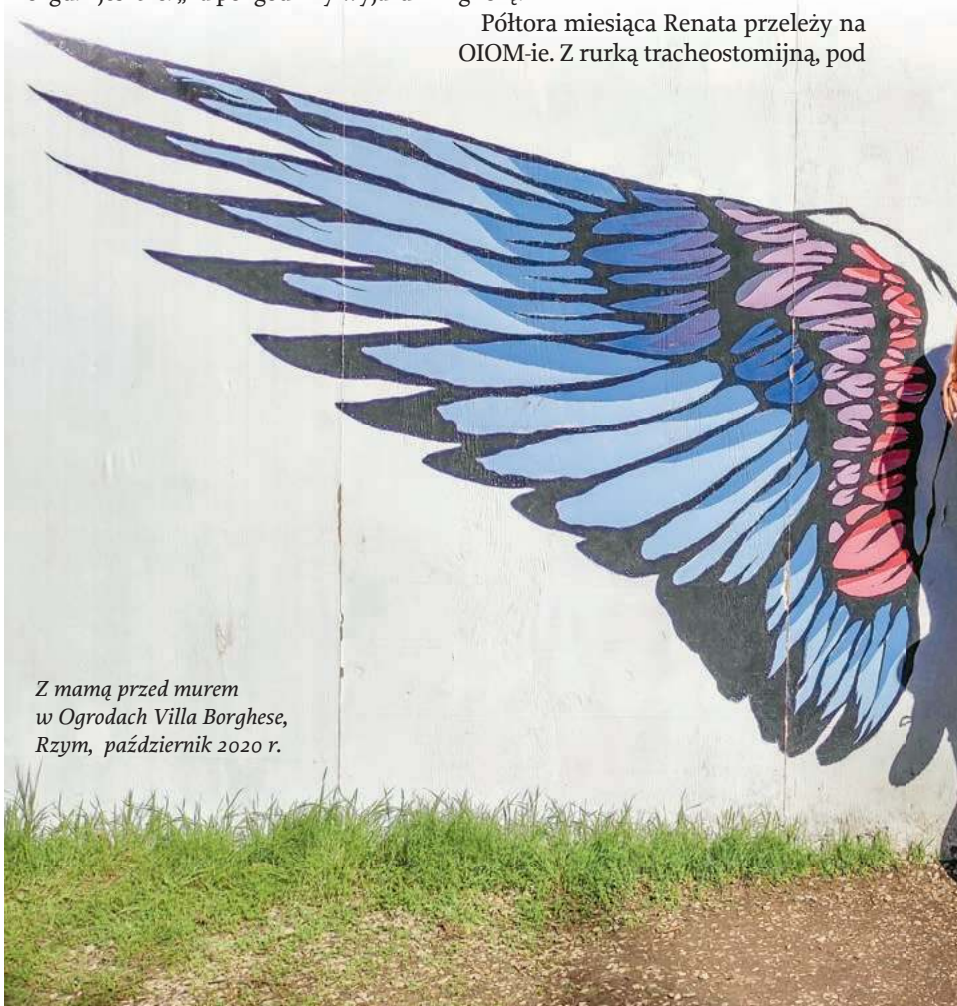

Z mamą przed murem w Ogrodach Villa Borghese, Rzym, październik 2020 r.

respiratorem, w stanie krytycznym. Pewnego wieczora ok. 23 Tomasz dostaje telefon ze szpitala: „Pana córka umierała". Wysunęła się rurka, lekarze ruszyli do resuscytacji.

Po półtora miesiąca Renia przechodzi na inny oddział. Nadal nie może wstawać. Wciąż nie jest w stanie normalnie się komunikować („Wyobraźcie sobie, że przez tak długi czas możecie porozumiewać się z bliskimi jedynie wskazując na tabliczce litery alfabetu" – napiszą rodzice na profilu FB Reni).

Przez te miesiące Iwona i Tomasz są przy córce, gdy tylko jest taka możliwość. Dyżuruje jedno – drugie jest w tym czasie zwykle w Przemyślu, u Artura, brata Reni.

Oddech

Po pierwsze: ważna jest przestrzeń.

Ta, po której oprowadza mnie Tomasz Zając (przyjechał do Krakowa, by odebrać płytkę z wynikami badań), wryła się w ich psychikę jak przewlekła choroba. Do tego stopnia, że gdy przystajemy podczas godzinnego spaceru, Tomasz wśród setek okien potrafi wskazać to jedno („Gdy nie mogliśmy wieczorem wejść, widzieliśmy palące się światło w jej izolatce"). Tak bardzo, że gdy wiele miesięcy później przejeżdżali wraz z Renatą przez Kraków, usłyszeli: „Omińmy Prokocim".

Czy to podczas pobytu w szpitalu, czy nie, Zającowie poruszają się jak po labiryncie z ograniczoną liczbą korytarzy. Dom. Szpital w Przemyślu. Trasa Przemyśl-Kraków. Prokocim. Kraków-Przemyśl. Dom.

Tomasz kocha góry, ale od ponad trzydziestu miesięcy oboje trzymają się zasady: nie wyjedziesz tam, skąd powrót zajmie ci dłużej niż godzinę. Bo co, jeśli Reni spadnie poziom leukocytów i trzeba będzie pędzić do Krakowa? Tomasz złamał tę zasadę raz, wybierając się na i tak nieodległą od Przemyśla Tarnicę. – I czułem się z tym fatalnie – wspomina. – Renata miała spadek krwinek, ja w drodze na szczyt nie miałem zasięgu. Zadzwoniłem ze szczytu: wszystko OK. Potem zejście i do domu. Więcej nie spróbowałem.

Spacerując wokół szpitala, dochodzimy do budynku, którego seledynowa i blado pomarańczowa elewacja łamie tutejszy szary krajobraz: należący do Fundacji Ronalda McDonalda dom dla rodzin pacjentów. – To przejście to był dla nas wtedy ważny moment – wspomina Tomasz, gdy stoimy nieopodal wspomnianej niebieskiej bramy, łączącej teren szpitala z obszarem Domu McDonalda – Najpierw, gdy Renia była przykuta do łóżka, któreś z nas przychodziło tu samo. Później mogliśmy przyprowadzać także ją. Do apartamentu jak z hotelu, gdzie się można ubrać, umyć, zjeść, napić kawy z ekspresu, odpocząć, wyspać. Zrzucić rzeczy, wcześniej ładowane do samochodu spełniającego rolę wielkiej szafy i lodówki. To była mała przestrzeń normalnego życia poza murami szpitala.

TOMASZ ZAJĄC

Zapiski z czasu choroby

Kwiecień 2018, ponad dwa miesiące po operacji.

Artur tak zapamiętał pierwsze wyjście siostry ze szpitalnej sali: „Na oddziale była świetlica, a w niej tłoczno od dzieci (...) Rysowały, wyklejały, malowały, czytały, grały w gry planszowe i bawiły się tak, jakby nic się nie stało. Wszystkie miały raka. Renia dała się w końcu namówić na wyjście z izolatki (...) Wjechaliśmy do świetlicy. Na początku była nieśmiała, natychmiast kazała się zabrać. (...). Po kilku dniach była już stałym bywalcem tego miejsca. Gdy po tygodniach zaczęła rysować, wróciła do swoich marzeń".

Wtedy trwa już drugi etap leczenia: chemioterapia. Niszcząca pozostałą po operacji część guza, ale i organizm. Przez najbliższe miesiące będzie więc tak: chemia, wycieńczenie, spadki płytek krwi. Regeneracja, powrót do sił. Chemia, wyniszczenie, regeneracja. A w przerwach łapanie życia, gdzie się da.

Maj, ósme urodziny. I pierwsza wizyta w domu. Początek czerwca: odwiedziny w szkole. Zostanie po nich fotografia – ona przy tablicy, napis: „Byłam tu, Renia".

W lipcu szpital, znów chemia. Ale też podróżnik Aleksander Doba. Opowiada o walce z falami, o człowieku, który „przesiąka solą jak peklowane mięso". O wzdychających wielorybach oraz o tym, że dziecięce zabawy potrafią uratować życie.

Notatka z września: „W poprzednią niedzielę wyszliśmy na lody. W poniedziałek w szpitalu w Przemyślu toczyliśmy płytki krwi. Wczorajszej niedzieli wyszliśmy do parku na kasztany, dziś toczymy płytki".

1 listopada – tak będzie co roku – Zającowie publikują krótki wpis. Dla Wiktorii, Kacperka, Kuby, Klaudiusza. Jest też cytat z Puchatka: „»A jeśli pewnego dnia będę musiał odejść?« – spytał Krzyś, ściskając Misiową łapkę. »Kiedy się kogoś kocha, to ten drugi ktoś nigdy nie znika«".

↦

TOMASZ ZAJĄC

Zamek Kamieniec, maj 2017 r.

↦ Wigilię 2018 r. spędzają w domu. Ale już Święta – na oddziale. W połowie lutego kolejnego roku kończy się czwarty cykl chemii uzupełniającej. To półmetek. Z marca Iwona zapamięta dzień pracy. Kończy lekcję, przychodzi SMS: złe wyniki morfologii, trzeba pędzić do szpitala. „W domu Renia uczy się matematyki, przy okazji zajada genialne racuchy pani Gieni, za chwilę zorientuje się, że wyciągam walizkę. Z oczu Reni lecą łzy".

Scena z maja, Zającowie wracają z Krakowa. Policjant podczas kontroli omiata wzrokiem pasażerów: „Synek, jak tatuś, bez włosów na głowie". Renia: „Tylko on jest łysy, bo tak lubi. A ja mam raka i jestem dziewczynką!".

Obrazy

Po drugie: ważna jest wyobraźnia.

„Życie jest piękne" Roberta Benigniego Tomasz widział dwa razy. Guido trafia z synkiem Giosuém do obozu koncentracyjnego. Wmawia dziecku, że to, co widzą, to tylko gra, w której i oni, i źli strażnicy gromadzą punkty, walcząc o nagrodę – czołg.

Nie, Tomasz z Iwoną nie oszukują. – Choć nie jest łatwo. Widzisz trzęsącą się bródkę, mówisz: „Renia, ja cię mogę okłamywać, ale po co?" – opowiada Iwona. – Dzieci chorujące tak ciężko szybko stają się dorosłe. Tu nie ma miejsca na to, by coś ukryć.

Ale Iwona z Tomaszem stwarzają z Renią inny – dziejący się równolegle – świat.

Kiedy kończyła się chemia, Iwona kończyła też pisać „Zwierzyniec". Jasnowłosa Kotka znajduje płaczące, wymagające pomocy „ludzkie dziecko". Księżniczka – takie miano zyska znaleziona dziewczynka – będzie odtąd pod opieką zwierząt: np. Alpaki, Lamy, Sarny, Szczygła czy Mrówek z Naczelną Mrówką. Każda z postaci przypomina (wyglądem, gestami, cechami) kogoś ze szpitalnego personelu.

– Mamo – zagai podczas wspólnego tworzenia „Zwierzyńca" Renia.

– Tak?

– Ta kotka to jest jak doktor.

– Dlaczego?

– Bo jej mruczenie leczy.

Stwarzają też Dupka i Glutka. Najzwyklejsze maskotki (zielona małpa i krokodyl) dostają imiona oraz nowe życia: będą jeździły z Renatą na badania, do szpitali. A nawet mówiły, gdy zajdzie taka potrzeba. Np. podczas szpitalnej wizyty Czerwonych Nosków (wolontariuszy z fundacji o tej samej nazwie) Dupek wejdzie – głosem Tomasza – w dialog z założonym na rękę wolontariusza skunksem.

Zegar odlicza czas

Koniec maja 2019 r.: dziewiąte urodziny. W domu, tak jak sobie obiecali. „Patrzę jak zasypiasz, głaszczę Twoją dłoń, która coraz lepiej radzi sobie z pisaniem, chwytaniem, przekładaniem i życzę Ci normalności, w której (...) będziesz roztrząsać babskie dylematy skupione na modzie, pierwszych miłościach, różnicach zdań pomiędzy koleżankami i wszystkich głupotach, jakie młody człowiek powinien przeżyć" – zapisuje Iwona.

W czerwcu znowu normalne życie zbiega się z tym szpitalnym. Końcówka szóstego cyklu chemii – z końcówką roku szkolnego. Odświętnie ubrana Renia stoi na szkolnym placu.

– Tata, psują się żyły, prawda? Ale to nie jest moja wina – mówi pewnego razu Renia.

– To niczyja wina.

– Ale dlaczego musi tak być?

– Nie wiem.

We wrześniu jest badanie rezonansem. Każde kolejne będzie im się kojarzyć z czekaniem na sądowy wyrok: uniewinniający lub skazujący. Ten jest korzystny: pozostała po operacji resztka guza została wygnana przez chemię i trwające równolegle naświetlania.

Scena z października. Szpital, widok odliczającego czas zegara pompy podającej ostatnią dawkę chemii. Piętnaście minut, dziewięć, cztery. I dźwięk: „piiiiiip". „Nie napiszemy, że to dzień chwały i zwycięstwa – notuje Tomasz. – Za bardzo się boję znaczenia tych słów. I zbyt wielki mam szacunek do dzieciaków, które nie dotarły do tego momentu".

Słowa

Po trzecie: nie bez znaczenia jest język.

– Będziesz mnie trzymał za nogę, tak jak zwykle, przez całe badanie? – zapytała Renia tuż przed wjazdem do wielkiej maszyny rezonansu.

– Będę, przez całe badanie.

– I weźmiemy Glutka, nie ma w sobie niczego metalowego, może ze mną wejść do tuby.

– I jego mam też trzymać za nogę?

– Nie musisz, to maskotka, nie odczuwa strachu.

Strach oswajają językiem. Nie tym stworzonym już wcześniej („onkoludki" i „onkoświat" nie kojarzą im się najlepiej) – ale własnym.

Bo „Gruba Berta" brzmi jednak lepiej niż maszyna do rezonansu magnetycznego. „Wampirzenie" – korzystniej niż zwykłe przetaczanie krwi. „Wampiry domowe" i „krwawice szpitalne" – ciekawiej niż dochodzące lub oddziałowe pielęgniarki ze strzykawkami. „Kładzenie płytek" i „budowanie chodników" – łagodniej niż odbudowa krwinek. „Srokocim" – o niebo śmieszniej niż Prokocim.

Z wydanej niedawno książki nauczyciela Przemka Staronia „Szkoła bohaterek i bohaterów" Tomasz wyłowił fragment o desensytyzacji (procesie oswajania ze strachem). A właściwie jego elementach, które Staroń odnalazł w opowieściach o Harrym Potterze: w dziele J.K. Rowling profesor Lupin oswaja uczniów z lękami, konfrontując ich ze stworem Boginem, który przybiera kształt dostosowany do lęku osoby, z którą się styka. Uczeń Ron – cierpiący na arachnofobię – widzi w Boginie wielkiego pająka, którego daje się pokonać zaklęciem Lupina.

„Zaklęcie miało bardzo prosty mechanizm działania: zmieniało przeistoczonego w nasz największy strach Bogina w coś śmiesznego – pisze Staroń. – I tak, jak pokazali twórcy ekranizacji, na odnóżach kroczącego w stronę Rona pająka nagle pojawiły się wrotki, przez co nogi owada rozjechały się we wszystkie strony".

Tomasz: – Czytałem i uświadamiałem sobie, że to o mnie i Reni. I że nie wiedząc o tym, stosowaliśmy tę metodę. Stąd Dupek, Glutek, Gruba Berta, stąd moje wydurnianie się w szpitalu, by w najbardziej

stresującej sytuacji dać Reni uśmiech i oddech od choroby.

Zdrowienie w czasach epidemii

– Tato, ja już skończyłam leczenie?

– I tak, i nie. Skończyłaś chemię, radioterapię i chemię podtrzymującą.

– Tłoczenia płytek i krwi też?

– Mamy nadzieję, że też.

– Czyli już jestem zdrowa?

– Nad zdrowiem jeszcze musimy popracować.

Np. nad okiem, które ucierpiało w wyniku powikłań. Nad sprawnością, którą zniszczyła dwuletnia terapia.

W marcu 2020 r. zaczyna się *lockdown*. Dla Zająców to nic nowego: od dawna noszą maseczki, od miesięcy nawet katar oznacza, że Tomasz albo Iwona śpią poza domem.

Końcówka marca: kolejny rezonans. I znowu „wyrok": czysto. W maju są trzecie już podczas choroby urodziny Reni.

Połowa lipca: znowu złe wieści. Nie ma wznowy, której najbardziej obawiają się rodzice dzieci z rdzeniakiem – ale pojawiły się powikłania na poziomie kręgosłupa.

Znowu wizyty, konsultacje. Jeden z krajowych specjalistów orzeka: potrzebna będzie skomplikowana operacja szyjnego odcinka. Lekarze z Londynu zalecają: najlepszy do operacji będzie prof. Massimiliano Visocchi z Polikliniki Gemelli w Rzymie.

„Stoimy pod Panteonem – notuje już na miejscu Iwona. – Tłumaczę Reni, że w tylu bogów wierzyli starożytni, iż w pewnym momencie trudno było ich odpowiednio uczcić (...) Nachylam się nad moją dzielną dziesięciolatką, twardo stąpającą po świecie, składającą do kupy okruchy swojego dzieciństwa jak rozbitą bezcenną wazę, i modlę się do wszystkich bogów: (...) boga nauki, boga zręczności chirurgów, do boga opieki nad chorymi, boga wytrwałości, boga nadziei, boga walki i uporu, (...) do boga czuwającego nad spełnianiem marzeń, boga ukojenia bólu (...) Modlę się do Boga".

Gra

Po czwarte: najważniejsi są ludzie.

Tomasz: – Sytuacja naszej rodziny: stół z czterema nogami musi teraz stać na trzech, więc nie ma siły, musiał się zachwiać. Mógłby się przewrócić, gdyby nie ludzie.

Jak w wierszu Jarosława Mikołajewskiego, który powiesili na FB („Jest taka stara i mądra gra, / że ja to ty, a ty to ja (...) / Kiedy ktoś smutek w spojrzeniu ma, / pomyśl: »to mógłbym być również ja«").

W grze są tysiące „lajkujących" i udostępniających posty na profilu Reni.

Są setki, którzy wpłacili na zorganizowaną przed wyjazdem do Rzymu zbiórkę: na koszty operacji i rehabilitację (zebrano pełną kwotę).

Gizela – przyjaciółka Reni, która odwiedzała ją w najtrudniejszych momentach choroby.

Krakowska przyjaciółka Iwony: mieszkali u niej przez pierwszy miesiąc leczenia (zanim dostali pokój w Domu McDonalda), nawet gdy byli na oddziale, dostarczała obiad. Tomasz: – Nie odwrócił się od nas nikt z przyjaciół i znajomych.

Iwona zapamiętała jeden z tygodni w pracy. Poniedziałek: „Pani Iwonko, jak będzie trzeba zastępstwo na lekcji, cokolwiek, to proszę mówić" – słyszy od kolegi. Wtorek: inny z kolegów informuje, że jego znajomy chce zasilić zbiórkę wpływami z kilku dni funkcjonowania swojego biznesu. Środa: koleżanka namówiła byłych uczniów na kwestę. Czwartek: inna na publicznym forum prosi o datki. Piątek: do Iwony przed lekcjami podchodzi dziewczynka – piękne rude pukle na głowie. Pyta: czy może oddać Reni swoje włosy?

Tutto bene

Wrzesień 2020 r., dzień zabiegu. Jeszcze z operacyjnej sali prof. Visocchi wysyła SMS: zrobił to, co zamierzał. Potem telefon: „*Tutto bene*".

Znowu walka – teraz o odzyskanie sprawności. Najpierw łóżko podniesione o ledwie 30 stopni. Potem pozycja siedząca. Wreszcie ostrożny chód. „»Dasz radę samodzielnie wejść czy wolisz wjechać windą?« Zostaliśmy zgromieni wzrokiem, a Renata z sobie tylko właściwym zacięciem ruszyła przed siebie przez najsłynniejsze schody na świecie – Schody Hiszpańskie! Z góry spojrzeliśmy na 138 stopni, jakie pozostawiła za sobą. Weszła" – notują jeszcze w Rzymie.

Październik, Tomasz przysyła dwie fotografie. Łysa dziecięca głowa widziana z tyłu. Na jednym zdjęciu krótka, zdeformowana szyja, na drugim prosta, wydłużona. – Nasze dziecko – mówią – dostało sprawność. Oraz cztery i pół centymetra utraconego wzrostu.

Grudzień. Tydzień przed Świętami pojadą znowu do Rzymu – na wizytę kontrolną. Boże Narodzenie – czwarte w cieniu choroby – spędzą w domu. We czworo. Z Dupkiem, Glutkiem, ale też pięcioma błąkającymi się po ich domu kotami, psem i 32 rybkami.

Jak najdalej od szpitalnego zwierzyńca.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Niektóre cytaty pochodzą z aktywnego nadal profilu „Renia walczy z rakiem", przeznaczonego m.in. dla rodziców dzieci zmagających się z nowotworami mózgu.

Z bratem Arturem, Przemyśl, październik 2019 r.

TOMASZ ZAJĄC

STEFANIA DRYWA; ZBIORY RODZINY DRYWÓW

FRANCISZEK TARNOWSKI; ZBIORY MAŁGORZATY BOYKE

Nieobecność

MAREK WĄS

Niemal wszystko, co wiem o ojcu, to z opowieści mamy. Teraz to samo opowiadam moim dzieciom. Ale dla nich on przecież nie jest prawdziwym dziadkiem, tylko jakimś bohaterem z książki.

W piątek, 12 grudnia 1970 r. władze PRL ogłosiły drastyczne podwyżki cen żywności i opału. W poniedziałek jako pierwsi zaprotestowali robotnicy gdańskiej stoczni; doszło do walk ulicznych. Następnego dnia I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka wydał zgodę na użycie broni palnej, padli pierwsi zabici. W środę wieczorem w telewizyjnym wystąpieniu wicepremier Stanisław Kociołek wezwał robotników do powrotu do pracy. Rankiem 17 grudnia gdyńscy portowcy i pracownicy Stoczni im. Komuny Paryskiej, spieszący do swoich zakładów, weszli wprost pod lufy milicjantów i żołnierzy.

Do 18 grudnia 1970 r. w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i Elblągu zginęło łącznie co najmniej 45 robotników, studentów, uczniów. Blisko 1200 osób było rannych od postrzałów, w wyniku pobicia przez milicję na ulicach i katowania w komisariatach. Sprawcy tych zbrodni nigdy nie zostali ukarani.

Każdy z zabitych pozostawił jakichś bliskich: rodziców, dzieci, ukochanych. To opowieść o nich.

Wanda i Staszek

Wanda Zabielska: – Jeśli miałabym panu opowiedzieć, na czym polega ta moja strata, tęsknota po Staszku, to chyba na bezustannym rozpamiętywaniu, jakby to nasze życie mogło wyglądać. Jakby było, ale nie stało się i nigdy nie stanie. Bo przecież na 15 stycznia już był ustalony ślub. Tu u nas, w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa, za bulwarem. Wszystko opłacone, zaproszenia rozesłane. Świadkiem Staszka miał być kolega ze stoczni, moją świadkową koleżanka Marysia, krawcowa. Moja suknia, gotowa, wisiała w szafie. Błękitna, z wytłaczanymi jaśniejszymi kwiatuszkami, do tego bolerko. Oczywiście na cywilny, bo na kościelny miałam wypożyczyć białą. Staszek miał kupiony garnitur. Czarny, do tego cieniutki krawat, taka była wtedy moda. A wesele u mamy na Warszawskiej, bo tam były trzy pokoje. Ja z mamą miałyśmy ugotować potrawy. A potem miało być normalne wspólne życie, chcieliśmy mieć trójkę dzieci. To znaczy na początek on dalej mieszkałby w hotelu robotniczym, a ja z mamusią, ale ze Śląskiej na Warszawską jest blisko. Zaraz po ślubie Staszek miał się starać w pracy o mieszkanie. Był dobrym spawaczem, szanowanym, wtedy stoczniowcy szybko dostawali mieszkania, więc nie martwiliśmy się o to. O podróży poślubnej nie myśleliśmy, pod tym względem czasy były jednak ciężkie. A już zwłaszcza, jak w grudniu zaczęły się rozruchy.

Osiemnastu

Wczesnym rankiem w czwartek, 17 grudnia 1970 r., 26-letni spawacz Stanisław Lewandowski jak wielu innych wysiadł z kolejki na przystanku Gdynia Stocznia i dostał się pod kule. Uciekł, ale już przed południem, razem z 19-letnią narzeczoną Wandą i grupą przyjaciół byli „na mieście". Była z nimi także Irena Nawrocka, siostra 24-letniego Zygmunta Polito, brygadzisty ze stoczni. Wtedy jeszcze

ZBIORY MUZEUM MIASTA GDYNI

Od lewej:
Brunon Drywa z synem Romanem, Sierakowice, 1961 r.;
Jerzy Skonieczka z mamą Pauliną, Gdynia 1964 r.;
Rodzina Józefa Pawłowskiego, pracownika Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, który zginął 17 grudnia 1970 r., przy jego grobie na Cmentarzu Srebrzysko w Gdańsku, fot. nieznany, 1971 r.

nie wiedziała, że brat nie żyje: tego ranka przed stocznią kula z pierwszej salwy trafiła go w tył głowy.

Niedaleko pogotowia przy ul. Żwirki i Wigury Staszek zgubił się w tłumie. Wanda pamięta, jak znika jej sprzed oczu; krótki płaszcz w jodełkę, brązowe spodnie w kant. Potem nadleciały śmigłowce i padły strzały. Czekała na niego w domu. Wieczorem pielęgniarka ze szpitala miejskiego w Gdyni zadzwoniła i rzuciła: „Stwierdzono zgon". Dostał strzał w pierś.

W tym samym czasie co Lewandowski z kolejki przy stoczni wysiadł 34-letni dźwigowy z gdyńskiego portu Brunon Drywa. Kula przeszyła mu śledzionę. Musiało się to stać chwilę po śmierci Polity. W tym czasie żona Drywy, Stefania, robiła pranie w ich nowym mieszkaniu na blokowisku w Chylonii. Po pralni w piwnicy bloku biegał ich 9-letni syn i dwie młodsze córeczki. Drywa zmarł następnego dnia w szpitalu w Gdyni-Redłowie.

Zapewne tą samą kolejką co Drywa jechał 33-letni malarz okrętowy Marian Wójcik. Nie zdołał opuścić peronu, gdy kula trafiła go w plecy. W Wejherowie jego żona Regina szykowała się do wyjścia do pracy, do zakładu fryzjerskiego. Ich trzyletni synek jeszcze spał.

18-letni sztauer portowy Zbigniew Godlewski został zastrzelony dwie godziny później. Jeszcze rankiem uniknął kul i razem z innymi robotnikami ruszył w pochodzie pod Komitet Miejski PZPR i z powrotem ku stoczni. Tam, niedaleko przystanku kolejki, kule trafiły go w głowę i pierś. Mieszkający w Elblągu rodzice i młodszy brat o śmierci Zbyszka dowiedzieli się następnego dnia z telegramu, który nadał kolega z portu.

Gdy ulicą Świętojańską robotnicy nieśli na drzwiach ciało Godlewskiego, z ukrycia pochód obserwował 15-letni Jurek Skonieczka, który zwiał z domu spod opieki matki. Gdy milicja zaczęła strzelać, chciał schronić się w swojej szkole. Biegł w kierunku podstawówki nr 32. Prawie u celu dostał w głowę. Mama Paulina i trzy młodsze siostry dowiedziały się o tym od zapłakanego kolegi, który zdołał wykrztusić: „Pani Skonieczkowo, ja przepraszam, ale Jerzyk ranny". Agonia Jerzyka w redłowskim szpitalu trwała niemal trzy doby.

W ten czwartek w Gdyni od kul zginęło 18 młodych mężczyzn i chłopców.

Jedzie pani na pogrzeb

Bliscy długo szukali ciał. W szpitalach tłoczyły się setki rannych, w kostnicach i urzędach panował chaos. Gdy wreszcie mogli zacząć przygotowania do pogrzebów, spadł na nich kolejny cios.

– Polecenie, by ofiary chować nocą, wydał przebywający wówczas w Gdańsku sekretarz KC PZPR Zenon Kliszko, prawa ręka Gomułki – mówi dr Piotr Brzeziński, historyk z Oddziału IPN w Gdańsku, współautor książek o Grudniu (m.in. „Pogrzebani nocą" i właśnie wydanej „Zbrodni bez kary"). – Chodziło o to, by mogiły nie stały się miejscami pamięci. Grzebano ich więc na różnych cmentarzach, w asyście esbeków i wojskowych kapelanów. Nie sądzę, by Gomułka zastanawiał się, jaką wielką i dodatkową traumą będą dla rodzin zabitych te upokarzające pogrzeby. Robotnicy, do których kazał strzelać, byli dla niego kontrrewolucjonistami.

– Było już po północy, a więc niedziela, gdy zapukali do drzwi: „Proszę się ubierać, jedzie pani na pogrzeb męża" – opowiada Roman Drywa, syn Brunona. – Jechaliśmy nieoznakowaną nysą na cmentarz Witomiński. Mama była odrętwiała, całą drogę płakała. Po drodze zatrzymał nas patrol, mama zwyzywała milicjantów od morderców i bandytów. Na cmentarzu czekaliśmy, aż skończy się wcześniejszy pogrzeb. W kaplicy stały poopierane o ściany dekle od trumien. Wnieśli tatę w trumnie. Był w szpitalnej pidżamie, pasiastej, bluza i spodnie nie od kompletu, bosy. Nawet strużki krwi z ust nie zmyli. Mama rozpięła mu bluzę, śladu po kuli nie było, tylko szwy. Szybko zabili trumnę. Dół wykopany był ↦

↦ jak najdalej od wejścia na cmentarz. Tam czekał ksiądz. Zapewnił, że jest prawdziwym księdzem. Zmówił krótką modlitwę. Mama omdlewała, o mało nie wpadła do grobu. Potem okazało się, że ona z tego pogrzebu nie pamięta nic.

– Brata pochowali jak psa, nocą – mówi Małgorzata Boyke, siostra Jerzego Skonieczki. – Byłyśmy trzy siostry i mamusia. Trumna zabita, ale mama narobiła krzyku, złapała się tej trumny, że musi zobaczyć syna. Otworzyli, leżał praktycznie nagi, głowa ogolona. Jakaś kobieta się pojawiła z prześcieradłem i okrytego tym prześcieradłem pochowaliśmy Jerzyka. Ksiądz był zdziwiony, że przyprowadzili go do pogrzebu stoczniowca, a on dziecko chowa.

Wiesław Godlewski, młodszy brat Zbyszka, pamięta oczekiwanie przed kaplicą: – Dojechaliśmy przed północą, cały cmentarz w Oliwie otoczony był wojskiem i milicją. Obok stoi kilka parterowych prywatnych domów i wszystkie okna wychodzące na cmentarz były zabite płytami paździerzowymi. Czekaliśmy na swoją kolej, nagle otworzyły się drzwi kaplicy i wyszła kobieta, drobna, obok niej trójka albo czwórka małych dzieci. Ta kobieta strasznie płakała. A dzieci, trzy-cztery latka, chyba nie rozumiały, co się dzieje.

Rodzina Stanisława Lewandowskiego nie uczestniczyła w pogrzebie: rodzice i rodzeństwo mieszkali we wsi Skępe pod Lipnem i zanim dotarli do Trójmiasta, Staszek został już pogrzebany na Gdańskim cmentarzu Emaus.

– Tabliczki nie było, tylko grabarz zapewnił, że tu leży Staś – opowiada jego siostrzenica Grażyna Paśniewska. – Dziadek z ciocią pojechali nocą na cmentarz i rozkopali grób, żeby sprawdzić, czy tam jest trumna. Była, ale nie odważyli się jej otworzyć, zresztą w dole stała woda. A kiedy w lutym pozwolili przenieść ciało na nasz cmentarz w Lipnie, to drewniana trumna była włożona w większą metalową i zaspawana. Do dziś nie mamy pewności, czy tam leży Staś. Babcia powtarzała: ja opiekuję się tym grobem, a ktoś tam dba o mojego Stasia. Dopiero na ten drugi pogrzeb esbecy przywieźli z Gdyni Wandzię. Zaraz po pogrzebie zabrali ją z powrotem.

Butelki zwrotne

Na nagrobku Stanisława umieścili napis: „Zastrzelony w Gdyni 17 XII 1970 r.”.

ZBIORY MUZEUM MIASTA GDYNI

Rodzina Zygmunta Polito przy jego grobie na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni. Z lewej stoi matka Helena, z prawej siostra Irena, fot. nieznany, lata 80. XX w.

Grażyna Paśniewska: – Od razu zaczęły się wezwania na milicję, straszenie. Ale czym oni mogli zastraszyć? Babcia, mama Stasia, jak dowiedziała się o zabójstwie syna, to posiwiała w jedną noc. Dziadek, jak tylko coś usłyszał o Grudniu w telewizji albo gazetach, zaraz pisał do Gierka, do „Trybunu Ludu”, że kłamią. Nigdy nie odpowiedzieli. Moją mamę też straszyli, bo w pracy roznosiła piosenki o Grudniu. W końcu obiecali jej mieszkanie komunalne, jak zmienimy napis na grobie. Odmówiła. Nie żyją już dziadkowie i piątka rodzeństwa Stasia. Zostałyśmy same z Wandą, ona już chora.

Wanda ostatni raz była na grobie narzeczonego dwa lata temu. Potem poszły razem na lody. Grażyna odwiedziła ją w Gdyni tego lata, poszły nad morze.

Wanda: – Wtedy po śmierci Staszka miesiąc przeleżałam w łóżku jak nieżywa, nie chciało mi się żyć, bo po co? Pamiętam urywki, jakieś kobiety z kościoła przyszły oddać pieniądze za ślub. Po paru latach wyszłam za mąż. Ireneusz był kierowcą w PKS, dobry człowiek, znosił moje kryzysy, ale ciężko żyło mu się z moimi wspomnieniami o Staszku. Więc modliłam się po cichu, on nie musiał wiedzieć. Mąż zmarł dziewięć lat temu. Długo umierał, na raka. Jak się nim opiekowałam, to tamte wspomnienia z Grudnia wracały. Mam tylko Grażynę w Skępem, oni zawsze byli dla mnie jak rodzina. Ale nie mam marzeń, nie mam dzieci, zostało piętno. Żyję bo żyję, wspomnieniami.

Stefania, żona Brunona Drywy, przeżyła załamanie nerwowe. Szpitale, psychiatrzy, dzieci często mieszkały u rodziny męża: syn u wuja, córeczki u ciotek. W końcu dostała grupę inwalidzką i rentę. Żyli w biedzie. Zbierali butelki i sprzedawali w skupie, żeby zarobić na jedzenie.

Roman Drywa: – Z pierwszych lat po śmierci taty pamiętam płacz matki, jej zasłabnięcia, lekarzy, sanatoria, leki. Była taka bieda, że dzieciaki w szkole przezywały nas: „żebracy, sieroty”. Z tego wszystkiego wyparłem śmierć ojca. Godzinami jeździłem kolejką i wypatrywałem taty. Może się ukrywa, nie może się ujawnić? A może zaraz przyjdzie do domu i powie, że to wszystko był żart? On przecież taki był wesoły, lubił żartować. Potem postanowiłem, że odnajdę zabójcę. W portfelu taty, który miał przy sobie 17 grudnia, napisałem tuszem: „pomszczę”. Trenowałem sztuki walki, uczyłem się rzucać nożem, chciałem iść do wojska, żeby zdobyć broń. Esbecja musiała się o tych pogróżkach nastolatka dowiedzieć, bo jak wzięli mnie na komisję wojskową, to chociaż byłem zdrowy jak koń, stwierdzili, że jestem niezdolny do służby wojskowej. Ten gniew minął dopiero, kiedy poznałem przyszłą żonę. Mamie nie minęło nigdy.

Wszystkie dzieci Brunona Drywy skończyły studia. Roman jest głównym specjalistą w biurze zarządu Stoczni Nauta.

W biedę popadła też rodzina Jerzego Skonieczki. – Mama żyła z renty, do końca życia dorabiała robieniem na drutach, za pomnik na jego grobie płaciłyśmy kamieniarzowi w ratach – mówi Małgorzata Boyke. – Jerzyk był całą naszą nadzieją na przyszłość. Takie były czasy, że to mężczyźni utrzymywali rodziny. Jerzyk miał po szkole pójść do pracy, zarabiać, a my, dziewczyny, miałyśmy się uczyć. Jak zginął, trzeba było szybko szukać roboty. Razem z siostrą skończyłyśmy zawodówki kolejowe, przed emeryturą doszłam do stanowiska kierownika pociągu. Było ciężko. Nie pamiętam, żebym kiedyś na urlop wyjechała z Gdyni.

Pokolenia

Zaskakujące jest, jak niewiele materialnych pamiątek zachowało się po zabitych w Grudniu ’70.

– Niewiele dokumentów, pojedyncze przedmioty osobiste, kilkadziesiąt amatorskich zdjęć. Żadnych odręcznych listów czy dzienników – potwierdza dr Marcin Szerle, kierownik działu historycznego Muzeum Miasta Gdyni. – Instytucje nie gromadziły pamiątek, przecież o Grudniu przez tyle lat nie można było otwarcie mówić. Inna sprawa, że przedmiotów było niewiele już w 1970 r., kiedy żyło się inaczej, skromniej. Pierwszymi strażnikami pamięci byli rodzice. Gdy ich zabrakło, fizyczne ślady obecności przejęło rodzeństwo, rozproszyły się po rodzinach, pozostały w domach wdów, dorosłych lub dorastających dzieci, później – nigdy niepoznanych – wnuków. Z dekady na dekadę ślady się zacierały, ale pozostawała pamięć.

Wiesław Godlewski: – Po pogrzebie ojciec dostał worek z zakrwawionymi ubraniami Zbyszka, ale zaraz go spalił, żeby mama nad nimi nie rozpaczała. Otrząsnęła się, jak poszła do pracy, choć już zawsze każde święta były jak żałoba. Rodzice, zwłaszcza matka, zaczęli żyć Grudniem. Zbierać informacje, wycinki. Zwłaszcza po 1980 r., gdy okazało się, że na tym słynnym zdjęciu robotnicy niosą na drzwiach Zbyszka, gdy wszyscy usłyszeli „Balladę o Janku Wiśniewskim". Przez dom zaczęli przelewać się dziennikarze, opozycja, księża, była mama księdza Popiełuszki, potem też politycy, nawet Jarosław Kaczyński był. W grudniu telefony się urywały. Po 1989 r. rodzice byli pewni, że sprawcy zostaną ukarani, ale szybko przekonali się, że to płonne nadzieje. Pierwszy odszedł tata, mama zmarła przed rokiem. Na jednej z rozpraw w Warszawie tata jeszcze zdążył powiedzieć Jaruzelskiemu [Wojciech Jaruzelski był wówczas ministrem obrony – red.] prosto w oczy: „Jest pan mordercą". Taka była cała jego satysfakcja.

Również Regina Wójcik do śmierci nie wybaczyła zabójcom męża. – Na pomniku umieściła napis: „Zamordowany w Gdyni" – opowiada Dariusz, syn Mariana. – Niszczyli ten napis, a mama go odnawiała, choć było biednie, bo ona była fryzjerką. Robiła te trwałe, ręce całe wyżarte od chemikaliów, śmierdzące kwasem. Ale pisała tymi rękoma do Kiszczaka [w 1970 r. zastępca szefa WSW, potem szef MSW – red.], do Jaruzelskiego. Milicji nienawidziła. Kiedyś na ulicy zatrzymał się obok milicjant, a ja wypaliłem: „Mama, to ten pan zabił naszego tatę". Nawet mi odpowiedział: „Nie, synku, ja ci go nie zabiłem".

Dariusz: – Mam żal, że właściwie nie znałem ojca. Miałem trzy latka. Pamiętam, jak przychodzi z pracy, mama z babcią stawiają obiad na stole. Potem, gdy wołały mnie na obiad, pytałem: „A gdzie tata, poczekajmy na tatę!". One w płacz. Wszystko, co wiem o ojcu, to z opowieści mamy. Teraz to samo opowiadam swoim dzieciom. Zawsze 17 grudnia idziemy pod pomnik, na apel poległych o szóstej rano. Ale dla moich dzieci Marian Wójcik nie jest przecież prawdziwym dziadkiem, tylko jakimś bohaterem z książki. © MAREK WĄS

Tekst powstał w ramach projektu Muzeum Miasta Gdyni pt. „Grudzień '70. Nieobecność", upamiętniającego 50. rocznicę wydarzeń na Wybrzeżu (więcej materiałów dostępnych jest na stronie: www.muzeumgdynia.pl). Korzystałem ze zbiorów tego muzeum, a także z książek: J. Eisler „Grudzień 1970", P. Brzeziński, R. Chrzanowski, T. Słomczyński „Pogrzebani nocą".

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Sztuka powszechnie nieznana
Magdaleny Łanuszki, która odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

weź, słuchaj!

Więcej na **powszech.net/podkast**

SALES manago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CECYLIA MALIK

Wycinka starych wierzb nad Rudawą w Krakowie, 8 grudnia 2020 r.

Meandry jednostronne

WIKTOR KOTOWSKI, BIOLOG, WSPÓŁZAŁOŻYCIEL CENTRUM OCHRONY MOKRADEŁ:

Przywrócenia naturalnego biegu wymaga 90 proc. polskich rzek. Kilkadziesiąt metrów pasa wzdłuż nich trzeba oddać do dyspozycji przyrody.

ADAM ROBIŃSKI: Skąd się wzięła spółka Wody Polskie?

WIKTOR KOTOWSKI: Na początku 2018 roku scalono dwie dotychczas istniejące instytucje, czyli Krajowy Zarząd Gospodarki Wodnej oraz Wojewódzkie Zarządy Melioracji i Urządzeń Wodnych. Być może pana zdziwię, ale środowiska przyrodników i organizacji pozarządowych od lat domagały się ich połączenia.

Dlaczego?

W gospodarowaniu wodą dochodziło do absurdalnych sytuacji. Zarządy wojewódzkie, podlegające samorządom, zajmowały się głównie wpływem wody na rolnictwo, na przykład zwiększając odpływ w małej rzece na prośbę rolnika, któremu zalało łąkę. I tym samym generowały falę powodziową na większej rzece, co dodawało roboty Regionalnemu Zarządowi Gospodarki Wodnej, który był odpowiedzialny za bezpieczeństwo przeciwpowodziowe. Ten reagował np. podwyższaniem wałów i dalszymi regulacjami, zamiast załatwiać problem u źródła, czyli zwiększając retencję w górze zlewni.

Scalenie przyniosło oczekiwany skutek?

Jak każda organizacyjna rewolucja dokonywana przez obecny rząd, na początku wywołała chaos. Przede wszystkim brakowało funduszy na działanie. A jedna rzecz poszła zupełnie nie po naszej myśli: nadzór nad wszystkimi działaniami prowadzonymi na wodach powierzchniowych został przekazany do Wód Polskich. Włącznie z ochroną przyrody. A więc jednostki ochrony przyrody, jak choćby parki narodowe, straciły poniekąd kompetencje do działania w kwestii wód leżących na ich terenie. Mamy niejasność kompetencyjną, podobną do tej wynikającej z ustawy o lasach. Jako że Lasy Państwowe z definicji chronią lasy, więc w świetle prawa nie wymagają żadnego nadzoru. I Wody też.

Z lasami kojarzy się też zagadnienie „zrównoważonej gospodarki wodnej", którą chwalą się Wody Polskie. O co chodzi?

To jest termin, który rodzi dużo nieporozumień. Osoby, które zajmują się administracją wodami, ale nie są przyrodnikami, rozumieją go jako kompromis, zrównoważenie potrzeb człowieka i interesu przyrody. A to zupełnie nie tak. Pojęcia zrównoważonego rozwoju i wynikającej z jego potrzeb zrównoważonej gospodarki wprowadzono na konferencji ONZ w Rio de Janeiro w 1992 roku. Chodzi o korzystanie ze środowiska w taki sposób, by nie naruszyć trwałości funkcji ekosystemów i usług ekosystemowych, których nam dostarczają. Czyli choćby pilnowanie, by nie ograniczyć możliwości odradzania się populacji ryb. Można to streścić takim sloganem: my tę planetę tylko pożyczamy od naszych wnuków i musimy ją oddać w stanie niepogorszonym.

Panuje przekonanie, że w spadku po PRL dostaliśmy osuszone bagna i wyprostowane rzeki przegrodzone zaporami. Czy przez ostatnie 30 lat próbowaliśmy jakoś naprawić tamte błędy?

Nasza wiedza oraz metody renaturyzacji rzek i restytucji mokradeł się rozwijają, są one jednak wdrażane jedynie w bardzo niewielkiej, pilotażowej skali, głównie przez organizacje pozarządowe. A nie na dużą skalę przez instytucje, które wodami administrują. Przez pierwsze dwadzieścia lat III RP gospodarka wodna była kompletnie zaniedbana. Po roku 2010 nagle pojawiły się na nią fundusze, co było związane z powodzią z tamtego roku. Pieniądze miały być przeznaczone na usuwanie jej skutków i przeciwdziałanie kolejnym powodziom. Ale zdaniem wielu przyrodników zostały wydane na coś zupełnie odwrotnego. Na prace utrzymaniowe na rzekach, które likwidowały lokalne wezbrania, natomiast potęgowały kolejne fale powodziowe. Ten proces trwa do dziś.

Pracami utrzymaniowymi tłumaczyły Wody Polskie dewastację Małej pod

Konstancinem, na której wyrżnięto przybrzeżną roślinność i zniszczono bobrowe tamy (pisaliśmy o tym w „TP" 46/2020). Dlaczego rzeka potrzebuje utrzymania?

Z punktu widzenia przyrody – nie potrzebuje, przynajmniej w naturalnych warunkach. Natomiast jeśli chodzi o praktykę – prace utrzymaniowe są konsekwencją niegdysiejszej regulacji. Jeśli rzekę meandrującą, ze zmiennym korytem i rozlewiskami zamieniamy w prosty kanał, to przyspieszamy spływ wody, ale koryto mieści jej mniej niż kiedyś. Rzeka się wypłyca, bo osadza się w niej materiał spływający z sąsiadujących, użytkowanych rolniczo, terenów. W czasie wezbrań woda się nie mieści i wylewa na przyległe tereny. Żeby tego uniknąć, co kilka lat przysyła się koparkę, która wybiera osady, regularnie też wykasza się roślinność w korycie i na skarpach oraz usuwa zwalone drzewa i tamy bobrów. To właśnie prace utrzymaniowe. Chodzi o to, by rzece, która próbuje odzyskać naturalny bieg, przywracać szablonowy trapezowy przekrój koryta i proste brzegi. Aby woda spłynęła jak najszybciej, a przyległe grunty nie ulegały zalewaniu.

Tak się dzieje na każdej uregulowanej rzece w Polsce?

Takie jest założenie. Nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że prace utrzymaniowe stały się po prostu sposobem na wydatkowanie pieniędzy. Skoro są środki, to trzeba je wydać. Jak się wyda i zrealizuje plan, to jest szansa na dotację w kolejnym roku. Zdarza się, że dzieje się to w efekcie zupełnie niepotrzebnie, na terenach Natura 2000 albo tam, gdzie nikt nie zgłaszał żadnych szkód rolniczych.

Mijający rok przyniósł parę dokumentów dotyczących gospodarowania wodami. Polski Instytut Ekonomiczny, rządowy think tank, w raporcie o suszy rekomendował zatrzymanie wszystkich działań i inwestycji, które w jakikolwiek sposób przyspieszają spływ wód. Nie wpłynęło to jednak zupełnie na działania spółki z wodami w nazwie.

Wody Polskie to instytucja obciążona wewnętrzną schizofrenią. Niektóre deklaracje są piękne, część działań zgodna z przyrodniczymi paradygmatami, a inna część kompletnie im przeczy. Z jednej strony deklaruje się retencję korytową, która zależy od tego, w jakim stanie będą rzeki, na ile ich koryta będą naturalne. Jednocześnie te same rzeki są traktowane jako odprowadzalniki wody z terenów rolniczych. Rzeka w funkcji spuszczania wody z krajobrazu – im szybciej, tym lepiej. Właśnie dlatego większość z nich jest uregulowana.

Tych dwóch spraw – retencji i spuszczania wody – pogodzić się nie da. Można szukać kompromisów, ale wtedy trzeba część obszarów rolniczych obsługiwanych przez te odprowadzalniki po prostu przeznaczyć na retencję. Zmienić ich funkcję.

To jeszcze jeden dokument: podręcznik dobrych praktyk renaturyzacji wód powierzchniowych, w którym czytamy, że należy zaniechać rozbierania tam bobrowych, bo wartość usług ekosystemowych, których dostarczają, przeważa nad stratami gospodarczymi. Kilka miesięcy po publikacji tego raportu tamy niszczone są choćby w powiecie piaseczyńskim.

Jasne, na poziomie teorii bobry dają więcej zysków niż strat, i każdy, kto zna temat, musi się z tym zgodzić. Co innego rolnik, któremu zalało uprawę. Dopóki tego myślenia nie przełożymy na instrumenty finansowe, które ulżą stracie tego rolnika, dopóty nic się nie zmieni. Ale Wody Polskie same tego nie załatwią. One gospodarują wąską działką geodezyjną, która nazywa się rzeka. Mają obowiązek reagować na monity właścicieli gruntów czy samorządu. Więc robią to, co robiły zawsze – przysyłają koparkę i udrażniają koryto. Nie mają narzędzi, by temu rolnikowi albo samorządowi odpowiedzieć, że skoro jest woda, to przesyłamy dopłaty retencyjne, a wspomniane działki włączamy w program retencji. To by wymagało specustawy tłumaczącej te działania interesem społecznym.

Jakie pomysły na zwiększanie retencji ma państwo?

Powstało na ten temat co najmniej kilka dokumentów. Jak się czyta wstępy do nich, to nie jest tak źle. Podkreślają potrzebę renaturyzacji rzek i przywracania mokradeł jako naturalnych obszarów gromadzenia wody. Choć jest też mowa o konieczności budowy zbiorników retencyjnych, którym ja jestem zdecydowanie przeciwny. Natomiast kiedy spojrzy się na listę planowanych inwestycji, to okazuje się, że są na niej tylko te zbiorniki zaporowe. O renaturyzacji rzek i nawadnianiu zmeliorowanych terenów nie ma nic. Więc znów: słowa jedno, działanie co innego.

Dzieje się tak chyba dlatego, że wspomniane inwestycje wymagają zupełnie innego podejścia niż budowa zbiorników. Nie jest łatwo wykupić grunty na renaturyzację rzeki. W Europie doświadczenie w takich działaniach mają Duńczycy, robili największe takie projekty, kilkudziesięciokilometrowe odcinki. Ogromna praca. Budowa zbiornika jest prostsza. Tylko że jej efektem jest zniszczenie ekosystemu rzeki. Poza tym to nie jest efektywna retencja.

Dlaczego?

Te zbiorniki są cały czas pełne. Rezerwowej objętości jest bardzo mało. Aby pełniły rzeczywistą funkcję, powinny być puste i łapać wodę głównie wtedy, gdy w krajobrazie jest jej nadmiar. Z kolei żeby miały znaczenie dla nawadniania, powinny istnieć urządzenia, które umożliwiają rozprowadzenie wody po polach. Ich nie ma nigdzie.

Innych pomysłów nie ma?

Pomysły są, nie ma planów realizacji. Bardzo nie lubię określenia „mała retencja", bo ona powinna być ogromna. Na kilkusethektarowym torfowisku jesteśmy w stanie zgromadzić miliony metrów sześciennych wody, zatykając rowy odwadniające. I to wcale nie wyklucza gospodarki wodnej, a jedynie wymaga przebranżowienia. Ukierunkowania na uprawę roślinności bagiennej. W Polsce mamy jeden duży obszar ponownie nawodnionych torfowisk, gdzie uprawia się trzcinę z przeznaczeniem na pokrycia dachowe, są to Bagna Rozwarowskie. Bardzo dobrze to prosperuje.

Zmeliorowane torfowiska, a to około 90 proc. wszystkich, mniej więcej 1,2 mln hektarów, musimy ponownie zabagnić albo przynajmniej uczynić mocno podmokłymi. To są ogromne ilości wody. Dzięki podwyższeniu regionalnych poziomów wód i poprawie mikroklimatu zyskają również przyległe obszary rolnicze. No i powstrzymamy emisje dwutlenku węgla z rozkładu osuszonego torfu, bo przywracanie bagien to ↦

↦ działanie łączące adaptację do zmian klimatu z ograniczaniem ich przyczyn. Ale w tym celu potrzebujemy współpracy międzyresortowej. Ministerstwo rolnictwa musi przekształcić system dotacji rolnych tak, by rolnicy dostawali pieniądze za retencję wody i ochronę gleby organicznej, a nie wtedy, gdy działając na szkodę społeczną spuszczają wodę z miejsc, gdzie mogłaby stać.

Mamy przykłady świadomej renaturyzacji rzek?

Pojedyncze i na niewielkich odcinkach. Jak Narewka w Białowieży. Przywrócono jej meandry, ale tylko po jednej stronie rzeki, bo po drugiej nie udało się wykupić gruntów. Mamy więc jednostronnie zrenaturyzowaną rzekę, co jest doskonałą ilustracją tego, jak trudny to proces, gdy nie ma narzędzi do jego przeprowadzenia. Inny przykład to rzeka Piwonia na Polesiu.

Mało.

Według programu renaturyzacji rzek, takich działań wymaga 90 proc. wszystkich rzek w Polsce. Jeśli mamy to traktować na poważnie, to Wody Polskie powinny zajmować się przede wszystkim tym działaniem. Ale muszą też dysponować specustawą, podobną do tej, która pomaga budować autostrady.

W ramach międzynarodowego projektu koordynowanego przez Uniwersytet Warszawski policzyliśmy, ile kosztowałoby wyposażenie wszystkich małych rzek w zlewni dolnej Narwi, to 5 proc. obszaru Polski, w bagienne strefy buforowe, które zwiększyłyby retencję i stanowiły filtr zatrzymujący nawozy z rolnictwa. Wykup gruntów i odbudowa mokradeł kosztowałyby do 700 mln złotych. To nie są astronomiczne pieniądze, jeśli zdamy sobie sprawę, że tyle wydaje się np. na budowę 20 km drogi ekspresowej.

A takie rzeczki jak Mała, które płyną przez wsie lub rozrastające się przedmieścia, mają w ogóle szanse na renaturyzację? Rolnik pewnie nigdy nie pokocha bobra.

Z bobrem można sobie świetnie radzić, stosując rozwiązania techniczne utrudniające budowanie tam lub regulujące poziom wody. To są bardzo proste sprawy. Ale żeby korzystać z działalności bobra, trzeba by się przede wszystkim zgodzić z tym, że on jest u siebie. Kilkadziesiąt metrów pasa rzeki oddać do dyspozycji przyrody. I zaproponować rolnikom dopłatę do usług ekosystemowych. Niech to będzie dotacja za posiadanie bobra, za trzymanie wody. Nagle okaże się, że każdy rolnik chce mieć na swoim terenie bobry. To się finansowo wszystkim opłaci. Nie trzeba już będzie płacić za prace utrzymaniowe przekształconej rzeki i ponosić kosztów suszy na przyległych terenach, która jest ich konsekwencją.

EWA JABŁOŃSKA

Wiktor Kotowski

Wyposażenie wszystkich małych rzek w zlewni dolnej Narwi w bagienne strefy buforowe, czyli **filtr zatrzymujący nawozy z rolnictwa,** kosztowałoby tyle, ile budowa 20 km drogi ekspresowej.

Tym bardziej że te prace trzeba co parę lat powtarzać.

Taki jest ich zamysł. Ale wie pan, ja przynajmniej w mikroskali znalazłem na to sposób. Z firmą, która wykonywała je na rzece przepływającej obok mojej działki na wsi, wypracowałem pewien kompromis. Zgodziliśmy się, że jeśli nie pozwolę im przejechać maszynami przez swój teren, to oni nie będą mogli ruszyć przylegającego odcinka. Więc rzeka jest utrzymana powyżej i poniżej mojej działki, a tam, gdzie do niej przylega, już nie. Chociaż kiedy rozmawiałem o tym z robotnikami, to się oburzali, że „przecież rzeka już trzy lata nierobiona".

Może należałoby wypromować podobną postawę? Tak jak ludzie wyłączają własne działki z obwodów łowieckich, mogliby blokować dostęp do rzek firmom je utrzymującym.

Tak, choć to raczej konfliktogenne działanie. Tymczasem myślę, że kluczowe jest wzajemne zrozumienie się. Wody Polskie, przyrodnicy i rolnicy muszą usiąść razem do stołu i dogadać się. Bo jak spojrzeć szerzej, to nie ma tu sprzecznych interesów, są tylko lokalne konflikty, które można rozwiązać stawiając na współpracę. Trzeba tylko porzucić dawne schematy i zacząć myśleć po nowemu – działać nie przeciw przyrodzie, a razem z nią.

Ale powiem panu, że mam na koncie jeszcze jedno obywatelskie nieposłuszeństwo.

Jakie?

Na tej samej rzeczce naprawiłem urządzenie melioracyjne, wstawiłem tzw. szandory. Kiedy dawno temu osuszano rzeki i bagna, w rowach melioracyjnych i skanalizowanych rzeczkach montowano zastawki, które miały zmniejszyć odpływ wody. Tylko że szandory, czyli dechy, które pełnią funkcję blokującą, od razu poginęły. Więc po kilkunastu latach pomieszkiwania na tym terenie, w ubiegłym roku, kiedy dokuczała nam potworna susza, samowolnie zamontowałem szandory. A potem napisałem do Wód Polskich, że naprawiłem ich urządzenie.

To może powinno się również naprawiać tamy bobrowe niszczone w ramach utrzymania?

Może tak? Wrzucanie kłód i pni drzew do wody to jedna z najważniejszych i najprostszych metod renaturyzacyjnych na małych ciekach. W rzekach górskich to kamienie i żwir kształtują geomorfologię, w nizinnych – rumosz drzewny i kłody, m.in. te zwalane przez bobry. To one powodują, że rzeka zaczyna meandrować. Z kolei rosnące na brzegach drzewa stabilizują te meandry. Drzewa są w kształtowaniu rzek bardzo ważne.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

DR HAB. WIKTOR KOTOWSKI *jest biologiem z Uniwersytetu Warszawskiego, specjalistą w zakresie ekologii roślin i ochrony przyrody, współzałożycielem Centrum Ochrony Mokradeł.*

DOROTA

Masłowska: *Lombard*

Nie mam na to precyzyjnych badań amerykańskich naukowców, ale przeczuwam złoże egzystencjalnego niepokoju w funkcjonowaniu w przestrzeni nieustalonej, ulegającej notorycznym przekształceniom. Mieście bezustannie renegocjowanym, w którym nigdy nie można niczego być pewnym. Wygląda to często tak:

W jakimś budynku najpierw przestają wisieć firanki i palić się światła, potem niepostrzeżenie znikają ściany. Za gigazasłoną coś się roi, gramoli, rośnie jakaś konstrukcja, żurawie, łomot, warkot, szczęk, zawodzenie maszyn. Nie można nigdy domyślić się, dopowiedzieć sobie, co się zza niej wyłoni; zakopiańska chata czy chromowana półpiramida.

Miasto przekształca się prawie niezauważalnie; przekłada swoje klocki lekko, jakby było z kartonu, skazując swoich mieszkańców, zwłaszcza tych mniej doświadczonych, na ciągłe „orientuj się!". Po prostu któregoś dnia, jadąc przez miejsca najbardziej znajome i oczywiste, przepatrzone oczami na wylot, doświadcza się charakterystycznego mikrodreszczu warszawskiej dziwności. To silne wrażenie, że wszystko jest tak samo, ale zupełnie inaczej; ktoś poprzestawiał domy, rozplątał ulice i puścił tramwaje w drugą stronę. Nielogicznie przebudowane place czy ulice stają się niemożliwe do zapamiętania. Można chodzić wte i wewte, i za każdym razem nie wiedzieć, gdzie się jest, tak jakby umysł nie potrafił ich do końca sczytać.

Architektoniczne przetasowania tak wpisały się w moje doświadczenie Warszawy, że nie zawsze je rejestruję. Co jakiś czas spośród pistacjowych bloczków wyłania się kolejny drapacz chmur z szarego szkła i luster, niby statua ku czci TVN-u. Wyobraźnia dopowiada sobie jego wnętrze, chłodne i metaliczne, portiernie, bramki, poszum ruchomych schodów. Przeszklone apartamenty piłkarzy wykończone betonem i złotem, diety pudełkowe psujące się pod drzwiami, jazgot blenderów, w których miksują się spirulinowe koktajle. Ale warszawskie enklawy nowoczesności i bogactwa nie są nigdy do końca spełnione, zawsze uporczywie podmywa je rzeczywistość. Tego nie zobaczycie w serialach o accountach i blogerkach modowych tęskniących za szczerą miłością. Niepokojąco blisko szklanych domów łopoczą na zimnym wietrze strzępy starej tkanki miejskiej – nieugięte w swojej szpetocie i niedorzeczności. Niesforny grzyb-robak, najpierw przepłoszony doniosłością budowy, stopniowo przypełza z powrotem. Rozpadające się pawilony, biblioteka miejska z witryną chwalącą 174. urodziny Henryka Sienkiewicza i szczęka z biedadrożdżówkami. Jakaś babcia zawsze zepsuje dekorum, sprzedając z gazety korale, chustkę, grzałkę do herbaty, siatkę i jeden numer „Tiny" z marca '93.

Grudzień, ten handlarz szarzyzną, w tym roku wybitnie ospały i bez żyłki do interesów. Ale jakieś tam interesy zawsze się kręcą; codziennie sejmik zziębniętych facetów różnych nacji i ras przed lombardem. Na coś zawsze tam czekają, o coś palą papierosy, coś tam kombinują. Obok marzną – udając, że niby w zupełnie innej, niezwiązanej sprawie – zestresowane kobiety w niedzisiejszych kurtkach ściąganych w pasie, czapkach z włosami trolla. Wszyscy skracają sobie czas gapieniem się w wystawę. Ta prezentuje tajemniczy w swoim bezsensie wybór przedmiotów udających drogocenne. Tajemnicza, jakby niewystępująca w przyrodzie elektronika, lokówka nieistniejącej firmy (mało rozpakowywana), ledowy dekawitator twarzy, plastikowe popiersie prezentujące bursztynowe korale, podświetlana deskorolka, płyta Ewy Demarczyk. Bardzo dziwne to bogactwo; paradoksalna i chaotyczna kolekcja; kosztowności biednych ludzi. Jakoś cieszy mnie, że miasto przyszłości nie może uciec daleko przed miastem przeszłości, że muszą jakoś absurdalnie koegzystować, naznaczając się nawzajem dziwną melancholią. ©

TP

W tegorocznym Konkursie Grand Press otrzymaliśmy dwie nominacje

W finale kategorii Książka Reporterska Roku znalazł się **MAREK RABIJ** i jego „Najważniejszy wrzesień świata". Ta książka powstała także dzięki naszym Czytelnikom i Czytelniczkom, którzy wsparli finansowo wyjazd reportera do Bangladeszu.

W kategorii Wywiad nominację otrzymał **RAFAŁ WOŚ** za rozmowę z Krzysztofem Królem, działaczem związkowym i operatorem żurawi „Polska z dźwigu widziana" (**czytaj na powszech.net/zdzwigu**) – tej kategorii nie rozstrzygnięto.

SERDECZNIE GRATULUJEMY NASZYM AUTOROM!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OSTATNI TELEFON

Przez całą wojnę matki wyczekiwały synów służących w Górskim Karabachu. Nie wszyscy wrócili.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK
Z ERYWANIA I ABOWIANU (ARMENIA)

Po przegranej wojnie cmentarz wojskowy w Erywaniu, stolicy Armenii, zapełnił się nowymi grobami. 26 listopada 2020 r.

Była sobota, gdy 38-letnia Anahit Sahakian postanowiła wysłać paczkę do Sarkisa. Zamierzała posłać w niej trochę jedzenia dla 19-letniego syna. Oczywiście także słodycze. Do przesyłki miały trafić również ubrania, bo choć jesień tego roku rozpieszczała wysoką temperaturą, to zima zbliżała się wielkimi krokami. Wcześniej Anahit przekazywała paczki erywańskiemu taksówkarzowi, który za tysiąc lub dwa tysiące dram (równowartość 7-15 złotych) dowoził je na miejsce. – Robiłam to, bo dzieliła nas duża odległość i chciałam, by moje serce było spokojne – powie później Anahit.

Tymczasem w niedzielę z samego rana Sarkis zadzwonił i lakonicznie oznajmił, aby mama nic nie posyłała, bo opuszcza bazę wojskową i nie wie, kiedy wróci. Anahit od razu sprawdziła w internecie, co się dzieje. Zmartwiała: tej niedzieli, rankiem, zaczęła się wojna. Azerbejdżan zaatakował terytoria kontrolowane przez nieuznawaną Republikę Górskiego Karabachu, a jej stolica Stepanakert, w której stacjonował Sarkis, była ostrzeliwana.

Od tego czasu Anahit była jak uzależniona od telefonów od syna. Dziś mówi, że dla rodzica to naturalne, aby być niecierpliwym: – Nie zostawiałam telefonu ani na chwilę, w nocy i w dzień.

Sarkis dzwonił często, aby nie szargać nerwów matki. Starał się codziennie. Za każdym razem mówił, że nie jest na froncie i ma się dobrze. Dużo żartował, poprawiał jej humor. Choć Anahit śmiała się do słuchawki, to tak naprawdę odchodziła od zmysłów. Jej jedyny syn, którego samotnie wychowywała, trafił na wojnę.

NIE TYLKO STEPANAKERT był ostrzeliwany. Pociski i rakiety spadały także w pobliżu niedużej wsi Aknaberd, w północnej części Górskiego Karabachu. Jej mieszkanka, 51-letnia Gajane Simonian, już lata temu straciła dwóch synów: najmłodszego i najstarszego.

Konflikt o Górski Karabach trwa od końca lat 80. XX w. Większość tego czasu górą byli Ormianie, którzy od lat 90. do niedawna kontrolowali Karabach i otaczające go terytoria, formalnie cały czas należące do Azerbejdżanu. Konflikt zaczął się w chwili, gdy rozpadał się Związek Sowiecki – od protestów, zamieszek, przesiedleń i pogromów. To przed tymi ostatnimi z Azerbejdżanu uciekła Simonian. Wraz z rodziną schroniła się w Karabachu. Straciła wtedy kilku bliskich. Pierwsza odsłona konfliktu pochłonęła 30 tys. ofiar.

Teraz na front poszedł ostatni z jej synów, 30-letni Narek (imię zmienione). Gajane nie wiedziała, gdzie przebywa. Tylko tyle, że gdzieś w górach na północy miał ze swoim oddziałem powstrzymać ofensywę Azerów. Szybko urwał się im kontakt, bo syn nie miał zasięgu.

Tymczasem pociski coraz częściej spadały w okolicy Aknaberdu. Robiło się niebezpiecznie. Gajane i inni mieszkańcy większość czasu spędzali w piwnicach. Karabach pustoszał. W szczytowym momencie wojny ponad trzy czwarte ze 150 tys. ormiańskich mieszkańców opuściło swoje domy.

Dni mijały więc, walki stawały się coraz bardziej zacięte. Pierwsze zawieszenie broni nawet nie weszło w życie, podobnie dwa kolejne. W połowie października jeden z mieszkańców wioski, też wojskowy, ruszył od domu do domu, aby powiedzieć ludziom z Aknaberdu, że powinni wyjechać. – Zostaw rzeczy, po prostu uciekaj – powiedział do Gajane.

Wdrapała się na przyczepę ciężarówki należącej do sąsiada. Wraz z innymi usiadła na starych oponach. Byli ściśnięci, ale znaleźli trochę miejsca, by chorzy mogli się położyć. Krętymi górskimi drogami wyruszyli w stronę Armenii.

SARKIS ODBYWAŁ OBOWIĄZKOWĄ dwuletnią służbę wojskową, jak wszyscy młodzi Ormianie. Był już na finiszu, w styczniu miał ją zakończyć. Nie palił się, by iść do armii. Mówił matce, że te dwa lata wykorzystałby lepiej, gdyby mógł spędzić je w Erywaniu. Był uzdolniony plastycznie, dużo czytał (jego ulubionym pisarzem był Stephen King). Po powrocie z wojska chciał kontynuować naukę informatyki w koledżu. Chciał też grać na gitarze. Anahit zbierała na nią pieniądze. – Zawsze chciałam, żeby robił to, na co miał ochotę, i się rozwijał – mówi dziś.

W Armenii było tak, że poborowi drogą losowania byli przydzielani albo do służby w kraju, albo w nieuznawanej Republice Górskiego Karabachu. Sarkisowi trafiło się to drugie. Dla Anahit nie było to problemem ani powodem do szczególnych obaw. Oczywiście, rozłąka z synem była przykra, Erywań i Stepanakert dzieli ponad 300 km, droga wiedzie częściowo przez góry. Wiele razy jednak przyjeżdżała do niego w odwiedziny. On też jeździł na przepustki do domu.

Był dobry z matematyki, więc został celowniczym. Już podczas wojny poprosił, ↦

ANAHIT SAHAKIAN *(z lewej) i jej matka Ofik w mieszkaniu w Erywaniu ustawiły zdjęcie syna i wnuka, który zginął ostatniego dnia wojny ormiańsko-azerskiej. 24 listopada 2020 r.*

GAJANE SIMONIAN *przez 39 dni nie miała wieści o synu. Teraz czeka, aż odwiedzi ją w mieście Abowian w Armenii, gdzie schroniła się po ucieczce z Karabachu. 23 listopada 2020 r.*

↦ aby go przeniesiono bezpośrednio do obsługi moździerza. Anahit się to nie podobało, bo wiązało się z większym zagrożeniem.

GAJANE TRAFIŁA DO ERYWANIA. Uciekała z domu w pośpiechu, nie miała czasu, by się spakować, wzięła więc tylko to, co akurat miała na sobie. To znaczy buty, bluzkę, spodnie i żakiet. No i paszport w kieszeni.

Była głodna i przerażona. Trudno jej oddać słowami uczucie, gdy się ucieka przed wojną, zostawia dom i trafia do obcego milionowego miasta, w którym nie ma się gdzie podziać. Przygarnęła ją organizacja kościelna, której nazwy nie pamięta. Tam udzielono jej pomocy, pozwolono zamieszkać na jakiś czas i nakarmiono. Po dziesięciu dniach trafiła do budynku, w którym dawniej był sierociniec, w mieście Abowian koło Erywania. Armeńskie władze, które musiały ulokować dziesiątki tysięcy ludzi szukających schronienia, wykorzystywały wszelkie możliwe budynki.

Warunki były dalekie od idealnych. Stary i zaniedbany budynek zamieszkiwała przynajmniej setka przybyszów z Karabachu. Dwóch chłopaków grało w piłkę przed wejściem, choć tego dnia temperatura była już bliska zeru.

Choć teraz nie musiała się przejmować dachem nad głową, Gajane była w nerwach. Nie wiedziała, co dzieje się z synem. Wydzwaniała, ale wciąż był poza zasięgiem.

SARKIS NIE MÓWIŁ, dokąd trafił po tym, jak opuścił Stepanakert. Dzwonił do matki codziennie. Miał prosty, stary model telefonu. Smartfony są łatwe do namierzenia, więc żołnierze byli instruowani, by z nich nie korzystać. Sarkis musiał bywać w różnych miejscach, bo Anahit jednego dnia słyszała go w słuchawce lepiej, innego gorzej. Choć zarzekał się, że jest daleko od frontu, wiedziała, że to nieprawda.

Na co dzień Anahit zajmuje się przygotowywaniem lahmadżunów: placków podobnych do pizzy i popularnych w Armenii, Turcji oraz w niektórych krajach Bliskiego Wschodu. Trudno było jej się skupić na tym zajęciu. – Pracowałam jak zwykle, ale gdy tylko miałam wolną chwilę, sprawdzałam wiadomości w mediach – wspomina.

Przekonywała sama siebie, że wojna potrwa kilka dni i koszmar się skończy. Ale nie dość, że tak się nie działo, i nie dość, że przez ciągły stres czas ciągnął się niemiłosiernie wolno, to jeszcze informacje w mediach społecznościowych nie wyglądały najlepiej. Dlatego starała się śledzić tylko rządowe źródła. Podawały bardziej optymistyczne wiadomości, za to czasem nieprawdziwe. Ale ona bardzo chciała wierzyć, że jest dobrze, bo dzięki temu mogłaby zobaczyć syna jak najprędzej.

Rozmawiała więc z Sarkisem codziennie. On dzwonił, gdy tylko znalazł chwilę. Ona robiła wszystko, by nie przegapić jego telefonu. Ich rozmowy trwały po kilka minut. Sarkis rutynowo mówił, że wszystko w porządku, uspakajał ją, żartował i wypytywał o jej zdrowie.

Na początku listopada przez jakiś czas nie miała z nim kontaktu. Potem zaczął dzwonić z telefonu swojego porucznika, bo zasięg w Karabachu był coraz gorszy. Podczas którejś z tych rozmów powiedział matce, że jest w miejscu, w którym urodziła się babcia. Domyśliła się, że chodzi o miejscowość Martuni. Tylko nie tę w Armenii, gdzie faktycznie przyszła na świat 66-letnia Ofik, lecz w Karabachu, gdzie toczyły się wtedy zacięte walki [patrz „TP" nr 45 – red.].

W poniedziałek 9 listopada Anahit miała złe przeczucia, chciała usłyszeć syna. – Matka czuje swoje dziecko – mówi. Dlatego po raz pierwszy to ona zadzwoniła na numer porucznika i poprosiła, by Sarkis oddzwonił, gdy będzie mógł. Zrobił to około dziewiętnastej. Usłyszała: „Mamo, wszystko w porządku, nie obawiaj się, zadzwonię jutro".

MIJAŁY DNI, a Gajane nie wiedziała, co dzieje się z synem. Dzwoniła do niego, ale numer był niedostępny. Zamartwiała się. – Gdyby zginął, powiesiłabym się – powiedziała później.

W którymś momencie zaczęli dzwonić do niej wojskowi. Zapewniali, że jej syn ma się dobrze. Ona nie dawała im wiary. Jak się później okazało, miała rację. Jej rozmówcy kłamali. Nie mieli pojęcia, co się dzieje z jej synem i w ogóle jego jednostką. Wieść o niej przepadła. Przerażenie matki rosło. Dopiero po 39 dniach od ostatniego kontaktu z synem jeden

z żołnierzy z oddziału dał znak życia. Ukrywali się w lasach, wszyscy żywi. Gajane nie mogła posiąść się z radości.

W nocy 9 listopada premier Armenii Nikol Paszynian i prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew podpisali porozumienie o zawieszeniu broni (w roli pośrednika wystąpił prezydent Rosji). W przeciwieństwie do poprzednich, to było skuteczne. Stanowiło, że Republika Górskiego Karabachu utraci ponad dwie trzecie ziem. Weszło w życie w nocy z 9 na 10 listopada, o pierwszej w nocy czasu armeńskiego. Gajane Simonian odetchnęła.

Spotkałem się z nią na dzień przed tym, jak jej syn miał przyjechać do niej do Abowianu, na przepustkę. Gdy zaczęła o tym mówić, popłakała się. – Chcę go zobaczyć i być szczęśliwa – powiedziała.

Nawet jeśli przyjeżdżał tylko na chwilę, aby wkrótce wrócić do jednostki.

ANAHIT UCIESZYŁA SIĘ, że walki zostały wstrzymane, bo to oznaczało, że ludzie nie będą umierać. Ale coś nie pozwalało jej na prawdziwą radość. Pozostawała w napięciu.

Nie wiedziała jeszcze, że Sarkis zginął na trzy godziny przed tym, jak rozejm wszedł w życie. Poległ prawdopodobnie w chwili, gdy trwało już wirtualne spotkanie przywódców i rozejm był w zasadzie przesądzony. Ale w Górskim Karabachu zacięte walki toczyły się w wielu miejscach do samego końca, a Martuni było jednym z takich miejsc. Anahit dowiedziała się potem, że na schron, w którym przebywał Sarkis, spadła bomba z samolotu. Doznał krwotoku wewnętrznego od fali uderzeniowej. Zmarł.

Krewni, którzy wcześniej od niej dowiedzieli się o tym, postanowili nie informować jej, dopóki nie potwierdzą tożsamości Sarkisa. Dopiero 11 listopada po południu dowiedziała się, że straciła syna.

Przez ten czas wysłała mu dziesiątki wiadomości. Liczyła, że je zobaczy i oddzwoni. Telefon milczał.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca:
SHANT KEL KHATCHERIAN

DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS

Rumuńscy Węgrzy na corocznej paradzie z okazji Dnia Wolności Seklerskiej w Târgu Mureș (węg. Marosvásárhely); widoczna żółto-niebieska flaga seklerska. 10 marca 2018 r.

Lankijscy piekarze uciekają z Siedmiogrodu

KAMIL CAŁUS

Z coraz większą nieufnością Rumunia patrzy na poczynania rządu Viktora Orbána, których adresatem jest węgierska mniejszość w Siedmiogrodzie.

Minęło sto lat, ale ta historia nie chce przeminąć, nadal dzieląc Rumunów i Węgrów. I wciąż powraca: w listopadzie parlament w Bukareszcie przegłosował ustanowienie nowego ogólnonarodowego święta. Nazywa się Dzień Trianon i ma upamiętniać traktat, który 4 czerwca 1920 r. zwycięzcy I wojny światowej podpisali w wersalskim pałacu Grand Trianon z pokonanymi Węgrami (traktowanymi jako osobne państwo). Układ ten formalnie potwierdzał fakt przejęcia przez Rumunię ogromnych terenów, w tym przede wszystkim Siedmiogrodu, stanowiących wcześniej węgierską część Austro-Węgier.

Co dla Rumunów jest dziś powodem do świętowania, przez Budapeszt postrzegane jest jako nieuzasadniony rozbiór ich kraju, którego konsekwencją było skazanie na życie poza jego granicami milionów Węgrów. Nic dziwnego, że decyzja rumuńskich władz spotkała się z krytyką w Budapeszcie i wśród rumuńskich Węgrów. Reprezentanci mniejszości węgierskiej w Rumunii nazwali ustanowienie nowego święta niepotrzebną demonstracją siły, twierdząc, że jest ono dla nich upokarzające i obraźliwe.

Dlaczego rumuńscy politycy zdecydowali się na ten krok? Z jednej strony chodziło o zademonstrowanie elektoratowi przywiązania do patriotycznych wartości i odwrócenie jego uwagi od bieżących problemów (epidemia mocno uderzyła w Rumunię). Z drugiej zaś o symboliczną reakcję na politykę rządu Viktora Orbána, która w Bukareszcie budzi obawy przed węgierskim resentymentem, przejawiającym się coraz większym zaangażowaniem Budapesztu w życie węgierskiej mniejszości w Rumunii.

Ulubiona mniejszość Orbána

W 19-milionowej Rumunii żyje dziś ok. 1,2 mln Węgrów, powszechnie ↦

↦ zwanych Seklerami; stanowią więc całkiem sporą mniejszość.

Seklerzy to oczko w głowie Fideszu, rządzącego Węgrami od 2010 r. Od chwili objęcia władzy stara się otaczać ich szczególną opieką – pod względem politycznym (stawiając się w roli obrońcy ich interesów przed Bukaresztem) i finansowym. Już w 2010 r. rząd Orbána przyznał etnicznym Węgrom mieszkającym poza ojczyzną prawo do uzyskania obywatelstwa węgierskiego, z czego skorzystała co najmniej połowa rumuńskich Węgrów. Nie brakowało też działań symbolicznych: w 2014 r. charakterystyczny seklerski sztandar (ozdobiony gwiazdą i półksiężycem) zastąpił flagę Unii Europejskiej, wiszącą wcześniej na gmachu parlamentu w Budapeszcie.

Prócz paszportów na tereny zamieszkałe przez rumuńskich Węgrów trafia też z Budapesztu ogromna pomoc finansowa. Dziennikarze śledczy z portalu Balkan Insight ustalili, że tylko w latach 2017-18 do Siedmiogrodu napłynęło w ten sposób prawie 300 mln euro. Środki te kierowane są głównie do węgierskich mediów i fundacji, a także przeznaczane na budowę i remonty obiektów sportowych, szkół, przedszkoli czy kościołów. Kolejne fundusze trafiają tam w ramach programów kulturalnych, m.in. na renowację zabytków ważnych dla kultury węgierskiej. Pomoc ta jest nie tylko efektywna, ale i efektowna na niedoinwestowanych terenach rumuńskiej Seklerszczyzny, której PKB sięga ledwie 44 proc. unijnej średniej.

Działania te – mające realizować głoszony przez węgierską prawicę postulat solidarności i jedności narodu węgierskiego ponad granicami – dla partii Orbána mają również wymiar praktyczny. Nowi obywatele mogą głosować w węgierskich wyborach i chętnie to czynią – w zdecydowanej większości wspierając Fidesz, postrzegany przez nich jako dobroczyńca. I tak, w węgierskich wyborach parlamentarnych w 2014 r. aż 95 proc. żyjących poza krajem obywateli Węgier wsparło partię Orbána. Cztery lata później wynik ten był jeszcze bardziej korzystny dla ugrupowania premiera.

Rumuńska filia Fideszu

Nic dziwnego, że politycy obozu rządzącego na Węgrzech chętnie agitują wśród mniejszości. „Liczę na was!" – pisał Orbán w liście do swych wyborców za granicą przed głosowaniem w 2018 r. Zarówno on, jak też politycy jego partii regularnie wizytują żyjących w Rumunii rodaków. Tradycją stał się już udział działaczy Fideszu w corocznym Wolnym Uniwersytecie Letnim, organizowanym w rumuńskiej miejscowości Băile Tuşnad. Na ironię losu zakrawa fakt, że impreza, która miała być platformą dialogu i porozumienia między Węgrami i Rumunami, za sprawą działań Orbána stała się forum wyborczej agitacji.

Swego rodzaju politycznym lobbystą Fideszu w Siedmiogrodzie stał się w ostatnich latach Demokratyczny Związek Węgrów w Rumunii (UDMR) – jedyne ugrupowanie reprezentujące dziś tę mniejszość w bukareszteńskim parlamencie. Powstała w 1989 r., partia ta jest stale obecna w rumuńskiej polityce i tradycyjnie notuje poparcie na poziomie ok. 6 proc. Związek pomaga Fideszowi mobilizować elektorat, przekonując swoich zwolenników do głosowania na partię Orbána. Współorganizuje też wiece wyborcze, na których pojawiają się jej politycy. W zamian uzyskuje wszelkie możliwe wsparcie ze strony Budapesztu.

Ta narastająca symbioza, która niektórych skłania do nazywania UDMR filią Fideszu, niepokoi Rumunów. Zanim w Budapeszcie władzę objął Fidesz, Związek był partią silnie osadzoną w rumuńskich realiach politycznych i – podobnie jak inne ugrupowania – był uzależniony od finansowania z rumuńskiego budżetu. Dziś – jak pisze Cristian Pantazi, dziennikarz portalu G4Media – „pod wpływem ogromnych sum kierowanych przez Budapeszt do Rumunii UDMR niemal zupełnie utracił swoją pierwotną tożsamość".

Z coraz większą nieufnością Rumuni patrzą również na działania rządu w Budapeszcie, które są adresowane do węgierskiej diaspory. Nie brakuje głosów, że polityka Fideszu wpływa negatywnie na jej integrację z państwem rumuńskim oraz podważa jej lojalność wobec niego. Jednym z problemów ma być – zdaniem rumuńskich dziennikarzy śledczych – postępujące przejmowanie kontroli nad lokalnymi mediami węgierskojęzycznymi na Seklerszczyźnie, czym mają się zajmować organizacje powiązane z Fideszem (jak Stowarzyszenie dla Przestrzeni Medialnej w Siedmiogrodzie). A podporządkowanie tych mediów Fideszowi jeszcze bardziej wiąże UDMR z Budapesztem: jeśli partia ta chce promować się wśród własnego elektoratu, musi przecież korzystać z mediów lokalnych.

EGYED UFO ZOLTAN / AFP / EAST NEWS

Dwóch groźnych Azjatów

Wszystko to znajduje odbicie „na dole". Niektórzy komentatorzy uważają, że rosnące uzależnienie od Fideszu węgierskich mediów w Rumunii – oraz idące w parze z tym ich upolitycznienie – sprawia, iż narracja partii Orbána (np. ta przedstawiająca migrantów jako zagrożenie dla Europy) podsyca wśród mieszkańców Seklerszczyzny nastroje ksenofobiczne.

Dyskusja na ten temat wybuchła na poważnie po wydarzeniach, do których doszło na początku tego roku w miejscowość Ditrău. Położona na pograniczu środkowej i północno-wschodniej Rumunii, Ditrău zamieszkana jest właściwie wyłącznie przez Seklerów. Nie mogąc znaleźć wśród miejscowych chętnych do pracy, właściciel lokalnej piekarni zatrudnił dwóch piekarzy ze Sri Lanki. Ta niewinna, jak mogłoby się wydawać, decyzja wywołała lawinę zdarzeń, które wstrząsnęły węgierskim miasteczkiem.

Zaczęło się od utworzenia przez mieszkańców na jednym z portali społecznościowych grupy „Chcemy Ditrău wolnego od migrantów", gdzie na ciemnoskórych przybyszów z Azji wylewało się morze hejtu. Potem za słowami poszły czyny: ok. 200 mieszkańców Ditrău pod przewodnictwem miejscowego księdza ruszyło do ratusza, by protestować przeciw masowej imigracji i wzywać władze do organizacji referendum w tej sprawie.

Na cmentarzu wojskowym w Valea Uzului (węg. Úzvölgy), gdzie pochowani są węgierscy i rumuńscy żołnierze polegli podczas I wojny światowej, 6 czerwca 2019 r. doszło do starć między nacjonalistami rumuńskimi i węgierskimi.

Niestety na proteście się nie skończyło. Obaj obywatele Sri Lanki musieli wyprowadzić się z zajmowanego mieszkania, w związku z groźbami pod adresem jego właściciela. Ale gdy przenieśli się do innego domu, także jego gospodarz usłyszał pogróżki od miejscowych. Ostatecznie Lankijczycy zostali zmuszeni do wyjazdu z miasteczka (dodajmy, że nie tylko nie byli muzułmanami, wbrew obawom Węgrów, lecz przeciwnie: jeden był prześladowanym w swej ojczyźnie katolikiem, a drugi buddystą).

Rumunom, którzy całe to zamieszanie obserwowali za pośrednictwem mediów, trudno było uwierzyć, że pojawienie się dwóch Azjatów w gminie liczącej 5,5 tys. mieszkańców mogło wzbudzić takie emocje. Po raz pierwszy zaczęto się wówczas na serio zastanawiać, jaki wpływ na rumuńskich Węgrów może mieć promowana przez Fidesz ideologia.

Węgiersko-rumuńskie strachy

Ich nieufność wobec aktywności rządu Orbána w Siedmiogrodzie związana jest wprost z faktem, że Rumuni obawiają się węgierskiego rewizjonizmu. Eksploatowanie przez Fidesz tematu Trianon (w jego narracji: narzuconego Węgrom „dyktatu z Trianon") i kultywowanie pamięci o utraconych ziemiach, w połączeniu z zaangażowaniem w sprawy węgierskiej mniejszości sprawiają, że niemal dwie trzecie Rumunów uważa, iż Budapeszt „w ten czy inny sposób" chciałby odzyskać kontrolę nad Siedmiogrodem.

Władze rumuńskie są bardzo wyczulone na wszelkie takie sygnały, choćby symboliczne. Gdy w 2019 r. parlament węgierski ogłosił rok 2020 „rokiem wspólnoty narodowej" (w związku z setną rocznicą traktatu), rumuńskie MSZ oświadczyło, że jakiekolwiek próby pisania historii na nowo są niedopuszczalne, i że „traktat z Trianon, który ustanawia (...) granicę między Rumunią i Węgrami, nie jest problemem wymagającym rozwiązania".

Obawy przed wzrostem węgierskich wpływów w regionie sprawiają, że Bukareszt z wyraźną niechęcią realizuje inwestycje związane ze wzmacnianiem szlaków komunikacyjnych między Transylwanią a Węgrami, takich jak Via Carpatia. W nieoficjalnych rozmowach z przedstawicielami administracji rumuńskiej można usłyszeć, że władze wolałyby najpierw porządnie spiąć ten region z Bukaresztem, a dopiero potem poprawiać jego skomunikowanie z Węgrami.

Ale rumuńskich strachów związanych z Węgrami jest więcej. Ze szczególną niechęcią rząd w Bukareszcie reaguje na postulat utworzenia na terenie Seklerszczyzny autonomii węgierskiej, wysuwany konsekwentnie przez UDMR. Żądanie takie podnoszone jest np. podczas corocznych marszów organizowanych 10 marca, w Dniu Wolności Seklerskiej. Gdy 8 stycznia 2018 r. UDMR i pozostałe ugrupowania reprezentujące mniejszość podpisały wspólną deklarację, wzywając Bukareszt do utworzenia autonomii, ówczesny premier Mihai Tudose stwierdził, że ten, kto na gmachu instytucji publicznej (na terytorium zamieszkanym przez mniejszość) zawiesi flagę Seklerów, „będzie powiewał obok niej".

Starcie na cmentarzu

Jednak hasła „obrony przed węgierskim rewanżyzmem" nie zawsze są wyłącznie odpowiedzią rumuńskich polityków na realne obawy drzemiące w społeczeństwie. Zamiast tego są one często wykorzystywane cynicznie do mobilizacji elektoratu czy odwracania uwagi od niekorzystnej sytuacji wewnętrznej.

Po części tak było również w przypadku decyzji o ustanowieniu Dnia Trianon. Projekt ustawy w tej sprawie został złożony jeszcze w czerwcu 2019 r., przez polityków rządzącej wówczas Partii Socjaldemokratycznej (PSD). Nie był to czas przypadkowy. Kilka dni wcześniej na cmentarzu wojskowym w wiosce Valea Uzului (węg. Úzvölgy), na którym pochowani są węgierscy i rumuńscy żołnierze polegli podczas I wojny światowej, doszło do starć między przedstawicielami obu grup narodowych.

Partia Socjaldemokratyczna, która znajdowała się wówczas w kryzysie (po skazaniu jej przewodniczącego Liviu Dragnei za korupcję), postanowiła wykorzystać tę sytuację, by zaprezentować się jako formacja dbająca o interes narodowy i przeciwstawiająca się próbom „przepisywania historii".

RELACJE BUKARESZTU Z WĘGRAMI – zarówno z tymi zamieszkującymi Siedmiogród, jak też z rządem w Budapeszcie – są i pozostaną skomplikowane. Prócz zaangażowania Fideszu i skłonności do rozgrywania tej kwestii przez polityków rumuńskich, teraz pojawia się dodatkowy element: w nowym rumuńskim parlamencie, wybranym w pierwszą niedzielę grudnia, znalazł się Związek dla Jedności Rumunów (AUR). Ta marginalna do niedawna partia – niechętna Węgrom i konserwatywna, wręcz nacjonalistyczna – zdobyła niemal 9 proc. głosów. Niespodziewanie dla wszystkich, także dla węgierskiej mniejszości, która fakt ten przyjęła bardzo krytycznie (co zresztą zrozumiałe).

Kiepski to prognostyk na przyszłość.

© KAMIL CAŁUS

Liczenie łódek

PAULINA MAŚLONA Z HISZPANII

Hiszpańskie wyspy na Atlantyku to nowy cel afrykańskich migrantów. Liczą, że staną się dla nich przystankiem w drodze do Europy. Czy Kanary będą jak Lesbos?

Mieszkańcy Arguineguín, niewielkiej miejscowości na południowym wybrzeżu Wysp Kanaryjskich, liczą łódki. Do portu przypływają jedna, dwie, w końcu nawet siedem w ciągu dnia. Większość z nich zostaje w porcie, porzucone dryfują przy brzegu.

Niektórzy będą wrzucać do internetu zdjęcia łódek – na specjalnie utworzone konto na Twitterze, taką małą platformę dla zaniepokojonych sąsiadów. Do sieci powędruje też fotografia tych, którzy łódkami przypłynęli. Szerokie ujęcie, dobrze widać tłum. Pod spodem ironiczny dopisek: „Nasi nowi turyści".

Molo w Arguineguín

– Ponad dwa tysiące osób w miejscu, które przeznaczone jest na pomieszczenie zaledwie czterystu – mówi mi Natalia González Vargas.

Natalia jest dziennikarką, od dziecka mieszka na Wyspach Kanaryjskich – niewielkim wyspiarskim archipelagu na Atlantyku, który położony jest na zachód od marokańskiego wybrzeża Afryki i od XV w. należy do Hiszpanii. Od brzegu Afryki Wyspy dzieli tylko jakieś 100 km. Do Hiszpanii jest stąd znacznie dalej – ponad 1200 km.

W prowizorycznym obozie, zorganizowanym na molo w Arguineguín, Natalia zjawia się w listopadzie. – Wolontariuszy też jest tam za mało. Robią, co mogą, ale w momencie, kiedy ostatnim osobom kończą rozdawać obiad, trzeba już zabierać się za kolację – wspomina.

Jadłospis nie należy do urozmaiconych: każdy z trzech posiłków składa się z kanapki. Takiej z supermarketu, pakowanej w plastik. Mniej niż litr wody dziennie na głowę. Nie wolno używać szklanek, to obostrzenia związane z pandemią. Prysznicow brak. Nawet jeśli ktoś chce się pomodlić, nie ma jak umyć rąk. W namiotach mieści się kilkaset osób: to ci, którym się udało. Szczęściarze. Dla reszty brakuje nawet koców, przykrywają się kawałkami kartonu.

– W ciągu dnia bywa gorąco, ale noce są tu zimne – tłumaczy Natalia.

Imigranci teoretycznie mają zostać tutaj przez 72 godziny. Ale nie brakuje i takich, którzy spędzili na molo nawet 24 dni. – Nikt mi nie powiedział, że jest w ogóle szansa na wyjście z tego miejsca! – młody chłopak, z którym rozmawia Natalia, jest zszokowany.

– Część mówi po francusku, ale wielu tylko w swoich językach. Nikt im nie tłumaczy, co się tak naprawdę dzieje – mówi Natalia, która wie, że w momencie, kiedy oni tłoczą się na molo z głową pełną pytań, urzędnicy załatwiają im już gwarancję na bilet w jedną stronę.

Devoluciones en caliente – czyli natychmiastowe deportacje, bez szansy na wytłumaczenie powodu, dla którego tu przybyli, czy ubieganie się o azyl – są etycznie trudne do obronienia, ale wciąż praktykowane. Teraz to jednak tylko skrawki papieru: pandemia wszystko utrudnia, nie ma jak i dokąd deportować.

Dwa tysiące osób zebranych na molo, głównie młodych chłopaków, siedzi więc ramię w ramię. Tutaj, na wyspie Gran Canaria, która dla żadnego z nich nigdy nie była celem wyprawy. O swojej przyszłości nie wiedzą nic. Na ich nieszczęście kręcący się wokół nich Europejczycy wiedzą niewiele więcej.

„Korek" dla Unii

Pierwsze łódki pojawiają się na Wyspach Kanaryjskich pod koniec 2019 r. i od razu przypominają miejscowym o wydarzeniach sprzed trzynastu lat: kryzysie *cayucos* (nazwanego tak od własnoręcznie robionych przez imigrantów łódek) z roku 2006, kiedy do hiszpańskiego archipelagu przypłynęło ponad 36 tys. Afrykanów.

– Już końcówka poprzedniego roku powinna być dla władz sygnałem, że trasa przez Atlantyk się reaktywuje – twierdzi dziś Natalia González Vargas, zaskoczona brakiem konkretnego planu działania ze strony polityków.

JAVIER FERGO / AP / EAST NEWS

Zgromadzeni w porcie Arguineguín to zaledwie niewielka część z prawie 17 tys. imigrantów, którzy według danych hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przypłynęli na Wyspy do 15 listopada 2020 r. Choć to ogromna różnica w porównaniu z poprzednim rokiem – wówczas przybyło ich niecałe półtora tysiąca – liczba nie robiłaby takiego wrażenia, gdyby przybyszy regularnie wysyłano na kontynent i rozdzielano pomiędzy hiszpańskie regiony autonomiczne. No właśnie: gdyby.

„Wyspy Kanaryjskie nie mogą przyjąć całej napływającej imigracji. To nie jest ani sprawiedliwe, ani możliwe" – mówi pod koniec października w wywiadzie dla dziennika „El País" Ángel Víctor Torres, szef autonomicznego rządu na Kanarach i członek Partii Socjalistycznej (PSOE).

Torres będzie ponawiać prośby o solidarność w kryzysie, ale z Madrytu (gdzie władzę sprawują także socjaliści) nie dostanie satysfakcjonującej odpowiedzi. Jeśli imigranci trafiają na kontynent, to w niewielkiej liczbie i załatwia się to po cichu.

To jeden z wielu tematów, które dzielą koalicyjny rząd centralny w Madry-

Imigranci na molo w Arguineguín. Wyspy Kanaryjskie, 24 listopada 2020 r.

cie: podczas gdy część polityków PSOE (w tym minister transportu José Luis Ábalos) uważa, że przyjęcie imigrantów byłoby zachętą dla kolejnych do wybrania się w niebezpieczną podróż, członkowie lewicowej partii Podemos odwiedzają port w Arguineguín i przekonują o potrzebie współpracy między hiszpańskimi regionami w relokacji przybyszów.

Najwięcej ma tu jednak do powiedzenia osoba, której podejście do imigracji od dłuższego czasu pozostaje niezmienne: działania podejmowane przez ministra spraw wewnętrznych Fernanda Grande-Marlaskę jasno wskazują, że z Wysp Kanaryjskich chętnie stworzyłby „korek" zamykający napływ imigrantów do Unii Europejskiej.

Na ministra Marlaskę spada jednak ostra krytyka, w tym od własnej partii, kiedy w listopadzie ponad 200 osób z obozu w Arguineguín zostaje znalezionych w Las Palmas, stolicy regionu Wysp Kanaryjskich. Przywieziono ich tam po cichu, pod osłoną nocy i pozostawiano samych sobie – bez jedzenia, picia czy wskazówki, co dalej.

„Przyjrzę się temu" – obiecuje minister, który utrzymuje, że nic o sprawie nie wiedział.

Jeszcze więcej tego samego

– Zachowanie lewicowego rządu przypomina to, do czego przyzwyczaiła nas wcześniej prawicowa Partia Ludowa. Różnice są subtelne, ostatecznie mówimy o tej samej strategii co zawsze – uważa Lorenzo Gabrielli, analityk z Uniwersytetu Pompeu Fabra w Barcelonie, który od lat zajmuje się tematem migracji. – To skupianie ludzi w jednym miejscu, w prowizorycznych obozach i tworzenie tym samym widowiska. Nie chcę za bardzo wybiegać w przyszłość, ale z tego może powstać druga Lesbos.

Lorenzo Gabrielli uważa, że taka strategia to rozwiązania nastawione na gaszenie pojedynczych pożarów, i że brakuje rozwiązań strukturalnych, które byłyby realnie efektywne. Bo i sam problem to nie nagły kryzys, ale część naszej współczesnej rzeczywistości: imigranci zaczęli pojawiać się w Hiszpanii nieformalnymi drogami już w latach 90. XX w.

– Mam wrażenie, że niczego się przez tych 30 lat nie nauczyliśmy. Deportacja nie powstrzymuje prób przekroczenia granicy, a zablokowanie jednej drogi do Europy skutkuje pojawieniem się fali migracji w innym punkcie – uważa Gabrielli.

Imigranci nie bez powodu wybierają teraz wędrówkę morską drogą okrężną, bo poprzez Wyspy Kanaryjskie. Popularniejsze wcześniej drogi – jak ta przez hiszpańskie eksklawy na marokańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego, Ceutę i Melillę – są w tym roku niemal zupełnie niedostępne. Maroko szczelnie zamknęło granice wokół eksklaw, z obawy przed pandemią. Jednocześnie to katastrofalne skutki pandemii są jednym z powodów, dla których wielu Marokańczyków chce opuścić swój kraj. To oni dominują wśród osób, które trafiają na Kanary. Ale łódkami nie przestali wypływać też mieszkańcy Afryki Subsaharyjskiej.

– Na morze wypycha ludzi także niestabilna sytuacja polityczna, prześladowania – mówi Gabrielli. – W wielu miejscach do migracji przyczyniamy się zresztą sami, poprzez naszą imperialną politykę, jak choćby europejskie umowy na połów w Senegalu czy Mauretanii, które od lat wyniszczają lokalne rybołówstwo. Wolimy jednak wydawać mnóstwo pieniędzy na kontrolę granic, zamiast na rozwiązanie realnych, głębokich problemów.

W tej kontroli istotną rolę spełniają także kraje pochodzenia imigrantów. Zarówno Hiszpania, jak też Unia Europejska mocno się starają, aby uczynić z nich skutecznych strażników europejskiego spokoju. W zamian za utrzymanie szczelnych granic Europa oferuje im m.in. finansową pomoc w rozwoju. Chociaż, jak twierdzi Gabrielli, czasem trudno stwierdzić, kto bardziej korzysta na nowych rozwiązaniach: – No bo czy wprowadzenie biometrycznego dowodu osobistego rzeczywiście jest priorytetem dla takiego kraju jak Senegal? Czy to po prostu kolejne narzędzie kontroli?

Ruchoma granica

Zebrani na molo w Arguineguín myśleli pewnie, że wystarczy dotrzeć do skrawka Hiszpanii, choćby tu, na Atlantyku, aby znaleźć się już w Europie. A to przecież dopiero początek. Jeśli nawet jakimś cudem wydostaną się z Kanarów i trafią do Hiszpanii kontynentalnej, granicę ↦

↦ zabiorą ze sobą. Możliwe, że najpierw trafią do CIE, ośrodka pobytu tymczasowego, w którym będą czekać na deportację. Politycy często podkreślają, że CIE to nie więzienia. Może dlatego, że na pierwszy rzut oka trudno zauważyć różnicę.

– Powiedziałbym, że jest tam dużo gorzej, bo w więzieniu mamy przynajmniej klarowne normy i reguły funkcjonowania – twierdzi Gabrielli. – Ośrodki CIE to przestrzeń, w której może wydarzyć się wszystko, ich działanie jest nieprzejrzyste, a dostęp dla osób z zewnątrz bardzo ograniczony.

Tylko w ostatnim miesiącu aktywiści obywatelscy wielokrotnie alarmowali o pogarszającym się zdrowiu osób zatrzymanych w CIE w Madrycie oraz o niewystarczającej liczbie testów na koronawirusa. Informowali też o dwóch próbach samobójczych, co jednak w historii ośrodków nie jest niczym wyjątkowym.

Pobyt w CIE teoretycznie powinien zakończyć się deportacją, ale w wielu przypadkach do niej nie dochodzi, a po 60 dniach trzeba zatrzymanego z ośrodka wypuścić. Jego sytuacja nie jest jednak w żaden sposób uregulowana.

– Żyją w kraju, ale trochę tak, jakby w ogóle nie istnieli. Za to przy każdym wyjściu z domu muszą liczyć się z tym, że do niego nie wrócą. Jeśli akurat organizuje się jakąś deportację, policja szuka na ulicy osób o konkretnym profilu – tłumaczy Gabrielli. – Uregulowanie pobytu trwa latami, a warunki, które trzeba spełnić, byłyby trudne do osiągnięcia nawet dla rodowitego Hiszpana.

Imigranci wybierają okrężną drogę przez Kanary, bo popularne wcześniej szlaki są teraz niedostępne.

Ale to wszystko jeszcze nie teraz. Na razie przed zebranymi w Arguineguín kolejny etap wędrówki. Jest koniec listopada i w końcu opuszczają port.

Mamy to w DNA

Sąsiedzi z Arguineguín zniknięcie imigrantów przyjmują z ulgą: przedłużająca się sytuacja budziła kontrowersje, w pewnych momentach przybyszów było niemal tyle, co samych mieszkańców tej małej miejscowości.

Nie wszystkim podoba się jednak, że część imigrantów została tymczasowo zakwaterowana w opuszczonych hotelach na Kanarach. „Za nasze pieniądze się tak bawią?" – pytają miejscowi internauci pod zdjęciami uśmiechniętych chłopaków na hotelowych balkonach.

Na początku grudnia na Gran Canarię przylatuje Santiago Abascal, lider skrajnie prawicowej partii VOX, i bierze udział w proteście przeciwko przyjmowaniu imigrantów. „Wyspy Kanaryjskie przeciwstawiają się inwazji" – głosi komunikat partii.

– Mam wrażenie, że jesteśmy w tym temacie coraz bardziej spolaryzowani – przyznaje Natalia González Vargas. – Jedni wezmą udział w proteście, a inni, jak widzą tych chłopaków na ulicy, przynoszą im wodę i pytają o samopoczucie.

Trudniej przejmować się losem imigrantów, kiedy samemu nie ma się klarownej wizji przyszłości. Na Wyspach Kanaryjskich ponad 40 proc. miejsc pracy uzależnionych jest od sektora turystycznego, tymczasem wiele osób pracujących wcześniej w tym sektorze od marca pozostaje bez zatrudnienia. Na łamach magazynu „Hacienda Canaria" ekonomista José Luis Rivero ocenia, że skutki pandemii mogą być tu odczuwalne nawet do 2025 r.

Szef regionalnego rządu Ángel Víctor Torres prosi jednak mieszkańców o zrozumienie dla sytuacji, w jakiej znajdują się imigranci. „Na Wyspach Kanaryjskich nie ma miejsca na ksenofobię" – pisze na Twitterze i przypomina, że przodkowie wyspiarzy również byli zmuszeni do porzucenia wszystkiego i wyruszenia w podróż. „Mamy to w naszym DNA".

W PONIEDZIAŁEK 7 GRUDNIA z Gran Canaria odlatuje pierwszy samolot transportujący z powrotem do kraju znaczącą liczbę marokańskich imigrantów. To najpewniej efekt podróży i niedawnych negocjacji prowadzonych z Marokiem przez ministra Fernanda Grande-Marlaskę.

Mieszkańcy Arguineguín wciąż liczą przypływające łódki.

Na Gran Canaria niektórzy do wody rzucają kwiaty. Chcą upamiętnić te setki ludzi, którym nie udało się dotrzeć do brzegu. © PAULINA MAŚLONA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

College of Europe
Collège d'Europe
Brugge Natolin

Twoja droga do międzynarodowej kariery

Kolegium Europejskie (College of Europe) to najstarsza i jedna z najbardziej prestiżowych uczelni oferujących studia w zakresie spraw europejskich. Podczas rocznych studiów na kierunku Advanced Master of Arts in European Interdisciplinary Studies w Kolegium Europejskim w Natolinie studenci zyskują szerokie spojrzenie na problematykę europejską oraz kompetencje przygotowujące do międzynarodowej kariery w wielu różnych sektorach.

Kandydaci z Polski mogą ubiegać się o finansowanie studiów w ramach stypendiów Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP. Rekrutacja na rok akademicki 2021/2022 otwarta jest do 13 stycznia 2021 r.

Więcej informacji: coleurope.eu/eis | coleuropenatolin.eu

Ogłoszenie skierowane jest do studentów ostatniego roku lub absolwentów studiów magisterskich.

With the support of the Erasmus+ Programme of the European Union

Krecia robota

ROMAN HUSARSKI

W tej historii występują podstarzali europejscy komuniści, północnokoreańscy handlarze bronią i narkotykami, a także pewien kataloński arystokrata. Łączy ich osoba Kim Dzong Una: dyktatora-przedsiębiorcy.

Serial dokumentalny „The Mole: Undercover in North Korea" (w wolnym przekładzie: „Kret: utajone śledztwo dziennikarskie w Korei Północnej") pokazuje czarno na białym to, o czym wcześniej wielu mówiło, ale czego chyba nikt nie udowodnił dotąd z taką szczegółowością i w sposób tak brawurowy. Serial ten (pokazany niedawno przez telewizje publiczne w Wielkiej Brytanii, Szwecji, Norwegii i Danii), będący efektem dziesięciu lat poszukiwań – w tym ryzykownej pracy dziennikarskiej pod fałszywą tożsamością – ujawnia mafijne praktyki władz w Pjongjangu oraz to, jak Korea Północna i jej wspólnicy w różnych krajach świata obchodzą międzynarodowe sankcje.

Metamfetamina i rakiety

Reżyser Mads Brügger nie spodziewał się, że tak szybko wróci do tematu Korei Północnej. Po premierze „Idiotów w Korei" (2009 r.) – pełnej absurdów satyry, zrealizowanej wraz z dwoma komikami w Korei Północnej – nie był w kraju Kimów mile widziany. Tymczasem rok później skontaktował się z nim pewien Duńczyk, o którym wcześniej nigdy nie słyszał. Ulrich Løvenskjold Larsen zaproponował mu, że zinfiltruje środowisko sympatyków Korei Północnej w Danii.

Brügger wątpił, by śledzenie podstarzałych komunistów i hipisów mogło ujawnić coś niezwykłego. Otrzymawszy od Larsena potwierdzenie, że będzie działać *pro bono*, wyraził jednak zgodę. Przekazując mu zestaw minikamer podkreślił, że interesują go tylko problemy międzynarodowe. Nie spodziewał się, dokąd zaprowadzi go pozornie błahe śledztwo.

Po sześciu latach budowania zaufania Larsen znalazł się w gronie najważniejszych osób związanych z międzynarodową Korean Friendship Association (KFA). Organizacja utrzymuje, że ma sekcje w 120 krajach, w tym w Polsce. Na jej czele stoi Katalończyk Alejandro Cao de Benós, który przez światowe media bywa przedstawiany jako „północnokoreański ambasador na Zachodzie". Arystokrata, lubi paradować po Pjongjangu w północnokoreańskim mundurze obwieszonym medalami i zajmuje się promowaniem turystyki do KRLD (wycieczki prowadzi KFA). W filmie słyszymy jego buńczuczne zapewnienia, że ma dostęp „aż do samego marszałka Kim Dzong Una".

Larsen przedstawia mu „Jamesa" (to pseudonim), biznesmena z Bliskiego Wschodu, zainteresowanego inwestycjami w Korei. Do tej roli reżyser zatrudnił byłego przemytnika narkotyków i łowcę adrenaliny Jima Latrache-Qvortrupa. Elegancko ubrany, muskularny mężczyzna z zawadiackim wąsem wyglądał jak skrzyżowanie hipstera z Rumcajsem. Szybko zyskał zaufanie równie ekscentrycznego lidera KFA.

Podczas aranżowanych spotkań Cao de Benós stara się zareklamować Pjongang. Według Katalończyka wyłączenie Korei Północnej z międzynarodowej wspólnoty jest zaletą kraju, otwiera bowiem nowe perspektywy biznesowe. Asortyment jest szeroki, od broni po metamfetaminę. W odpowiedzi James mówi, że zainteresowany jest wsparciem organizacji walczących z Izraelem.

Nie jest tajemnicą, że Korea Północna wspiera Hezbollah i Hamas. W posiadaniu obu organizacji znajdowano północnokoreańską broń, a północnokoreańscy wojskowi pomagali np. w budowie tuneli między Libanem a Izraelem. Ten niecodzienny sojusz wynika po części z bliskich kontaktów KRLD z Iranem i Syrią, a po części z kalkulacji: atak na Izrael jest w oczach Pjongjangu atakiem na USA.

W każdym razie historia ta wystarczyła, by Cao de Benós zdecydował się zaproponować Jamesowi bliższe zapoznanie się z niecodzienną ofertą.

Bombowe menu i totalitarne przedszkole

Sankcje wiążą ręce każdemu, kto chce współpracować z Koreą Północną. Teoretycznie. „Wszystko da się załatwić" – uspokaja w filmie Katalończyk. W międzyczasie sam zostaje jednak aresztowany za posiadanie broni i otrzymuje zakaz wyjazdu z Hiszpanii.

Larsen i James jadą więc do Korei sami. W surrealistycznej scenie odwiedzają północnokoreańską fabrykę broni. W jej podziemiach, przy suto zastawionym stole i alkoholu, otrzymują katalog pełen najnowszych zabawek reżimu: od artylerii rakietowej krótkiego zasięgu po czołgi. Przy każdym produkcie – cena w dolarach. James radośnie podpisuje wstępną umowę. Na miejsce budowy fabryki broni, która ma posiadać sekcję chemiczną (raz jeszcze: metamfetamina), zostaje wybrana Uganda. Zaprzyjaźnione z KRLD władze tego kraju miały przymknąć oko na cały proceder.

Wizyta w Ugandzie odsłania mafijną sieć powiązań północnokoreańskiego reżimu. W jednej z najbardziej bolesnych scen w filmie skorumpowani oficjele opowiadają bajki mieszkańcom wyspy, na której ma powstać fabryka broni, o planach budowy szpitala i zapowiadają ich przesiedlenie. Dalsza odyseja prowadzi bohaterów przez takie kraje jak Kambodża, Chiny, Rosja czy Jordania. To pośrednik z tego ostatniego państwa miał zająć się transportem potrzebnej przemysłowi zbrojeniowemu ropy do KRLD. Wszystkim spotkaniom towarzyszą Koreańczycy z lokalnych ambasad. Z immunitetem zapewne czuli się bezkarnie.

Duński duet przez kilka lat prowadzi nas przez liczne układy i rozmowy. Jednym ze zwieńczeń jest odebranie projektu fabryki w ambasadzie KRLD w Sztokholmie. Kolejnym etapem byłoby już tylko przelanie pieniędzy na odpowiednie konta.

Dokument rzuca również światło na miłośników Korei Północnej. To hermetyczna grupa, o dziwo często młodych osób i praktycznie wyłącznie mężczyzn. Trudno powiedzieć, czy do państwa Kim Dzong Una przyciąga ich bardziej fe-

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „The Mole: Undercover in North Korea". Na pierwszym planie Ulrich Løvenskjold Larsen, czyli tytułowy „kret".

tysz siły czy skrajne zwątpienie w świat zachodnich wartości. Sceny, w których Cao de Benós wręcza „towarzyszom" medale za zasługi w rytm pompatycznej północnokoreańskiej muzyki puszczonej z telefonu to tragifarsa.

Do tej pory ludzie ci byli postrzegani jak kolejni miłośnicy teorii spiskowych: dziwni, ale niegroźni. Serial podważa to przekonanie. Do myślenia daje również zawrotność kariery Larsena: przytakując i wychwalając lidera, stał się jego prawą ręką w organizacji.

Śledztwo może potrwać lata

Publikacja historii „Kreta" wywołała burzę. Północnokoreańska ambasada w Szwecji nazwała trzyczęściowy dokument „totalną fabrykacją". Według jej pracownika film został wyprodukowany przez wrogie siły w celu zakłócenia 75. rocznicy istnienia Koreańskiej Partii Pracy – dokument miał premierę dzień po tym wydarzeniu. Władze KRLD zapowiedziały również, „że wszystko wyjaśnią". W obliczu zebranych nagrań nie będzie to proste zadanie i Koreę Północną mogą czekać prawne konsekwencje.

Łatwość, z jaką bohaterowie weszli w szarą strefę północnokoreańskiego handlu bronią i narkotykami, zaskoczyła analityków. Część uważa, że to dowód na desperację Pjongjangu. W filmie jeden z Koreańczyków narzeka na upadek Państwa Islamskiego w Syrii. „Od tamtej pory praktycznie nie mamy klientów" – mówi w jednej ze scen. Inni eksperci wskazują na przepaść między zewnętrznym światem a tajnymi służbami Korei Północnej, które nie dostrzegły mistyfikacji. Wystarczyłoby przecież trochę wysiłku, by odkryć tożsamość Jamesa. Z drugiej strony reżyser podkreśla w wywiadach, że kryminalna przeszłość Latrache-Qvortrupa wcale nie musiałaby działać na jego niekorzyść...

Twórca filmu przekazał już część zebranych do niego materiałów – wskazujących na naruszenie międzynarodowych sankcji – władzom poszczególnych krajów. Ministerstwa spraw zagranicznych Danii i Szwecji zwróciły się do ONZ o zbadanie sprawy. Obecnie reżyser jest w trakcie negocjacji z przedstawicielstwem ONZ. Zgromadzone materiały są olbrzymie, dalece wykraczające poza trzyczęściowe dzieło i obejmujące również wiele nagrań wyłącznie audio. Myli się ten, kto spodziewałby się szybkich decyzji w tej sprawie. Śledztwo ONZ może zająć lata.

Utracona twarz reżimu

Koreańczycy znani są ze swojej obsesji wobec wizerunku. Być może reżim w Pjongjangu mógłby przełknąć kwestię ujawnienia handlu bronią, ale już nie handlu narkotykami. Taka utrata twarzy może kosztować posady, a nawet życie wielu ludzi. Amerykański portal NK News – specjalizujący się w publikowaniu informacji o Korei Północnej – podał, powołując się na swój kontakt w tym kraju, że niektórym Koreańczykom zaangażowanym w sprawy pokazane w filmie grozi obóz. Z drugiej strony w ostatecznym rozrachunku nie istnieją sposoby, aby ukrócić ten proceder. Elity w Pjongjangu, które pociągają za sznurki, i tak pozostaną bezkarne.

Tymczasem czerwony arystokrata z Hiszpanii próbuje teraz na wszelkie sposoby negować finalny efekt pracy Brüggera. Przedstawia swoją wersję historii, w której miałby przez lata odgrywać podwójną rolę, chcąc sprawdzić, czy kontaktująca się z nim dwójka, Larsen i James, nie zamierzają zrobić czegoś nielegalnego (sic!).

W filmie Cao de Benós przekonywał, że „cokolwiek robisz w Korei Północnej, zostaje w Korei Północnej". Na szczęście już nie. ©

PETER BISCHOFF / GETTY IMAGES

Götz George jako komisarz Horst Schimanski oraz Steffen Wink jako policjant Tobias Schrader w jednym z odcinków serialu telewizyjnego „Tatort".

Niemców portret własny

RAFAŁ WOŚ

Żeby zrozumieć, co gra w niemieckiej duszy, należy poświęcić 88 minut. Raz na tydzień. Byle regularnie.

Niemieckie słowo Tatort to dosłownie „miejsce zbrodni". To także nazwa serialu kryminalnego, emitowanego co tydzień przez niemiecką telewizję publiczną ARD. Zawsze w niedzielę o godzinie 20.15. Zawsze z tą samą – dziś już bardzo retro – czołówką. Niedawno minęło 50 lat od wyświetlenia pierwszego odcinka.

„Tatort", czyli co?

W Polsce trudno wyjaśnić, co to właściwie jest ten „Tatort". Hasło „serial kryminalny" niewiele tłumaczy. W czasach Netfliksa i HBO słysząc „serial", spodziewamy się atrakcyjnie podanego dania serwowanego po 8-10 odcinków na sezon, maksimum dwa sezony rocznie. Jednak po 5-8 takich sezonach nawet najlepszy pomysł się przejada, na jego miejsce wjeżdża nowa serialowa strawa.

Jeśli więc konsumowanie współczesnych seriali porównać do ciągłych kulinarnych podróży i testowania nowych smaków albo receptur, to „Tatort" jest czymś przeciwnym. To stałe menu o jasno określonych składnikach, serwowane na tych samych talerzach i o stałej porze w zakładowej stołówce. Od 29 listopada 1970 r. (premiera pierwszego odcinka) wyemitowano ich już grubo ponad 1100. Mimo to nie wygląda, aby komuś miało się przejeść. Lepsze odcinki gromadzą przed telewizorami nawet po 13 mln widzów (ogląda je zatem co szósty mieszkaniec Republiki Federalnej).

Może więc „Tatort" to raczej telewizyjny tasiemiec? Odpowiednik naszego „Klanu" czy radiowych „Matysiaków" – rozrywki oglądanej z przyzwyczajenia, nudów lub sentymentu? Ale to także nie jest dobry trop. Bo każdy „Tatort" to w zasadzie odpowiednik pełnoprawnej premiery kinowej. Niektóre odcinki mają często swoje pokazy przedpremierowe na filmowych festiwalach. Możliwość reżyserowania, zagrania czy napisania scenariusza do odcinka tego serialu to nie chałtura, lecz rodzaj najwyższego stopnia wta-

jemniczenia w niemieckiej branży filmowej.

Ostatnio jest wręcz tak, że każdy odcinek to wysmakowana wariacja na styku kryminału (ta część jest nienegocjowalna) z innym kinowym gatunkiem. Bywają więc komedie pełne zwrotów akcji, ale i thrillery czy nawet horrory. 1 stycznia 2020 r. twórcy „Tatort" zaskoczyli widzów, oferując im kryminał w konwencji eksperymentalnego *reality show* bez scenariusza, w czasie rzeczywistym. Na dodatek z udziałem prawdziwych osób publicznych, jak premier landu Nadrenii Północna-Westfalia i szef tamtejszej policji.

Życiowa rola

Może więc „Tatort" trzeba opisać poprzez postać wyrazistego bohatera? Tak się przecież robi kryminały od czasów Sherlocka Holmesa i Herkulesa Poirota, prawda?

Ale u Niemców znowu jest jakoś inaczej. Tu policyjni komisarze-detektywi też są barwni, ale łączna ich liczba w całej historii serialu przekroczyła już setkę. Działa to tak: każdy ośrodek regionalny niemieckiej telewizji publicznej ma „swojego" komisarza (lub coraz częściej cały zespół). Prowadzą oni swoje sprawy w konkretnym niemieckim mieście. Oznacza to, że dany komisarz pojawia się w serialu dwa-trzy razy do roku.

Niedawno występował więc dziwaczny komisarz Murot z heskiej stolicy Wiesbaden. Tydzień wcześniej na ekranach gościły policjantki Winkler i Gorniak z Drezna (wraz ze swym ciapowatym szefem Schnablem). Do końca roku mieli pojawić się jeszcze komisarze z Monachium, Dortmundu, Münster (stare miasteczko-cukiereczek w Nadrenii Północnej-Westfalii) i Wiednia (austriacka telewizja publiczna ma swoją parę komisarzy na tych samych zasadach co niemieckie ośrodki regionalne). Po pewnym czasie bohaterowie zaczynają nam się więc powtarzać. I dobrze. Oznacza to, że widz zaczyna zyskiwać „tatortową" dojrzałość.

Z reguły komisarz służy w swoim regionie na tyle długo, by stać się kimś w rodzaju lokalnego celebryty. Bywa, że wachta staje się życiową rolą aktora. Gdy komisarz Lena Odenthal z Ludwigshafen (miasto przy francuskiej granicy) debiutowała w serialu, miała niecałe 30 lat, krótkie włosy, a Niemcy były podzielone na NRD i RFN – pierwszy odcinek z jej udziałem wyemitowano bowiem 29 października 1989 r. W marcu 2020 r. Odenthal pojawiła się po raz 71. w swojej „tatortowej" roli, a grająca ją aktorka Ulrike Folkerts wkrótce skończy 60 lat.

Jeszcze więcej odcinków mają na swoim koncie komisarze z Monachium: Franz Leitmayr i Ivo Batic. Ich debiut nastąpił wprawdzie później (styczeń 1990 r.), ale filmy z nimi pojawiały się na ekranie częściej. W czerwcu 2020 r. rozwiązali wspólnie już 84 sprawę – i jak zwykle się przy tym pokłócili.

Rambo mówi: „Scheisse!"

Wielu komisarzy cieszy się kultowym statusem nawet po odejściu z serialowej służby. Przykładem Horst Schimanski z Duisburga: jego postać, którą grał aktor Götz George (pochodzący z dynastii aktorskiej), występowała w serialu zaledwie przez dekadę 1981-91, ale nie pozostawiała wiele miejsca na obojętność.

Dla jednych Schimanski był tanią kopią amerykańskich wzorców. Pisano o nim „Rambo z Zagłębia Ruhry", bo jego „śledztwo" trudno było nazwać śledztwem. Polegało z reguły na odwiedzaniu po kolei każdego z wrogów, przeklinaniu (nikt wcześniej w niemieckim kinie nie używał tak często słowa „*Scheisse*"), łapaniu ich za fraki i rzucaniu na podłogę, aby w tym położeniu szczerze wyznali swe grzechy. Inni widzieli w „Schimim" wiernego syna klasy robotniczej Zagłębia Ruhry, który nie wstydzi się brudnych i opuszczonych zaułków tej niegdyś bogatej, a teraz podlegającej szybkiej deindustrializacji aglomeracji Republiki Federalnej.

Inną serialową legendą był komisarz Bruno Ehrlicher, działający w latach 1992–2007 najpierw w Dreźnie, a potem w Lipsku. Grał go Peter Sodann, jeden z bardziej znanych aktorów teatralnych w byłej NRD. W serialu wykreował postać starzejącego się policjanta, który nie ukrywa, że zjednoczenie Niemiec uważa raczej za aneksję swej ojczyzny przez bogaty, chciwy, bezduszny i zarozumiały Zachód. Rola dała Sodannowi taki status, że w 2009 r. partia Die Linke, wywodząca się z partii komunistycznej, która rządziła w NRD, wystawiła go w wyborach na prezydenta Niemiec (był to symboliczny gest, bo kandydat Die Linke i tak nie miał szans).

Aż za dobrze

Niektórzy uważają, że dobrym słowem do określenia serialu „Tatort" byłby termin „saga". Ale i tu trop może nas wyprowadzić na manowce. Sagi to przecież we współczesnej kulturze najczęściej ucieczka przed rzeczywistością. W świat *fantasy* („Gra o tron", „Władca pierścieni"), ewentualnie w zakamarki dalszej lub bliższej historii („The Crown", „Narcos").

„Tatort" odwrotnie. To saga mocno osadzona w realiach niemieckiego tu i teraz. Ten serial z definicji nie może uciekać od gorących tematów zajmujących społeczeństwo Niemiec. Przeciwnie: oglądanie niedzielnego odcinka i rozmowa o nim następnego dnia w pracy to rodzaj rytuału ogólnonarodowej publicystyki.

Trzeba przyznać, że twórcom serialu to naśladowanie rzeczywistości wychodzi czasem nawet aż za dobrze. I tak, na 1 stycznia 2017 r. zaplanowano emisję odcinka z Dortmundu: miał opowiadać o tym, że w centrum miasta dochodzi do próby ataku terrorystycznego. Na kilkanaście dni przed emisją coś podobnego wydarzyło się naprawdę, tylko nie w Dortmundzie, lecz w stolicy: na berlińskim przedświątecznym jarmarku dżihadysta zabił lub ranił kilkadziesiąt osób.

W atmosferze narodowej żałoby i poruszenia telewizja w ostatniej chwili odłożyła emisję tego proroczego odcinka. Ale na tydzień przed nową datą emisji, w kwietniu 2017 r., w samym Dortmundzie (czyli tam, gdzie działa się akcja) w ostatniej chwili udaremniono zamach bombowy na autobus wiozący piłkarzy drużyny Borussia Dortmund. Wrócił dylemat: puszczać czy nie? Odcinek wyemitowano, argumentując, że nie po to robi się film, który ma być bliski rzeczywistości, aby bać się, gdy rzeczywistość zostaje oddana zbyt dokładnie.

Od kiszonych ogórków...

Właśnie ta celowa bliskość wobec rzeczywistości czyni z serialu „Tatort" tak świetne narzędzie do podglądania niemieckiej duszy.

Jeden czy dwa odcinki oczywiście nie wystarczą. Ale w miarę regularne oglądanie (można to robić także w Polsce: w streamingu za pośrednictwem strony internetowej ARD) pokaże nam wiele ciekawych rzeczy. Choćby to, jak ↦

↦ Niemcy widzą samych siebie i stojące przed nimi problemy.

W odcinkach starszych, tych z lat 80. czy nawet 90. XX w., serialowy kosmos jest jeszcze bardzo zachodnioniemiecki. Gdy śledztwo toczy się w sferach gospodarczych albo wśród ludzi zamożnych, zwykle widzimy przedstawicieli klasy średniej, czyli zachodnioniemieckiego biznesu, który – gdy idzie o zyski czy zasięg – już wtedy należał do światowej czołówki. Jednocześnie zarządzany był nadal niczym branża przedsiębiorstw rodzinnych. To świat, w którym senior rodu sam lubił się przejść po hali, gdzie do słoików pakowane były ogórki kiszone albo ważyło się w wielkich kadziach cuchnące, ale potrzebne gospodarce substancje. Działo się to zwykle na sennej prowincji w Bawarii lub Badenii. Bogactwo manifestowane było tu nader dyskretnie. A może wciąż dzielone wedle powojennego modelu społecznej gospodarki rynkowej? Często właściciela wartego miliony marek przedsiębiorstwa trudno było wręcz odróżnić od jego własnych pracowników.

...do sztucznej inteligencji

Dziś świat niemieckiego biznesu w tle serialowego dochodzenia to już inny obrazek. To korporacje zarządzane przez szczupłych i świetnie opłacanych menadżerów, rezydujących na najwyższych piętrach wieżowców z widokiem na panoramę Berlina, Frankfurtu czy Monachium. Tu coraz rzadziej robi się pieniądze na produkcji np. maszyn rolniczych. Coraz więcej odcinków zdaje się wręcz krzyczeć do widza: to my, nowe i pewne siebie Niemcy! Światowy lider najnowszych technologii z dziedzin *cloud computing*, *data mining* czy oczywiście zielonej energii.

W jednym z nowszych odcinków (rok 2016) komisarze Lannert i Bootz rozwiązują zagadkę morderstwa pracownicy firmy BlueSky ze Stuttgartu. BlueSky to światowy pionier badań nad sztuczną inteligencją. Mało tego: im się udało już tę sztuczną inteligencję doprowadzić na drugą stronę granicy, której ludzkość się tak bardzo boi. Stuttgarcki komputer HAL osiąga bowiem niezależność od człowieka. Co przynosi taki skutek, że obawiając się wyłączenia przez swoich mocodawców, serialowy HAL zaczyna mordować i mataczyć w policyjnym śledztwie.

DOMENA PUBLICZNA WIKIPEDIA

„Tatort": logo serialu

Serial „Tatort" jest osadzony w niemieckim tu i teraz: nie ucieka od tematów, które zajmują społeczeństwo, i pokazuje, jak Niemcy widzą samych siebie.

Z kolei w Saarbrucken komisarze Stellbrink i Marx (odcinek z roku 2018) stają wobec zagadki, w której narzędziem zbrodni jest w pełni autonomiczny samochód. Morderca najpierw zwabił do niego swoją ofiarę, później ją w aucie zamknął, a następnie rozpędził samochód do pełnej prędkości i tak poprowadził pojazd, by spadł z mostu do rzeki. Ofiara była świadoma, co się dzieje, ale nie miała szans, by uciec z tej supernowoczesnej, a jednak jakże przerażająco zwyczajnej pułapki na miarę wieku XXI. Oczywiście *made in Germany*.

Narodowy feminizm

Aspiracje i duma do bycia liderem technologicznym to jedna strona dzisiejszych Niemiec. Jednak serial „Tatort" podejmuje też coraz częściej temat ceny, którą społeczeństwo zaczyna za to płacić. Bo przecież nowe Niemcy z minionych dwóch dekad – z czasów kanclerzy Gerharda Schrödera i Angeli Merkel – daleko odeszły od społecznej gospodarki rynkowej ery Helmuta Kohla czy Ludwiga Erharda. Dzisiejsza Republika Federalna to nie tylko mistrz świata w eksporcie, ale też kraj rosnących nierówności społecznych i dochodowych. Oraz związanych z tym napięć i coraz głębszych pęknięć. Grona gniewu rosną i przybierają nowe – nieoczekiwane – formy.

Również i to znajduje odbicie w serialu. W kwietniu 2020 r. komisarz Charlotte Lindholm rozwiązywała swoją 28 już sprawę (debiutowała w 2002 r.). Towarzyszy jej nowa partnerka: czarnoskóra Anais Schmitz (debiut w 2019 r.). Bohaterki są pięknymi, silnymi, wolnymi i niezależnymi kobietami. Spór pomiędzy nimi polega w zasadzie tylko na tym, czy feminizmu ma być w ich życiu dużo czy może... jeszcze więcej.

Tym razem jednak na ich drodze staje młoda studentka i autorka popularnego bloga promującego... narodowy feminizm. Dziewczyna dowodzi im, że to ona jest prawdziwą feministką, bo świadomie wybiera wartości konserwatywne. Jej zdaniem rolą kobiety jest rodzenie dzieci i życie u boku mężczyzny. Łączy to wszystko z nacjonalizmem. Czyli z przekonaniem, że przynależność do wspólnoty narodowej daje głębokie poczucie sensu i zakorzenienia.

Ten feminizm przyszłości jest zaprzeczeniem feminizmu liberalnego, którego różne fazy reprezentują obie policjantki – w oczach feministki narodowej pustego i nierozłącznie splątanego z kapitalistycznym egoizmem i atomizacją społeczną. Narodowa feministka jest dla bohaterek filmu (a także zapewne dla większości widzów) chodzącą prowokacją. Symbolizuje bowiem zapowiedź czegoś nowego: postawy niesamowicie buntowniczej wobec dominujących w Niemczech niepodzielnie wartości liberalno-lewicowych, a jednocześnie trudnej do zdyskredytowania jako prostej reinkarnacji prawicowego radykalizmu, faszyzmu czy nazizmu. Ten odcinek to wręcz rodzaj filozoficznej rozprawy nad przyszłością feminizmu w świecie społecznych napięć spowodowanych nierównościami.

A PRZECIEŻ TO TYLKO kilka perełek z bogatego skarbczyka serialu „Tatort". Z pozoru tylko wartkiego półtoragodzinnego kryminału. W którym jednak – tuż pod głównym nurtem zdarzeń – płynie sporo społecznej mądrości. Niech Państwo sami sprawdzą, czy będą potrafili ją wychwycić.

©℗ RAFAŁ WOŚ

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

S-Biznes internet symetryczny dla firm

Skoncentrowani
na potrzebach biznesu

1000/1000
S-Biznes
1000Mbps

500/500
S-Biznes
500Mbps

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu:

- SLA 99,9% bezpieczeństwo sieci
- Wirtualna centrala do 25 stanowisk
- Hosting w chmurze Biznes Premium
- Techniczne wsparcie IT

Sprawdź na s-net.pl

S-NET
GRUPA TOYA

+48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl

DOMENA PUBLICZNA

HISTORIA

KRZYŻOWCY PÓŁNOCY

Aby istnieć, zakon krzyżacki potrzebował wroga. Dlatego stworzył sobie nad Bałtykiem własną Ziemię Świętą, wygodniejszą niż Palestyna.

MACIEJ MÜLLER

Szpital powstał pod prowizorycznym dachem, zbudowanym z rozpiętych żagli okrętowych. Niemieccy krzyżowcy znosili do niego rannych podczas oblężenia Akki. Walczących chrześcijan dziesiątkowały nie tylko strzały muzułmanów, lecz także upał i głód. Był rok 1190, w Ziemi Świętej trwała trzecia krucjata, oddziały sułtana Saladyna zajadle broniły silnie ufortyfikowanego nadmorskiego miasta.

Gdy oblężenie zostało zakończone (chrześcijanie wygrali, przynajmniej chwilowo), żagle oddano kupcom z Bremy i Lubeki, ale szpital polowy istniał dalej, a nawet zyskał dla siebie budynek w Akce. Opieką nad chorymi zajęło się założone w tym celu bractwo religijne. Nie było w tym nic nadzwyczajnego: podobnych szpitali i działających przy nim bractw było w Ziemi Świętej sporo. Mnożyły się od czasu pierwszej krucjaty, która w 1099 r. zdobyła Jerozolimę. W powstałym wtedy Królestwie Jerozolimskim pełniły ważną funkcję służebną wobec napływających masowo z Europy pielgrzymów i osadników. W szpitalach nie tylko leczono rany i choroby, zapewniały też one bezpieczne schronienie i nocleg.

Na tym barwnym tle wyróżniało się bractwo pod przywództwem francuskiego rycerza Hugona z Payens, które poza opieką szpitalną nad pielgrzymami zobowiązało się w 1119 r. do zbrojnej ochrony niebezpiecznych szlaków łączących wybrzeże Morza Śródziemnego z Jerozolimą.

Wielki mistrz Herman von Salza, twórca potęgi zakonu krzyżackiego, obraz z XVII-XVIII w., autor nieznany

Taki pomysł połączenia życia duchowego, opieki nad chorymi i walki zbrojnej początkowo zaszokował współczesnych. Ale opór pomógł przełamać opat Bernard z Clairvaux, największy autorytet XII-wiecznej Europy. Zafascynowany nowym charyzmatem, pomógł ułożyć regułę dla raczkującego zakonu rycerskiego, który przyjął nazwę templariuszy – od ich siedziby w dawnej Świątyni Salomona (łac. *templum*, świątynia), nadanej im przez króla jerozolimskiego. Przed zakonem stanęło zadanie walki z muzułmanami, którzy stale zagrażali państewkom utworzonym przez krzyżowców (Królestwo Jerozolimskie było jednym z kilku). Templariusze wkrótce znaleźli naśladowców: rycerze włoscy utworzyli zakon joannitów.

Płaszcz z czarnym krzyżem

W bractwie, które prowadziło szpital niemiecki w Akce, ten założony w 1190 r., cesarze z rodu Hohenstaufów i feudałowie dostrzegli narzędzie, dzięki któremu mogliby kontrolować niemieckie interesy na Wschodzie. W 1198 r. papież zgodził się na przekształcenie bractwa w kolejny zakon rycerski. Nadał mu regułę, która łączyła reguły templariuszy (w zakresie walki z poganami) i joannitów (kwestie opieki nad chorymi). Otrzymali też podobny strój, tylko w innych kolorach: biały płaszcz z czarnym krzyżem. Nazwano ich *cruciferi*, noszący krzyże. Krzyżacy.

Istnieje też przekaz o znacznie starszych korzeniach zakonu. Oto bowiem już w pierwszej połowie XII w. – ściślej do 1187 r., gdy Saladyn zajął Jerozolimę – działał w tym mieście szpital prowadzony przez przybyszów z Niemiec. Krzyżacy nawiązali potem do niego w swojej nazwie (Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie), choć przedstawiali swoją działalność jako nową jakość, a nie prostą kontynuację. Szpital jerozolimski podlegał bowiem joannitom – co zakon ten przez długi czas wykorzystywał jako argument w sporze o zwierzchnictwo nad krzyżakami.

Rozwój zakonu nastąpił za rządów czwartego z kolei wielkiego mistrza krzyżaków. Herman von Salza był wybitnym dyplomatą. W dobie ostrego konfliktu cesarza z papieżem potrafił zręcznie lawirować między jednym a drugim, mnożąc sytuacje typu *win-win*. W efekcie obaj obsypywali krzyżaków beneficjami. Cesarz wydał przywilej zapewniający każdemu wstępującemu do zakonu darowanie długów. Papież udzielił odpustu dla wspierających zakon jałmużną: zamiast samemu sposobić się na krucjatę, wystarczyło wesprzeć finansowo krzyżaków.

Komturie i baliwaty

Z darami spieszyli też królowie i książęta: wsie, młyny, winnice i kościoły należące do krzyżaków mnożyły się w Palestynie, ↦

↦ na Bałkanach, w Armenii Cylicyjskiej, Grecji, Włoszech, Niemczech i Hiszpanii. Podobnie jak templariusze, krzyżacy zręcznie pomnażali swoje majętności. Przykładowo, Kościół zabraniał pożyczania na procent, ale przy odrobinie zręczności można było to obejść. Jeden ze sposobów polegał na udzielaniu kredytu pod zastaw posiadłości na takich zasadach, że dłużnik przekazywał dochody z tej posiadłości kredytodawcy – w roli odsetek.

Do zakonu garnęli się młodsi synowie rycerstwa niemieckiego (pozbawieni widoków na karierę i odziedziczenie majątku, niejednokrotnie podejmujący życie zbójeckie), a także ludzie z warstwy tzw. ministeriałów, pośredniej między szlachtą a stanami niższymi. Płaszcz z czarnym krzyżem zapewniał rozsądną karierę i to bez względu na pochodzenie: sam mistrz von Salza pochodził z rodziny ministeriałów.

Zakon rozrastał się, powstawały kolejne komturie (okręgi), łączone potem w baliwaty pod kontrolą mistrzów krajowych (w XIII w. było ich już siedmiu). Komturie w Rzeszy uchodziły za bezpieczniejsze: zajmowały się nie wojaczką, lecz finansowaniem zakonu. Dla części rycerzy przeniesienie do Ziemi Świętej (czy potem do Prus) uchodziło wręcz za karę.

DOMENA PUBLICZNA

Dominique Louis Papety „Oblężenie Akki", obraz powstały ok. 1840 r.

Wojny uliczne

Kiedy w 1210 r. Herman von Salza przyjmował insygnia wielkiego mistrza, zakon był w stanie wystawić tylko dziesięciu zbrojnych. Pod względem militarnym krzyżacy jeszcze długo znaczyli niewiele, ale dzięki zręcznym działaniom von Salzy podczas krucjaty cesarza Fryderyka II ranga zakonu rosła.

Cesarz pojechał na tę wyprawę wyklęty przez papieża. Ta otwarta wrogość między dwiema potęgami chrześcijańskiego świata stwarzała, jak już wspomnieliśmy, pole do popisu dla wielkiego mistrza. Von Salzę dopuszczano na najważniejsze narady wojenne, w efekcie rosło po-

Do łóżka w butach

KRZYŻACKA REGUŁA nakazywała tak w czasie pokoju, jak i wojny odmawiać wszystkie modlitwy kanoniczne (liturgia godzin). Podczas jutrzni 14 razy recytowano „Ojcze nasz", podczas pozostałych modlitw w ciągu dnia po 7 razy, a na nieszpory 9 razy. Siedem razy w roku należało przystąpić do komunii. Wiele modlitw zanoszono w intencji dobrodziejów zakonu i poległych współbraci. Mięso wolno było jeść trzy razy w tygodniu, a we wszystkie piątki między świętem Wszystkich Świętych a Wielkanocą przestrzegano postu ścisłego. Podobnie jak templariuszom, reguła zabraniała krzyżakom ozdabiania zbroi i uprzęży złotem, srebrem i jaskrawymi kolorami.
Nie ubierali hełmów z fantazyjnymi rogami, jak lubią ich przedstawiać twórcy gier wideo.
Mniej poważne przewinienia karano chłostą. Rycerz, który wdał się w bójkę albo spędził noc poza klasztorem, musiał przez wyznaczony okres pracować wspólnie z braćmi służebnymi i jadać ze służbą. Jeśli spiskował, zabił chrześcijanina, zataił własność osobistą, zgrzeszył cieleśnie lub zniszczył dokumenty zakonne – czas takiej kary wynosił rok.
Ascetyczne zasady uległy osłabieniu podczas wojen z Prusami i Litwinami. W XIV w. wielcy mistrzowie podejmowali próby naprawy zakonnej duchowości. Walce z nierządem służyło np. przypomnienie starych przepisów, według których zakonnicy powinni sypiać we wspólnym dormitorium, przy zapalonym świetle, w koszulach, spodniach i butach. Próby reform wywoływały opór rycerzy. Wielki mistrz Werner von Orseln został w 1330 r. zamordowany w bramie kościoła przez brata, którego wcześniej ukarał za brak dyscypliny. ©℗ MAM

ważanie okazywane jego zakonowi. Regułę krzyżacką przyjmowało coraz więcej chętnych, mnożyli się też *confratres*, którzy nie przyjmowali stałych ślubów.

Wzorem templariuszy i joannitów, krzyżacy zaczęli wznosić w Ziemi Świętej zamki. Na północny wschód od Akki wybudowali w XIII w. największy z nich, Montfort. Kolejne stawiali w strategicznych miejscach, zwłaszcza wzdłuż granic Królestwa Jerozolimskiego: służyło to odstraszaniu najeźdźców i kontroli nad szlakami.

Prężnie rozwijający się zakon budził niepokój joannitów i templariuszy. Ci drudzy oskarżyli nawet krzyżaków o... przywłaszczenie białych płaszczy z krzyżem. Starszemu zakonowi nie podobało się i to, że krzyżacy lawirują między cesarstwem a papiestwem, bo sami popierali Rzym. Na tym tle dochodziło nawet do krwawych rozpraw: w 1241 r. templariusze zaatakowali siedzibę krzyżaków w Akce i wymordowali wszystkich, których uważali za popleczników cesarza. Kilkanaście lat później na ulicach Akki rozgrywała się tzw. wojna świętego Saby, nazwana tak od klasztoru, który na zmianę wydzierały sobie stronnictwa kupców weneckich i genueńskich. W walkach uczestniczyły też trzy zakony rycerskie, wzajemnie wyrzynając się na ulicach.

Hekatomba

W piątej dekadzie istnienia krzyżacy – obecni już wtedy na stałe także nad Morzem Bałtyckim – stanęli na krawędzi unicestwienia. Klęska za klęską spadała na nich na kilku frontach.

I tak, w Inflantach ich wojska rozbił w 1242 r. Aleksander Newski, książę Nowogrodu Wielkiego (dając w ten sposób odpór ich apetytom także na ziemie ruskie). W Prusach trwało powstanie podbitej ludności. Z kolei w 1244 r. na Królestwo Jerozolimskie uderzyła armia mameluków i wojska królewskie, choć wzmocnione kontyngentami templariuszy, joannitów i krzyżaków, poniosły straszną klęskę pod La Forbie. Z oddziału krzyżackiego liczącego 400 zbrojnych (nie wszyscy byli braćmi zakonnymi) ocalało trzech zakonników.

Siły z trudem odbudowano, przysyłając posiłki z europejskiego zaplecza. Tymczasem wkrótce doszło do kolejnego pogromu: podczas krucjaty prowadzonej tym razem przez francuskiego króla Ludwika IX Świętego. W bitwie pod al-Mansurą w 1250 r. zginęli lub dostali się do niewoli prawie wszyscy rycerze zakonni wspierający armię królewską.

Kilka lat później marszałek zakonu Piotr z Koblencji skarżył się, że po tej masakrze placówki w Ziemi Świętej nie otrzymały należytego wsparcia od europejskich prowincji. Wszystkie środki pochłaniały już bowiem wojny nad Bałtykiem. W drugiej połowie XIII w. wielcy mistrzowie coraz częściej zaniedbywali pierwotne powołanie zakonu. Woleli tworzyć własną Ziemię Świętą na północy i tam ściągać europejskich rycerzy: wyprawa do Prus miała, w świetle papieskich przywilejów, tę samą rangę, co krucjata do Palestyny. Zakon był krytykowany, że odciąga siły ludzkie i materialne od coraz bardziej zagrożonego Królestwa Jerozolimskiego.

Mury Akki

Ostatnim mistrzem, który troszczył się o losy Palestyny, był Anno von Sangerhausen, który w 1256 r. przywiózł do Akki posiłki i pieniądze, za które skupywał posiadłości od uchodzących z wolna do Europy osadników. Udało mu się też doprowadzić do porozumienia z joannitami i templariuszami: odtąd zakony miały współpracować, a wszelkie konflikty rozwiązywać na drodze pokojowej.

Jednak epoka krzyżowców w Palestynie dobiegała końca. Mamelucy rośli w siłę, zjednoczyli Damaszek, Aleppo i Egipt, z roku na rok zacieśniali pierścień wokół ostatnich miast łacinników. W 1268 r. padły Antiochia i Jaffa, a w 1271 r. po pięciu tygodniach oblężenia mamelucy wdarli się do fortecy joannitów Krak des Chevaliers, uchodzącej dotąd za niezdobytą. Krzyżacka załoga Montfort patrzyła na to z przerażeniem. Wkrótce mamelucy, wyposażeni w katapulty i inne machiny oblężnicze, stanęli pod ich murami. Okazało się, że umiejscowienie zamku na stromym zboczu nie chroni go od ostrzału. Muzułmanie pod murami wydrążyli podkop, który doprowadził do zawalenia się zewnętrznych murów. Załoga poddała się po siedmiu dniach. Sułtan pozwolił garnizonowi odjechać do Akki, a mury Montfort zrównał z ziemią.

Utrata flagowej fortecy sprawiła, że wielcy mistrzowie stracili resztę skrupułów i skierowali całą uwagę na północ. Życzliwi im historycy spekulują, że mogło chodzić o długofalową strategię, że po usadowieniu się w Prusach zakon miał potężnymi siłami wesprzeć palestyńskich krzyżowców. Tymczasem jednak placówkę krzyżacką w Ziemi Świętej pozbawiono nawet najwyższych urzędników zakonu. To dlatego w 1291 r. oddziałem krzyżackim podczas obrony Akki, ostatniej twierdzy łacinników, dowodził preceptor Sycylii Henryk Boland. Kiedy mamelukom udało się zrobić wyłom w murach, walka przeniosła się na ulice. W swoich silnie ufortyfikowanych domach zakonnych bronili się templariusze, joannici i krzyżacy. Rycerze Bolanda odparli pierwszy szturm, ale ulegli kolejnemu. Niedobitkom udało się przebić do portu i uciec statkami na Cypr.

Winą za upadek Akki opinia europejska obarczała zakony rycerskie. Zarzucano im, że zeszli z murów, że nie walczyli do końca. Jeden z roczników z przełomu wieków XIII i XIV głosił: „Wielu ludzi twierdziło, że gdyby bracia z tamtejszych zakonów rycerskich wraz z innymi tam obecnymi pracowali wspólnie, miasto by nie upadło”.

Mysz w sakwie

Faktem jest, że krzyżacy wcześnie przestali się łudzić, iż Królestwo Jerozolimskie zdoła się utrzymać. O ile całość wysiłku gospodarczego i politycznego joannitów i templariuszy była stale skierowana na Palestynę, krzyżacy szybko zaczęli rozglądać się wokół, szukając także dróg uzyskania politycznej niezależności.

Mistrz Herman von Salza zrobił tak dobre wrażenie na królu węgierskim Andrzeju II, że ten w 1211 r. postanowił nadać zakonowi ziemię w Siedmiogrodzie, aby walczył tam z pogańskimi Połowcami. Król chciał nie tylko zabezpieczyć granice – dzięki ewangelizacji mieczem jego państwo, jak to ujął w akcie nadania, „miało ulec rozszerzeniu”. Krzyżacy tymczasem przystąpili do sprowadzania osadników. Wznosili kolejne grody i wkrótce wykroczyli poza granice nadanej im ziemi. W ich interesie zadziałał papież, wyjmując podległe im tereny spod zwierzchnictwa miejscowego biskupa, a potem zapewniając zakonnikom autonomię polityczną. Tego było dla Andrzeja II za wiele: w 1225 r. zebrał wojska i wyrzucił krzyżaków z Węgier. Papieżowi wyjaśniał potem, że zakon był „jak ogień w piersiach, jak mysz w sakwie podróżnej, jak żmija w łonie”. ↦

↦ Kolejną akcję Herman von Salza przygotował o wiele staranniej. Oto książęta polscy zwrócili się do niego o pomoc w walce z najazdami pruskimi na Mazowsze. Nie wiadomo, czy wiedzieli o wydarzeniach na Węgrzech. Projekt wyszedł od księcia śląskiego Henryka Brodatego: bracia jego żony Jadwigi znali osobiście wielkiego mistrza.

Granica pruska od dawna płonęła: Prusowie wdzierali się głęboko w domenę księcia Konrada Mazowieckiego, paląc wsie i uprowadzając mieszkańców. Książęta porozumieli się, tworząc tzw. stróżę: obsadzając przygraniczne grody i osady załogami pochodzącymi z różnych dzielnic. Ale wzajemna niechęć dowódców i nieufność między książętami sprawiły, że projekt upadł już po roku. Wtedy pojawił się pomysł: zapewnijmy sobie bezpieczeństwo, sprowadzając zakon rycerski.

Gra z szulerem

Książę Konrad spotkał się z wielkim mistrzem w 1225 r., a trzy lata później wystawił dla krzyżaków dokument nadania ziemi chełmińskiej. Zakonnicy mieli uzyskać wobec poddanych i dochodów z ziemi podobne uprawnienia jak kasztelan. Przynajmniej tak to rozumiał piastowski książę.

Tymczasem krzyżacy zaplanowali intrygę, w której koncertowo go ograli. Książę wyobrażał sobie – podobnie jak wcześniej Andrzej II – że krzyżacy oddadzą mu wszystkie ziemie zdobyte podczas walk z Prusami. Tymczasem oni w 1230 r. uzyskali od papieża „potwierdzenie" Konradowego nadania, ale jego streszczenie podyktował von Salza. W ten sposób papież podpisał się pod dokumentem głoszącym, że nadanie dotyczyło też wszystkich ziem, które zdobędą krzyżacy. Pominął przy tym milczeniem biskupa Prus Chrystiana. Biskup ten wkrótce dostał się do niewoli Prusów. Krzyżacy nie tylko nie pospieszyli mu z pomocą, ale pozbawili majątków i władzy w diecezji. Kiedy wrócił, znalazł – dosłownie – zgliszcza: zakonnicy spalili jego siedzibę.

Z kolei w 1235 r. von Salza uzyskał wsparcie swego przyjaciela i protektora zakonu, cesarza Fryderyka II. W tzw. złotej bulli z Rimini cesarz jako zwierzchnik chrześcijaństwa potwierdzał nadania dla krzyżaków i ich władzę na zdobytych ziemiach, a wielkiego mistrza zrównał w uprawnieniach z książętami Rzeszy. Dokument opatrzono wsteczną datą 1226 r. (stąd do dziś w szkolnych podręcznikach pokutuje pod tym rokiem „sprowadzenie krzyżaków do Polski"). Bulla wiązała ręce Konradowi Mazowieckiemu, który powoli orientował się, że zakonnicy wyprowadzili go w pole. Ale jak walczyć z przeciwnikiem zaopatrzonym w dokumenty papieża i cesarza? I nie mając, jak Andrzej II węgierski, silnej armii w zanadrzu?

> Decyzja litewskiego księcia Jagiełły, aby przyjąć chrzest wraz z całym krajem, **kładła kres krzyżackim aspiracjom i ideologii.**

Taniej, bliżej i bezpieczniej

Własne państwo w Prusach stało się dla zakonu naturalną przystanią po upadku Akki. Zwłaszcza że Zygfryd von Feuchtwangen, po 1291 r. rezydujący w klasztorze św. Trójcy na Wyspie Celnej w Wenecji, nie czuł się w Italii bezpiecznie. Jego szpiedzy na dworach europejskich donosili mu o narastającej niechęci wobec zakonów rycerskich i pętli zaciskającej się wokół templariuszy. Król Francji Filip IV Piękny knuł intrygę, mającą z zakonników uczynić heretyków, a jemu pozwolić na przejęcie legendarnych skarbów (pisaliśmy o tym: powszech.net/templariusze). W 1309 r. Feuchtwangen uznał, że bezpieczniej będzie przenieść się do Prus. Nową siedzibą wielkiego mistrza stał się zamek w Malborku, rozbudowywany od kilkudziesięciu lat.

Siły krzyżaków w szybko powiększającym się państwie pruskim nigdy nie były wielkie, raczej nie przekraczały liczby 700 braci. Sukcesy militarne zakonnicy zawdzięczali rycerzom przybywającym z Europy. Aby zachęcić ich do wsparcia, uzyskali przywileje papieskie nadające podbojowi Prus rangę krucjaty. Odtąd rycerze europejscy – głównie z Niemiec, ale także z Anglii czy Francji, a do połowy XIII w. także z księstw polskich – zamiast wybierać się do Palestyny, wypełniali śluby krzyżowe poprzez udział w zakonnych podbojach. Było taniej, bliżej i bezpieczniej.

Trzon armii krzyżowych stanowiła ciężka jazda braci, wyposażona w zbroje, kopie i miecze. Atakowali w formacji zwanej klinem. Stosowano taktykę wyniesioną z Ziemi Świętej: oddziały wdzierały się w głąb wrogich ziem i szukały miejsca dogodnego do budowy grodu, łatwego do zaopatrzenia np. drogą rzeczną. Otoczone drewnianą palisadą i fosą fortece (od wieku XIV – kamienne zamki) obsadzano garnizonem, a główne siły wycofywano. Zza murów załogi dokonywały niszczycielskich ataków na okoliczne wioski – aż do przybycia następnej wyprawy, która posuwała się dalej, zajmując kolejne tereny.

Spalona ziemia

W miarę podboju opór Prusów krzepł, ich podzielone dotąd plemiona zaczęły współpracować, sprowadzano też zza granicy lepszą broń. Podczas tzw. powstań pruskich krzyżacy wdrożyli więc taktykę spalonej ziemi: niszczyli wioski i pola, wybijali w pień wszystkich mężczyzn i chłopców, a kobiety uprowadzali w niewolę.

Krzyżacy mieli papieski przywilej przyjmowania ludzi ekskomunikowanych, ponadto gwarantowali odpuszczenie grzechów tym wszystkim kandydatom, którzy mieli na sumieniu morderstwo, rozbój czy spalenie czyjegoś domu (a nawet kościoła). Zakon stał się więc miejscem ucieczki dla zbrodniarzy – i takie jest jedno z wytłumaczeń potwornych brutalności, do jakich dochodziło podczas wypraw. Dla opowiadającego o nich kronikarza Piotra z Dusburga nie były one jednak powodem zgorszenia. Pisał za to: „Ile niewygód, ile niebezpieczeństw, ile uciążliwości wytrzymali bracia (...) w okresie tych prześladowań [czyli powstań pruskich – red.]. Nie było prawie godziny, w której mogliby spokojnie najeść się chleba do sytości, nie będąc wzywani do walki z wrogami". „Nikt nie zaprzeczy, że tak było, nikt jednak nie zapisał, ile od tych cnót wycierpieli Prusowie" – skomentował to historyk Gerard Labuda.

Zwycięstwo odniesione w przeciągu wieku XIII nad Prusami nie zaspokoiło krzyżackich apetytów. Ideologia krzyżowa nie pozwalała osiąść na laurach: by dowieść sensu swojego istnienia, musieli stale walczyć z poganami. W końcu według jednej z zakonnych legend wielki mistrz Konrad von Feuchtwangen miał

podczas ucieczki z płonącej Akki zapowiedzieć, że jego zakon pomści hańbę na poganach nad Bałtykiem (w istocie mistrza w Akce wtedy nie było).

Kolejnym celem wypraw zakonnych stały się więc ziemie litewskie. W wieku XIV istotnym elementem kariery szanującego się europejskiego rycerza było uczestnictwo w krzyżackich rejzach, czyli napadach na terytoria pogańskich wtedy jeszcze Litwinów. Był to sposób nękania nieprzyjaciela wyniesiony z doświadczeń palestyńskich. Podczas tych łupieskich wypraw palono wsie i grody, mieszkańców uprowadzając i zagarniając łupy.

Równia pochyła

Charyzmat zakonny wymagał od krzyżaków nieustannej walki o wiarę, a do niej potrzebni byli poganie. Dlatego decyzja litewskiego księcia Jagiełły z 1386 r., aby przyjąć chrzest (jak to wówczas było w zwyczaju, wraz z całym krajem) i poślubić władającą Polską Jadwigę (dając tym samym Litwie mocnego sojusznika), kładła kres krzyżackim aspiracjom.

Zakon tracił wroga, a więc także ideologiczną rację bytowania w Prusach. Groził mu los templariuszy, zlikwidowanych dekretem papieskim. Dlatego krzyżacy rzucili wszystkie siły dyplomatyczne, aby dowodzić na dworach europejskich, że Jagiełło jest fałszywym chrześcijaninem, a Litwini pozostali poganami. Takie były m.in. korzenie wielkiej wojny polsko-krzyżackiej, w której Jagiełło pod Grunwaldem zgotował krzyżakom i ich zachodnim gościom klęskę na miarę La Forbie.

Jeszcze w 1404 r. Stolica Apostolska, która nie miała wątpliwości co do nawrócenia Jagiełły, cofnęła krzyżakom prawo prowadzenia misji. Po roku 1410 i Grunwaldzie, a także po znakomitej akcji dyplomatów polskich na soborze w Konstancji w latach 1414-15 (m.in. podważyli ideę walki zbrojnej z poganami), już mało kto w Europie wierzył w sens istnienia w Prusach zakonu krzyżowego.

Zakończyły się rejzy i wizyty zachodnich rycerzy. Wiek XV to czas zeświecczenia krzyżaków: Malbork coraz mniej różnił się od dworów książęcych, a zakon stał się bezpieczną przystanią – „szpitalem", jak mówiono, dla młodszych synów szlacheckich. Przyjmując biały płaszcz i nie zawracając już sobie głowy ubóstwem czy czystością, zapewniali sobie wygodne życie w państwie zakonnym.

Jednocześnie narastały napięcia między zakonem a społeczeństwem zakonnego państwa. Zarządzanie nim leżało wyłącznie w rękach krzyżaków. W końcu świeccy rycerze i mieszczanie, obłożeni mnóstwem podatków i mający niewiele do powiedzenia we własnym kraju, sprzymierzyli się z królem Kazimierzem Jagiellończykiem. Doprowadziło to do wojny trzynastoletniej (1454-66): przegrana przez krzyżaków, zakończyła się obróceniem pozostałości zakonnego państwa w lenno Korony Polskiej.

Krzyżakom groziło, że ktoś zechce ich w końcu wysłać tam, gdzie rzeczywiście trzeba było bronić chrześcijaństwa, np. do walk z Tatarami i Turkami. Trwanie przy choćby resztkach charyzmatu krzyżowego było pułapką. Świetnie zdawał sobie z tego sprawę książę Albrecht Hohenzollern, wielki mistrz od roku 1511. Dlatego z zainteresowaniem przeczytał w 1523 r. list otwarty do członków zakonu krzyżackiego autorstwa Marcina Lutra: przywódca Reformacji wezwał w nim zakonników do odrzucenia reguły. Wielki mistrz spotkał się z Lutrem w Wittenberdze i usłyszał radę: rozwiąż zakon, ożeń się i stwórz w Prusach świeckie państwo. Podobno nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.

Epilog nastąpił dwa lata później na krakowskim rynku. Albrecht złożył hołd lenny swojemu wujowi Zygmuntowi Staremu. A towarzyszący mu rycerze na znak likwidacji państwa zakonnego w Prusach zdarli z płaszczy czarne krzyże.

Nie był to koniec historii: świeckie państwo pruskie miało w przyszłości odegrać w niej istotną rolę. Ale był to koniec złotego wieku zakonu rycerskiego utworzonego 327 lat wcześniej.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Średniowieczni Machabeusze

ZAKON to „wybrana winnica Pana Zastępów, którą Ty, Jezu Chryste, założyłeś i dla której grunt przygotowałeś. Posadziłeś w niej korzenie, a ona bujnie pokryła ziemię, przeniosłeś ją potem i wygnałeś narody z ziemi pruskiej i inflanckiej, i tam ją zasadziłeś, i tak latorośle swe rozpostarła aż do morza" – tak ideologię zakonną wyraził XIV-wieczny kronikarz krzyżacki Piotr z Dusburga. Jego dzieło obfituje w metafory biblijne. W jej świetle krzyżacy są spadkobiercami Abrahama (ojca wiary), Mojżesza (który zawarł przymierze z Bogiem), Jozuego (zdobywcy Ziemi Obiecanej), Dawida (zdobywcy Jerozolimy) czy nawet Machabeuszy. Bracia krzyżaccy, „tak jak Juda Machabeusz, oczyścili święte miejsca ziemi pruskiej, które wcześniej poganie zbezcześcili bałwochwalstwem" – pisał kronikarz. W niezbyt bogatych bibliotekach klasztornych zawsze znajdowały się tłumaczenia Starego Testamentu: to stamtąd rycerze wywodzili swój charyzmat wojowników z siłami zła. Malunki w zamkach, kościołach i kaplicach krzyżackich podkreślały palestyński rodowód zakonu. W Malborku kaplicę zamkową Panny Marii i pałac wielkiego mistrza rozmieszczono na wzór Świątyni Jerozolimskiej i pałacu Salomona. W swoim państwie zakon szerzył kult Bożego Grobu, Krzyża Świętego i nade wszystko swojej patronki Matki Bożej. Rejzy tradycyjnie wyruszały w święta maryjne, a goście zakonu walczyli pod sztandarami z wizerunkiem Maryi. ©℗ MAM

AKG / EAST NEWS

Wilhelm Camphausen, „Krzyżacy na Litwie", litografia z 1852 r.

HANNA

Krall:
Sceny z udziałem AB

„Jak wiadomo, Bóg nie podejmuje dyskusji na temat swojej sprawiedliwości, ale na takie załatwianie z sobą porachunków nie może się nie godzić".

(Ma na myśli porachunki z Bogiem Marka Edelmana).

„...pozornie bluźniercze słowa nie są bluźnierstwem".

(Ma na myśli pozorne bluźnierstwa Marka Edelmana).

Więc „Zdążyć przed Panem Bogiem" nie jest bluźnierczą książką. Dobra wiadomość, prawie jak rozgrzeszenie.

Wchodzi do hotelowej restauracji.

Rozgląda się.

Kłania się.

– Powiedziano mi, że pani czeka na mnie dzisiaj wieczorem w Hotelu Francuskim. Oto jestem.

Wysoki, przystojny. Wie, na co Bóg nie może albo może się zgodzić, i nosi czarne, sztruksowe wranglery. Oryginalne, żadna bazarowa podróbka.

Pyta, czy nie jest źle widziane, że księża mnie chwalą.

Nie jest.

Śledzą go. Ostatnio jeździli za nim, spytał, o co chodzi, udawali głupiego. Już przestali. Czegoś mu teraz brakuje.

„Kalendarium życia Karola Wojtyły" pióra AB.

Pogrzeb, ślub, różaniec, chrzest, dróżki kalwaryjskie, wizyta u chorego, piesza wędrówka, opłatek, chora na raka więźniarka Ravensbrück, ostatnie namaszczenie, rodzice z bezwładnym dzieckiem na rękach na warszawskim lotnisku, znowu szpital... Niedobrze mieć nadmiar celów. Człowiek potrzebuje jednolitości... Pogrzeb, ślub, wizyta u najbiedniejszych. Trzeba heroicznie myśleć...

Inny język. Inne daty, rytmy, cierpienia i hierarchia ważności.

Inny świat.

Tysiąc siedemset nazwisk w indeksie osób. Na stronie 725 – Tarnowski, Tejchma.

A Taub?

Samuel Taub, wojskowy lekarz. Prowadził ciążę Emilii Wojtyłowej. Podobno zagrożoną. Podobno inny wadowicki lekarz radził tę ciążę usunąć.

Patrz pani, gdyby nie Taub, nie byłoby naszego kardynała, mówiła pani Tatarowa, położna z zawodu, do pani Kaczorowej, dobrej znajomej pani Emilii.

Gdyby Samuel Taub był stalinowskim śledczym albo sędzią skazującym na śmierć polskich patriotów, wiedzieliby o nim wszyscy. A jak dzięki żydowskiemu lekarzowi urodził się przyszły polski papież, to najwyżej pani Tatarowa z panią Kaczorową wspomną go, z uznaniem i wdzięcznością.

Z Rzymu (Via Corsica, Padri Mariani).

Pyta, co przywieźć. Mamy pisać konkretnie. Jak go proszą o gumkę do majtek, igłę do maszyny albo część do samochodu, to jest mu łatwiej.

Z Rzymu.

Nie pisał ostatnio. Nie lubi, kiedy ktoś po drodze czyta jego listy.

Z Rzymu.

Próbuje pisać dla „Tygodnika", ale wszystko wydaje mu się jakieś głupawe. „Tygodnik" ma taki ton jak rozmowy przy łóżku ciężko chorego. On wpada jak po powrocie z wycieczki, jak ktoś, kto nie wiedział o chorobie w domu. „Nowy język powstaje beze mnie".

Nie potrzebuje już naszych spinaczy. Kiedyś czyścił nimi fajkę, dużymi drucianymi spinaczami do papieru. Nie było ich w sklepach, przynosiło się z redakcji. Teraz ma elegancki wyciorek, w Rzymie sobie kupił.

Pod choinkę kładzie prezenty w kolorowym, błyszczącym papierze, kunsztownie przewiązane wstążeczką. Leżą koło siermiężnych sznurków i papieru do pakowania.

W kuchni na Ursynowie rozmawia ze Zbyszkiem Bujakiem, ściganym listem gończym. Trwamy, zawiadamia go Bujak. I będziemy trwali aż do końca. To samo mówił rząd londyński, zauważa AB. I nadal mówi. Bujak zastanawia się, czy powinien być dumny z porównania. Dochodzi do wniosku, że tak. Na przekór wszystkim będziemy trwali, zapewnia rzymskiego gościa.

Jest noc, parę minut po trzeciej, rzymskie lotnisko. AB jest nieogolony, niewyspany i zły. Nie uśmiechaj się, strofuje, tym kretyńskim, polskim uśmiechem. Wszyscy was po tych uśmiechach tu poznają. Że tacy szczęśliwi jesteście. Żeście się na tę wolność wyrwali. I nie zaczynaj mi opowiadać, jakim cudem dostałaś paszport, błagam cię.

Ależ drogi A, ja nie uśmiecham się ze szczęścia. Popatrz na barek, tam, w końcu sali. Widzisz beczułkę? Campari pisze. Widziałeś kiedyś, żeby campari z beczki leciało?

Będziesz piła campari o czwartej nad ranem? – upewnia się AB.

Dlaczegóż by nie...

Ogrody Watykańskie, Grota z Lourdes. Biała, nieduża figurka spowita zielonym bluszczem. Wschodzi słońce. Jest pięknie.

Syn Emilii Wojtyłowej odprawił mszę. Podnosi się z kolan, podchodzi do AB i osób w pobliżu.

Nie wie jeszcze, że będzie świętym.

Nie wie, że zechcą go świętości pozbawić.

Nie wie, że będzie wiedział, ale może nie wiedział.

Mówi – ksiądz Adam wie o mnie więcej, niż sam o sobie wiem.

Przyszli poganie, żeby pokłonić się Jezusowi. Przyszli tedy do Filipa i prosili go, panie, chcemy Jezusa widzieć. Szedł Filip i powiedział Andrzejowi, a Andrzej zasię i Filip powiedzieli...

Dalej jest o ziarnie pszenicznym, które obumiera, i o tym jest kazanie AB. O poganach nic, ani słowa. Pokłonili się w końcu? I dlaczego do Filipa chodzili?

Nie wiem, mówi AB.

Jak to, nie wiesz. Chcą do Jezusa, a do Filipa idą. Pewnie trudno było do Jezusa się dostać. Może bali się.

Nie było trudno i się nie bali, zapewnia AB. A ty oczywiście uważasz, że to nieprawda.

Na odwrót. W nieprawdzie wszystko jest starannie poukładane. Jak mówią bez sensu i nie wiadomo dlaczego, to mówią prawdę.

Gdybym była reporterką w tamtych czasach i Jan by mi tak opowiadał, wiedziałabym, że nie zmyśla.

Coś w tym jest, powiedziałabym w redakcji naczelnemu.

Ojca zabrali piątego stycznia.

Byłem najstarszy, miałem dziesięć lat. Najmłodszy miał dziesięć miesięcy.

Wiedziałem, że go nie zobaczymy.

Nie wiem skąd. Wiedziałem.

Mama pojechała do Warszawy. Zaczęliśmy odmawiać nowennę. Dziewięć razy dziennie przez dziewięć dni modliliśmy się o powrót ojca. Do Judy Tadeusza, patrona spraw beznadziejnych.

Dziewiątego dnia, po naszej osiemdziesiątej pierwszej modlitwie wróciła mama. Nosiła czarny kapelusz i długi, czarny welon.

Nazwiska rozlepiono na murach Warszawy 13 stycznia 1944 roku.

Michał Fredro-Boniecki był jednym z dwustu pięćdziesięciu rozstrzelanych.

I dziewiątego dnia, na widok mamy w żałobie, nie utraciłeś wiary w Boga? To dziwne.

Utrata wiary...

Odzyskanie wiary...

To zawsze jest dosyć dziwne. I tajemnicze.

Smotri malczik, mówi oficer i sięga do torby. Szuka czegoś. Wyjmuje ołówek. Wkłada koniuszek do ust i ślini, na wardze zostaje niebieskosiny ślad.

Widzisz? – mówi z dumą. Będzie ci na niebiesko pisał.

Uroczyście, prawie z namaszczeniem wręcza prezent AB.

AB jest dobrze wychowanym chłopcem, grzecznie dziękuje i chowa prezent.

AB już nie pisze ołówkiem, nawet stalówką nie pisze. Na gwiazdkę dostał prawdziwe wieczne pióro i Wincenty Dudek, ksiądz, który codziennie przychodzi do pałacu i uczy go wszystkich przedmiotów, pozwala mu tym piórem odrabiać lekcje.

Szczerze mówiąc AB myśli o radzieckim oficerze z lekkim politowaniem i poczuciem wyższości.

Być może ma to coś wspólnego z tym ich dwustuletnim pałacem. Albo z rodziną, o której pierwsza wzmianka jest u Długosza.

Albo nie. Może po prostu chodzi o kopiowy ołówek, który AB zna od dawna. Pisało się takimi ołówkami listy do wujów i stryjów, do oflagu.

Czerwona Armia zachowuje się powściągliwie. Mamę nazywa *chaziajką* – gospodynią, nie wchodzi do pałacowych pokojów, pyta, czy może zabić kolejną świnię albo gęś (czasami pyta już po zabiciu), sprząta ślady wojny – niemiecki czołg i niemieckie zwłoki. Bawi krótko i odchodzi na zachód.

Obrazy zostawili u księdza, meble są u ludzi na wsi.

Siedzą na furmance.

Konie ruszają.

Mijają bramę wjazdową. AB wie, że coś się kończy na zawsze. Nie jest to smutne. Ciekawe jest. Coś się dzieje, coś się zacznie zaraz.

Matka nie siada na furmance.

Tułacz nie jeździ, tułacz idzie.

Matka – wygnaniec idzie piechotą.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

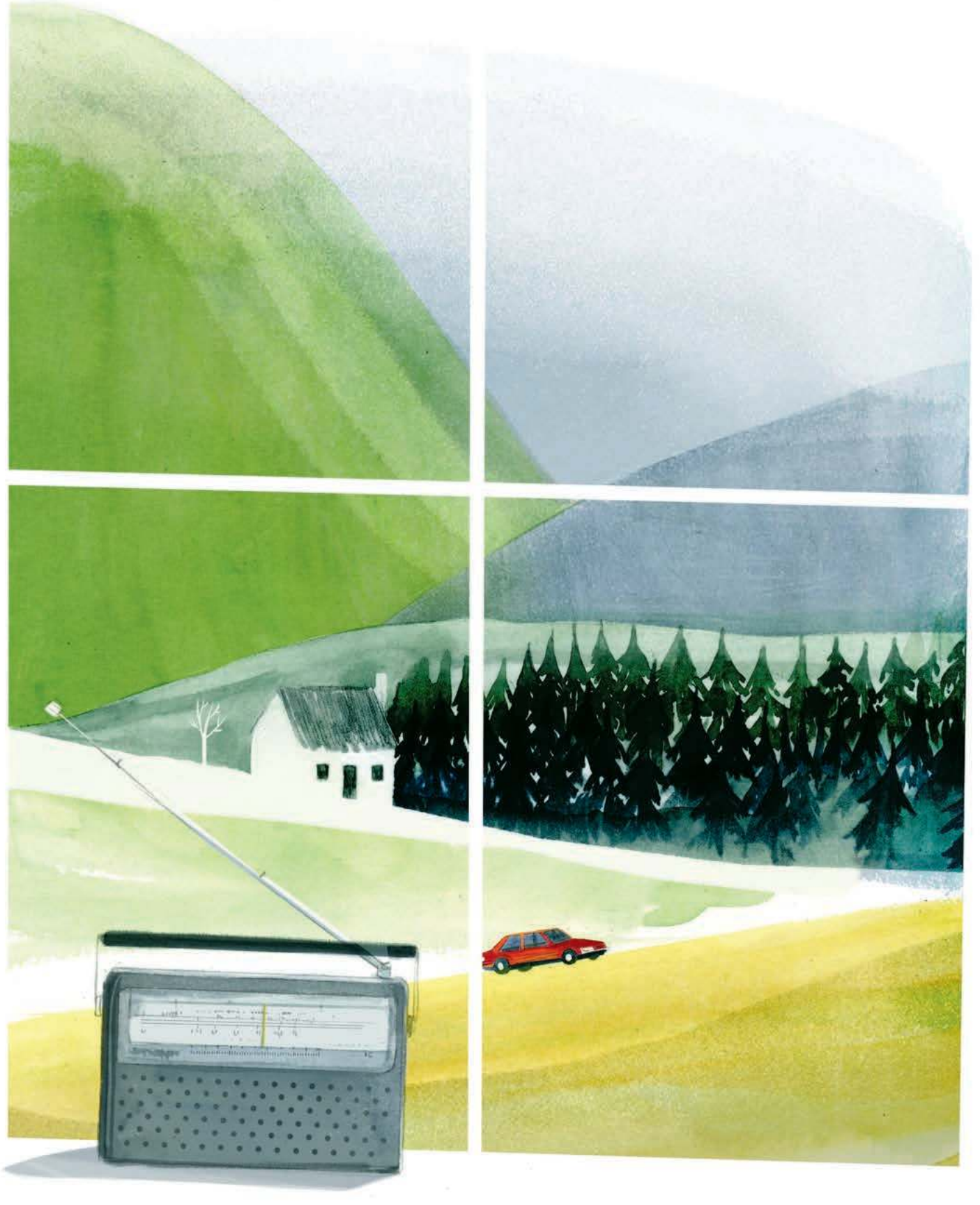

TYLKO ECHA

Te miejsca i czas naprawdę istnieją – jak dziwny rok, który przecież zdarzył się naprawdę. Ale żeby się do nich dostać, trzeba się wyprzeć logiki, zawiesić racjonalne sądy.

TEKST **MARCIN ŻYŁA** | ILUSTRACJE **JOANNA RUSINEK**

Kiedy mogłem, chodziłem naokoło. Wtedy, osiem lat temu, też wybrałem dłuższą drogę, w dół polany i przez potok. Obok gajówki skręciłem w lewo na pustą, leśną szosę. Kilometr dalej odchodziła druga, do wsi. Tam ich spotkałem.

Zajechali wolno od tyłu, hamulce pisnęły cicho, uchyliła się szyba.

– Czy pan wie, jak dojechać do domów?

Wyglądali, jakby grali w czterech różnych filmach. Kierowca miał z pięćdziesiąt lat i inżynierski wąs. Obok siedziała wytwornie ubrana starsza kobieta. Chłopak z tyłu był w luźnym, sportowym dresie, nastolatce zaś spod kapelusza, takiego z absurdalnie szerokim rondem, wystawały okulary przeciwsłoneczne.

– Kawałek w dół, potem drogą z betonowych płyt. Na pewno się tam spotkamy.

Gdy wróciłem ze sklepu, pod domem stał tylko samochód. Wyrośli nagle, jak spod ziemi, gdy czytałem książkę. Stanęli tak jakoś dziwnie, w półokręgu. Zerwał się chłodniejszy wiatr.

– Czy pan tu mieszka? – zapytała elegancka pani. – Przyjeżdżam czasem. – A wie pan może, którędy dojść do jaskini?

Od lat nikt nie mówił o jaskini. Pamiętam ją z dzieciństwa: wąskie wejście, na ścianach jadowite pająki, sieciarze, i symbol jaskini na mapie, po którym najszybciej odnajdywało się domy. Była pół kilometra stąd, ale od tego czasu tak zarosło, że nie dało się tam dojść. Już nikt nie pamiętał, którędy prowadziła ścieżka.

Ucieszyli się, gdy to usłyszeli. Inżynier mruknął coś w stylu: „i wszystko się zgadza", po czym podał mi zbindowany, odbity na ksero plik papierów, na którym dużym stopniem i wyraźną czcionką napisano: „Traktat o Górskich Tunelach Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Tom II: Polska Południowa". Na dwustu stronach – szkice okolicy, schematy połączeń tuneli, do których wejścia ukryto w jaskiniach, i które, zdaniem autora, za sprawą supersonicznego kanału przebiegającego przez jądro Ziemi łączyły okoliczne szczyty z jedną z gór na północy Borneo.

– Wszystko to przewidziałem. Lata temu! – odezwał się mężczyzna.

„Wszystko jasne" – teraz pomyślałem ja. Oddałem ksero, przyznałem, że o tunelach nigdy nie słyszałem, ale starsi mieszkańcy może coś wiedzą. Zapytali jeszcze o coś, pokręcili się wśród domów, porobili zdjęcia. I odjechali.

Żartowałem potem, że pewnie spotkałem kosmitów.

Przez przełęcz pełną cudów

„Szanowni Państwo! W związku z właśnie ogłoszoną epidemią koronawirusa prosimy, aby dla własnego bezpieczeństwa pozostać w domach. Jeżeli niezbędne jest opuszczenie miejsca zamieszkania, należy unikać kontaktu z innymi osobami, zachowując dystans dwóch metrów. Apelujemy: bądźcie odpowiedzialni...".

Ta kraina naprawdę istnieje, choć żeby do niej wejść, trzeba się wyprzeć logiki i zawiesić racjonalne sądy. Busy dojeżdżają do gościńca u wylotu doliny. Zaraz przed polaną, na której wiosną kwitną krokusy, w 1983 r. lądował papież, a teraz turyści kupują wejściówki do parku narodowego – odchodzi w bok ścieżka, której nikt nie wybiera.

W marcu szedłem nią znowu. Nawracający bus przyblokował radiowóz i jeszcze w lesie słyszałem komunikat z megafonu: „Apelujemy: zostańcie w domach. To od odpowiedzialnej postawy każdego z nas – nie tylko dzisiaj lub jutro, ale przez cały czas trwania epidemii – zależy życie nasze i najbliższych".

Tuż-tuż jest szeroka przełęcz. Dziwna, bo grzbietu jakby tu nie ma. Zaraz za nią – potok, którym woda przez chwilę płynie do góry. On jeden, meandrując między pozostałymi, to chowając się pod mchem, to znów wypływając zza drzew, znajduje drogę w innym kierunku, do innego morza. Tam trzeba iść – długą, szeroką doliną, do której wtedy dochodziły jeszcze coraz cichsze, urywane: „należy unikać... odpowiedzialnej postawy... przez cały czas...".

Szedłem tak wiele godzin, obok zamku na strzelistej skale, z którego kiedyś, zanim okolice przecięła nowa granica, rządzono całą krainą. Minąłem duże jezioro z wyspą, na której stał mały kościół, pozostałość po dawno zatopionej wsi, pokonałem wietrzne puścizny i bory – aż wieczorem dotarłem do celu.

Jakiś czas później powiedziano mi, że po skargach obywateli, którym nie podobał się surowy ton z policyjnych ↦

megafonów, zmieniono lektora i treść. Odtąd radiowozy namawiały do utrzymywania społecznego dystansu, ale także do czytania książek oraz wysypiania się.

Dobry sąsiad

Świetliki spóźniły się kilka dni. Trudno było je odróżnić od iskier z ogniska, które rozpaliliśmy na koniec kwarantanny i początek wakacji. Wyżej iskry myliły się z dalekim, punktowym światłem z czołówek turystów, którzy po zachodzie słońca schodzili dobrze stąd widocznym grzbietem wielkiej góry.

Osada była niezwykła właśnie ze względu na nią. Góra była tak blisko, że gdy patrzyłeś spod domu, zajmowała jedną czwartą horyzontu. Las zaczynał się tuż za łąką, wznosił na kolejnych grzbietach, i kończył dopiero poniżej szczytu. Szczyt można było dostrzec z każdego miejsca tej krainy, ale tu, wśród naszych sześciu domów, był czymś więcej niż punktem odniesienia – strażnikiem, dobrym sąsiadem. Wysoka, choć nie najwyższa, wyniosła, choć rozłożysta, latem skracała dzień, bo słońce zachodziło za nią nieco wcześniej niż gdzie indziej.

Wszyscy lubiliśmy patrzeć na niskie, równoległe pasma lasów, zbocza opadające na południe, na inne widoki i nowe perspektywy. Z drugiej strony był niewidoczny stąd, niski grzbiet oddzielający nas od świata, w którym rzeki płynęły w jedynie słuszne strony.

Wielka góra strzegła, poddawała jednak też sny i iluzje. Nazajutrz po tamtym ognisku zdawało mi się, że obudził mnie radiowóz – lecz to tylko przeciągłe „ziemniaaaki" i „buraaaki" sprzedawcy ze sklepu obwoźnego niosły się przez wieś.

Radio, co odstrasza lisy

„Zostały jeszcze buty. Książki położyłem na stole. Na pewno nie potrzebujesz rękawic? Masz tu. A scyzoryk? Pójdę się jeszcze przejść na chwilę".

Rano, drugiego dnia po ognisku, syn pani Stanisławy – grzybiarki, która na całe wakacje zajmowała sąsiedni dom – wynosił z auta jej rzeczy. Lubiłem ją bardzo i cieszyłem się, że przyjechała, nawet jeśli czasem wydawało mi się, że za długo stoi w drzwiach kuchni i o wszystkim opowiada.

Przyszła od razu, serdecznie się uścisnęliśmy i streściliśmy sobie cały rok. Ja – że u mnie OK. Ona: „No i mieszka w tej Norwegii, radzi sobie jakoś, tylko nie mam jej już blisko. No nie wiem, tam może i bezpiecznie, ale przecież nie wsiądę do samolotu teraz... Ewa zbuntowała się rodzicom, to o tym wiesz? Powiedziała, że nie wyobraża sobie życia bez tego jej chłopaka, wyprowadziła się, mieszkają teraz razem, tamci długo nie wiedzieli gdzie, bracia jej wściekli, bo muszą teraz robić koło domu, no patrz, kto by pomyślał, ale to dobrze, naprawdę dobrze, ułoży sobie życie... Mój sąsiad chorował! Ciężko przechodzi, ale już cały zdrowy, pojechał do Chorwacji... Masz gazetę? Znowu sobie jakieś głupie książki wzięłam. I kup mi, proszę, papierosy, jak będziesz na dole, zostały, cholera, w aucie. No jak mógł o nich zapomnieć, to ja nie wiem...".

Pani Stanisława przywoziła ze sobą małe radio tranzystorowe, które od rana do wieczora grało bardzo głośno. Właściwie nikomu to nie przeszkadzało, nie na tyle w każdym razie, żeby prosić o ściszenie. Z czasem zaczęto mówić, że to nawet dobrze, bo głośny sygnał „Lata z Radiem" odstrasza lisy, i niektórzy z nas nawet w to uwierzyli.

„Rekordowa liczna zakażonych... siedemnastu z chorobami współwystępującymi... najwięcej przypadków... powiat... w czerwonej strefie... władze apelują" – niosło się odtąd po lesie tuż po pełnych godzinach. Wirus był blisko, ale wciąż chyba nie tu.

W wirze takim

Kiedyś obudziło mnie skrzypienie bramki i pukanie do drzwi. Dochodziła dziesiąta. W progu stała pani Stanisława

– ubłocona, z rozciętym ramieniem i wiklinowym koszem z urwaną rączką.

– Jezus Maria, jaką miałam przygodę! – krzyknęła i usiadła na krześle, dysząc. – Rany boskie, nie uwierzysz. Poszłam rano na grzyby...

Mówiła długo, ale bez dygresji, szczegółowo i logicznie, choć relacja brzmiała niezwykle. Wcześnie rano postanowiła wybrać się za stary pensjonat, żeby sprawdzić, czy są borowiki. Coś ją tknęło („Cholera, no nie wiem, co to było, naprawdę") i zamiast jak zawsze, do końca polany, weszła między drzewa, do starego lasu, który ciągnął się daleko, do szczytu wzgórza.

– I słuchaj, trzy godziny nie mogłam stamtąd wyjść. Trzy godziny! A chodzę tam już ze 30 lat przecież, znam ten las! Zresztą zgubić się tam nie da, z każdego miejsca widać górę, zawsze wiadomo, gdzie zachód, a gdzie północ. Droga była w błocie, zakręciła, rozdwoiła się, drzewa mną tak zawirowały, no chwycił mnie ten las w wir taki, że góry nie było widać, trzy bite godziny chodziłam, żeby wyjść, i nic, pogubiłam grzyby, widziałam miejsca, których nigdy tam nie było, jaskinie jakieś, potoki...

Nalałem pani Stanisławie kawę, chwyciła mocno za kubek.

– A wiesz, co było najgorsze? Wiesz, po czym się przestraszyłam, że nigdy stamtąd nie wyjdę? Ze cztery razy trafiałam w to samo miejsce. Zapamiętałam je, bo leżało tam opakowanie po czekoladzie. „Studenckiej", dobrze pamiętam. Ile bym się kręciła, dokądkolwiek bym szła, zawsze trafiałam na ten papierek. Zgubiłam bluzkę, w sumie to nie wiem, jak udało mi się wrócić.

To, co dobre

Po swojej przygodzie pani Stanisława rzadziej chodziła na grzyby, ja zaś, ponieważ oddałem jej książkę i nie miałem już co czytać, spędzałem więcej czasu w internecie.

W sklepie na dole był wtedy już pierwszy potwierdzony przypadek i zrobiło się trochę nieswojo. Świat w ogóle dawał znać o sobie, w stolicy powiatu trzeba było już chodzić w maseczkach (to było nowe), a lokalna drużyna piłkarska – która, rzecz jasna, nosiła imię góry – zbierała cięgi od wszystkich, którzy nie wystawiali drugich składów (to akurat było jak zawsze pewnym pocieszeniem).

Były jednak w tym wszystkim plusy. Np. w okolicy prawie nie było denialistów. A to dzięki temu, że lata temu dwie firmy busiarskie zdecydowały, że zamiast konkurować, podzielą się między sobą wsiami, do których kursują. Kierowcy z jednej pilnowali pasażerów, żeby nosili maseczki, kierowcy z drugiej już nie. Bezwiednie stworzyli tak grupę eksperymentalną i kontrolną, i kiedy chorować zaczęli głównie klienci tej drugiej, nikt już nie chodził z odkrytymi nosami.

Gdzieś tam dział się cały rok, z lękiem o zdrowie bliskich i starszych, pustymi raczej miastami i strachem, że znów nas zamkną. Nauczyłem się sprawdzać wiadomości tylko dwa razy dziennie. Zacząłem spisywać to, co w tym wszystkim było dobre. Nazbierało się.

– Na przykład w Kolumbii – zacząłem pewnego dnia wyliczać pani Stanisławie – wypłata państwowych zapomóg wymusiła rozbudowę systemu bankowego i darmowe konta dla miliona nowych użytkowników, dotąd wykluczonych ekonomicznie. W wielu krajach Południa nowe łóżka na intensywnej terapii zostaną po epidemii, poprawi się dostęp do szpitali. Emisja dwutlenku węgla spadła w tym roku o siedem procent. Było mniej wypadków. Zaczęliśmy oszczędzać papier. Wie pani, że według firmy Adobe ludzie o połowę częściej używają dokumentów w formacie PDF?

Pani Stanisława rozkładała właśnie grzyby do suszenia.

– Konferencje na Zoomie, no jasne, są okropne – ciągnąłem – ale za to już nikt się nie spóźnia, bo nie ma wymówek, że „korki". Podobno spadła nasza wyrozumiałość w stosunku do niepotrzebnie przeciąganych zebrań. Może odtąd łatwiej będzie się przyznać, że nie wszystko da się przewidzieć i zaplanować? Może zaczniemy sobie bardziej wybaczać? Ufać naukowcom? Przecież nikt, nawet największy pesymista, nie podważał tego, że szczepionka zostanie w końcu wynaleziona... ↦

Pani Stanisława odłożyła grzyby i zaczęła się we mnie wpatrywać.

– ...zwracamy większą uwagę na higienę, emisja dwutlenku węgla spadła... a, o tym już mówiłem. No ale na przykład kultura. Przez internet – dostępna dla wszystkich! Dalej: nie podejmujemy już niepotrzebnych podróży. Jest teraz jak kiedyś, gdy zamykaliśmy się w naszych małych światach, dolinach, wsiach, ulicach, rodzinach...

– Trochę chyba odjechałeś – przerwała w końcu sąsiadka.

Jesienią dni coraz dłuższe

Temat wrócił przy ostatnim ognisku. Inni też zbierali dobre historie.

Ktoś nauczył się bezpiecznie jeździć samochodem, bo ruch był mniejszy. Łatwiej było o ekipę budowlaną, robili porządnie i szybko, rach-ciach, zleceń było dużo mniej (jedno z nas usłyszało kiedyś: „No proszę się na nas zdecydować, przecież musimy pracować!"). Opowiedziałem o dzięciole w miejskim parku za oknem. Znajomy – o tym, że trochę mniej myśli, i że mu z tym dobrze, bo większość myśli była niepotrzebna i chyba przeszkadzała w życiu. Nawet pani Stanisława przyznała, że teraz wolniej czyta książki, i jest jej z tym lepiej. I że jeszcze bardziej lubi rozmowy przez telefon, bo ludzie teraz jakby bardziej się otwierają.

Pod koniec ktoś zaproponował nawet, że wydrukuje tysiąc kartek z wielkim napisem „ŻYCIE NIE JEST PO TO, ŻEBY SIĘ MARTWIĆ" i rozwiesi je na znakach drogowych – ale było już późno i nazajutrz nikt nie wrócił do tego tematu.

Skończyły się wakacje, dzieci wróciły do szkoły, ale w osadzie wciąż trwało normalne życie. W tygodniu dużo wszyscy pracowaliśmy, przez weekendy udało się naprawić mostek, który groził zawaleniem. Pod koniec września, jak co roku, dni w tym miejscu wydłużały się. Był to lokalny fenomen: słońce codziennie zachodziło coraz bardziej na południe, ale w tych dniach osiągało na horyzoncie punkt, w którym góra obrywała się stromym stokiem, i przez prawie tydzień nie mogło się już tak szybko schować. Wszyscy wiedzieli, że przyjdzie taki czas – że będziemy chodzić trochę rozdrażnieni i niedospani, dłużej stać niezdecydowani przed obwoźnym sklepem, że lepiej wtedy nie rozmawiać o rządzie, nie podejmować ważnych decyzji. „To minie" – mówiliśmy sobie.

Góra regulowała nasze humory. Może właśnie dlatego, a może z powodu deszczu, który w tych dniach zaczął padać, pani Stanisława zadzwoniła po syna, żeby już po nią przyjechał.

Inna perspektywa

W zimnie i deszczu minął ostatni miesiąc.

Młoda salamandra, którą spotkałem poprzedniego dnia, mogła być ostatnią, która szukała kryjówki przed zimą. W nocy spadł pierwszy, październikowy śnieg – tak mokry i ciężki, że wiatr go nie podwiewał i pod szerszymi koronami drzew zostały elipsy z mokrymi liśćmi.

Tego dnia ja też pomyślałem, że muszę wracać.

Krótszą trasą, szybko, bez niezwykłości po drodze, znalazłem się w swoim mieszkaniu w mieście. Zadźwięczały klucze, kilka monet i jakaś szyszka, rzucone na blat stołu. Rozsunąłem drzwi na taras, samochody i tramwaje nie brzmiały nawet tak strasznie. Szum miasta też potrafił koić.

Nie wiem, jak to się stało – przysięgam, że go nie włączałem – ale w tym samym momencie włączył się ekran komputera. Znowu: zupełnie o tym nie myśląc, wpisałem w Google adres osady. Pokazała się reklama starego pensjonatu, sugestie dojazdu i czyjaś relacja z wycieczki na górę. Ale na trzeciej stronie wyników wyszukiwania wyświetlił się ten właśnie link. Kliknąłem.

„Dojeżdżaliśmy do skrzyżowania dróg i zastanawialiśmy się, jak jechać dalej, gdy dostrzegłam pośród drzew postać w białej koszulce. Skręciliśmy w lewo i zatrzymaliśmy się, aby zapytać o drogę. Patrzył na nas młody mężczyzna, trzymając długi kij w ręce, jak pasterz".

Była to relacja sprzed ośmiu lat – czwórki nieznajomych, którzy poznali się na forum ufologicznym. Pisali, jak szukając swoich Tunelów Kosmicznych, zgubili się w nieznanej im okolicy. Młody człowiek powiedział im – proroczo, jak pisała autorka tekstu – że „niedługo się spotkają". Rzeczywiście, zobaczyli się pod domem. „Staliśmy w szoku, bo to był niesamowity przypadek, że zatrzymaliśmy się akurat przy domu gdzie mieszkał. Skąd wiedział, że tam będziemy?". „Wszystko, co mówił, było niesamowite i na pewno nieprzypadkowe" – zapisano dalej.

Przez ostatnie osiem lat cała czwórka była pewna, że tamtego dnia spotkała w lesie kosmitę.

©℗ MARCIN ŻYŁA

REKLAMA

JESTEŚ TYM, KTÓRY PISZE I KTÓRY JEST PISANY

Edmond Jabes, *Księga Pytań*

LIBER AD SCRIBENDUM
B'IBΛOΣ ΓPAΠT'EA
ספר לכתיבה

AUSTERIA

Książkę do pisania zamów na
austeria.eu

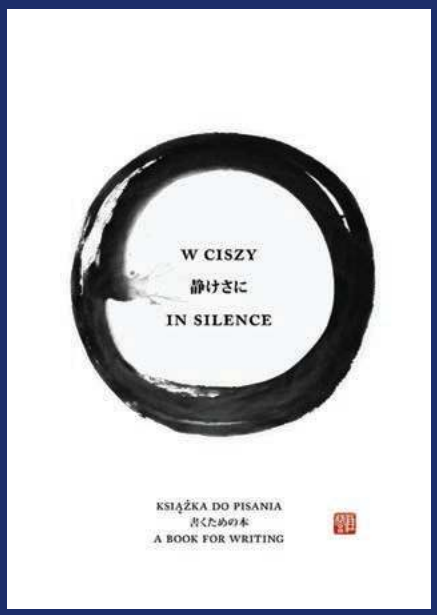

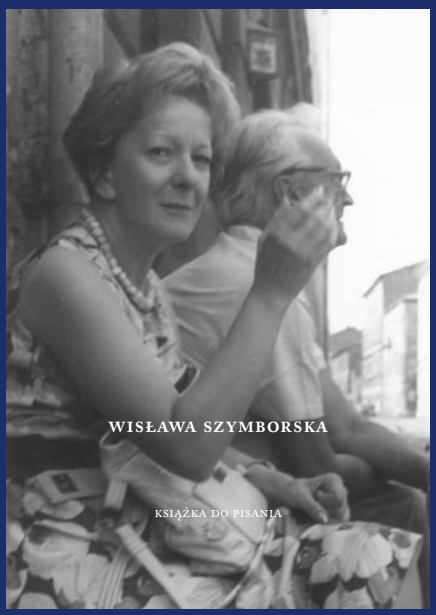

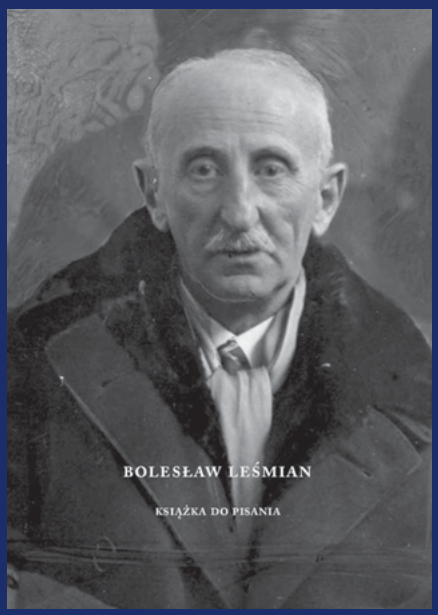

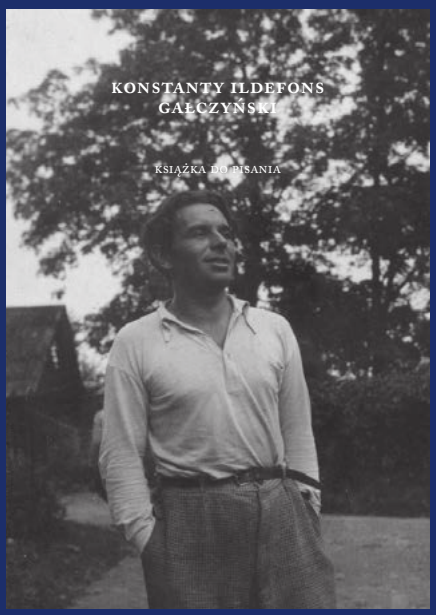

Książki do pisania

ANDRZEJ

Stasiuk:
O pasterstwie

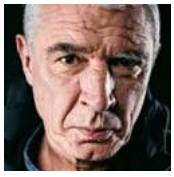

Patrzę przez okno na moje stado. Na moją owczarnię. Listopadowe słońce srebrzy siwe grzbiety. Stoją spokojnie przed furtką i czekają, aż je wypuszczę na łąkę, na ostatnią trawę zwarzoną przymrozkiem. Potem, gdy już wyjdą, widuję je to tu, to tam w pagórkowatym krajobrazie. Drepcą, skubią, polegują. Znikają za wyniosłością, by znów się pojawić w zaroślach po lewej, gdzie wynajdują zielone pędy jeżyn. Potem zabierają się do beli siana, którą systematycznie wyżerają od środka. A potem znowu gdzieś w górę, w stronę wyschniętego jaru porośniętego krzewami i samosiejkami olch i jesionów, dziką różą i tarniną. Tam też sobie coś znajdują. Ruchliwe, delikatne pyszczki przebierają wśród pędów, gałązek i listków. O zmierzchu zjawiają się u furtki i spokojnie czekają, aż je wpuszczę. A jeśli nie, to idą sobie pomiędzy świerki i modrzewie rosnące za ogrodzeniem i układają się na ziemi, żeby żuć i drzemać. Właściwie mogłoby mnie nie być. Czasami patrzą na mnie przez chwilę, a potem powracają do swojego owczego świata. Obojętne i samowystarczalne. Tak, daję im pić. Otwieram furtkę. Gdy są zaniepokojone, nie patrzą w moją stronę ani nie szukają mojego towarzystwa. Zbijają się w ciasne stadko i czekają, aż strach je opuści. Właściwie jestem dla nich nikim.

No więc, o co chodzi z tą Owczarnią i Pasterzem? Z tym mitem, metaforą, czy jak sobie to nazwiemy. I zarazem z realną rzeczywistością, w której przyszło nam żyć i na którą się godzimy od dwóch tysięcy lat? O co chodzi z tym archetypicznym obrazem, na którym długowłosy aryjczyk niesie przewieszone przez kark jagnię? Ocalił je, wydobył spomiędzy cierni, może z paszczy wilka i teraz niesie je, by dołączyło do stada. Ale jeśli to jagnię jest płci męskiej, to pożyje mniej więcej do jesieni. Urodziło się późną zimą, w lutym, u progu wiosny i pójdzie pod nóż jesienią. Jak przeważająca część jego męskich braci. Ponieważ samce są zabijane i zjadane. Nic po samcach w stadzie. Wystarczy kilku rozpłodowców dopuszczanych do żeńskiego stada jesienią. Żeby się rozmnażało znów i od nowa wydawało swoją samczą połowę na zagładę. Długowłosy aryjczyk niesie jagnię na zabicie. I nie jest to żadna metaforyczna ofiara, tylko odwieczny kołowrót śmierci, który produkuje mięso, żebyśmy się nażarli.

A jeśli jagnię to owieczka? Będzie rodzić i rodzić. Rok w rok, najczęściej wiosną. Aż się zestarzeje i osłabnie, i wtedy pasterz też ją zarżnie, tak jak wcześniej wszystkich jej męskich potomków. Niczego innego nie znajduję w obrazie długowłosego aryjczyka niosącego na ramionach jagnię. Niczego poza opowieścią o władzy nad rozpłodem i nad zadawaniem śmierci.

Lecz poza wszystkim tamten pasterz, mimo że raczej aryjczyk, to jakoś wyglądał. Można było uwierzyć, że podnosi brudnawe, z lekka cuchnące jagnię, zarzuca je sobie na kark i schodzi kamienistą ścieżką wśród cierni do stada. Można nawet uwierzyć, że jest w stanie odpędzić wilka. Że coś go jednak łączy z owczarnią. Choćby zapach.

Z następcami jest już inaczej. Ledwo idą w swoich operowych strojach, podpierając się parodiami pasterskiego kostura. Trudno sobie wyobrazić, że mogliby unieść owcę. Prawdę mówiąc, trudno sobie wyobrazić, że mogliby unieść cokolwiek. Trudno sobie wyobrazić, że pachną czymś innym niż zleżałą, ciężką tkaniną przesiąkniętą wonią szaf, których od stuleci doglądają obce ręce. Woń owiec? Dobre sobie. Jeśli w ogóle kiedykolwiek ją czuli, to zrobili wszystko, by się od niej uwolnić. Raz na zawsze zapomnieć o smrodzie trzody, który przywodzi na myśl życie. Czasami słucham, jak mówią w tej ich „pasterskiej rozgłośni". I nie wiem, do kogo mówią ani o czym. Słucham martwej mowy. Martwego języka. Słucham okrągłej gadki, pustej jak cymbał brzmiący. Jakby żaden z nich nie czytał prologu do Ewangelii św. Jana. A jak czytał, to i tak nic nie zrozumiał. Ślą przez higieniczny eter oddzielający ich od owczarni wzdęte od pychy okrągłe komunikaty. Słuchaliście kiedyś? Myśl ześlizguje się po tym jak po szkle, jak po miedzi brzęczącej. Nawet jakbyś chciał odpowiedzieć, to po prostu nie ma jak, bo nie ma na co.

Kiedyś chodziłem z córką do kościoła. Może nawet nie chodziło o wiarę, bo ta podobno jest łaską, a nie owocem

TP W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" SPECJALNY DODATEK

Złoto północy – Łzy bogów

Gdańsk – Światowa Stolica Bursztynu
Nowe Muzeum Bursztynu w Wielkim Młynie
Odkryj tajemnice bursztynu bałtyckiego

GDAŃSK
MUZEUM GDAŃSKA
POLAND – RUSSIA CROSS-BORDER COOPERATION PROGRAMME 2014-2020
PROGRAMME IS CO-FINANCED BY THE EUROPEAN UNION

Zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JACEK TARAN

rytuału. Chciałem, żeby córka wiedziała, z jakich mniej więcej źródeł wywodzona jest tożsamość jej kraju. Dziś widzę, jaki byłem okrutny. Staliśmy w lodowatych wnętrzach i słuchaliśmy ględzenia proboszczów i wikarych, którzy próbowali trzymać się polszczyzny. Przekazywaliśmy sobie ten nieszczęsny „znak pokoju", który napełniał nas zażenowaniem, ponieważ nie był żadnym znakiem, tylko jeszcze jednym pustym gestem, za pomocą którego zganiano nas, stado, do kupy.

Po paru latach córka zapytała: „Musimy tam chodzić?". „Nie, nie musimy" – odpowiedziałem i poczułem wstyd, bo to ja powinienem wcześniej zapytać: „Czy w ogóle chcesz?". Ale byłem dzieckiem owczarni, którego nikt nigdy o nic nie pytał.

Niedawno napisałem w mejlu: „Powiedz, proszę, co naprawdę wtedy czułaś?". „Chyba przede wszystkim potworną nudę". Nic się nie zmieniło. Czułem w jej wieku to samo. Pamiętam, że tylko raz byłem podekscytowany. Na rekolekcje przyjechał prawdziwy kaznodzieja z jakiegoś zgromadzenia, bo stał na ambonie w habicie, co stanowiło dodatkową atrakcję. W swej „homilii", chociaż wtedy mówiło się po ludzku „kazanie", opowiadał o piekle i mękach, które nas czekają, gdy będziemy grzeszyć. To było plastyczne, pełne konkretu, ognia, płonących ciał, diabłów rozdzierających potępieńców na kawałki. Piękny, potężny realizm. Iście biblijna epika. Pamiętam, że nie mogłem spać. Ale nie dałbym głowy, że przez własne grzechy. Zagłębiałem się raczej w sadystyczne wizje. Wracałem do nich pamięcią. By tak rzec, nie mogłem od nich oderwać zamkniętych oczu w ciemnościach pokoju. To zapamiętałem. Bo to było fizyczne, i przejmujące mimo swojej potworności. Było o śmierci w męczarniach, ale może w jakiś sposób przypominało życie? I tylko to przez te wszystkie lata? Tak. I zapewne umarłbym na stojąco z nudów, gdyby nie dziewczyny, którym można było przyglądać się ukradkiem.

A potem po latach, gdy prowadzałem córkę na ofiarę i torturę nudy niczym Abraham Izaaka na górę Moria, słyszałem nudę i pustkę już zupełnie świadomie. Ale czego się spodziewać, gdy mowa i słowa, które mają być słowami zbawienia, grzęzną między naszą swojską Scyllą a watykańską Charybdą. Jak mają przemawiać ci wszyscy nieszczęśni pasterze, skoro z jednej strony ich świat wypełnia kłamliwy bełkot dyrektora z Torunia, a z drugiej hieratyczna grafomania naszego Nadpasterza. To jest diapazon i widnokrąg. Po lewej kleista ględźba, w której czasem trudno rozpoznać polszczyznę, po prawej zaś retoryczny spacer po wodach jeziora Genezaret. Posłuchajcie obydwu. Nie znajdziecie schronienia, pociechy, nie znajdziecie ludzkiej opowieści, która choć na jotę przypominałaby wasze życie, wasz los. A potem posłuchajcie biskupów. Zwłaszcza tych, co tak bardzo rwą się do głosu, by nauczać, karcić i straszyć owczarnię. Posłuchajcie, jak wyimaginowana i kiczowata wzniosłość miesza się z językowym i myślowym kalectwem. Jakby ktoś puszczał nagranie od tyłu. Posłuchajcie, jak można mówić bez końca, by w istocie nie powiedzieć niczego.

Wygląda to tak, jakby trzoda wiedziona była ku zagładzie. W każdym razie duchowej. Jakby ci wszyscy podstarzali faceci prowadzili ludzką rogaciznę na mentalną rzeź. Do wielkiej przemysłowej ubojni. Do religijnego szlachtuza. Albo na pustynię, gdzie wszyscy pomrą z duchowego głodu i pragnienia. I zaprawdę: los zgubionych owiec będzie godzien zazdrości.

Zbliża się Boże Narodzenie, Betlejem, stajenka, więc na koniec powróćmy może do prawdziwego pasterstwa. Widzieliście Państwo, jak idzie tysięczne stado owiec przez góry, znaczy się, jesienny redyk? Jak szeroka, spokojna fala. Tysiąc pyszczków poskubuje ostatnią trawę, cztery tysiące raciczek niespiesznie drepcze. Juhasi idą ze stadem, ale prawie tak, jakby ich nie było. Dbają tylko o to, by zwierzęta nie poszły gdzieś na „ludzkie" i nie narobiły szkód albo nie wyległy nagle na szosę. Owce idą same. Te najstarsze po prostu pamiętają drogę. Wszystko odbywa się wolno i spokojnie. Każdy pasterz wie, że wystraszone, spłoszone stado to jest nieopanowany żywioł. Coś jak fala powodziowa z mięsa i wełny. Więc tylko pogwizdują i pokrzykują uspokajająco. Aż chciałoby się zacytować niektóre zawołania, ale idą Święta i trochę nie wypada. Wieczorem stado po prostu zatrzymuje się i układa do snu. Pasterze rozpalają ogień i śpią razem ze zwierzętami. Tak jak robili przez cały wypas, przez wiosenne i letnie miesiące. Są brudni i cuchnący. Przesiąknięci wonią dymu i swoich owiec. Może to nieco ryzykowne stwierdzenie, ale można powiedzieć, że żyli życiem swojej trzody. Chronili ją przed nagłym strachem, przed wilkiem i zgubieniem. I spali zazwyczaj gorzej i krócej niż stado, bo przecież musieli czuwać. ©

TRZYSTA DWA NEURONY

O żadnym innym organizmie zwierzęcym nie wiemy tak dużo jak o C. elegans. Ale wnioski z badań nad tym niepozornym nicieniem przekładają się także na ludzi.

DANIEL KOZŁOWSKI

Gdy w 2003 r. wahadłowiec Columbia spłonął w atmosferze, cała siedmioosobowa załoga zginęła. Katastrofę przeżyli jednak pasażerowie: kolonia milimetrowej długości nicieni *C. elegans*, które w naturalnym środowisku spotkać można zarówno w wodzie, jak i na lądzie, a nawet na głębokości 3 kilometrów pod ziemią. Były częścią badań dotyczących wpływu warunków mikrograwitacji na ekspresję genów. A od lat 60. są modelowym organizmem w laboratoriach biologów.

Rozmiar ma znaczenie

Układ nerwowy *C. elegans* jest ok. 300 milionów razy mniejszy od naszego mózgu. Tworzą go dokładnie 302 komórki nerwowe. To jednak niemal jedna trzecia złożonego z 959 komórek zwierzęcia (u hermafrodytów, bo znacznie rzadziej występujące samce składają się z 1031 komórek). Dobrze znamy genom *C. elegans*, jak i jego konektom – kompletną mapę połączeń między neuronami; schemat przypominający coś, na co spogląda elektryk, gdy wykonuje remont instalacji.

C. elegans to jak na razie jedyny organizm, którego konektom naukowcy rozpracowali. Pomimo usilnych starań takich inicjatyw jak Blue Brain Project czy Human Brain Project, których uczestnicy próbują stworzyć mapę połączeń w, odpowiednio, mysim i ludzkim mózgu, cel ten ciągle jest bardzo odległy. Neurobiologia wiąże wielkie nadzieje z konektomem, ponieważ to właśnie ze wzorców aktywności różnych sieci komórek nerwowych mają się wyłaniać zwierzęce (w tym: ludzkie) umysły.

Przygotowanie do startu promu Columbia z Kennedy Space Center, kwiecień 1981 r. Wśród ostatnich pasażerów tego promu była populacja nicieni C. elegans.

Przygoda z nicieniem okazała się trudniejsza, niż się pierwotnie wydawało. Złożyły się na to m.in. ograniczenia technologiczne – neurofizjolodzy musieli dostać się do wnętrza nicienia, nie niszcząc jego delikatnego oskórka. Jest to o tyle ważne, że nicienie posiadają „szkielet" odmienny od naszego. U nas najważniejszym jego składnikiem są kości stanowiące rusztowanie dla ciała. Nicienie takich struktur nie posiadają. Ich wnętrze wypełnia płyn pod ciśnieniem, napierający na ściany ciała. Wyobraźmy sobie, co się stanie, jeśli balon napełniony wodą przekłujemy igłą. Podobnie może wyglądać przebijanie oskórka *C. elegans*. Na domiar złego rozmiary jego komórek utrudniają zaglądanie do ich wnętrza, by badać aktywność elektryczną (wyróżniającą właściwość neuronów). Badacze musieli nauczyć się wprowadzać elektrody do ciał komórek wielkości 2 mikrometrów (milionowych części metra). Przeciętne ciało komórki nerwowej człowieka jest sto razy większe.

Repertuar zachowań małego stworzenia również zaskoczył badaczy. Pamięć? Wiązanie ze sobą wydarzeń o różnym znaczeniu? Nawigacja w przestrzeni? Przypisalibyśmy je istotom o większym i bardziej skomplikowanym układzie nerwowym, którego funkcjonowanie nie sprowadza się do aktywności kilkuset rozproszonych po całym ciele neuronów.

Ciepło, cieplej, gorąco

Organizmy muszą kontrolować ciepłotę swojego ciała, aby utrzymać funkcje życiowe. Zwierzęta stałocieplne posiadają wewnętrzne mechanizmy, które pozwalają im podtrzymać temperaturę ciała (jak dreszcze czy rozszerzanie naczyń krwionośnych). Jako że brak ich u zmiennocieplnych, gady, robaki obłe (nicienie) czy owady szukają miejsc, w którym mogą się skryć przed chłodem lub wygrzać w słońcu. Muszą polegać na zachowaniu, aby zapewnić sobie optymalne warunki.

Nie inaczej jest w przypadku *C. elegans*. Doświadcza on wahań temperatury w zależności od głębokości w podłożu, pory dnia czy sezonu. Brak prawidłowej kontroli nad środowiskiem wewnętrznym może mieć negatywny wpływ na jego wzrost, długość życia i sukces reprodukcyjny. Nicienie są wprawdzie pogodowymi oportunistami – mają dosyć szeroki zakres lubianych temperatur – ale optymalna (taka, do której przystosował się w toku ewolucji) jest jednak niezbędna, aby procesy fizjologiczne w jego ciele mogły zachodzić efektywnie.

Jak badać zachowanie nicienia w odpowiedzi na zmiany temperatury? Trudno obserwować milimetrowy obiekt w warstwie ziemi, ale jego świat można zrekonstruować w laboratorium i wystawić nicienia na zmianę (gradient) temperatury podłoża na szalce z żelem.

W takich warunkach nicień będzie wykazywał termotaksję, czyli ruch do bodźca (termotaksja dodatnia) lub z dala od bodźca (termotaksja ujemna). Będzie poruszał się po podłożu w różny sposób, zależny od kilku czynników. Jeśli wcześniej hodowano go w temperaturze 20 stopni Celsjusza, a na nowym podłożu jego temperaturą startową było 15 stopni, to nicień zacznie poruszać się wzdłuż gradientu temperatury, aż dotrze do cieplejszego miejsca. Wtedy jego zachowanie się zmienia i zamiast dalej podążać za zmieniającą się temperaturą, wędruje po paskach pożywki o temperaturze, w której wcześniej był hodowany. Zwierzę takie właśnie warunki skojarzyło ze środowiskiem, które dostarczało mu niezbędnego pokarmu (*C. elegans* w laboratorium żywi się bakteriami *E. coli*). Gdyby rozpoczynał swoją wędrówkę z miejsca cieplejszego niż temperatura hodowania, wówczas podążyłby w stronę chłodniejszego, również pozytywnie kojarzonego, regionu.

Jeśli jednak przed eksperymentem nicień będzie żył bez pożywienia przez kilka godzin, to nie wykaże on żadnych skłonności do podążania za wcześniej poznaną temperaturą. Wydaje się więc, że *C. elegans* „pamięta", iż wcześniejsze warunki życia były pozytywne lub nie.

Centrum przetwarzania

Aby móc nawigować w przestrzeni odpowiednio do gradientu temperatury, *C. elegans* potrzebuje mechanizmów, które pozwolą na odbieranie bodźców cieplnych; na określenie, czy odczuwana temperatura jest wyższa czy niższa od wcześniejszej (robi to zresztą z ogromną dokładnością, rzędu 0,05 stopni); na zdecydowanie, czy podążać w stronę tej temperatury, czy jednak pozostać przy obecnej; w końcu na rozpoczęcie ruchu w danym kierunku. Co zaskakujące, główną rolę w kontroli wszystkich tych procesów związanych z przetwarzaniem informacji o temperaturze otoczenia odgrywają u nicieni pojedyncze neurony o nazwie AFD.

Neuron AFD znajduje się w przedniej części ciała („głowie"), ale jego dendryty, czyli wypustki zbierające sygnały z otoczenia, sięgają aż do jej czubka („nosa"). Jeśli uszkodzimy ten neuron, np. przez odpowiednią manipulację genetyczną lub po prostu wypalając komórkę wiązką laserową, nicień nie będzie wykazywał opisanych zachowań lub przynajmniej będą one mocno upośledzone.

To dowodzi, że AFD jest niezbędnym składnikiem całego układu termoregulacyjnego, ale nie mówi nam nic o tym, jak cały ten układ zachowuje się w normalnych warunkach. Naukowcom udało się jednak pokonać niektóre technologiczne trudności i dzisiaj potrafimy badać aktywność pojedynczej komórki nawet u nicienia, na przykład mierząc, jak zmienia się stężenie wapnia w AFD (im bardziej komórka aktywna, tym więcej wapnia napływa do jej wnętrza). W ten sposób zaobserwowano silną zależność pomiędzy zmianami w stężeniu wapnia a fluktuacjami temperatury w otoczeniu. Na dodatek pod względem generowania takiego sygnału AFD wydaje się być samowystarczalny – jeśli hodować go osobno, w warunkach *in vitro*, i również poddać zmiennym warunkom temperatury, to wykazuje podobną aktywność. Może to oznaczać, że sam odbiera sygnały o fluktuacjach cieplnych i przetwarza je bez udziału innych komórek.

To byłoby jednak zbyt proste. Wciąż jest wiele zachowań, których nie można wyjaśnić samym odbiorem sygnału cieplnego przez AFD. Przykładowo, AFD nie może sam regulować ruchów nicienia w termotaksjach, wpływając na jego poruszanie się. Jego aktywność w odpowiedzi na zmiany temperatury jest taka sama bez względu na to, czy nicień był wcześniej hodowany na szalce z pożywieniem, czy głodzony przez kilka godzin. Gdzie indziej, lub też z pomocą dodatkowych komórek, muszą być łączone sygnały o temperaturze i tym, jakie „wspomnienia" ma z nią nicień.

Dlatego oprócz AFD naukowcy wskazali kilka innych neuronów, które odbierają sygnały chemiczne (czyli zapach, informujący o obecności pożywienia lub szkodliwych substancji) lub mogą łączyć ↦

CORBIS / GETTY IMAGES

VOLKER KERN / GETTY IMAGES

Modelowy przypadek

WIELE FUNDAMENTALNYCH procesów fizjologicznych zwierząt wyewoluowało bardzo dawno temu i są one wspólne dla większości gatunków. Stąd poszukiwania gatunków modelowych – takich, które łatwo badać, a wnioski rozszerzać na większe grupy organizmów. *C. elegans* świetnie się do tej roli nadaje, bo jest mały, przezroczysty i szybko się rozmnaża.
Za badania przeprowadzane na tym nicieniu przyznano kilka Nobli: np. w 2002 r. za odkrycie mechanizmów śmierci komórkowej (co ma spore znaczenie choćby w onkologii, jako że komórki nowotworowe to właśnie te, co uparcie nie chcą umierać), w 2006 r. za odkrycie interferencji RNA (która budzi wielkie nadzieje jako forma terapii genetycznej), a w 2008 r. za odkrycie „świecącego na żądanie" białka GFP (które jest dziś tak powszechnym narzędziem w biotechnologii jak piła w stolarstwie). Warto dodać, że pierwszym zwierzęciem, którego genom wybrano do pełnego „spisania", był właśnie *Caenorhabditis elegans*. Jako dowód wdzięczności polecam próbę odczytania jego pełnego „imienia i nazwiska" na głos. ©℗ ŁL

Jeden z nicieni C. elegans w laboratorium NASA – potomek tych, które przeżyły katastrofę promu Columbia.

↦ sygnały z różnych receptorów. Droga od AFD do układu odpowiadającego za ruch wiedzie przez dodatkowe przystanki na innych neuronach.

Policjant na skrzyżowaniu

Do tej pory skupialiśmy się na jednym zachowaniu – termotaksji – i na jednym neuronie, AFD. Ale w milimetrowym ciele dzieje się o wiele więcej. Aby móc decydować, czy iść w stronę rosnących temperatur, czy też w kierunku przeciwnym, potrzebny jest punkt odniesienia – to, czy wyższa temperatura kojarzy się pozytywnie, czy negatywnie. Taką informację mogą zapewnić receptory wyczuwające w otoczeniu różne substancje chemiczne. Okazuje się, że i tutaj można wyróżnić pojedyncze neurony, które przesyłają sygnał o danym związku chemicznym dalej. Gdzieś na tym sygnałowym szlaku ta informacja może być skojarzona z inną informacją, powiedzmy, o temperaturze. Na przykład neurony ASE wyczuwają stężenia chlorku sodu (zwykłej soli kuchennej), a nawet mogą „pamiętać" o tym, w jakim stężeniu soli nicień żył wcześniej. Komórkom, które odbierają sygnały od tego neuronu, pozwala to następnie podjąć decyzję, w którą stronę nicień powinien się skierować. Jednym z typów neuronów, które są pobudzane przez ASE, jest AWC, który z kolei może modyfikować aktywność znanego nam termoregulatora – neuronu AFD.

Poza receptorami temperatury czy związków chemicznych, nicienie posiadają system rejestrowania zmian mechanicznych. Jeśli wyczują nacisk, potrafią odruchowo się odsunąć. Mają również zmysł propriocepcji, czyli czucia własnego ciała, który umożliwia im dostosowanie wykonywanych przez nie rytmicznych ruchów do tego, co się dzieje w otoczeniu. Takie receptory regulują działanie całych grup neuronów wpływających z kolei na komórki mięśniowe, kurczące się w odpowiedni sposób. Jeszcze inny neuron działa niczym policjant na skrzyżowaniu – określa szybkość poruszania się ciała oraz to, czy nicień powinien zawrócić. Czyni to, wysyłając sygnały do różnych zestawów komórek, które zmieniają sposób lokomocji nicienia.

Wiele jeszcze można by napisać o zaangażowaniu pojedynczych neuronów w różne funkcje fizjologiczne nicienia. Najważniejszym wnioskiem z całej tej opowieści jest jednak to, że 302 neurony *C. elegans* tworzą skomplikowaną sieć, w której różne sygnały mogą wpływać na rozmaite funkcje organizmu. I choć poznaliśmy sporą część fizjologii nicienia, wciąż wiele pozostaje do odkrycia. A nawet gdybyśmy uznali, że na poziomie samych neuronów i wzorców ich połączeń rozumiemy już wszystko, to zawsze można zejść głębiej: zapytać, co się dzieje wewnątrz każdej z tych komórek. Żeby to zrobić, będziemy jednak potrzebowali nowych narzędzi, nowych pomysłów i nowych pokładów wyobraźni.

Zderzenie światów

Warto wspomnieć o jeszcze jednej trudności, przed którą stają badacze rozpracowujący układy nerwowe innych zwierząt. Otóż czynniki, które z naszej perspektywy wydają się być ważne w życiu nicienia, skowronka czy ośmiornicy, wcale nie muszą wyczerpywać wszystkich możliwych potrzeb tych organizmów. Na początku XX w. Jakob von Uexküll ukuł pojęcie *Umwelt* (niem. świat), mające oznaczać subiektywny świat zwierzęcia. Co ważne, *Umwelten* mogą się różnić, nawet jeśli zwierzęta zamieszkują to samo środowisko. Jak odnieść to do sytuacji, w której człowiek stara się zrozumieć *Umwelt* nicienia, a środowiska obu tych organizmów są od siebie tak niezmiernie odmienne? Przecież drzewo czy kawałek gleby nie jest dla człowieka tym samym, co dla nicienia. Alex Gomez-Marin określił to mianem *clash of Umwelts* – konfliktem dwóch subiektywnych uniwersów.

Badając inne organizmy powinniśmy pamiętać o tym, że nasze oczekiwania nie muszą być oczekiwaniami zwierzęcia, a nasza wiedza o świecie – ich wiedzą o świecie. Milimetrowy umysł tworzy swoją własną rzeczywistość, karmiąc się bodźcami, o których nasz umysł może nawet nie pomyśleć. © DANIEL KOZŁOWSKI

Kuchenna rewolucja

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Dzisiaj mamy łatwo: żeby uzyskać pulchne ciasto, używamy proszku do pieczenia. Ale jak to się stało, że zagościł w kuchni? I jak radzili sobie nasi przodkowie, zanim go wynaleziono?

W laboratorium dziesięciolatka zaczęło się robić nudno i nawet radość z probówki, kolby i zlewki, zorganizowanych z uczelni przez przyjaciół rodziców, powoli mijała. Bo w laboratorium coś się powinno dziać, a woda z farbkami nie robiła nic.

Nowe odczynniki znalazły się w kuchni. Do probówki trafiła soda i trochę octu. I wtedy z sykiem buchnęła miłość do nauki. Oraz pewność, że w kuchni zawsze znajdzie się coś ciekawego.

Ta sama reakcja chemiczna półtora stulecia wcześniej zmieniła i domowe wypieki, i branżę cukierniczą – a nawet wpłynęła na reguły rynku i obyczaje.

Owoc chemii i pracy rąk

Co się właściwie dzieje, gdy do ciasta trafia soda? Soda, czyli wodorowęglan sodu, to sól, i jak to sól, w wodzie dysocjuje, czyli rozpada się na jony. Daje wtedy odczyn zasadowy. Jeśli w tym samym cieście jest jakiś kwaśny składnik: maślanka, jogurt, czekolada, sok owocowy lub właśnie ocet – dojdzie do reakcji, w wyniku której powstanie dwutlenek węgla i woda. To właściwie tyle. Proste.

I genialne, jeśli ciasto ma strukturę, którą ów gaz może napompować. W cieście chlebowym zapewnia ją gluten – mieszanina obecnych m.in. w pszenicy białek, które pod wpływem wody tworzą elastyczną i plastyczną siatkę zdolną do utrzymania pęcherzyków powietrza. Ale gdy ciasto ma być lekkie i kruche, powstawanie glutenu trzeba przyhamować – dodając tłuszcz, który powleka składniki, nie dopuszczając do tworzenia się zbyt długich łańcuchów glutenu. Można wtedy np. utrzeć masło z cukrem, by to tłuszcz stworzył strukturę pełną pęcherzyków. Lub ubić jajka, co sprawia, że zawarte w nich białka denaturują, ich łańcuchy rozwijają się i plączą w idealne do napowietrzenia rusztowanie.

W piekarniku rozkład sody przyspiesza, powstaje więcej gazu, który pod wpływem temperatury się rozszerza, ciasto puchnie, woda odparowuje, a pęcznieiąca i żelująca skrobia oraz ścinające się rusztowanie z białek utrwalają strukturę (do tego jeszcze reakcje karmelizacji i Maillarda zapewniają kolor, smak i aromat, ale to inna historia). Powstaje puszysty, lekki i miękki owoc chemii i pracy rąk ludzkich: ciasto.

Ale nie zawsze kwaśny składnik jest w cieście pożądany, a bez niego soda niewiele zdziała. Poza tym, nie tak łatwo oszacować jej odpowiednią ilość. Za mało – ciasto nie urośnie. Za dużo – nadmiar, który nie przereaguje, nada wypiekowi chemiczny, mydlany smak.

W XIX w. wymyślono rozwiązanie powszechne do dziś.

Posmak popiołu

Zmuszenie wypieku do wyrośnięcia było jeszcze wówczas ciężką pracą. Można było albo polegać na powietrzu wtłoczonym w utarte masło lub ubite jajka, albo do produkcji CO_2 zaprząc drożdże. Ale mowa tu o czasach na długo zanim za sprawą wynalazku braci Fleischmann z 1876 r. można było kupić drożdże w wygodnej kostce. Trzeba je było wyhodować – czy to jako zakwas, czy na bazie ziemniaków, czy z resztek po warzeniu piwa. Takie mikstury wnosiły też własne smaki: pal sześć, jeśli pożądane, jak zakwas w chlebie. Gorzej, jeśli ciasto smakowało goryczką z chmielonego piwa. W dodatku drożdże są wrażliwe na temperaturę, wymagają czasu i uwagi. Codzienne pieczenie na nich oznaczało trud.

Równocześnie to czasy, gdy kobietę w kuchni wiąże moralny szantaż: po tym, jak prowadzi dom, według jej zaradności, oszczędności – i wydajności – ocenia się ją jako osobę.

Tę historię znakomicie przedstawia Linda Civitello w książce „Baking Powder Wars": amerykańskie kobiety musiały całą wiedzę swoich matek i babek przełożyć na realia Nowego Świata – od dostępnych zbóż i roślin po klimat, w ich kuchniach i mentalnościach było więc miejsce na innowacje. Inaczej niż w Europie, gdzie niezmienności procesu pieczenia strzegły strażniczki liczących setki lat domowych ognisk – i strażnicy receptur piekarskich cechów. Tymczasem w pierwszej amerykańskiej książce kucharskiej, w 1796 r., jej autorka Amelia Simmons podaje przepisy na ciastka i pierniki z dodatkiem... potażu: oczyszczonej substancji uzyskiwanej poprzez wypłukiwanie popiołu z węgla drzewnego. Był to węglan potasu, z kwasami reagujący tak jak soda. ↦

ADOBE STOCK

Potaż, zwłaszcza domowej roboty, nie zawsze był czysty – ciasto mogło smakować popiołem. Ale to jeszcze nic: ówczesne pionierki, w ślad za Europejkami, robiącymi to od czasów średniowiecza, stosowały też sól rogową, czyli węglan amonu destylowany z rogów jelenich. W piekarniku rozkłada się na dwutlenek węgla i amoniak: oba gazy spulchniają ciasto, szkopuł tylko w tym, że amoniak okropnie śmierdzi i każdy błąd kończył się przykro. Ale amoniak spożywczy – wodorowęglan amonu – stosuje się do dziś, bo można go dodać do ciasta zawczasu, a on uwolni gazy nie od razu, jak soda, tylko dopiero w piecu.

Wszystko się upraszcza, gdy w 1846 r. w USA pojawia się soda, znana już w Starym Świecie – irlandzkie przepisy na chleb sodowy pochodzą z pierwszej połowy XIX w. Ale wtedy Amerykanki odkrywają (lub korzystają z pomysłu brytyjskiego chemika Alfreda Birda, który wpadł na to w 1843 r.), że zamiast martwić się kwaśnym składnikiem, można wraz z sodą dodać do ciasta innej substancji pełniącej tę samą funkcję. W aptekach był wodorowinian potasu – czyli kamień winny, osad ze zbiorników do fermentacji wina, który po rozpuszczeniu ma kwaśny odczyn. Był drogi, bo importowany z Europy, ale działał.

I nie była to tylko zmiana techniki kulinarnej. Odtąd pieczenie, wskazuje Civitello, nie musiało już oznaczać znoju ani trzymania się ściśle receptur, zaczęło się stawać bardziej spontaniczne i wyzwolone. Z dziedziny obowiązku przesuwało się w stronę przyjemności. Odłączało się od symboliki religijnej i tradycyjnej związanej z chlebem, stając się świeckie – i nowoczesne, stała za nim przecież nauka.

Wkrótce miało się też stać wielkim biznesem.

Z puszek do saszetek

Chemik Eben Horsford, by otrzymać rękę swojej studentki Mary Gardiner, musiał się postarać o lepszą pensję. Wyjechał do Niemiec, na studia do słynnego prof. Justusa von Liebiga, odkrywcy m.in. znaczenia w naszej diecie trójcy białka-tłuszcze-węglowodany. Wróciwszy, Horsford objął katedrę na Harwardzie. Ale zajął się też pożytkowaniem swojej wiedzy w praktyce. Odkrył metodę otrzymywania z kości zwierzęcych diwodorofosforanu wapnia, który w towarzystwie sody sprawdza się równie dobrze, co kamień winny, a dużo taniej go pozyskać. W 1869 r. – tak jak wcześniej Bird – do sody z fosforanem dodał trzeci składnik: skrobię, która pochłaniała wilgoć, chroniąc przed przedwczesną reakcją, i zwiększała objętość, ułatwiając odmierzanie porcji.

Użycie sody i kamienia winnego wywołało zmiany wychodzące poza kuchnię.

Pieczenie staje się wyzwolone i spontaniczne, oderwane od symboliki religijnej.

Powstał proszek do pieczenia taki, jaki znamy dzisiaj.

A wraz z nim ruszył z kopyta przemysł spożywczy. Proszek z aptek trafił na półki sklepowe. Gospodynie stają się konsumentkami. A konkurencja, jak to w USA, nie śpi: w 1866 r. farmaceuta Thomas M. Biddle i biznesmen Joseph C. Hoagland zaczynają sprzedawać proszek na bazie sody i kamienia winnego. Kolejni producenci jako składnika kwasowego używają ałunu – siarczanu sodowo-glinowego, który występuje jako minerał. Konkurencja jest bezwzględna: producent proszku z winianem, najdroższego, bo z importowanym składnikiem, opłaca artykuły, w których przedstawia swój produkt jako naturalny („z winogron"), a tańsze proszki konkurencji – jako toksyczne czy sfałszowane. Wokół proszku do pieczenia rozwija się też przemysł reklamowy: producenci drukują własne książki kucharskie, zalecające użycie właśnie ich produktu, a przyszłych klientów przyzwyczajają do swoich marek, wydając karty do kolekcjonowania. W grze są olbrzymie pieniądze, bo proszek do pieczenia podbija amerykańskie kuchnie.

W Europie, gdzie zasad pieczenia strzegą cechy, proszek musi poczekać na swój czas, choć Horsford próbował z prof. Liebigiem rozkręcać biznes i w Niemczech. Przyjmie się pokolenie później – gdy rodziny w Starym Świecie usłyszą już o nim od krewnych z emigracji. W 1893 r. aptekarz z Bielefeld w Nadrenii-Północnej Westfalii, niejaki August Oetker, zaczyna sprzedawać proszek na bazie receptury Horsforda, z sody i fosforanów. Jego innowacja: zamiast w puszkach, sprzedaje proszek w saszetkach za 10 pfenigów, z porcją proszku odmierzoną na funt mąki. W 1922 r. otwiera fabrykę w Gdańsku-Oliwie.

Proszki na bazie difosforanów są u nas najpopularniejsze do dziś, choć dostępne są też proszki z winianem. W ojczyźnie tego wynalazku patentów jest więcej – np. proszki działające dwustopniowo, z dwoma składnikami kwasowymi, z których jeden – jak fosforany czy winian – reaguje od razu po zmieszaniu, a drugi – jak ałun sodowy – oddaje CO_2 wolniej i dopiero pod wpływem ciepła w piecu.

Półtora wieku później proszek do pieczenia jest też wciąż na froncie batalii o „chemię w jedzeniu". A to za sprawą właśnie fosforanów – zajmujących na liście dodatków do żywności pozycje od E339 do E452 (winian potasu to E336, soda to E500b). Bo choć fosforany, jak podkreśla Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA), są niezbędne w diecie jako źródło fosforu odpowiedzialnego m.in. za budowę kości, to dodaje się je dziś do mnóstwa produktów – od serów topionych po desery (z dodatków do żywności pochodzi od 6 do 30 proc. fosforanów, które zjadamy). Istnieje więc jakieś ryzyko ich przedawkowania i w efekcie np. zaburzeń gospodarki wapnia. Eksperci EFSA w 2019 r. zarekomendowali obniżenie dopuszczalnego dziennego spożycia fosforanów do 40 mg na kilogram masy ciała. Dla człowieka ważącego 70 kg oznacza to 2,8 g fosforanów dziennie. Producenci niestety nie podają, ile dokładnie fosforanów zawiera porcja ich proszku, wiadomo tylko, że skrobiowego wypełniacza jest w niej do 30 proc. W razie obaw można sięgnąć po proszek na bazie kamienia winnego.

„Sporządzenie proszku do pieczenia przez profesora Horsforda w Cambridge, w Ameryce Północnej, uważam za jedno z najważniejszych i przynoszących najwięcej korzyści odkryć poczynionych w ostatniej dekadzie" – powiedział słynny prof. Justus von Liebig w 1869 r. Nawet jeśli jest w tym przesada, to smaczna.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Korzystałem z: Linda Civitello „Baking Powder Wars", University of Illinois Press 2017; Harold McGee „On Food and Cooking", Scribner 2001; Jeff Potter „Gotowanie dla geeków", Helion 2011; Samin Nosrat „Salt, Fat, Acid, Heat", Canongate Books 2017.

Już w sprzedaży – podwójne wydanie specjalne!
ŚWIĘTO SPOTKANIA

Wiem, że ludzie czasem potrzebują tylko tego: by przytulić się i razem pomilczeć. Nic więcej.
Anna Dymna

Oczekiwanie. Uczta. Goście, których chcielibyśmy zaprosić do stołu, „kiedy to wszystko się wreszcie skończy". Radość i zabawa.
Zmagając się z epidemią, przeżywając społeczne niepokoje, nie przestajemy zadawać sobie najważniejszych pytań duchowych i egzystencjalnych. I nie przestajemy myśleć o jakości naszego bycia razem, zarówno z najbliższymi, jak we wspólnocie obywatelskiej.

„Święto spotkania" – szukaj w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/swietospotkania**

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

ZAiKS

SOS WIOSKI DZIECIĘCE

Wrocławski Dom Literatury

PARTNER MEDIALNY

RMF Classic

Już 23 grudnia – premiera!

Wydanie Specjalne „Święto spotkania” do słuchania – tylko w Audiotece!

Pobierz aplikację z GooglePlay lub AppStore i weź, słuchaj

- w formie pojedynczego audiobooka, który kupisz w aplikacji
- lub w ramach subskrypcji dla stałych słuchaczy
  – Audioteka Klub
  – dla dołączających 14 dni gratis!

Mistrzowskie teksty i rozmowy o byciu razem, wspólnocie, tęsknocie i... stole, czytane przez znakomitych lektorów.

„Tygodnik Powszechny”. Zamień się w słuch.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNER STRATEGICZNY:

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 51-52/2020

WAWEL otwarty na nowo

Jesteśmy gotowi na oblężenie

ANDRZEJ BETLEJ, DYREKTOR ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU:

Muzeum musi dziś dostarczać emocji, przeżyć i wiedzy. Możemy i chcemy to robić.

GRZEGORZ NUREK: Jaki Wawel zastał Pan, obejmując rok temu funkcję dyrektora? Jaki chciałby Pan zostawić następcy?

ANDRZEJ BETLEJ: Zastałem Wawel w bardzo dobrej kondycji. Podczas trzydziestoletniej kadencji dyrektorskiej prof. Jana Ostrowskiego przeprowadzono wiele prac konserwatorskich i stworzono solidne podstawy do dalszych zmian. Wawel jest w przyzwoitej kondycji finansowej.

Zamek jest magiczny i wyjątkowy. Z jego niepowtarzalnym *genius loci* musi funkcjonować w ramach zmieniającego się otoczenia. Moją wizją jest, aby był miejscem otwartym, do którego każdy chciałby wracać. Aby nie odwiedzało się go jedynie trzy razy w życiu. To miejsce otoczone wielkim szacunkiem, ale też sam Wawel z szacunkiem ukazuje odwiedzającym, jakiego rodzaju przestrzeń wymiany myśli i wrażeń tworzy. Muzeum musi dziś dostarczać emocji, przeżyć i wiedzy. My takich emocji i opowieści możemy i chcemy widzom, którzy są dla nas najważniejsi, dostarczyć. Bo jak powiedział mój przyjaciel, muzeum bez widzów jest tylko kosztownym magazynem zbiorów.

Wawel powinien stać się instytucją, która będzie pokazywać rzeczy nowe w nowatorski sposób, jednocześnie nie przestając czerpać z najlepszych tradycji. Tak powinno być z wystawą „Wszystkie arrasy króla. Powroty", którą pokażemy w marcu. To ekspozycja totalna, podwójnie jubileuszowa, odwołująca się do tradycji wielkich ekspozycji, które były także moim doświadczeniem jako dziecka i które zrobiły na mnie piorunujące wrażenie, tak jak wystawa w 1983 r. z okazji 300-lecia odsieczy wiedeńskiej, która rozgrywała się na całym zamku. Podobnie będzie z arrasami.

Zanim o nich opowiemy, chciałbym zapytać, jakie prace konserwatorskie czekają Wawel?

W tym roku rozpoczęły się i będą prowadzone także w roku przyszłym prace na parterze skrzydła północnego. Są to pomieszczenia zwolnione przez oddział Archiwum Narodowego. W siedmiu salach zostanie stworzona zupełnie nowa ekspozycja rozbudowanego Skarbca Koronnego. Przestrzenie wymagają badań i remontu konserwatorskiego. To jedno z największych przedsięwzięć.

ANNA STANKIEWICZ

DR HAB. ANDRZEJ BETLEJ, prof. UJ – historyk sztuki, w latach 2012–2016 dyrektor Instytutu Historii Sztuki UJ, w latach 2016–2020 dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, od stycznia 2020 r. dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, wiceprzewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

Wawel potrzebuje także miejsca na ekspozycje zmienne. Przestrzeń, którą dawniej wykorzystywano na wystawy czasowe, obecnie zajmuje ekspozycja namiotów tureckich. Może trzeba będzie się zastanowić nad przedefiniowaniem sposobu użytkowania budynków nr 5 i 9. Ale to byłby wielki projekt, który można by porównać (z zachowaniem proporcji) z Akropolis Wyspiańskiego.

Wawel czeka dostosowanie do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Musimy też zainwestować w nowe oświetlenie dla lepszej (i również nowej) ekspozycji dzieł na obu piętrach zamku. Koszt inwestycji w przyszłym roku to blisko 9 mln zł. Wkrótce rozpoczniemy finansowany z funduszy norweskich remont w jednym z wawelskich oddziałów, tj. Pieskowej Skale. Będą prowadzone prace wykopaliskowe, zostanie wymieniona nawierzchnia dziedzińców, przygotowana nowa wystawa poświęcona sztuce staropolskiej.

Byłbym szczęśliwy, gdyby za parę lat udało się otworzyć wielką wystawę poświęconą Wawelowi średniowiecznemu. Zwiedzanie rozpoczynałoby się od Wawelu Zaginionego, przechodziłoby się do kościoła św. Gereona, ale na otwarcie czekają rezerwaty pod budynkiem nr 8 od strony Wisły. Mało kto wie, że w pobliżu Smoczej Jamy jest kolejny rezerwat archeologiczny. W podziemiach zamku jest drugie lapidarium zabytkowych detali. To wszystko czeka na udostępnienie. Wawel podziemny? To są wielkie inwestycje.

Archeolodzy mają co robić.

Nie tylko archeolodzy. Cały zespół pracowników zamku ma co robić. Przygotowywanie wystaw to wieloletni i pracochłonny proces.

Najbardziej wyczekiwanym wydarzeniem będzie ogromna, planowana na 18 marca 2021 r. wystawa „Wszystkie arrasy króla. Powroty". W podtytule wystawy pojawiają się trzy daty: 2021–1961–1921.

Powrót arrasów w 2021 r. to, jak ja to nazywam, wielka gala arrasów, dowód, że chcemy pracować z własną kolekcją. To również upamiętnienie dwóch rocznic. 18 marca 1921 r. podpisany został traktat ryski pomiędzy odrodzoną Polską a Rosją sowiecką. Na mocy tego traktatu wrócił zagrabiony przez zaborcę zbiór arrasów. To nie tylko kolekcja królewska, ale też kolekcja Rzeczypospolitej, bo zgodnie z zapisem poczynionym przez króla Zygmunta Augusta arrasy trafiły do skarbu państwa. Bezcenne obiekty wróciły po 1921 r., ale już w 1939 r.,

JEREMI DOBRZAŃSKI

Obraz z krakowskiego klasztoru oo. Franciszkanów w pracowni konserwatorskiej na Wawelu. „Madonna z dzieciątkiem Jezus w otoczeniu aniołków" najprawdopodobniej autorstwa Lucasa Cranacha Starszego, XVI w.

w związku z wybuchem II wojny światowej, znów trzeba było je zabezpieczyć i wywieźć z kraju. Dopiero w 1961 r. wróciły z Kanady.

Pokażemy wszystkie arrasy, które posiadamy – nawet najdrobniejsze ich fragmenty, nawet te uszkodzone.

Z Petersburga wróciły w złym stanie.

Od tego momentu nieustannie są konserwowane. To jeden z największych programów konserwatorskich w historii Wawelu. Nie wszystkie zresztą wróciły do Polski, niektóre zostały w Ermitażu. Po prostu w 1921 r. były w częściach, fragmentach i nie zostały na czas zidentyfikowane. Potem przyjechał już tylko jeden arras z Rosji. W 1979 r. władze Związku Radzieckiego podarowały go (a raczej zwróciły), jak to wówczas mówiono, „w dowód braterstwa i przyjaźni". Trafił do Zamku Królewskiego w Warszawie. Ten arras też pokażemy.

Król Zygmunt August zamówił w Brukseli 160 arrasów. Nie bez znaczenia był wybór tematyki.

Pokażemy 136 obiektów: pełne serie i arrasy zdekompletowane. Ale zapewniam, że nawet dostęp do fragmentów będzie niepowtarzalnym przeżyciem. Opowieść o nich opatrzymy szerokim komentarzem. Bogactwo tej kolekcji świadczyło i świadczy o wspaniałości władcy. Był to, posługując się współczesnym określeniem, przemyślany przekaz medialny mający podkreślić splendor władcy i dworu. Arrasy były wożone z królem, wystawiano je podczas doniosłych uroczystości. Także później, w XX wieku, uświetniały najważniejsze wydarzenia, np. pogrzeb Józefa Piłsudskiego czy wizytę Jana Pawła II na Wawelu.

Ich tematyka jest głównie biblijna, ale są też liczne przedstawienia zwierzęce i roślinne. Sceny z Księgi Rodzaju niosły społeczno-moralno-polityczne przesłanie. Arrasy podkreślały także cnoty królewskie. To nie był odosobniony wybór. Arrasy o podobnej tematyce znajdowały się w najważniejszych rezydencjach europejskich, np. Habsburgów. Znajdziemy je też w Escorialu pod Madrytem, ale tamtej kolekcji w żaden sposób nie można porównać z wawelską. Arrasy na Wawelu to unikatowa, największa kolekcja europejska. Tak duże zamówienie czyniło z króla wyjątkowego mecenasa sztuki.

Nie będzie problemów z dostaniem się na wystawę? Gdy minie pandemia, Wawel znów będzie oblężony.

Zwiększyliśmy limity wejść, jesteśmy przygotowani na oblężenie, tęsknimy za turystami. Dużym ułatwieniem jest wprowadzona przez nas sprzedaż biletów *online*. Narzekano przez całe lata, że na Wawelu jest drogo. Od stycznia po raz pierwszy wprowadziliśmy wszystkie możliwe (i tak naprawdę obowiązujące) zniżki, np. na Kartę Krakowską, Kartę Dużej Rodziny. Honorujemy właściwie wszystkie karty rabatowe. Ustawowo jest też zagwarantowany jeden dzień w tygodniu wejść bezpłatnych. Wizyta na Wawelu naprawdę nie musi się już wiązać z olbrzymimi wydatkami. Chcemy być otwarci. Jesteśmy otwarci. Zapraszamy.

Będzie też wystawa o smoku wawelskim, a w wawelskich oddziałach, we dworze w Stryszowie i na zamku w Pieskowej Skale, planują Państwo pokazać prace Józefa Wilkonia.

Z Baszty Sandomierskiej roztaczają się piękne widoki na Kraków, ale co szkodzi pokazać tam również wystawę o smoku. Kilka lat temu była arcyciekawa wystawa jemu poświęcona. Myślę, że ta ikona zamku powinna zostać na stałe upamiętniona nie tylko przez Smoczą Jamę czy pomnik u jej wylotu. To kwestia filozofii muzeum; stwarzać odbiorcom kultury preteksty do wizyt, proponować interesującą, angażującą narrację. Temu też ma służyć wystawa prac lubianego rzeźbiarza i ilustratora Józefa Wilkonia. To jednak nic nowego. Sztuka współczesna była, jest i będzie obecna w wawelskich ekspozycjach. Obecnie w budynku nr 5 pokazujemy wawelską kolekcję dzieł sztuki XX wieku, także kilka mniej znanych obrazów Witkacego.

Był Pan kilka lat w Radzie wawelskiego muzeum. Czy coś Pana zaskoczyło, gdy już został dyrektorem?

Z profesorem Ostrowskim współpracowałem od lat, jest moim nauczycielem. Bywały takie czasy, że na Wawelu pojawiałem się codziennie. Zasiadanie w Radzie Muzeum dało mi bardzo wiele: znajomość struktury, zasobów, zasad funkcjonowania instytucji. Korzystam z tych doświadczeń. Wystawę o arrasach przygotowują najwybitniejsi znawcy tematu. Moim zadaniem jako dyrektora jest jedynie zapewnić wystawie finansowanie. A trzeba wiedzieć, że to koszt porównywalny z budżetem dobrego filmu.

Gdy zostawałem dyrektorem Muzeum Narodowego w Krakowie, znałem, jak myślę, 30 procent zespołu. Gdy zostałem dyrektorem zamku na Wawelu, znałem właściwie wszystkich. Wtedy łatwiej ↦

↦ i zarazem trudniej zarządzać instytucją. Bo wokół sami uczniowie, koledzy historycy sztuki, przyjaciele.

Strzałem w dziesiątkę są filmiki m.in. z cyklu „Przez dziurkę od klucza", które można oglądać w internecie. Udostępniacie wystawy online, wirtualne oprowadzania. Podobno powstaje też serial „Wawel. Królestwo odkryte".

Hasło „Wawel otwarty" bardzo mocno wybrzmiało w świecie wirtualnym. W produkcję filmików #przezdziurkęodklucza (koordynowaną przez Magdalenę Młodawską), których pomysł zrodził się podczas spotkania Zespołu Kreatywnego Zamku Królewskiego na Wawelu, zostali zaangażowani prawie wszyscy wawelczycy. Paradoksalnie dzięki pandemii Wawel stał się bliższy, filmy można bowiem oglądać z dowolnego zakątka na świecie. Co więcej, znacznie rozszerzyliśmy formułę naszych prezentacji. Liczymy oczywiście na to, że widzowie zaciekawieni filmami wrócą na Wawel, gdy tylko będzie to możliwe. Stworzyliśmy od podstaw platformę edukacyjną www.waweledukacja.com. Liczba godzin lekcyjnych, które zaproponował szkołom nasz dział oświaty, jest oszałamiająca. Wawel jest doskonałym pretekstem do autentycznego doświadczania historii.

Będziemy pokazywać arcydzieła z kolekcji wawelskiej. W zbiorach mamy portret Władysława Wazy – depozyt z nowojorskiego Metropolitan Museum of Art. Co parę lat odnawialiśmy jego prolongatę, teraz przyszło pismo, że dają nam ten obraz w prezencie. A to dzieło niezwykle cenne, związane z pracownią Rubensa. Niedawno do konserwacji i w depozyt otrzymaliśmy obraz najprawdopodobniej Cranacha Starszego „Madonna z dzieciątkiem Jezus w otoczeniu aniołków". Chciałbym pokazywać zwiedzającym obiekty wyjątkowe.

A Pana ulubione dzieło sztuki na Wawelu?

„Jowisz malujący motyle" Dosso Dossiego i najpiękniejszy staropolski portret – „Portret Stanisława Tęczyńskiego" łączony z pędzlem Tomasza Dolabelli. Ale ja po prostu lubię doświadczać Wawelu. Źródłem tego osobistego doświadczenia jest choćby wejście do Sali pod Ptakami, gabinet holenderski i Sala Senatorska.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

ADAM WIERZBA

Jacek Malczewski, portret Karola Lanckorońskiego w gabinecie w pałacu w Rozdole, akwarela, 1892 r.

Malczewski w podróży

JOANNA WINIEWICZ-WOLSKA

Wysoka, barczysta postać – to Karol Lanckoroński. Obok niego drobny, niewysoki – Jacek Malczewski. Dzieje tej przyjaźni dokumentuje 229 rysunków i akwarel – dar Karoliny Lanckorońskiej dla Wawelu w 1994 r.

65 prac łączy się z ekspedycją archeologiczną na tereny Anatolii, zorganizowaną i sfinansowaną przez Karola Lanckorońskiego. Jest to kronikarski – i artystyczny – zapis codziennego życia członków wyprawy. Druga część zbioru to scenki rodzajowe, które malarz podpatrywał w Rozdole, majątku Lanckorońskich niedaleko Lwowa, gdzie rodzina spędzała letnie miesiące, a malarz bywał stałym gościem. Na niewielkich kartach papieru rysował nie tylko hrabiego, jego żonę i dzieci, utrwalał też odwiedziny przyjaciół, ważne wydarzenia, jak wizytę ramiarza ze Lwowa, wieszanie obrazów, inspekcję grobli, wizyty i pożegnania gości. Rysunki opatrywał czasem dowcipnym komentarzem i sam bywał często „bohaterem" swoich prac. Z upodobaniem zestawiał siebie, drobną figurkę, z olbrzymią postacią mecenasa. Kilka rysunków zaludniają też postacie z jego własnej „mitologii": nimfy, muzy, satyry.

Karolina Lanckorońska nie pamiętała, w jakich okolicznościach Karol Lanckoroński spotkał Jacka Malczewskiego. Poznali się zapewne przed rokiem 1884 – malarz wziął udział we wspomnianej ekspedycji archeologicznej do Anatolii. W towarzystwie uczonych profesorów, których zadaniem była dokumentacja pozostałości świata antycznego na terenach dzisiejszej Turcji, z dziennikarskim zacięciem „relacjonował" w artystycznej formie prace badawcze: szkicowanie i fotografowanie ruin, kopiowanie napisów. Jego niepowtarzalny wkład w dokumentację ekspedycji stanowią scenki rodzajowe: noclegi w karczmie, obozowisko, spotkania z tureckimi żandarmami. Było to dla niego niezwykłe przeżycie, a świadczą o tym zarówno listy pisane do przyjaciół, jak również – a może przede wszystkim – rysunki przechowane przez Karola Lanckorońskiego. W przeciwieństwie do innych dzieł sztuki, którymi był wypełniony jego wiedeński pałac, prace Malczewskiego nie były eksponowane, stanowiły kronikę rodzinną, której nie wystawia się na pokaz, ale ogląda w gronie rodziny i przyjaciół. ©

DR JOANNA WINIEWICZ-WOLSKA
– kierownik Działu Malarstwa, Grafiki i Rzeźby na Wawelu.

DZIAŁ DOKUMENTACJI FOTOGRAFICZNEJ WAWELU

Bazylika św. Gereona

Rezerwat bazyliki św. Gereona

BEATA KWIATKOWSKA-KOPKA

Wśród wielu form ekspozycji muzealnych rezerwat archeologiczno-architektoniczny zajmuje miejsce wyjątkowe.

Idea udostępniania reliktów architektury w formie świadomie zorganizowanej przestrzeni ma na wzgórzu wawelskim długą tradycję. Dzięki inicjatywie prof. Adolfa Szyszko-Bohusza, już w okresie międzywojennym zaaranżowane i udostępnione zostały dwie tego typu wystawy. Niedawno ponownie otwarty został dla zwiedzających rezerwat, który mieści się w przyziemiu zachodniego skrzydła pałacu królewskiego. Powstał on na początku lat 20. XX w. na podstawie badań i projektu Szyszko-Bohusza. Trzy pomieszczenia przyziemia zostały połączone, by możliwa stała się prezentacja zachowanych reliktów wschodniej partii świątyni romańskiej i kaplicy gotyckiej. W celu uczytelnienia formy kościoła romańskiego, według hipotezy badacza, uzupełniono i nadbudowano w wielu miejscach oryginalne partie murów. W okresie powojennym prowadzone były w obrębie rezerwatu badania archeologiczne. Obecna aranżacja uwzględnia najnowsze odkrycia.

Ustalono, że świątynia romańska miała formę bazylikową. Zachowana w obrębie rezerwatu partia to jej wschodnia część – transept wraz z kryptą. Powszechnie przyjmuje się, że została wzniesiona w połowie XI w. i nosiła wezwanie św. Gereona. Zapewne przez kilka stuleci budowla pełniła funkcję okazałej, pałacowej kaplicy, usytuowanej w obrębie książęcej kurii.

Druga ze świątyń, powstała w miejscu romańskiej bazyliki, to niewielkich rozmiarów gotycka jednonawowa kaplica, wzniesiona z inicjatywy Kazimierza Wielkiego. Relikty tego kościoła, noszącego wezwanie św. Marii Egipcjanki, przetrwały w postaci profilowanej arkady łuku tęczowego oraz schodów, które wiodły do wnętrza prezbiterium z pałacowego dziedzińca.

A moc? No cóż... Należy pozwolić by każdy czerpał ją według własnych przekonań. Wydaje się, że miejsce to, chociaż nie pełni już swych kultowych funkcji, przez wieki wypełniała modlitwa, wystarczy spojrzeć na zacheuszka umieszczonego na gotyckiej ścianie, by wiedzieć jaka to moc... ©

DR BEATA KWIATKOWSKA-KOPKA
– kustosz dyplomowany, kierownik Działu Archeologii i Rezerwatów Wawelu.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 51-52/2020

REDAKCJA: Grzegorz Nurek
WSPÓŁPRACA ZE STRONY WAWELU: Urszula Wolak-Dudek
OKŁADKA: Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA: Marta Bogucka | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: PIOTR KŁOSEK / DZIAŁ DOKUMENTACJI FOTOGRAFICZNEJ WAWELU

PARTNERZY:
ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

TITANIC

Spójrzmy na coraz szybciej drgające nogi Josepha Conrada. Pisarz nagle zrywa się z fotela, siada za biurkiem i pisze!

TEKST **MICHAŁ KOMAR** | ILUSTRACJA **KASIA KOZAKIEWICZ**

Borys Conrad (starszy syn Josepha) wspominał: „Nastrój ojca można było rozpoznać rzucając spojrzenie na jego nogi. Jeśli spoczywały bez ruchu, można było wnosić, że dialog toczyć się będzie w spokoju, ale wszelki ruch nóg wskazywał, że coś nie jest w porządku. Ruchy naprawdę gwałtowne były groźnym sygnałem, którego nie należało lekceważyć".

A teraz wyobraźmy sobie scenę, która rozgrywa się w pierwszych dniach czerwca 1912 r. Joseph Conrad siedzi w fotelu, czyta artykuł o pracach dwóch komisji (amerykańskiej i brytyjskiej) powołanych do zbadania sprawy utonięcia „Titanica", statku uchodzącego za Niezatapialny (tak reklamowanego) i śmierci ponad tysiąca pięciuset osób. Szybko przebiega oczyma przez łzawe, mistyczno-patriotyczne wzloty dziennikarskiego Pióro-Ducha, by przejść do rzeczy.

Dowiaduje się więc o opinii jednego z ekspertów, że gdyby „Titanic" miast omijać górę lodową, uderzył w nią dziobem – to nic by mu się nie stało. Dowiaduje się, że „Titanic" był w istocie niezatapialny, a to z uwagi na grodzie zamykane przemyślnym systemem z mostku kapitańskiego i grubość płyt kadłubowych. Dowiaduje się, że „Titanic" posiadał więcej szalup, niż wymagały normy Board of Trade Rules. Dowiaduje się też, że obie komisje poświęciły mnóstwo uwagi wyjaśnieniu, czy gdy statek tonął, orkiestra w sali bankietowej grała hymn: „*Nearer, my God, to thee, / Nearer to thee! / E'en though it be a cross / hat raiseth me...*" czy może modnego walca „Songe d'Automne" („English Waltz King"). Oczywiście lepiej byłoby, gdyby grała podniosły hymn religijny niż walca, ale jak, k... mać, było naprawdę? Świadkowie plączą się w zeznaniach.

I spójrzmy teraz na coraz szybciej drgające nogi Josepha Conrada. Pisarz zrywa się z fotela, siada za biurkiem i pisze: „Trzeba z pewną goryczą przyznać, że SS »Titanic« ma dobrą prasę"... Te wielkie tytuły, te wzloty ducha... ale...

Po pierwsze – czytam o ekspercie, który „z niedorzeczną szczerością zapewnił Komisję o swym absolutnym przekonaniu, że gdyby tylko »Titanic« uderzył dziobem na wprost, to dotarłby bez szkody do portu. I cały ton jego nieustępliwego oświadczenia sugerował ubolewanie, że dowodzącemu oficerowi (który już nie żyje i którego od komicznego wymiaru tego dochodzenia odgradza zasłona miłosierdzia) tak źle doradzano, by próbował ominąć ten lód... Jeszcze ujrzymy, jak (...) ustali się teorię nowej sztuki żeglarskiej: – Wal śmiało w cokolwiek, co ujrzysz przed sobą!".

Po drugie – „nazywane wodoodpornymi grodzie »Titanica« zdecydowanie nie sięgały głównego pokładu, pozwalając wodzie z jednej zalanej grodzi przelać się górą i zalać gródź sąsiednią (...) Ty i ja, i nasi malcy, gdy chcemy podzielić, powiedzmy – pudełko, staramy się pozyskać kawałek drewna, który będzie sięgać od dna do pokrywki. Wiemy, że jeśli nie będzie sięgał aż do samej góry, pudełko nie zostanie podzielone na dwie części. Będzie tylko

częściowo podzielone. »Titanic« był tylko częściowo podzielony. Wystarczająco, by utopić nieszczęśliwców jak szczury w pułapce".

Po trzecie – „»Titanic« był pudełkiem długim na 800 stóp, urządzonym na hotel, z korytarzami, sypialniami, holami i tak dalej (niezbyt tajemnicze rozmieszczenie wnętrz, naprawdę), a jeśli chodzi o niebezpieczeństwa zagrażające jego istnieniu – myślę, że był mocny jak cynowe pudełko na biszkopty (...) Popatrzcie tylko na bok takiego pudełka, a następnie pomyślcie o statku o wyporności 50 tys. ton i spróbujcie sobie wyobrazić, jaka powinna być grubość jego płyt kadłubowych".

Po czwarte – tak, to prawda, że na „Titanicu" było więcej szalup, niż tego wymagały przepisy, ale też jest prawdą, że na pokładzie było ponad 3300 osób, a szalup tylko dla 1178. „Jeśli nie można mieć ani użyć tak wielu szalup, to nie należy upychać tylu osób na pokładzie (...) Nie sprzedawajcie aż tylu biletów, moi czcigodni dygnitarze. W końcu mężczyźni i kobiety (chyba że z czysto komercyjnego punktu widzenia) nie są bydłem, jakim handlowało się na Zachodnim Oceanie, które jakieś dwadzieścia lat temu wyrzucano za burtę w sytuacji zagrożenia i zostawiano, by pływało w kółko, póki nie potonie. Nie topcie tak wielu ludzi w najpiękniejszą, najspokojniejszą noc, jaką widziano na Północnym Atlantyku, nawet jeśli zapewniliście im nieco muzyki, przy której tonęli".

I na koniec: „Nie jestem sentymentalny i dlatego nie jest dla mnie wielkim pocieszeniem, jak widzę, że tych wszystkich ludzi groszowa Prasa awansuje do rangi Bohaterów. To żadne pocieszenie. W sytuacji skrajnej, najbardziej ekstremalnej, większość ludzi, nawet prostych, zachowuje się przyzwoicie. Jest to fakt, z którego nie zdają sobie sprawy jedynie dziennikarze. Stąd, jak przypuszczam, bierze się ich entuzjazm. Ale ja, który nie jestem sentymentalny, myślę, że lepiej by było, gdyby muzyków tej nieszczęsnej orkiestry, która grała na »Titanicu«, uratowano w ciszy, miast by miała utonąć podczas grania czegokolwiek. Wolałbym, by ich uratowano, by mogli utrzymywać swoje rodziny, a nie by widzieć ich rodziny utrzymywane przez wspaniałą hojność abonentów gazet. Nie ma nic bardziej heroicznego w tonięciu zdecydowanie wbrew swej woli niż w umieraniu z powodu kolki spowodowanej zepsutym łososiem z puszki kupionej w lokalnym sklepie spożywczym. I taka jest prawda. Niesentymentalna prawda odarta z romantycznego stroju, jaki Prasa udrapowała wokół tej absolutnie niepotrzebnej katastrofy" (przeł. Jacek Dobrowolski).

Moim zdaniem artykuł Josepha Conrada (Józefa Korzeniowskiego) „Some Reflections on the Loss of the »Titanic«" (opublikowany w czerwcu 1912 r. na łamach „English Review") powinien znaleźć się na liście lektur obowiązkowych w polskich szkołach.

Dlaczego?

Popatrzmy na tych, którzy robią sporo, byśmy się na pokładzie „Titanica" znaleźli.

Właśnie dlatego!

■ Dla własnego bezpieczeństwa z góry przepraszam tych, których uczucia i ideową wrażliwość uraziłem. Jednocześnie – proszę traktować te przeprosiny jako z gruntu nieszczere. ©

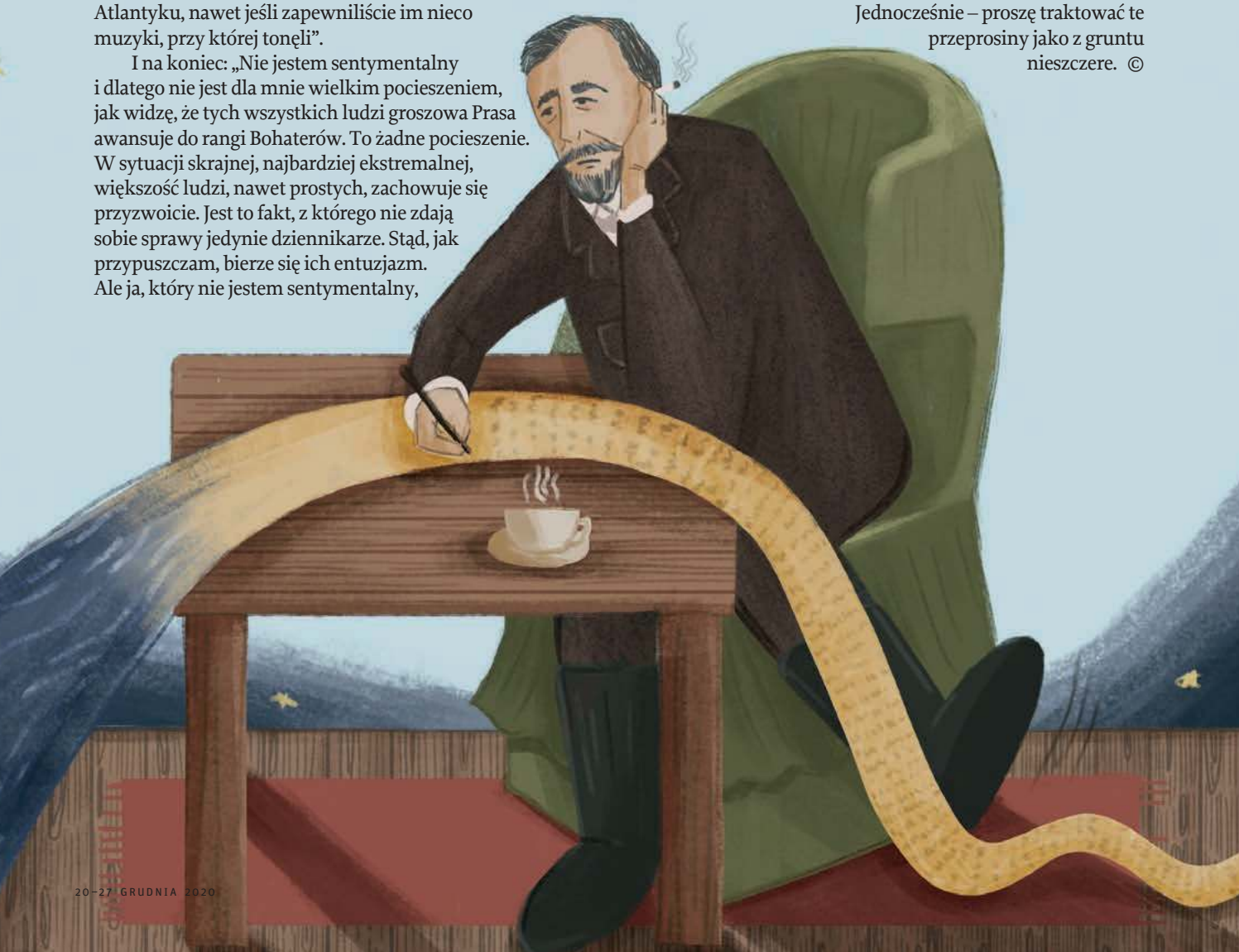

GADU, GADU, GADU

Stawką filmów Woody'ego Allena jest zagadanie świata, ujarzmienie, a może nawet upupienie go w słowie – projekt niemożliwy do zrealizowania, a więc skazany na porażkę.

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Autobiografia Woody'ego Allena, napisana przez 85-letniego reżysera? Brzmi to jak tautologia, wszak twórca „Zeliga" od dawna opowiada nam wyłącznie siebie poprzez serię przeważnie komediowych fabuł. Ale co z tego? Przecież o Allenie wiemy tak naprawdę bardzo mało.

Jeden z najbardziej trwałych fenomenów współczesnej kultury, aktorski i reżyserski talent, w którym zakochały się pokolenia. Jako widzowie polubiliśmy – a Polska widownia wręcz się w tym wyspecjalizowała – formułę kina, w której odpowiedzią na rozpacz i niepokoje nowoczesności ma być ich bezwstydne zagadanie. Allen oddawał się nadprodukcji słów i obrazów, które nie przybliżają nas do tajemnic egzystencji, ale mają czynić ją znośniejszą, lekkostrawną, wreszcie – odrobinę bardziej magiczną.

Książę Nowego Jorku

Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie Woody Allen zawarł z widownią pakt autobiograficzny – w kinie przełomem była zapewne premiera nagrodzonej najważniejszymi statuetkami „Annie Hall" (1977). Treść tego paktu jest zwodniczo prosta: opowiadam na ekranie o swoich neurozach, lękach i kompleksach, czynię to w sposób zabawny i – jak sami często przyznajecie – błyskotliwy; ekranowy Woody to w sumie ja, potrafię przecież zagrać tylko siebie.

Ale już w punkcie wyjścia mamy tutaj do czynienia z fałszem. Choć w jednym z najsłynniejszych dzieł Allena, „Purpurowej róży z Kairu" (1985), bohater swobodnie przechodzi z wyświetlanego w kinie filmu na drugą stronę ekranu, do świata materialnego – tak bezproblemowa osmoza pozostaje jedną z reżyserskich fantazji. Nić porozumienia między sfrustrowanym okularnikiem z „Manhattanu" (1979) a jego publicznością miała wyjątkowy charakter i zapewniła Allenowi status jednego z najbardziej celnych komentatorów wielkomiejskiego stylu życia. Jest to jednak więź sztuczna, zbudowana wokół specyficznej kreacji. W jej centrum znajduje się pielęgnowany przez lata estradowo-sceniczny twór: żydowski komik zwodzący iluzją dostępu do własnych myśli i wnętrza, preparujący na nasz użytek niby-terapeutyczny strumień świadomości.

W przypadku Allena mamy co najwyżej do czynienia z autobiograficznym eskapizmem. Czerpie, owszem, z własnych doświadczeń, ale po to, by podkręcić efekty, zaokrąglić puentę, wzmocnić rysunek postaci lub ostrość dowcipu. Weźmy chociażby renomę reżysera jako piewcy Nowego Jorku. Filmografia portretująca to miasto rzadko jest tak mało wyczulona na społeczne i ekonomiczne zmiany, jakie zaszły w ostatnim półwieczu na Manhattanie i Brooklynie. U Allena Nowy Jork to zazwyczaj wieczny Upper West Side: osiedle bogaczy w górnej części wyspy, gdzie prawie każdy widzi z okna Central Park, chodzi do Metropolitan Opera i czuje się wśród stylowych wieżowców jak ryba w wodzie. Idealizowanie Nowego Jorku lat 70. – podupadającego ↦

ARNAUD JOURNOIS / MAXPPP / FORUM

Woody Allen w pokoju hotelu Bristol w Paryżu, sierpień 2019 r.

↦ miasta, w którym kwitła przestępczość, co uchwycili w tym samym czasie Sidney Lumet w „Pieskim popołudniu" i Martin Scorsese w „Taksówkarzu" – wydaje się zaklinaniem rzeczywistości.

Nie jest też tak, że Allen portretował po prostu swoją klasę, intelektualistów i artystów, których przyziemne problemy i gangsterka omijały szerokim łukiem. Młody Woody aspirował do takiego towarzystwa (aby flirtować z dziewczynami z dobrych domów, jak sam utrzymuje), ale jeśli znał ten świat, to tylko z ociekających blichtrem hollywoodzkich komedii z lat 30. i 40., w których życie wyższych sfer przypominało ciąg zakrapianych szampanem towarzyskich spotkań i kolacji.

Między niskim a wysokim

Zostawiając na boku Nowy Jork, można zaproponować inną genealogię twórczości Allena. Przez blisko dwie dekady celował w humor, który z braku lepszego słowa nazwijmy niskim: niewybredne dowcipy pisane na zamówienie lub testowane w latach 50. i 60. w kabarecie i jednoosobowych stand-upach, szalone farsy, prymitywne parodie i rubaszne żarty na temat seksu. Tego Allena w dużej mierze wyparliśmy, wyparł go też on sam. Wbrew pozorom nie były to wstydliwe początki, ale część żywiołowej i niepodrabialnej kultury, której przyszły reżyser, terminujący m.in. u Sida Caesara i Danny'ego Simona, był ważną częścią.

W „Jewhooing the Sixties" David E. Kaufman opisał lata 60. jako dekadę, w której amerykańscy artyści żydowskiego pochodzenia zyskali nową widoczność, nie musieli już ukrywać części swojej tożsamości na potrzeby nieżydowskiej większości. Wygląd i zachowanie gwiazd pokroju Dustina Hoffmana, Barbry Streisand i właśnie Woody'ego Allena towarzyszyło wejściu do głównego nurtu ironicznego, samoświadomego humoru, w którym odbijał się żydowski los. Uosabiały go figury schlemiela i schmucka – te pożyczone z jidysz słowa na dobre rozgościły się w amerykańskiej mowie potocznej na oznaczenie głupków i nieudaczników.

Wkład Allena w kształtowanie żydowskiej tożsamości jest dwuznaczny: w postrzelonych, szarżujących filmach, takich jak „Bananowy czubek" (1971) i naśmiewająca się z napoleońskiej epopei Tołstoja „Miłość i śmierć" (1975), Woody jest właśnie ofermą, nieśmiałym frajerem i stereotypowym schlemielem – autoparodią współczesnego amerykańskiego Żyda. Część krytyków wytykała mu wchodzenie w tę rolę i robienie z siebie godnego pożałowania pośmiewiska. Nie mogę się jednak pozbyć wrażenia, że bez „Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o seksie, ale baliście się zapytać" (1972), złożonego z siedmiu epizodów wczesnego filmu Allena, nasz obraz jego sztuki byłby niepełny.

To tutaj nawiedzony seksuolog doktor Bernardo zmusza mężczyznę do kopulacji z chlebem żytnim, Woody'ego goni po lesie kobieca pierś wielkości ciężarówki, a w finale czekające na ejakulację plemniki szykują się do bojowej misji-desantu. Droga między wybujałą wyobraźnią zafascynowanego mechaniką ludzkiego ciała twórcy a gotowym produktem komediowym była wówczas prowokacyjnie krótka – wkrótce Allen zacznie długi proces sublimacji, który będzie kontynuował aż do dzisiaj.

Z jednej strony sprośny żartowniś, który nie przyjmuje do wiadomości, że istnieje coś takiego jak granica dobrego smaku, z drugiej – naśladowca Ingmara Bergmana i Federica Felliniego, któremu tęskno do kultury wysokiej. Przenikający kino Allena kompleks wobec wielkich europejskich twórców (jak również rodzimych dramatopisarzy w rodzaju Tennessee Williamsa) dawał o sobie znać czasem w formie satyrycznej, jak w „Śpiochu" (1973), w którym bohaterowi wydaje się przez chwilę, że jest Blanche DuBois z „Tramwaju zwanego pożądaniem" Williamsa właśnie. Częściej ciągoty Allena przybierały postać filmowych imitacji, zwłaszcza w przypadku wzbudzających mieszane uczucia filmów określanych jako podróbki Bergmana.

Taką próbę zupełnie nowego rozdania – w rok po wskoczeniu na szczyt i zgarnięciu Oscarów za reżyserię i scenariusz „Annie Hall" – stanowiły „Wnętrza" (1978), dramat rodzinny zadłużony i u szwedzkiego mistrza, i w twórczości Czechowa. Problemem nie jest fakt, że otrzymaliśmy Allena na serio – powaga to nieodłączny rewers śmiechu i zgrywy – ale to, że między kadrami wyczuwamy, jak reżyser napina się i celuje w głębię, jak imituje ustawienia kamery, rytm i rodzaj dramaturgii podpatrzony w nowojorskich kinach studyjnych, gdzie oglądał kino europejskich autorów poruszających się w zupełnie innym idiomie i osadzonych w innej kulturze. Allen po latach chyba przyznał rację tym, którzy oskarżali go o pozerstwo.

W wydanej właśnie po polsku „Autobiografii. À propos niczego" dwoi się i troi, żeby zbagatelizować własne umiejętności i talenty, wskazując, że nie potrafi zaprezentować widowni żadnej własnej idei, że jest skazany na dostarczanie jej dowcipów, bon motów i błyskotliwych historyjek. To być może kokieteria starzejącego się twórcy, który zjadł zęby na umniejszaniu samemu sobie. I nie jest to prawda: zawdzięczamy Allenowi kilka wybitnych filmów, które sięgają pod podszewkę życia i oddają w unikatowej formie jego śmieszno-straszne sprzeczności.

Nierozważny i romantyczny

Syndrom oszusta to inna przypadłość Allena, która – jeśli tylko mu uwierzymy, co wcale nie musi być dobrym pomysłem – odpowiada za jego gorączkową nadaktywność i poczucie niespełnienia. Woody marzył o karierze sportowca, muzyka jazzowego (jak sam przyznaje: klarnecistą pozostał miernym), magika i poważanego dramatopisarza. Żadnej z tych ścieżek kariery nie udało mu się rozwinąć, nie czuł się wystarczająco dobry – choć, jak twierdzi po latach, zbudowany był całkiem atletycznie i daleko mu było do wychudzonego, asportowego chucherka, jakie widzimy w filmach.

Dlatego też swoje kreatywne wysiłki widział przez długi czas jako działalność zastępczą: skoro nie mógł być nowoorleańskim jazzmanem, postanowił dalej pisać dowcipy. Rozśmieszanie ludzi cenił sobie niżej, choć to w tym obszarze osiągnął mistrzostwo. Allen podkreśla też, że nigdy nie był intelektualistą, co najwyżej symulacją człowieka oczytanego – zahukanym chłopcem, który przyswajał sobie wybrane lektury i cytaty, by potem lepić komediowe sceny z fragmentów i słów, które nie zawsze rozumiał.

Warto jednak pamiętać, że podobnie jak wszystko, co wyszło spod ręki Allena, autobiografia stanowi kolejną inscenizację, na tle której ukazuje nam się artysta-kameleon (lub artysta-Zelig), choć tym razem włącza jakoby tryb szczerej opowieści o własnym życiu.

Lekturę solidnego polskiego tłumaczenia autorstwa Mirosława P. Jabłońskiego warto uzupełnić o anglojęzyczny

audiobook, w którym tekst książki czyta, oczywiście, sam Woody Allen. Choć sędziwy twórca nie ma już takiej dykcji i refleksu jak kiedyś, choć w jego głosie słychać zmęczenie, wciąż to on najlepiej odgrywa własne frazy i anegdoty. Allen jest bowiem królem mowy, nie pisma (co tłumaczyłoby umiarkowanie zainteresowanie, z jakim spotykają się jego publikowane w magazynach i zbiorczych tomikach teksty). Właśnie w tym żywiole, gdzie mowa nabiera barwy, charakteru, emocjonalnego wydźwięku i ironicznej wieloznaczności, spełnia się słowotok Allena, który zwykliśmy nazywać neurotycznym. Stawką jego filmów jest zagadanie świata, ujarzmienie, a może nawet upupienie go w słowie – projekt niemożliwy do zrealizowania, a więc skazany na porażkę. Dlatego jego postaci i sam Allen ciągle gadają i gadają, coraz więcej i szybciej, nie przestają rozmawiać, chociaż cel tych tasiemcowych konwersacji wydaje się ciągle oddalać.

W świecie Allena odtrutką na potok słów wydaje się romantyzm, szczególnie jeśli magia życia przenika się w nim z magią srebrnego ekranu. W tę ostatnią Woody zdaje się pokładać rozczulającą ufność. Od przywołującej duch Bogarta sztuki „Zagraj to jeszcze raz, Sam" z końcówki lat 60. po wskrzeszającą dawny Hollywood „Śmietankę towarzyską" (2016) – fantazjowanie o kinie w ramach kina stanowi dla niego bezpieczną przystań.

Magia często wkracza też do jego fabuł w sposób dosłowny. „Alice" (1990) z Mią Farrow proponuje ucieczkę w iluzję jako szansę na lepsze życie. Mieszkająca z bogatym mężem w wystawnym nowojorskim apartamentowcu bohaterka udaje się do chińskiej dzielnicy na wizytę do doktora Yanga, który przepisuje pacjentce cudowne ziółka. Zapewniają jej niewidzialność, dzięki czemu może odkryć niewierność męża, ale też płatać figle wespół ze swoim kochankiem.

„Alice" smakuje jak igraszka, ale to jeden z filmów najpełniej odzwierciedlających filozofię reżysera i ukazujących jego romantyczne oblicze. Nie rezygnując z satyry na uprzywilejowanych nowojorczyków, Farrow i Allen tworzą intymny kobiecy portret, w którym podróż na drugą stronę lustra może prowadzić do samopoznania i dać szansę spełnienia głęboko skrywanych potrzeb. Alice to na dodatek katoliczka, targana poczuciem winy i tłumiąca popędy (jej kochanek Joe rzuca w pewnym momencie: „Nie ma nic bardziej seksownego niż niepraktykujący katolicy").

Czy w szalonej popularności Allena w Polsce chodziło o kosmopolityczny czar jego filmów, dziejących się zwykle w Nowym Jorku? A może łatwo nam było z nim sympatyzować, bo – choć Amerykanin – tak jak my jest pełen kompleksów?

Może to właśnie ten film pokazuje, że żydowskie lęki i kompleksy mogą być bardzo podobne do tych, których doświadczają widzowie wychowani w katolickiej kulturze.

Nasz Allen

Polacy ukochali Woody'ego Allena. Z pewnością jest on popularny wszędzie, a po niedawnej serii filmów nakręconych w europejskich miastach stał się na dodatek jakby mniej amerykański, bardziej otwarty na to, co można znaleźć poza Nowym Jorkiem. My wchłonęliśmy go co prawda selektywnie, ale z pełnym przekonaniem.

Jak podaje Jacek Łaszcz, krytyk i tłumacz wydanego w 1992 r. przez „duchologiczną" oficynę Phantom Press International zbioru tekstów Allena „Bez piór", w 1980 r. można było zobaczyć w polskich kinach tylko „Manhattan". Dekadę później, w potransformacyjnej Polsce, Łaszcz pisze: „Teraz, kiedy ziemia zatrzęsła się nam pod stopami, rozumiemy go coraz lepiej, bo zaczynamy żyć w tym samym świecie, tyle że gorszym – nędznym i pozbawionym kapitału. W ten oto sposób Woody Allen stał się »nasz«, odkąd nowy byt gruntownie zmienił nam świadomość". Zawłaszczanie i „spolszczanie" twórcy miało w latach 90. absurdalne rozmiary. Zespół Big Cyc nagrał piosenkę „Woody Allen", której refren brzmiał: „Woody Allen to miał szczęście / Że urodził się w tych Stanach / Bo nad Wisłą chlałby »czystą« / I miał tylko jeden krawat".

W nowym stuleciu artysta zawitał parę razy do Polski ze swoim zespołem jazzowym, a dziennikarze wypytywali go, czy zamierza nakręcić tutaj film. W 2012 r. Krzysztof Varga deklarował dogmatycznie na łamach „Gazety Wyborczej": „Ustalmy na początek rzecz zasadniczą: nawet słaby film Woody'ego Allena jest dobrym filmem. Dobry film Allena jest filmem wybitnym. Wybitny film Allena jest filmem genialnym".

Czy w szalonej popularności Allena w Polsce chodziło o kosmopolityczny czar jego twórczości, dziejącej się zwykle w Nowym Jorku, a więc dla wielu z nas absolutnym centrum świata? Czy też o wysztukowane odniesieniami do pisarzy, filozofów i artystów scenariusze, które tworzyły w odbiorcach wrażenie obcowania z kinem dla erudytów i arbitrów elegancji? A może był po prostu tym Amerykaninem, z którym najłatwiej nam było sympatyzować, bo tak jak my jest pełen kompleksów i ma wrażenie, że życie go przerasta?

Tak czy owak, Allen urósł w Polsce do symbolu przystępnego kina autorskiego dla samozwańczych inteligentów, których nad Wisłą przecież nigdy nie brakowało. Nawet jeśli z każdym rokiem jego reputacja gasła, a filmy, które tworzył, wpasowywały się w gusta, które przy odrobinie złośliwości określilibyśmy jako mieszczańskie.

Skandalista

W tym samym roku, kiedy w Polsce ukazuje się wspomniany tomik „Bez piór", adoptowana córka Woody'ego i Mii, siedmioletnia Dylan Farrow, oskarżyła reżysera o molestowanie seksualne. Sprawę badali eksperci z Child Sexual Abuse Clinic z Yale-New Haven Hospital i stwierdzili, że molestowanie nie miało miejsca. Kilka miesięcy wcześniej reżyser zaczął romans z drugą adoptowaną przez parę córką, pełnoletnią Soon-Yi Previn, z którą weźmie ślub w 1997 r. Są razem do dzisiaj, to właśnie jej komik zadedykował „À propos niczego". Ronan, biologiczny syn Allena i Farrow, zdobywca Nagrody Pulitzera za serię reportaży o Harveyu Weinsteinie, wielokrotnie wypowiadał się przeciwko ojcu i przypominał ↦

↦ o oskarżeniach, jakie wystosowała wobec niego Dylan.

Podwójny skandal roku 1992 eksplodował z nową siłą w ostatnich latach. Mimo że nie wypłynęły żadne nieznane fakty, na fali #MeToo sprawa Allena zaczęła być ponownie analizowana. Pociągnęła też za sobą realne konsekwencje, które stawiają przed nami – widzami i miłośnikami jego filmów – nowe etyczne wyzwania. Część aktorów i aktorek, którzy wystąpili u niego w ostatnich latach, m.in. Kate Winslet i Greta Gerwig, deklarują, że żałują tej współpracy. Przedostatnia, zeszłoroczna komedia Allena, nieudany „W deszczowy dzień w Nowym Jorku", miała światową premierę kinową w Polsce w lipcu 2019 r. (potwierdza to tylko naszą słabość do jego twórczości). Do kin w USA film trafił w październiku tego roku.

W Polsce też o Allenie pisze się już inaczej. Dziennikarze, którzy jeszcze przy okazji „O północy w Paryżu" (2011) rozpływali się nad „mistrzem", dziś z niesmakiem komentują jego autobiografię – w której, trzeba przyznać, mówi więcej, niż chcielibyśmy usłyszeć, nierzadko w stylu krzywdzącym dla ważnych w jego życiu osób. Woody coraz częściej określany jest jako obleśny dziadek, satyr – choć przecież nie tyle zmienił się on, ile nasze spojrzenie na jego życie i twórczość. Wciąż pisze i reżyseruje, ale coraz częściej zdarzają mu się trudne do przełknięcia koszmarki („Na karuzeli życia", 2017) lub opowieści, które tworzy chyba zaprogramowany przez Allena automat („Zakochani w Rzymie", 2012).

Młodsze pokolenia twórców, na czele z Noah Baumbachem, Gretą Gerwig, braćmi Safdie, Irą Sachsem i Barrym Jenkinsem, lepiej i bardziej ekscytująco od niego opowiadają też o Nowym Jorku. Ciężko pozbyć się starych nawyków, dlatego możemy liczyć na to, że Woody dalej będzie pisał dowcipy i zagadywał męczącą rzeczywistość. Pytanie brzmi, czy i tym razem będzie nam do śmiechu?

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Woody Allen
„AUTOBIOGRAFIA. À PROPOS NICZEGO"
przeł. Mirosław P. Jabłoński, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2020

Odpowiedz mi

GRZEGORZ JANKOWICZ

Pianista się zatruł, fortepian jest nie ten i w dodatku popsuty. Ale od czego jest geniusz? Nagranie kosztowało 500 funtów, ale sprzedało się w 3,5 mln egzemplarzy. Najwięcej w historii solowej pianistyki.

Keith Jarrett przyzwyczaił nas, że po każdej klęsce następuje powrót – czasem krótszy, czasem dłuższy – do życia i grania. Wydaje się jednak, że ten kryzys jest nieprzezwyciężalny. Przeszedł dwa udary mózgu. Drugi z nich wywołał lewostronny paraliż, co w przypadku pianisty, który improwizując tak bezgranicznie ufał „podpowiedziom" lewej ręki, musi być szczególnie dotkliwe. Jarrett w niedawnym wywiadzie dla „New York Timesa" powiedział, że najpewniej już nigdy nie wystąpi na scenie.

Uciekinier

Odbierając w 2014 r. nagrodę NEA (The National Endowment for the Arts), najważniejsze wyróżnienie przyznawane w USA muzykom jazzowym, Jarrett dwukrotnie podkreślił, że za pomocą słów nie można opisać muzyki. Podobne przekonanie wyraził w pierwszych latach swej kariery, na okładce płyty „Life Between Exit Signs" z 1968 r., którą nagrał z kontrabasistą Charliem Hadenem i perkusistą Paulem Motianem: „Poproszono mnie, bym powiedział coś na temat muzyki z tego albumu. Bardzo chciałbym spełnić to życzenie, gdyby jednak istniały odpowiednie słowa, muzyka nie byłaby potrzebna".

Słowa i muzyka to dla Jarretta dwa różne sposoby porozumiewania się, z których tylko muzyka pozwala osiągnąć cel, jakim jest prawdziwa komunikacja. Na czym polega ta ostatnia? Chodzi o przechwycenie sygnału (czymkolwiek on jest), a następnie podanie go dalej, by „informacja" dotarła również do innych. Występujący przed publicznością pianista nie jest nadawcą komunikatu, lecz jego przekaźnikiem. Odbiera muzyczny transfer, niejako wyczuwa muzykę, która jest wszędzie, a potem prezentuje ją publiczności. Opowiadanie o tym procesie nie ma sensu, jest nawet szkodliwe, gdyż słowa zagłuszają sygnał.

Urodzony w 1945 r. Jarrett zaczął komunikować się za pomocą muzyki w wieku trzech lat. Używając sztućców, zabawek i innych przypadkowych przedmiotów próbował naśladować rytm usłyszanych w radiu utworów. Mniej więcej w tym samym czasie matka zapisała go na lekcje fortepianu. Po latach wyznał, że jako dziecko męczył się, wykonując klasyczne kompozycje, jednak nie dlatego, że były zbyt trudne (słuch absolutny i umiejętności techniczne już wtedy pozwalały mu grać z wielką swobodą), lecz dlatego, że za każdym razem korciło go, by wprowadzić do utworu zmiany.

Zainteresowania jazzowe rozwijał w bostońskim Berklee College of Music, słynnej uczelni, która wykształciła plejadę znakomitych muzyków (m.in. Branforda Marsalisa, Ala Di Meolę, a z Polaków: Grażynę Auguścik, Bogdana Hołownię czy Piotra Orzechowskiego). Po pierwszym roku Jarrett został wyrzucony (przypomniał ten fakt, odbierając NEA) i wyjechał do Nowego Jorku, gdzie jako wolny strzelec grywał w klubach. Wypatrzył go Art Blakey, lider Jazz Messengers, zespołu, przez który w ciągu kilkudziesięciu lat przewinęło się wielu znakomitych jazzmanów. Jarrett wystąpił na płycie Messengersów zatytułowanej „Buttercorn Lady". Zaliczył m.in. dwie solówki, o których Leonard Feather napisał później, że „zawierały w sobie całą historię jazzu". Było w tym sporo przesady, ale faktem jest, że Jarrett od razu objawił się światu ze wszystkimi swoimi możliwościami i idiosynkrazjami.

LAWRENCE K. HO / GETTY IMAGES

Keith Jarrett w UCLA Royce Hall, marzec 2008 r.

Kilka miesięcy później muzyk przyłączył się do kwartetu saksofonisty Charlesa Lloyda, który – przypadkiem – odegrał w jego życiu kluczową rolę, o czym opowiem później. W ciągu dwóch lat zespół wspiął się na wyżyny popularności, przyciągając nie tylko miłośników jazzu, ale również rocka. Końcówka lat 60. była czasem ekstatycznie przeżywanej swobody. Hipisowska rewolucja zagarnęła również Jarretta, choć nie do końca, gdyż był przeciwnikiem narkotyków (uważał, że świadomość można osiągnąć wyłącznie poprzez długotrwałą pracę nad percepcją; używki nie mogą tej pracy zastąpić). Najważniejsza płyta kwartetu Lloyda z tamtego okresu to według mnie koncertówka „Forest Flower", na której mieszają się ze sobą post-bop, soul jazz, free jazz, gospel, blues i world music. Taka fuzja gatunków i stylów bardzo odpowiadała Jarrettowi, który – jak zwykle – uciekał przed wszelką powtarzalnością i mechanicznością.

W 1969 r. Miles Davis zaprosił Jarretta do udziału w swoim wieloosobowym zespole, w ramach którego rozwijał ideę electro-jazzu. Keith grał na elektrycznym fortepianie obok Chicka Corei. Wystąpił na kilku płytach grupy, po czym zorganizował kolejną ucieczkę. Jednym z powodów była fiksacja Davisa na punkcie elektroniki. Jarrett doszedł do wniosku, że należy odrzucić instrumenty elektryczne (poza gitarą!) i szukać nowości w zaskakujących połączeniach naturalnych brzmień.

Materiał na pierwszą solową płytę pt. „Facing You" nagrał w Oslo w 1971 r. Jej układ jest jeszcze tradycyjny: znajdziemy na niej osiem skomponowanych przez Jarretta kawałków. Kolejne krążki prezentowały już inne podejście do improwizacji. Podczas jednego z koncertów Jarrett zrobił pomost między dwoma utworami. Po prostu nie przestał grać. Tak narodziła się jego idea swobodnej improwizacji fortepianowej – trwającej 30, czasem nawet 40 minut – którą rafinował do 1996 r. (za wyjątkiem wydanej w 1988 r. płyty „Dark Intervals", która również zawiera osiem kompozycji z odrębnymi tytułami).

Choć równolegle tworzył muzykę z dwoma kwartetami (oprócz wspomnianego wcześniej składu amerykańskiego miał jeszcze zespół europejski, w którym występowali obok niego Jan Garbarek, Palle Danielsson i Jon Christensen), choć na początku lat 80. założył trio z Garym Peacockiem i Jackiem DeJohnette'em, którego znał jeszcze z czasów kwartetu Lloyda, choć nagrywał później płyty z muzyką klasyczną (m.in. Bacha, Händla, Mozarta i Szostakowicza), solowe występy uchodziły i nadal uchodzą za ↦

↦ najważniejszy element jego wielokształtnego dzieła muzycznego.

Zwycięzca

Od albumu „Facing You" zaczęła się trwająca do dziś współpraca (i przyjaźń) Jarretta z Manfredem Eicherem, współzałożycielem wytwórni ECM, legendarnym producentem. Idea solowej improwizacji zakłada maksymalne zaangażowanie ze strony muzyka, a także przeniesienie nagrania na płytę bez ingerencji w kształt oryginalnego wykonania.

W całym procesie kluczową rolę odgrywa publiczność oraz przestrzeń. Ruch, szmer, kaszel, dzwonek telefonu – wszystko może doprowadzić do zakłócenia komunikacji, dlatego Jarrettowi zdarzało się przerywać koncerty z powodu wadliwego klimatyzatora lub odgłosów dobiegających z sali. Zarzucano mu w związku z tym brak profesjonalizmu i szacunku dla odbiorców. Odpowiadał, że od publiczności, bez której nie byłby w stanie niczego zagrać, wymaga największej koncentracji, gdyż tylko wtedy możliwy jest odpowiedni przepływ energii i... prawdziwa komunikacja.

Do albumu z zarejestrowanym w 1991 r. koncertem wiedeńskim dołączył następującą inskrypcję: „Przez długi czas jedynie flirtowałem z ogniem i skrzesałem w przeszłości wiele iskier, ale dopiero nagrania, które znalazły się na tej płycie, przemawiają językiem samego płomienia". Takich emfatycznych wypowiedzi znajdziemy w jego wywiadach i notach do kolejnych krążków co najmniej kilka. Jarrett posługuje się pojęciem „złotego standardu". Na kolejnych etapach kariery mianem tym określał różne dzieła, które wychodziły spod jego ręki. Jestem gotów przyznać mu rację w ocenie występu wiedeńskiego, ale na mojej liście Jarrettowskich złotych standardów znajdują się trzy inne koncerty: w Bregencji (maj 1981), w Mediolanie (luty 1995) i w Tokio (październik 2002).

Zdarza się, że podczas improwizacji Jarrett długo szuka „właściwej" melodii, zmagając się z instrumentem i przedzierając przez wielotonalną mgłę. W bregenckim Festspielhaus wychodziło mu wszystko, zwłaszcza w końcówce pierwszej części oraz w pierwszym z dwóch bisów. Dwukrotnie wszedł w transowy rytm, wprowadzając lewą ręką niemal perkusyjną intensywność. Zakończył gospelową balladą „Heartland", pozostawiając w słuchaczach uczucie lekkości i delikatnego niedosytu.

Zaproszenie na występ w mediolańskiej La Scali miało historyczne znaczenie: pierwszy raz w murach tej opery miał wystąpić muzyk jazzowy. Dwie długie improwizacje Jarretta wykraczały poza granice jazzu – były podróżą przez różne epoki i rodzaje muzyki. Pianista wielokrotnie zapewniał, że poza granymi na bis standardami żaden z prezentowanych przez niego utworów nie jest wcześniej opracowywany – wszystko zaczyna się w chwili, w której siada do fortepianu. Tym razem jednak chyba coś przygotował, skoro w pierwszej części koncertu zacytował kilka taktów z arii „Nessun dorma" („Niech nikt nie śpi"), która rozpoczyna trzeci akt opery „Turandot" Pucciniego.

Główna bohaterka opery, piękna księżniczka Turandot, poprzysięgła, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Wszystkim zalotnikom zadaje trzy pytania. Jeśli nie potrafią na nie odpowiedzieć, skazuje ich na śmierć. Z próby zwycięsko wychodzi ukrywający swą tożsamość Kalaf, ale Turandot nie chce przyjąć jego oświadczyn. Wtedy absztyfikant proponuje jej zakład: jeśli do świtu odgadnie jego imię, wówczas będzie mogła go zabić. Jeśli jej się to nie uda, zgodzi się zostać jego żoną. Gdy księżniczka rozkazuje poddanym, by szukali rozwiązania zagadki, Kalaf intonuje słynną arię, która kończy się trzykrotną eksklamacją: „zwyciężę".

Premiera „Turandot" odbyła się w La Scali w 1926 r. (dyrygował Arturo Toscanini, ówczesny dyrektor, a w głównej roli wystąpiła Róża Bursztyn). Cytat w improwizacji Jarretta odczytano jako ukłon w stronę Pucciniego i hołd dla miejsca, w którym po raz pierwszy wystawiono jego operę. Ale lubię myśleć o tych kilku sekundach w inny sposób. Pianista gra przed wymagającą publicznością w gmachu jednej z najważniejszych oper świata, udzielając swą muzyką odpowiedzi na wszystkie pytania, które zostały mu wcześniej zadane. I proponuje słuchaczom zakład – odgadnijcie moje imię, znajdźcie wyraz, który opisze to, co robię – wiedząc, że jest to niemożliwe, skoro nie ma słów mogących wyrazić istotę muzyki. „Zwyciężę!".

Na to zwycięstwo Jarrett musiał czekać jeszcze siedem lat. Występował w Tokio już wcześniej – sam oraz z zespołem. Ale koncert z 2002 r. był nowym otwarciem. Właśnie wtedy Jarrett zaczął dzielić kompozycje na odcinki, które na płytach oznaczane są cyframi rzymskimi. Postanowił, że będzie przerywał grę zawsze wtedy, gdy wychwyci jakiś schemat, który wykorzystał już w przeszłości. Mimo przerw poszczególne części nowych improwizacji były ze sobą połączone ukrytym węzłem: każda kolejna wyrastała z pojedynczego dźwięku poprzedniej.

Przeszło trzynastominutowy kawałek zamykający tamten koncert jest według mnie największym osiągnięciem muzycznym amerykańskiego pianisty. To historia o poszukiwaniu drogi, wychodzeniu z kryzysu, wspinaniu się na kolejne szczeble świadomości, a potem o porzucaniu tego, co zdobyte, o kolejnej ucieczce w plątaninę dźwięków, z której ucho podejmie nową melodię. Jarrett buduje napięcie za pomocą *ostinato*, które w pewnej chwili staje się przytłaczające. I wtedy dochodzi do przełamania. Klimaks ma dwa echa (drugie jest niedokładne). Muzyk rozplątuje narrację i po raz kolejny wciąga nas w odmęt splątanych tonów.

Męczennik

W 1997 r. na łamach „New York Timesa" ukazał się tekst Andrew Solomona „The Jazz Martyr" („Męczennik jazzu"). Krytyk opisywał w nim legendarne poświęcenie, z jakim Jarrett angażuje się w swoje solowe koncerty, porównując jego zmagania do walki Jakuba z aniołem. W wywiadach pianista podkreślał, że widmo śmierci unosi się nad fortepianem, gdyż podczas występu rezygnuje z wszelkich mechanizmów obronnych, wystawiając się na to, co przychodzi skądinąd.

Takich historii jest wiele. Trudno wytyczyć w nich granicę oddzielającą prawdę od fikcji (każdy, kto je opowiada, dodaje jakiś element, inaczej rozkłada akcenty). Najsłynniejsza z nich dotyczy koncertu kolońskiego z 1975 r. Płyta z tym występem jest najczęściej kupowanym wydawnictwem w historii muzyki fortepianowej.

Jarrett przyjechał do Kolonii z Zurychu. Podróż była męcząca; wcześniej dokuczały mu bóle pleców (muzyk podróżuje ze specjalnym materacem, który łagodzi dolegliwości kręgosłupa). Na miejscu przywitała go organizatorka – sie-

demnastoletnia Vera Brandes, która dziś zajmuje się muzykoterapią, a wtedy była najmłodszą promotorką jazzu w Niemczech, zapewne także na świecie. Jej rodzice należeli do środowiska muzycznego, dzięki czemu Vera zdobyła kontakty, które wykorzystała w swojej pracy. Wykonywała ją znakomicie, ale nad koncertem Jarretta od samego początku wisiało fatum.

Po przyjeździe zatruł się jedzeniem we włoskiej restauracji. Okazało się również, że technicy z kolońskiej opery dostarczyli zły model fortepianu, na dodatek instrument był rozstrojony. Sprowadzenie właściwego sprzętu uniemożliwiła burza. Jarrett był o krok od odwołania występu, ale to Verze udało się skłonić go do zmiany decyzji. Tempo tamtej improwizacji, fakt, że muzyk przez kilkanaście minut krążył wokół dwóch akordów, że unikał wysokich i niskich dźwięków – wszystko to, jak sugerował Eicher, mogło być próbą ukrycia mankamentów instrumentu. Ten jeden raz pianista zaakceptował niedogodne warunki i... osiągnął zawrotny sukces komercyjny. Nagranie zrealizowano za 500 funtów, płyta sprzedała się w 3,5 mln egzemplarzy.

Inne legendy przynoszą przygnębiający obraz człowieka, który nieustannie mierzy się z przeszkodami. W połowie lat 80. Jarrett przeszedł załamanie nerwowe. Jedną z przyczyn była krytyka, z jaką spotkały się jego wykonania muzyki klasycznej. Lekarstwem okazały się sesje, urządzane w domowym studiu, podczas których grał na różnych instrumentach: flecie, saksofonie, tablach i perkusji. Tak powstał album „Spirits" z 1986 r.

Dziesięć lat później miał *tournée* po Włoszech. W ciągu tygodnia zagrał w czterech miastach: Modenie, Ferrarze, Turynie i Genui. Nawet bez dodatkowych problemów byłoby to wycieńczające przedsięwzięcie. Jarrett przez cały czas odczuwał ogromne zmęczenie. Zdiagnozowano u niego później syndrom permanentnego znużenia. Przez dwa lata pozostawał w stanie porównywanym do hibernacji. Nawet proste czynności, takie jak przemieszczanie się po domu, były ponad jego siły.

Walcząc z chorobą, nagrał wspaniałą płytę „The Melody at Night, With You" – zbiór jazzowych standardów. Nie mógł sobie pozwolić na improwizację, gdyż wciąż brakowało mu energii (na tę okoliczność fortepian muzyka został odpowiednio spreparowany, by naciskanie klawiszy było łatwiejsze). Album został zadedykowany jego ówczesnej żonie – Rose Anne – i w istocie był dziękczynnym listem miłosnym.

> Słowa i muzyka to dla Jarretta **dwa różne sposoby porozumiewania się,** z których tylko muzyka pozwala osiągnąć cel, jakim jest prawdziwa komunikacja.

Jarrett wyzdrowiał w 1998 r. Jego pierwszy publiczny występ odbył się w Newark, gdzie otwarto wówczas nową salę koncertową (New Jersey Performing Arts Center). Zagrał z Peacockiem i DeJohnette'em, z którymi od początku lat 80. wykonywał niemal wyłącznie standardy. Pomysł na zespół był bardzo prosty: chodziło o to, by nie zawłaszczać muzyki. Jarrett nie chciał być liderem, za którym podążają inni, lecz jednym z trzech równoprawnych sidemanów. Każdy z nich doskonale znał standardy, więc przed wspólnym występem nie musieli niczego ustalać. Mogli sobie pozwolić na swobodną eksplorację możliwości, które kryły poszczególne kompozycje. Właśnie tego potrzebował Jarrett w 1998 r. Zapis tamtego koncertu ukazał się w 2018 r. pod tytułem „After the Fall" („Po upadku"). Zaraz potem przyszły te dwa udary.

Mistyk

Kiedyś za sprawą Charlesa Lloyda wpadła mu w ręce osobliwa książka pt. „Opowieści Belzebuba dla wnuka", autorstwa Georgija Gurdżijewa, ormiańskiego mistyka, który w pierwszej połowie XX w. stworzył oryginalną koncepcję rozwoju ludzkiej świadomości. Podróżując po świecie – od Azji, przez Bliski Wschód i Europę, aż po Stany Zjednoczone – nauczał i prowadził warsztaty. Jego działalność przyjęła zinstytucjonalizowany charakter w 1922 r., gdy we Francji założył Instytut Harmonijnego Rozwoju Człowieka.

„Opowieści..." zrobiły na Jarrecie potężne wrażenie. Rozdział poświęcony oktawom, które według Gurdżijewa są podstawową miarą wszechświata, był inspiracją dla Jarrettowskiej idei swobodnej improwizacji. Gurdżijew był również kompozytorem. Z pomocą swojego ucznia, Thomasa de Hartmanna, skomponował wiele utworów na fortepian. Piętnaście z nich Jarrett zaprezentował na płycie wydanej w 1980 r. pt. „Sacred Hymns" („Święte hymny").

Jego poszukiwania mistyczne były rozleglejsze i obejmowały również tradycję suficką. Do wydanego rok po „Hymnach" dwupłytowego albumu „Invocations / The Moth and the Flame" dołączył wiersz, który sygnowany jest nazwiskiem jego ulubionego poety – Roberta Blya. W rzeczywistości autorem tekstu jest Rumi, suficki poeta i perski mistyk, którego Bly tłumaczył na angielski z Colemanem Barksem. W wierszu znajdują się następujące słowa: „Pewne energie uwalniają się tylko wtedy, gdy płoniesz. / Jeśli chcesz uwierzyć, usiądź w ogniu". W sufizmie symbol ognia ma dwojakie znaczenie: pozytywne (wypala fałsz, pozwala poszerzyć percepcję i likwiduje dystans między kochankami) oraz negatywne (bywa siłą niszczycielską). Improwizacje Jarretta były próbą „bycia w ogniu". Przyszło mu zapłacić za to doświadczenie wysoką cenę.

Wydaną niedawno płytę z koncertem budapeszteńskim, który odbył się w 2016 r., zamyka piosenka „Answer Me, My Love" („Odpowiedz mi, Kochanie") Gerharda Winklera i Freda Raucha. Pierwotny tekst angielski Carla Sigmana miał wydźwięk religijny (pytanie o ukochaną, która odeszła, skierowane było do Boga). W związku z kontrowersjami, jakie budził (BBC zdjęło go z listy przebojów), autor zdecydował się na przeróbkę.

Jarrett jest do tego utworu wyjątkowo przywiązany. Wykonywał go kilkanaście razy, zarówno sam, jak i z zespołem. Z pewnością bliskie jest mu pytanie o utratę, o przyczyny klęski, której tyle razy doświadczał. Jak twierdzą niektórzy, całą jego twórczość można potraktować jako rozpisaną na wiele dzieł modlitwę. Jeśli odpowiedzią na nią miałby być paraliż, znaczyłoby to, że Bóg nie lubi jazzu.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ

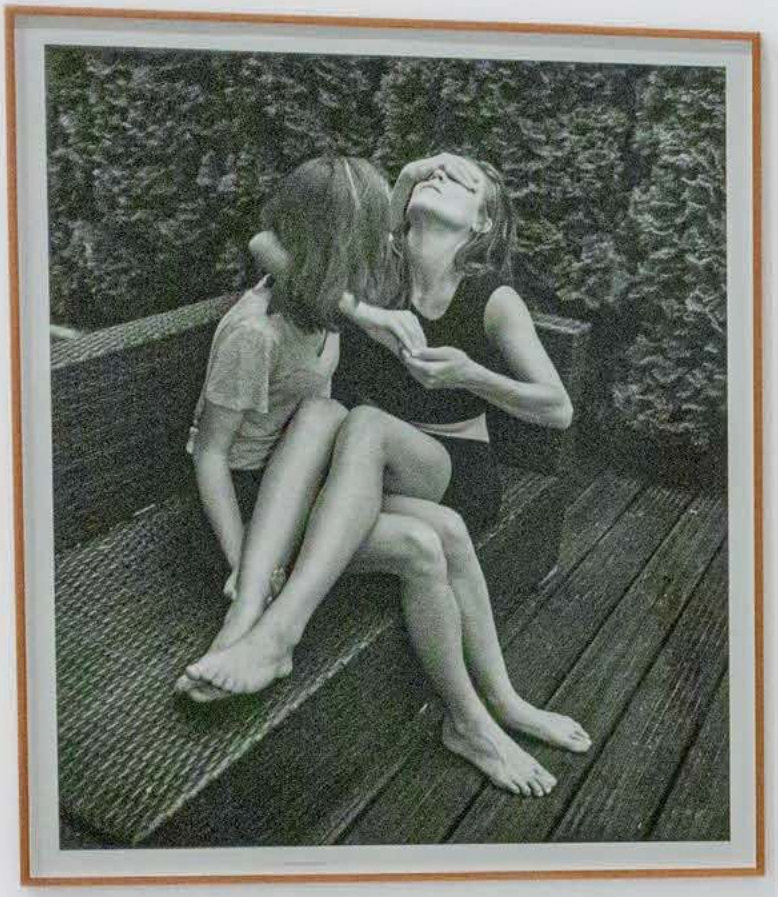

W odbitkach

PIOTR KOSIEWSKI

Joanna Piotrowska czuje się reżyserką lub choreografką, kiedy na swoich fotografiach za pomocą cudzych ciał tworzy obrazy.

Jest dziś na świecie jedną z najbardziej cenionych polskich artystek, ale w kraju pozostaje mało znana. Joanna Piotrowska urodziła się w 1985 r., studiowała w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. W ramach pracy licencjackiej powstał jej cykl „5128". Wybrała się w Bieszczady, chodziła po terenach, których mieszkańców wysiedlono podczas akcji „Wisła" w 1947 r. Tytuł cyklu to liczba domów znajdujących się tam według przedwojennych map.

Fotografowała te miejsca. Nie dokumentowała jednak pozostałości zabudowań, fundamentów, resztek ścian, lecz roślinność, która zawładnęła opuszczonymi gospodarstwami, w wielu przypadkach powielając zarys dawnych budynków. Zdziczałe sady, kępy krzaków, samosiejki, zarośla stały się rodzajem powidoku, w którym zachowała się przeszłość tych miejsc i ludzi ich zamieszkujących.

Relacje

„5128" zdaje się zapowiadać sposób, w jaki artystka będzie opowiadała o rzeczywistości: nigdy wprost, dosłownie, tylko poprzez ślady, gesty, przypomnienia. Sam cykl pokazany w krakowskiej galerii ZPAF został bardzo dobrze oceniony. Piotrowska wyjechała do Londynu i zaczęła studia w tamtejszej Royal College of Art. Jak podkreśla, to był dla niej przełom, możliwość spotkania z takimi artystami jak Laure Prouvost czy Michael Elmgreen i Ingar Dragset, ważnymi postaciami współczesnej sztuki.

Już podczas pobytu nad Tamizą powstaje kolejny cykl „Frowst" (2013-14). Artystka sfotografowała ludzkie gesty, układy ciała. Powstały proste, czarno-białe zdjęcia, jakby pochodzące z rodzinnego albumu. Dwóch mężczyzn leży na dywanie. Kobieta w dojrzałym wieku patrzy na młodszego, bezwładnie leżącego mężczyznę. Na innym zdjęciu podnosi go, trzymając pod ramionami. Na kolejnym dwie dziewczynki siedzą na jednym krześle. Przyglądając się uważniej, można dostrzec spoconą skórę starszej kobiety, znoszoną koszulę w kratę mężczyzny pochylającego się nad kobietą.

Wszystkie zdjęcia wykonano w zwykłych, przeciętnie urządzonych mieszkaniach lub w przydomowych ogródkach. Ani ludzie, ani sprzęty specjalnie się nie wyróżniają. Nie dowiadujemy się też niczego o fotografowanych. Czy to matka z synem? Siostry? Bracia? Małżeństwo? Ojciec z córką? Jednak bliskość uchwycona na tych zdjęciach wywołuje niepokój, wprawia w dyskomfort. Nie są przecież w najmniejszym choćby stopniu drastyczne – więc dlaczego tak jest?

Zdjęcia skłaniają też do pytań o naturę pokazanych relacji. Czy to obrazy miłości rodzinnej, czułości, opiekuńczości czy pożądania? A może przemocy, fizycznej czy psychicznej, podporządkowania, zniewolenia? Wątpliwości nie są przypadkowe, lecz wpisane w samą koncepcję cyklu. Inspiracją dla Joanny Piotrowskiej była metoda – popularna także w Polsce – niemieckiego psychoterapeuty Berta Hellingera „porządkowania splątanych i zerwanych więzów rodzinnych". Jego koncepcja miała mocno manipulacyjny charakter. Hellinger uznał, że na skomplikowane problemy można znaleźć łatwe rozwiązanie. „Jest to kwintesencja psychologicznego populizmu" – podkreśla psycholog Bartosz Zalewski. I dodaje: „Ma być szybko i spektakularnie".

W 2014 r. cenione londyńskie wydawnictwo MACK przyznaje Joannie Piotrowskiej nagrodę First Book Award przeznaczoną dla artystów, którzy nie mieli wcześniej opublikowanej książki. Wychodzi „Frowst" i szybko przynosi Polce uznanie. Ona sama pracuje nad kolejnym cyklem – „s.w.a.l.k.". Tym razem sięga m.in. po książkę Carol Gilligan, która przygląda się procesowi samodyscypliny

i dostosowywania się młodych dziewcząt do społecznych norm. Piotrowska fotografuje dziewczęta w wieku od 11 do 17 lat. Na zdjęciach odtwarzają pozy ze starego podręcznika samoobrony. Wyglądają, jakby walczyły z niewidzialnym przeciwnikiem: a to uderzają, często celując we wrażliwe miejsca, a to uchylają się przed ciosami.

Zdjęcia Piotrowskiej nie są fotografią dokumentalną, chociaż czasami ją przypominają. Artystka nie podgląda swoich bohaterów, nie „wchodzi" z aparatem w ich codzienne życie. Sytuacje na zdjęciach zostały przez nią wykreowane. Aranżuje ujęcia niczym w teatrze. Podkreśla, że bardziej czuje się reżyserką lub choreografką. Tą, która za pomocą cudzych ciał tworzy obrazy.

Nośniki

Jednak w jej fotografiach zwraca uwagę przede wszystkim coś innego: są to czarno-białe, ręcznie robione odbitki. Wydaje się, jakby pochodziły sprzed kilku dekad. Na łamach Dwutygodnika.com artystka tłumaczy Adamowi Mazurowi, że sięgnięcie po technikę srebrowo-żelatynową to celowy zamysł: „Taki rodzaj odbitek odwołuje się do przeszłości, fotografii dawnej będącej zapisem wydarzeń historycznych. Przeszłość i gra z konwencją dokumentu są ważnymi aspektami moich prac".

Pozbawione są doskonałości odbitek wykonywanych dzisiaj mechanicznie i znakomitych technicznie. Jest tu miejsce na niedokładności, błędy. Obraz rzeczywistości nie wydaje się bezpośrednio zapośredniczony przez technologię, wprowadzony został element ludzkiego działania. Zdjęcia odzyskują fizyczny wymiar, przestają być jedynie cyfrowym obrazem, dla którego nośnik ↦

Wystawa fotografii Joanny Piotrowskiej „Zaduch" w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki, Warszawa, 20 września 2020 r.

KACPER GODLEWSKI / ZACHĘTA

nie ma znaczenia, stają się realnym obiektem. Podobnie jest w przypadku książki „Frowst", która w każdym szczególe – od doboru papieru, na którym ją wydrukowano, czy materiału na okładkę i jego faktury – została starannie dopracowana. W cyfrowym świecie zbyt łatwo zapominamy o tym materialnym aspekcie dzieł.

Podobnie jest z filmami Piotrowskiej. Z uporem korzysta z taśmy 16 mm, z jej wszystkimi ograniczeniami. Na wystawach obrazy bywają wyświetlane na starych projektorach. Wydają się też dość prosto i oszczędnie, „amatorsko" zrobione, choć w rzeczywistości zostały starannie dopracowane, łącznie z dźwiękiem, który dopełnia obraz, a czasami buduje kontrast, jak w „Little Sunshine" – w końcowej scenie powaga zabawy dorosłych kontrastuje ze śmiechem dziecka dobiegającym z drugiego planu.

Kolejne serie prac jakby dopełniały poprzednie. Piotrowska wyłapuje niejednoznaczności relacji międzyludzkich, społeczne sposoby funkcjonowania, a także relacje między ludźmi a światem zwierząt. W 2017 r., tworząc cykl „Frantic", artystka poprosiła znajomych z Lizbony, Londynu, Rio de Janeiro i Warszawy, aby w swoich mieszkaniach zbudowali kryjówki z rzeczy znajdujących się „pod ręką": krzeseł i stołków, koców, poduszek czy książek. By stworzyli miejsca bezpieczne, dające schronienie. A właściwie ich pozór, powstały bowiem konstrukcje kruche i ulotne. Dziecięce ukrycia, bo działania dorosłych bliższe były zabawom najmłodszych.

Dwa lata wcześniej artystka wyruszyła do Górskiego Karabachu, terytorium będącego przedmiotem sporu między Azerbejdżanem i Armenią. Jej celem było miasto Ağdam, niemal całkowicie zniszczone w 1993 r. Dziś to strefa niedostępna dla turystów. Podobnie jak przed laty w Bieszczadach, chciała tam szukać śladów dawnego życia. Została zatrzymana przez tamtejsze służby i oskarżona o szpiegostwo, musiała wyjechać. Po tej wyprawie powstał esej wizualny „The Black Garden" – wysmakowane zdjęcia róż. Kwiatowy ogród miał przypominać o tym miejscu. Znów poprzez obrazy, w pierwszej chwili niemające wiele wspólnego z „5128".

Nawroty

Po 1989 r. artystki i artyści z Polski zaistnieli w obiegu międzynarodowym. Byli jednocześnie mocno osadzeni w krajowym czy regionalnym kontekście. Ich twórczość albo została najpierw doceniona w Polsce, albo pozostawali tu obecni swoimi dziełami. Dotyczyło to także tych, którzy po studiach wyjechali, np. osiadłego w Nowym Jorku Piotra Uklańskiego, Pauliny Ołowskiej, dla której ważny był pobyt w Rijksakademie van Beeldende Kunsten w Amsterdamie, czy mieszkającej w Londynie Goshki Macugi, nominowanej w 2008 r. do prestiżowej Nagrody Turnera.

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI GALERII DAWID RADZISZEWSKI

Joanna Piotrowska

Inaczej było z Joanną Piotrowską. Po międzynarodowym sukcesie „Frowst" przyszedł czas na udział w ważnych wystawach. Jej prace znalazły się w 2018 r. na przeglądzie „Being: New Photography" w nowojorskim Museum of Modern Art oraz na 10. Biennale Sztuki Współczesnej w Berlinie. W kolejnym roku jej indywidualną wystawę „All our false devices" przygotowało Tate Britain; odbyła się w prestiżowym cyklu „Art Now" poświęconym najlepiej zapowiadającym się artystom, w ramach którego wcześniej prezentowano m.in. Eda Atkinsa, Raqiba Shawa czy Doris Salcedo, uznawanych dziś za ważne postacie współczesnej sztuki. Jesień 2019 r. to z kolei wystawa w cenionej Kunsthalle w Bazylei.

Tymczasem w Polsce była do tej pory słabo znana. Otwarta jesienią tego roku wystawa w Zachęcie, „Zaduch" – teraz z powodu pandemii dostępna jedynie *online* – to pierwsza jej obszerniejsza prezentacja nad Wisłą. Przypadek Joanny Piotrowskiej, ale też starszych od niej o kilka lat artystek, jak urodzona w Katowicach Alicja Kwade czy pochodząca z Krakowa Maria Loboda, pokazuje istotną zmianę. Jest już grupa twórców silnie obecnych w międzynarodowym obiegu, którzy skończyli studia za granicą, a ich twórczość z opóźnieniem dociera do Polski. Ich dzieła mogą być bardzo różnie interpretowane oraz umieszczane w lokalnych kontekstach.

Cykl „Frowst" Joanny Piotrowskiej jest dobrym przykładem. Użyte w tytule słowo można tłumaczyć jako „duszność", „stęchliznę" czy „zaduch". Jednak – na co zwraca uwagę artystka – użyte jako czasownik ma pozytywne znaczenie: „rozgrzewać się". W tytule wystawy w Zachęcie odwołano się jedynie do negatywnych konotacji tego słowa. Piotrowska zagrała tu znaczeniami, podobnie jak pracami, nie tylko z tego cyklu. Tak właśnie postępuje w przypadku innych wystaw: za każdym razem wybiera inny układ obiektów, zmienia formaty (w Bazylei pokazała odbitkę w formacie 160×200 cm!), a nawet formy ich oprawy. Jakby z tych samych elementów budowała nowe opowieści.

Tę niejednoznaczność prac Piotrowskiej dobrze uchwyciła filozofka i pisarka Mira Marcinów: „Codziennie, od dwóch miesięcy, podchodzę do tych fotografii. I szybko odchodzę. Potrzebuję trochę powietrza. Trudno się przy nich oddycha. Jak w starym domu jeszcze starszych ludzi, w którym nikt już nie sprząta. Od tych odbitek czuć zapach choroby, leków, stali, ogrodów zoologicznych, siana pełnego odchodów w upalny, duszny dzień".

Mirę Marcinów uderzył zaduch tych prac, ale jak sama podkreśla, oglądała je podczas pandemii, w izolacji związanej z funkcjonowaniem w czasie niezwyczajnym. Co więcej, trudno w ich przypadku uciec od innego kontekstu. W rzeczywistości Polski 2020, kraju, w którym gęstnieje atmosfera polityczna i kolejne grupy poddawane są stygmatyzacji, prace Piotrowskiej nabierają nowej aktualności. Pozwalają też inaczej spojrzeć na to, jaka może być dziś twórczość politycznie czy społecznie zaangażowana. Jak odległa od obiegowych przekonań.

© PIOTR KOSIEWSKI

REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

LIVE GODZ. 20.00

MAŁOPOLSKA

SYLWESTER

#ŁONLAJN

Wojciech Bogusławski, Jan Stefani

Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale

reżyseria Cezary Tomaszewski

KUP WSPORNIK! więcej na **www.teatrwkrakowie.pl**

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA

Oficjalni partnerzy Teatru
TOYOTA DOBRYGOWSKI Bronowice
INGLOT
Bielenda

Partner premiery
Harnas

Patroni medialni
RADIO KRAKÓW
lounge
AB

Patroni medialni premiery
VIVA!
URODA

Prawdziwy koniec laboratorium

DARIUSZ KOSIŃSKI

Na naszych oczach rodzi się praktyka bycia, która spełnia się w samym istnieniu. A o istotę nie pyta, bo pytanie to uznaje za bezprzedmiotowe.

Połączenie niedawnej śmierci Ludwika Flaszena i oskarżeń pod adresem Włodzimierza Staniewskiego z Teatru Gardzienice zapewne wyda się niestosowne i dziwaczne. Sądzę jednak, że odsłania ważną zmianę, która właśnie się dokonuje. W świecie.

Flaszen zmarł 24 października w Paryżu w wieku 90 lat. Jego odejście oczywiście odnotowały media teatralne, ale obawiam się, że dla większości nie była to wiadomość szczególnie ważna. W ogóle trudno określić, kim w zasadzie był. Pewnie dlatego wszystkie media, także nieteatralne, bezradnie i bezczelnie przepisują fragmenty biogramu autorstwa Moniki Blige zamieszczonego w „Encyklopedii. Grotowski" na portalu grotowski.net. Pan Ludwik by się roześmiał swoim charakterystycznym śmiechem, najpierw króciutko bezgłośnym, a potem (jeśli naprawdę był rozbawiony) lekko teatralnym: przepisują, tak jak kiedyś przepisywali na potęgę jego. Kiedy nie wiedziano, co zrobić z teatrem Jerzego Grotowskiego, zrzynano całe zdania z komentarzy Flaszena przemyślnie zamieszczonych w programach spektakli.

Pisze Monika Blige: „eseista, pisarz, krytyk literacki i teatralny, tłumacz, współzałożyciel i współanimator Teatru Laboratorium przez cały okres jego istnienia (1959–1984), w latach 80. – dyrektor". Czy to coś znaczy dla ludzi pozostających poza wciąż coraz węższym, siłą rzeczy i czasu, kręgiem tych, którzy zetknęli się z teatrem Jerzego Grotowskiego i ulegli mu? W tym kręgu nazwisko Flaszen wymawiało się ze szczególną estymą. Ale jak wyjaśnić pozostałym, na czym polegała jego niezwykłość?

Porzucona drabina

Na pewno był wybitnym pisarzem, guślarzem słowa – to znaczy kimś, na czyje wyzwanie odpowiednie słowo przychodzi i zajmuje swoje miejsce. Problem jednak w tym, że jego książki w części może najlepszej dotyczą nie zjawisk będących naszym wspólnym doświadczeniem, ale szczególnego teatru, który był doświadczeniem stosunkowo niewielu, a dziś interesuje garstkę.

Flaszen oddał swoje pióro niemal bez reszty Grotowskiemu i został za to wynagrodzony międzynarodową sławą. Jednak światowy sukces nie przydarzył się Flaszenowi dlatego, że się sprytnie „załapał". Był dla niego zasłużoną nagrodą za lata pracy nad formułowaniem w słowa tego, co się formułować niemal nie dało, i przyciąganiem tymi słowami uwagi tych, którzy ciekawi byli słów Flaszena, a wcale nie mieli zamiaru oglądać przedstawień. A także nad przestrzeganiem spieszącego się i zbyt pewnego siebie „Grota", gdy uderzał na ślepo. Po wielu latach słynny już „Gurutowski", który był naprawdę lojalny wobec swoich kolegów, przyznawał, że Flaszen – jego „osobisty krytyk i zawodowy widz" – wielokrotnie zatrzymywał go przed wejściem w ślepe uliczki i kierował w stronę niejasnych przesmyków, które otwierały się na drogi do celu.

Nawet w wieku 80 lat (tyle miał lat, kiedy go poznałem) Ludwik Flaszen był człowiekiem o inteligencji przenikliwej jak poranny listopadowy ziąb. O różne rzeczy można go było podejrzewać, ale nie o to, że nie wiedział, co czyni, gdy wiosną 1959 r. zdecydował się wesprzeć opolską wyprawę Grotowskiego i potem przez kilka lat – bez żadnych widoków na sławę – firmował ją swoim, znanym już w środowisku, nazwiskiem. Bo na początku lat 60. „marką" był Flaszen, a nie Grotowski. Grotowski był zakrawającym na niebezpiecznego ortodoksa dziwakiem, zupełnie innym niż ci, którzy w kulturalnym Krakowie cieszyli się i cieszą uznaniem. A Flaszen był tego miasta wykwitem.

W internetach można zobaczyć znamienny kadr z „Kaloszy szczęścia" Antoniego Bohdziewicza – po jednej stronie drabiny młody Ludwik Flaszen, po drugiej – młody Piotr Skrzynecki. Niemal jak bracia bliźniacy, z jednej kulturowej sztancy. Co sprawiło, że ten wspinający się po szczeblach krakowskich salonów i piwnic wychowanek Kazimierza Wyki ze słynnego seminarium, na którym jego kolegami byli Jan Błoński, Andrzej Kijowski i Konstanty Puzyna, zdecydował się związać z „zawodowym teatrem eksperymentu" działającym w mieście, w którym mało kto te nazwiska znał?

Serenus (nie) Ponadczasowy

Odpowiedź może być tylko jedna: Grotowski. Ludwik Flaszen był dla mnie jednym z najmocniejszych dowodów na siłę (niech tak to będzie nazwane) osobowości Jerzego Grotowskiego. Jeśli taki guślarz słów w wieku 29 lat został i był do końca życia – jak sam często ironizował – Serenusem Zeitblomem, opisującym jak najlepiej potrafi dziwne wyczyny opolsko-wrocławskiego Adriana Leverkühna, to moc, która go do tego nakłoniła, musiała być doprawdy wielka.

Gdy Grotowski umierał w 1999 r., ta moc już słabła, ale jeszcze wciąż działała. Dwadzieścia lat później było jasne, że niewiele z niej zostało. Adrian odszedł, a Serenus pozostał, by być świadkiem zapominania o nim. Gdy na seminaria Flaszena we Wrocławiu przychodziło najpierw tylko kilkadziesiąt, a potem zaledwie kilkanaście osób, złościł się na organizatorów i narzekał, że nie wymyśliliśmy dość atrakcyjnej formuły. Gdy w Krakowie na spotkaniach autorskich słuchała go garstka współkombatantów, pocieszał się niezbyt odpowiednią datą, konkurencją innych wydarzeń, albo po prostu tym, że Polska to nie jest miejsce teatralne. Ale przecież widział i wiedział, czasem to na-

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

wet przyznawał – że to, co Grotowski znalazł jako odpowiedź na pytania, które wydawały mu się podstawowe i odwieczne, przestaje przyciągać i budzić ciekawość.

On, wielki egzegeta, nie walczył z brakiem zrozumienia, ale ze znudzeniem i obojętnością – tym boleśniejszą, gdy pełną szacunku dla starego człowieka. Nie mogę powiedzieć, że go znałem, ale to widziałem aż za dobrze: guślarz słów, którego słowa straciły moc, choć nie straciły niczego ze swojej jakości. Ostatnia książka Ludwika Flaszena „Grotowski & Company" to wspaniała literatura, która nie została przeczytana właśnie dlatego, że jest o Grotowskim, a Grotowskiego na jego oczach pokrywał ambalaż niepamięci, niezrozumienia i niechęci, które nie były i nie są ani wynikiem zwykłych procesów odchodzenia w historię, ani jakąś „zemstą". Są czymś głębszym i o czymś ważniejszym mówią.

Psyche zapala lampę

Nie wiem, czy do pana Ludwika dotarły przed śmiercią informacje o oskarżeniach formułowanych pod adresem Włodzimierza Staniewskiego, najpierw przez Marianę Sadowską, a potem przez inne kobiety kiedyś związane z Ośrodkiem Praktyk Teatralnych „Gardzienice". Oczywiście: „Gardzienice" to nie Laboratorium, a Staniewski przez lata odcinał się od Grotowskiego i nigdy nie opowiadał, czego doświadczył jako młody aktor współpracujący sam na sam z Grotowskim na początku lat 70. Ale to odcinanie na nic się zdało i gdy dziś otworzyć Dwutygodnik.com publikujący kolejne świadectwa, to na wstępie przeczytać można, że „Gardzienice zostały założone w 1977 r. przez Włodzimierza Staniewskiego, ucznia Jerzego Grotowskiego".

Kolejne świadectwa kobiet pokazują, że zespół, który był przez lata uważany za spełniony sen kontrkultury o twórczej wspólnocie, to fikcja ukrywająca patriarchalną przemoc, nadużycia seksualne, szaleństwa rozbuchanego ego i cały wachlarz manipulacji, których celem jest podporządkowanie liderowi. Słabo przebijają się głosy nawołujące do zachowania jakiejś równowagi i nieferowania wyroków, świadectwa (także kobiet) mówiące o innych doświadczeniach czy próby ocalenia wartości artystycznego i kulturowego dorobku zespołu „Gardzienic".

BARTEK SADOWSKI / FORUM

Ludwik Flaszen, Wrocław 2003 r.

↦ Daremne żale, próżny trud. Każdy, kto kiedykolwiek o „Gardzienicach" pisał dobrze, jest podejrzany, bo na pewno był i widział, ale wolał odwrócić oczy. Nawróceni neofici spowiadają się z grzesznych zachwytów. Wiatr moralnej odnowy wieje i tylko patrzeć, jak zerwie resztki zasłon z Teatru Laboratorium i przypomni, że ten Grotowski też przecie manipulator, że przemocą z ludzi dobywał te swoje akty całkowite, a zresztą – wszyscy zginęli marnie i przed czasem, więc o czym tu gadać – zamknijcie drzwi od kaplicy z drugiej strony, zabijcie dechami i chodźmy obejrzeć, jak Małgorzata Kożuchowska wirtuozersko odgrywa opętanie.

Idź i nie przychodź więcej

Nie mam zamiaru ani spowiadać się z moich zachwytów „Gardzienicami" („Carmina Burana" i „Metamorfozy" z Marianą Sadowską – bo potem już raczej nie – to nadal jedne z kilku moich największych przeżyć teatralnych), ani tłumaczyć, czemu moje relacje ze Staniewskim i ludźmi, którzy z nim zostali po odejściu grupy Tomasza Rodowicza (grono to było znakomite), dość gwałtownie ochłodły i osłabły. To zupełnie inna opowieść. Teraz interesują mnie konsekwencje tego, co się stało wraz z ujawnieniem historii przemocy, której doświadczyła jedna z najwspanialszych artystek, jakie kiedykolwiek widziałem na scenie.

Jeśli bowiem – mimo pewnego poczucia niestosowności – łączę tu śmierć Ludwika Flaszena z ujawnieniem przemocy wobec kobiet w „Gardzienicach", to czynię tak dlatego, że oba te wydarzenia jawią mi się jako ostatni akt procesu, który trwa co najmniej od lat kilkunastu. Odejście Flaszena kończy epokę świadków i strażników tradycji teatralnego laboratorium. Demaskacja skierowanej przeciwko kobietom przemocy ukrywającej się pod maską „specyfiki pracy" rozbija jego złotą legendę. Niezależnie od ostatecznego wyniku śledztwa i konsekwencji prawnych, ujawnione i wciąż ujawniane praktyki przemocowe oznaczają koniec akceptacji określonego sposobu pracy, który w teatrze polskim rozwijał się przez cały XX wiek.

Przestano czcić „mistrzów", przymykać oczy na wyskoki ich rozbuchanych „ja". **I przestano akceptować, że mistrzowi więcej wolno,** a stanie się człowiekiem całkowitym wymaga cierpienia i trudów.

Przemoc wobec innych wpisana jest w sam rdzeń teatru reżyserów, co jeden z najwybitniejszych jego przedstawicieli wyraził w słynnym bon mocie, że „aktor jest od grania, jak d... od srania". Koniec końców sytuacja podstawowa jest tu taka, że ktoś (najczęściej mężczyzna) mówi komuś innemu, żeby publicznie zrobił coś, co tamten wymyślił, ale publicznie zrobić nie potrafi. Pomysł i odpowiedzialność (a także chwała) są reżyserskie, ale to aktorka swoim wcielonym i obnażonym byciem tu-oto świeci przed widzami.

W teatrze dramatycznym tę aberracyjną sytuację usprawiedliwia się tym, że staje przecie nie w swoim imieniu, a jej osobistą „twarz" chroni „rzemiosło". W teatrze alternatywnym (alternatywnym właśnie dlatego) to imię albo było własne, albo własne i wspólne. Słowo stawało się ciałem, ciało zaświadczało swoim życiem, że słowo jest życiem tej, która staje przed nami. Wierzono też, że aby to życie wydobyć, by słowo zmienić w ciało, trzeba wysiłku przełamywania codziennych gier, które prowadzimy, pozostając pod władzą tych wszystkich, którzy nas na co dzień reżyserują.

Teatr „alternatywny" te gry niszczył, uznając, że są fałszem, egzystencją niepełną, zakłamaną. To niszczenie zakładało przemoc, bo bez przemocy nie da się zniszczyć pancerzy, które wytwarzamy dla własnego bezpieczeństwa. Tak uczą wszystkie „praktyki życia duchowego" i „rozwoju wewnętrznego" – trzeba zniszczyć siebie jako człowieka z „tego świata", zerwać z „sobą", z pragnącym spokoju i pieszczot ego. Trzeba umrzeć, by narodzić się na nowo.

Teatr jako laboratorium tego uczył, a wielu mu wierzyło, bo nie chcieli poprzestać na tym, co tu nazwano rajem na ziemi. I nie tylko godzili się na przemoc, ale przemoc wobec siebie uznawali za pożądaną. Wielu z nich otrzymało za to życie inne niż wszyscy – nie mnie oceniać, czy lepsze. Nie mnie oceniać, czy jeśli oni sami są pełni wdzięczności, to ulegają złudzeniom. I nie mnie mówić, że jeśli oskarżają o nadużycia, to popełniają zdradę.

Prawo dokona swojej pracy według społecznych przekonań, których jest wytworem. Niezależna od prawa jest krzywda, której kobiety w „Gardzienicach" doznały. Niezależne od prawa i tej krzywdy jest przekonanie Włodzimierza Staniewskiego i osób go wspierających, że „taki to był teatr" i że „prawdę trzeba siłą wyciskać". A od tego ich przekonania z kolei niezależne jest, że zanim odbudowano pałac w Gardzienicach i wykuto bramę wjazdową z monogramem „WS", świat się zmienił.

Przestano czcić „mistrzów", przymykać oczy na wyskoki ich rozbuchanych „ja". I przestano akceptować, że mistrzowi więcej wolno, a stanie się człowiekiem całkowitym wymaga cierpienia i trudów. Świadectwa skrzywdzonych kobiet nie pojawiają się dlatego, że z jakichś niskich pobudek po latach sobie „przypo-

POŻEGNANIE

Za spokój duszy

Ś.† P.

Henryka, Ireny i Tomasza Niewodniczańskich

w odpowiednio: 52., 30. i 11. rocznicę śmierci msza święta będzie odprawiona w kościele pw. św. Marka Ewangelisty w Krakowie, w sobotę 26 grudnia, o godz. 15.30.

PIOTR MOLĘCKI / AGENCJA GAZETA

„Metamorfozy" Teatru Gardzienice, próba medialna w Warszawie, 26 marca 1999 r.

mniały", ale dlatego, że dopiero teraz zaistniało miejsce, z którego można opowiedzieć o swoim doświadczeniu i sprawić, że będzie się wysłuchaną. I nie jest to kwestia modnych przekonań czy środowiskowych partykularyzmów (choć i one grają tu swoją rolę), ale zmian chyba przełomowych.

Wspólnota, która nadchodzi

Czytam właśnie najnowszą, przygotowywaną do wydania książkę Krzysztofa Rutkowskiego „Bóg Adama". Opowiada o tym, w co dogłębnie, niemal ostatecznie wierzył Adam Mickiewicz, a więc i o tym, co – dogłębnie i ostatecznie – chciał nam do wierzenia podać, a myśmy nie przyjęli, choć jego wyzwanie krąży wśród nas od niemal dwustu lat i czasem kogoś nawiedza.

Jednym z imion wiary Mickiewicza był Słowianin – człowiek Słowa, człowiek, który odnajduje w sobie Słowo (Chrystusa) i staje się nim. Powiada Rutkowski: „To człowiek najzupełniej zupełny, spełniony w swojej cichej spokojności, w bezwzględnej zgodzie ze sobą i w pogodzeniu ze światem. (...) Człowiek-Nikt wygrał z egoizmem, snobizmem, próżnością i pychą; gadające cienie go nie męczą i nie plączą się za nim". Każdy, kto za dawnych zielonych czasów, kiedy naprawdę wierzono w rewolucję zdolną przemienić świat całkowicie, oglądał „Księcia Niezłomnego" i „Apocalypsis cum figuris" Grotowskiego, albo go słuchał w latach 70., albo pięćdziesiąt lat później sięgnął po ciężki tom jego „Tekstów zebranych", wie o czym mowa. Albo – ale to już nieliczni jednak – zobaczył, co w kilka minut dzieje się z ludźmi praktykującymi pracę z energiami prowadzonymi przez bardzo stare, a potężne pieśni.

Zmiana, jakiej symptomem są dwa wydarzenia, które tu nieco skandalicznie łączę, polega na tym, że „cała jaskrawość", „akt całkowity" i „człowiek zupełny" przestały być wartością i celem, a przekroczenie siebie przestaje być postrzegane i praktykowane jako przeciwieństwo „bydlenia". Opozycja „aktora świętego" i „aktora kurtyzany", którą posługiwał się Grotowski, przestaje mieć sens, podobnie jak wiekowa opozycja dążącego do transgresji wieszcza i fabrykanta śpiącego „snem żarłoków".

Na naszych oczach rodzi się praktyka bycia, która przyjmuje dawne alternatywy wzruszeniem ramion, bo nie szuka żadnej „istoty", ale spełnia się w istnieniu, istnienie w jego różnorodności i bogactwie chroni, o istnienie w jego nieobejmowalnym pięknie chce się troszczyć, a o istotę nie pyta, bo pytanie to uznaje za bezprzedmiotowe. Wydaje się nawet nie przejmować śmiercią, bo, zachwycona istnieniem, nie lęka się jednostkowego zgonu, lecz walczy o ocalenie całości. Ontologię zastępuje ekologią i nie rozumie, czemu miałaby się troszczyć o przekroczenie własnej granicy, skoro istnienie nie ma granic. Zamiast troski o zbawienie duszy – troska o siebie i innych. Zamiast bluźnierstw i sakramentów – praca u podstaw, *zero waste*, spokojna zgoda na koniec antropocenu.

Psyche obudziła się w nocy, zapaliła lampę, spojrzała na twarz śpiącego obok. Gorący olej oparzył go. Zerwał się z łóżka i sycząc z bólu, skakał na jednej nodze. Wyglądał komicznie. Psyche roześmiała się, wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Serenus odłożył pióro.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

NETFLIX

Amanda Seyfried jako Marion Davies i Gary Oldman jako Herman Mankiewicz w filmie „Mank”

Anatomia różyczki

ANITA PIOTROWSKA

Jak to się stało, że nowojorski dziennikarz o pseudonimie „Mank”, słynący z niewyparzonego języka birbant i hazardzista, stworzył materiał dla filmowego arcydzieła?

28 GRUDNIA KINO KOŃCZY 125 LAT, choć raczej nie ma powodów do hucznego świętowania. Mijający rok może się okazać przełomowy – jeśli nie dla filmu jako wytworu kultury, to na pewno dla kinowej instytucji, której mocno dały się we znaki zarówno pandemia i związana z nią „polityka sanitarna”, jak i utrwalone pod ich wpływem nawyki odbiorcze.

W tym kontekście „Mank” Davida Finchera, mierzący się z legendą jednego z najsłynniejszych filmów wszech czasów, brzmi (i wygląda) jak list miłosny do kina. Chwilami rozwlekły i żarliwy, to znów frywolnie puszczający oko, a w wielu miejscach pełen wyrzutów. Jak na ironię, wyprodukowany został z przepychem, precyzją i wigorem dla największej dziś platformy internetowej pokazującej filmy.

Historia Hermana J. Mankiewicza, głównego scenarzysty „Obywatela Kane’a” (1941), którego wkład w powstanie filmu przysłoniła zwalista postać Orsona Wellesa, w dużej mierze przypomina kinofilski fresk – dla niektórych gęsty i fascynujący, dla innych nieznośnie przeładowany. Bo stylizacja na stare kino ma tu wiele rozmaitych warstw. „Mank”, choć nakręcony kamerą cyfrową, jest nostalgicznie czarno-biały, rozpoczyna się staroświecką czołówką i porządkuje kolejne sceny na wzór wystukiwanego na maszynie scenariusza. Ale to tylko powierzchnia. Spomiędzy licznych chwytów formalnych, ozdobników i aluzji, nawiązujących również do samego „Obywatela Kane’a”, wyłania się historia mająca w sobie coś z antylegendy i zarazem coś z anty-„Kane’a”.

Jak to się stało, że wielokrotnie najmowany przez Hollywood nowojorski dziennikarz o pseudonimie „Mank”, słynący z niewyparzonego języka birbant i hazardzista, stworzył materiał dla filmowego arcydzieła? Film daje na to odpowiedź raczej przewrotną – nie tylko dlatego, że arbitralnym gestem usuwa w cień uznanego mistrza kina i kieruje kamerę na wyrobnika, który okazał się geniuszem.

Scenariusz „Manka”, autorstwa Jacka Finchera, ojca reżysera, częściowo podąża tropem wyznaczonym przez Pauline Kael. Papieżyca krytyki filmowej w słynnym eseju „Raising Kane” z 1971 r. przypisywała autorstwo scenariusza „Kane’a” Mankiewiczowi, umniejszając współudział Wellesa, choć w czołówce figuro-

wali obaj i razem zostali nagrodzeni jedynym dla tego filmu Oscarem. Polemizowała w ten sposób z tzw. teorią autorską, stawiającą na piedestale reżysera filmu kosztem innych jego twórców. Badania wykazały, że Kael myliła się w niektórych faktach, ale „Mank" i tak przesuwa wszystkie fabularne akcenty na korzyść Mankiewicza.

Gra go z właściwą sobie podkręconą charyzmą Gary Oldman, wiadomo więc z góry, że postać to głębsza i bardziej skomplikowana, niżby się mogło wydawać. Film nie zanurza się jednak ani w psychologii, ani w pisarsko-warsztatowych głębiach. „Welles na miejsce pamięci człowieka wprowadził pamięć kamery filmowej" – pisał o filmie, będącym kamieniem milowym w historii kina, profesor Aleksander Jackiewicz, lecz od Finchera nie dowiemy się, jaki był w tym udział samego scenariusza. Liczne retrospekcje przywołują jedynie okoliczności, które mogły złożyć się na powstanie wyjątkowej na owe czasy opowieści o amerykańskim milionerze, co utracił duszę. Sam proces wewnętrzny pozostaje tajemnicą – jest niczym magiczne słowo „różyczka" w „Obywatelu Kane", będące kluczem i jednocześnie wodzące na manowce. W samym „Manku" zyskuje ono jeszcze inny, humorystyczny sens.

Poznajemy Mankiewicza, kiedy z nogą w gipsie zostaje „zesłany" przez studio filmowe RKO na pustynię, a dokładnie na ranczo, gdzie w dość luksusowych warunkach ma napisać scenariusz dla cudownego dziecka Fabryki Snów, jakim był wtedy Orson Welles – raptem dwudziestoczteroletni. Już to unieruchomienie pisarza w łóżku pachnie z daleka twórczą impotencją i formuła „to przecież nie mogło się udać" realizuje się w „Manku" na różne sposoby.

Nie tylko dostawa „znieczulających małpeczek" sygnalizuje rychły kryzys. Ze strony producentów trwa nerwowe odliczanie, reżyserskie bożyszcze przyspiesza termin finału, a sekretarka, której „Mank" dyktuje tekst, przeżywa osobiste dramaty. Kiedy jednak zamówiony utwór jakimś cudem wreszcie powstaje, mnożą się kolejne przeszkody, znacznie grubszego kalibru. Bo choć miało to być dzieło w pełni niezależne, nikt nie spodziewał się, że Mankiewicz potraktuje ten postulat aż tak dosłownie.

Intrygująca jest w „Manku" relacja głównego bohatera nie tyle z filmowymi potentatami czy z próbującym dyscyplinować go młodszym bratem Josephem L. Mankiewiczem, w przyszłości reżyserem „Kleopatry", ile przede wszystkim z Williamem Randolphem Hearstem (w tej roli Charles Dance) – magnatem prasowym i pierwowzorem postaci Kane'a, a także z jego kochanką i gasnącą gwiazdą, Marion Davies (Amanda Seyfried). Lewicujący intelektualista żydowski ze Wschodniego Wybrzeża brawurowo lawiruje w systemie, będąc jego beneficjentem i krytykiem, wytresowaną małpką z przypowieści o kataryniarzu i równocześnie bezlitosnym błaznem, płacąc przy okazji swoją cenę. To bodaj najciekawszy aspekt filmu: zwycięstwo donkiszoterii nad towarzysko-biznesową kalkulacją, które sprawia, że scenariusz „Obywatela Kane'a", niezależnie od tego, co Welles w nim zmienił czy dodał, był rzadkim na tamte czasy owocem indywidualizmu i nonkonformizmu, o mały włos skazanym na filmowy niebyt.

I choć powstał obraz wierny swej epoce, materialnie i czysto filmowo, „Mank" nie jest wyłącznie ukłonem w stronę przeszłości. Jako rekonstrukcja bywa zresztą męczący – cały ten zgiełk wątków, postaci i planów czasowych, te wszystkie personalne roszady w przemyśle filmowym i błyskotliwe dialogi (Mankiewicz był mistrzem ciętej riposty) zagłuszają małe wielkie dramaty. Wyraźnie za to rysują się konteksty polityczne: w jaki sposób prorepublikańskie wówczas Hollywood fabrykowało propagandę, jak system producencki ścierał się z ruchem związkowym, jak bardzo w przededniu wojny lekceważona była postać Hitlera...

Na tym tle tytułowy bohater, ze swą przenikliwością i cynizmem, ewidentnie wyprzedza swój czas. Obok kilku paskudnych cech ma wiele z wizjonera – niczym Mark Zuckerberg sportretowany przez Finchera w „The Social Network" (2010). Mankiewicz stworzył dzieło życia z rozczarowania Ameryką, a w szczególności branżą kinowo-medialną, która zarządzała wtedy zbiorową wyobraźnią. Lecz podobnie jak twórca Facebooka, który dzisiaj dzierży rząd dusz, zrobił to przecież także z pobudek bardzo osobistych, by nie rzec – małostkowych. ©

MANK – *reż. David Fincher. Prod. USA 2020. Dostępny na Netfliksie.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Życie jest krótkie... Filmy też!

Przegląd, KFF VOD, 21- 27 XII

Z okazji najkrótszego dnia w roku przed nami cztery bloki najlepszych filmów krótkometrażowych 60. Krakowskiego Festiwalu Filmowego. W tym zwycięzcy („Zwykły facet" Shoko Hary czy „On nie może żyć bez kosmosu" Konstantina Bronzita), polskie dokumenty („Wielki strach" Pawliny Carlucci Sforzy), fabuły („Dalej jest dzień" Damiana Kocura) i animacje („Jestem tutaj" Julii Orlik).

2. Tony Halik

Dokumentalny, reż. Marcin Borchardt, Polska 2020, VOD

To coś więcej niż opowieść o urodzonym podróżniku, awanturniku i gawędziarzu. Z licznych archiwaliów i sprzecznych często relacji wyłania się portret większy niż życie, a w nim kontrowersyjna kariera w PRL-u, anachroniczne wzorce męskości i mistrzostwo autokreacji. Kim tak naprawdę był Tony Halik?

3. A potem tańczyliśmy

Dramat, reż. Levan Akin, Gruzja/Francja/ /Szwecja 2019, Outfilm

Gruziński Balet Narodowy to miejsce, w którym krzyżują się losy dwóch młodych tancerzy, połączonych rywalizacją i wzajemną fascynacją. Taniec odtwarza tradycyjne role mężczyzn i kobiet, ale dla bohaterów staje się także indywidualną i intymną ekspresją. W głównej roli Meraba wystąpił świetny Levan Gelbakhiani.

4. Normalni ludzie

Serial, odc. 1-12, reż. Lenny Abrahamson, Hettie Macdonald, Irlandia 2020, HBO GO

Na podstawie głośnej powieści Sally Rooney twórcy przypatrują się skomplikowanej relacji łączącej Marianne i Connella – dwoje maturzystów, których dzieli wszystko, na czele z pochodzeniem społecznym. Banalna z pozoru miłosna intryga, rozpisana na niespełna półgodzinne odcinki, kryje wiele świeżości i zaskakujących niuansów.

JAN

Klata:
Armagedon

Proszę Państwa, w czwartek 10 grudnia 2020 r. skończył się świat. Być może moje – nieco już historyczne – oświadczenie wyda się na wyrost bezpodstawnie szyte grubymi nićmi, ale ma drugie dno. Jest dość prawdopodobne, że część z Państwa nie wierzy nawet w koniec świata w ogóle, przecież jest niemożliwe, żeby coś tak źle działającego wreszcie przestało działać na amen – byłoby to wewnętrznie sprzeczne i nadmiernie logiczne, to nie może się udać, to musi trwać.

Koniec świata 10 grudnia przeszedł bez echa „w realu", no ale przecież nie realem żyje człowiek, szanujący się człowiek AD 2020 żyje w internetach, a zwłaszcza na fejsbukach i twitterach, które właśnie nagle a niespodzianie przestały działać. Panika? Armagedon? Mało powiedziane. Egzystencja wypadła z ram, dusze milionowych rzesz ludzi w Europie zaczęły dryfować bez podłączenia, z dala od zerwanej sieci, pozostawione same sobie, wpatrujące się w pustkę za oknem, poza systemem Windows, poza ekranem, gdzie rozpościerał się zapomniany szary, grudniowo namacalny, niezapośredniczony świat. Syndrom odstawienia boli w duszę, boli w oczy, boli w mózg, niewysłane posty parzą opuszki. Co to za życie, którym się nie można pochwalić, żywot tweetami niemierzalny, po co egzystencja, której nikt nie dorzuca lajków, co to za po falach codzienności żegluga bez regularnych fejsbuniowych gównoburz? Kto pokaże nowego kotka? Kto okrasi poranek memem? Nie było, proszę Państwa, paliwa do życia, w Polsce i w Europie, przez kilka godzin, był zasięg, baterie doładowane, a fejsa ni widu, ni słychu. Kilkaset minut egzystencjalnej flauty nie do wytrzymania to nie przelewki, to doświadczenie graniczne – oby niepowtarzalne. Nigdy więcej!

Świat się skończył, ale nie na zawsze, tylko tak bardziej hybrydowo – jak wszystko teraz. Na szczęście po kilku godzinach wszystkie awarie tego świata zostały usunięte, i fejsbuki oraz twittery znów śmigają. Powróciliśmy z dalekiej podróży do normalności, znów możemy bezustannie a kompulsywnie ziugać ekraniki, stymulować życie. Innego końca świata nie będzie. ©

Lektor:
Między światami

▪ *Monika Śliwińska*
PANNY Z „WESELA". SIOSTRY MIKOŁAJCZYKÓWNY I ICH ŚWIAT
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020, ss. 662.

Najpierw były „Muzy Młodej Polski" (2014), książka o siostrach Pareńskich: Marynie, Zofii i Elizie. Potem biografia Wyspiańskiego („Dopóki starczy życia", 2017), który Marynę i Zosię (później Żeleńską) unieśmiertelnił w „Weselu". Teraz bohaterkami są Gospodyni, Panna Młoda i Marysia z tego arcydramatu. Trylogia o krakowskiej Młodej Polsce? Nie tylko o niej.
„Muzy..." i „Panny..." to opowieść prowadzona z perspektywy kobiet. Małżeństwa Włodzimierza Tetmajera z Anną Mikołajczykówną i Lucjana Rydla z młodszą siostrą Anny Jadwigą traktuje się często jako epizod młodopolskiej „chłopomanii"; panny z Bronowic są w tym ujęciu bezwolnymi istotami czekającymi na skinienie „panów z miasta". Monika Śliwińska udowadnia, jak fałszywy to obraz, jak wyrazistymi i pięknymi indywidualnościami były obie siostry i jak umiały bronić swoich decyzji.
Spotkanie ciasnawego mieszczańskiego Krakowa i nieodległej bronowickiej wsi było eksperymentem, który zdaniem wielu nie mógł się powieść. Dzieje rodzin Tetmajerów i Rydlów zadały temu kłam, ale cena, jaką Mikołajczykówny płaciły, była spora – Anny nie chcieli zaakceptować teściowie, Jadwigę Rydlową spotykały na ulicy afronty ze strony krakowskich paniuś. Przełamanie bariery społecznej musiało niektórych boleć, zwłaszcza że obie siostry podkreślały swoje pochodzenie choćby strojem, równocześnie dbając o wykształcenie dzieci.
Na czarno-białym zdjęciu z lat 30. dwie kobiety idą Wiślną – Anna Tetmajerowa w chustce kryjącej włosy, wzorzystej chuście na ramionach i w sutych, na pewno wielobarwnych spódnicach, a obok jej najmłodsza córka Krystyna z odkrytą głową, w „miejskim" płaszczu z futrzanym kołnierzem. Dwa światy, jeden świat. W 1940 r. obie trafią na zesłanie do obwodu irkuckiego, Krystyna straci tam męża i dwie córeczki, 66-letnia Anna będzie ją wspierać, bajecznie kolorowe spódnice sprzeda. „Dobrze ze ja była z nio" – napisze do córki Magdaleny. Wrócą do Bronowic w 1948 r. Przez Iran i Indie...
To wspaniała książka oparta na skrupulatnej dokumentacji i archiwach, publicznych i rodzinnych (listy!!! niepublikowany dotąd w całości – co niepojęte – dziennik krewnej Rydlów Aleksandry Czechówny!!!). Autorka, związana z lubelskim Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN", sportretowała epokę i ogromną galerię postaci z imponującą precyzją – i czułością. Lektura obowiązkowa! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
To, co zostanie

W licznych listach, jakie nadchodzą do redakcji z terenu całego kraju, pytacie ostatnio, jak najlepiej zrobić potrawkę z miękiszona. Będę musiał was rozczarować, choć doskonale rozumiem to nagłe zainteresowanie i potrzebę pozbycia się z narodowej spiżarni zalegającego tam mało strawnego składnika. Sumiennie wprawdzie obserwuję, jak i co pichcą w tej Brukseli, że zawsze udaje się im przykryć smrodek zgniłych kompromisów, tak jakby na gazie stał kocioł nereczek, a w kuchni mimo to pachniało szarlotką. Ale sztuka duszenia miękiszonów jest mi obca, to kompetencja ściśle węgierska, celuje w tym szef budapeszteńskiego lokalu Fiatal Demokraták Szövetsége, w kręgach miłośników serdelków debreczyńskich znanego po prostu jako „u Fidesza".

Jacek Kaczmarski śpiewał o Europie, która niczym łosoś królewski wędziła się „w dymie gazów bojowych wbita na złoty hak". I dalej: „żre się kucharz francuski z szefem kuchni niemieckiej / z ryby tak smakowitej co przyrządzić i jak". W wizji poety chodziło o I wojnę i następujące po niej kreślenie map na nowo, teraz nie jest z nami jeszcze aż tak źle, ale np. z gazet dowiaduję się właśnie, że wróciła do łask dyplomacja kanonierek znana mi z podręczników historii. Na ostatniej prostej beznadziejnych negocjacji brexitowych admiralicja JKM ogłosiła gotowość wysłania od 1 stycznia fregat pilnujących, żeby żaden francuski czy niemiecki rybak nie zapuścił się nawet na cal w brytyjską strefę połowową.

Domagał się tego od rządu m.in. Daniel Kawczyński, syn mazowieckiej ziemi, który posłuje do Izby Gmin z hrabstwa na zachodnich rubieżach Anglii, pełniąc przy tym rolę prawoskrzydłowego najdalszych ławek torysów. W swej karierze głosował np. przeciwko zakazowi polowań na lisy i wykreśleniu z kodeksu surowych kar za obrazę religii, czynił niestosowne uwagi pod adresem młodszych asystentek, a teraz zasłynął pomysłem posłania armady w obronie łowisk. Gdyby był on poddanym królowej nieco dłużej, to by pamiętał, że już raz w XX wieku Albion wywołał wojnę o dorsza (z Islandczykami) i sromotnie ją przegrał: nie zawsze rozmiar fregat ma znaczenie. Kto wie, może dałoby się posła zrepolonizować, żeby zasilił szeregi naszych rodzimych twardzieli? Tylko jak by się przed nowymi kolegami wytłumaczył z głosowania za małżeństwami jednopłciowymi?

Zatem narodowego dorsza Brytyjczycy będą mieli po dziurki w nosie, ale za to z frytkami może być problem, bo znaczną ich większość sprowadza się z Belgii (która jest kontynentalnym potentatem w tej materii). Nawet proste operacje celne i certyfikacje oznaczają poważne zakłócenia. Po prostu nikt już nie pamięta, jak się te różne dodatkowe papiery wypełnia, a infrastruktura, która je obsługuje na wielką skalę, dopiero naprędce powstaje i musi się dotrzeć. Jeszcze do niedawna wszystkie zainteresowane strony wolały zakładać scenariusz optymistyczny i nie zabierały się zbyt intensywnie do prac organizacyjnych. Zwłaszcza że w kończącym się roku na brak nadzwyczajnych zadań nikt nie mógł narzekać.

Dla każdego ten rok był nadzwyczajnym zadaniem i o tym tak naprawdę powinienem pisać, chociaż trudno jest epickość tych spraw upchnąć kolanem w mały kącik kulinarny. Ale mogę od siebie, lirycznie i osobiście opowiedzieć, jakie było dla mnie to jedno cholernie ważne pytanie: gdy za 5 lat spojrzę wstecz, co o sobie i sprawach roku 2020 pomyślę? Ile z tego, o czym ja tu piszę co tydzień, okaże się zbędną pianą? Ci żałośni panowie w drogich garniturach i ich koncepcje zderzające się przypadkowo jak kulki w bębnie losującym totolotka... a któż to zapamięta?

To tylko pozostanie, com czynił i mówił konkretnym ludziom. Ileś ważnych rozmów, długich spacerów, godzin wspólnie spędzonych w pracy, w pocie i stresie. Pytacie mnie o najlepszy posiłek w tym roku? To był zwykły bulion, który zrobiłem pewnego dnia, kiedym się dowiedział, że mój kolega i ja wspólnie naraziliśmy się na „kontakt" – słowo, które nabrało teraz ponurych konotacji. Wobec tego faktu uznaliśmy, że możemy siebie nawzajem odwiedzać. Wtedy okazaliśmy się na szczęście zdrowi, ale innego razu na serio się pochorowałem i wówczas przez uchylone drzwi mieszkania dostawałem nie tylko lekarstwa, ale chleb prosto z pieca, a gdybym każdego, kto dzwonił, faktycznie poprosił o zakupy, starczyłoby mi żarcia do wiosny. W te święta szczególnie doceńcie nie to, co uda się wam postawić na stole, ale to, kogo za nim uda się wam posadzić. ©℗

Polska jest w tym szczęśliwym położeniu, że aby zabezpieczyć swoje narodowe dania, nie musi wysyłać kanonierek ani czołgów. Ziemniak, burak, kapusta, świnka i kurka – wszystko to rośnie lub biega w naszych bezpiecznych granicach. Wprawdzie od kiedy Bałtyk zamarł, śledź stał się towarem kolonialnym – ale reszta nielicznych ryb, jakie Polak zjada, pływa w rodzimych stawach. Jeśli jesteście w Krakowie i szukacie karpia na święta, spróbujcie podjechać i wziąć go od mniszek w Staniątkach, pomożecie w ten sposób tej klasztornej perle. Ja za to sprzedam wam prosty pomysł na rybną sałatkę: zdejmujemy z dużego fenkuła zewnętrzną łuskę, wkładamy ją do rondelka z zimną wodą i dwoma listkami laurowymi, dodajemy sól i grzejemy. Kiedy woda zawrze, wrzucamy 150 g surowej polędwicy z dorsza, gotujemy minutę, wyłączamy ogień, zostawiamy do wystygnięcia. Potem kruszymy rybę do miski, łączymy z fenkułem pociętym na wąskie paski, kwaskowym jabłkiem w cienkich plasterkach i kilkoma kosteczkami świeżego ananasa. Na wydaniu solimy i polewamy oliwą.

NATALIA STOTIKA / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

POWRÓT WILKA

Żadne inne zwierzę nie budzi w nas takich emocji. Widać to nawet w języku – o ile niedźwiedź czy ryś „idzie", wilki raczej „grasują". Wizerunek niebezpiecznego drapieżnika utrwalił się w naszych umysłach.

KRZYSZTOF STORY

Wilk automatycznie wywołuje w nas lęk. Jednocześnie jako szczytowy – czyli najważniejszy – drapieżnik jest niezbędną częścią polskiego ekosystemu. Ale powrót dużych mięsożerców to nie tylko opowieść o pięknie dzikiej przyrody. To także konflikt z człowiekiem, z gospodarką łowiecką i hodowlą zwierząt. To ludzie mają dziś decydujący głos w środowisku. Istnienie wilków czy niedźwiedzi jest możliwe tylko wtedy, gdy nie przekraczają akceptowalnego poziomu szkód.

LAS JEST NASZ I ŁĄKI TEŻ SĄ NASZE. Gdy 17-letni Jacek Kaczmarski pisze w 1974 r. tekst „Obławy", *Canis lupus* jest o krok od zniknięcia z polskiej przyrody. Na początku lat 70. w Polsce praktycznie nie było dużych drapieżników. Ryś, który kilkanaście lat wcześniej trafił na polską listę gatunków łownych, a na Białorusi był celowo tępiony, zniknął z Puszczy Białowieskiej. Pojedyncze osobniki przetrwały w Karpatach i lasach północnego wschodu. Niedźwiedzi było kilkanaście. Wilków w całym kraju – stan z 1972 r. – nie więcej niż 60.

Słowa pieśni to zresztą nie tylko poetycka metafora. To też dość wierny opis losu polskich wilków po II wojnie światowej. 29 stycznia 1955 r. wchodzi w życie uchwała Rady Ministrów o eksterminacji wilków. Od tego momentu przez 20 lat nasz główny drapieżnik jest traktowany jako szkodnik. Powołuje się wojewódzkich komisarzy do spraw tępienia wilków. Za upolowanie wilka wypłaca się nagrody – 1000 zł za ustrzelonego na polowaniu indywidualnym. Średnia miesięczna pensja w przemyśle wynosi wtedy 1100 zł. Przez następne prawie 20 lat do wilków będzie można legalnie strzelać, truć je, łapać i wybierać szczenięta z nor.

Obława kończy się dopiero w 1975 r. Wilk wraca na listę gatunków łownych z okresem ochronnym od 1 sierpnia do 31 marca (za wyjątkiem trzech województw, w których poluje się cały rok). Szacuje się, że populacja liczy wtedy 200 osobników. „Myśliwy jeszcze ma broń i trzyma smycze, lecz las jest nasz i łąki też są nasze" – jak śpiewa Kaczmarski.

REKOLONIZACJA. 35 lat później wilk jest w Polsce objęty całkowitą ochroną. Niektóre badania mówią o trzech tysiącach osobników. To jedna z największych (na równi z Hiszpanią i Rumunią) wilczych populacji w Europie.

Zmiana następowała stopniowo. Zaczęła się wraz z transformacją w 1989 r. Proces ten prześledzili Krzysztof Niedziałkowski i Renata Putkowska-Smoter z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Według nich zadecydował nowy układ polityczny, uwolnienie rynku, a zwłaszcza decentralizacja. Prawo z 1991 r. dawało wojewodom możliwość regionalnej ochrony danego gatunku. Rok później grupa biologów przekonała do ochrony wilka władze trzech województw: poznańskiego, pilskiego i gorzowskiego. Wilki mogły zacząć rekolonizować zachodnią Polskę.

Niedziałkowski i Putkowska-Smoter podkreślają rolę organizacji pozarządowych. W debacie na temat wilków kluczową rolę odegrały Pracownia na Rzecz Wszystkich Istot oraz założone w 1996 r. Stowarzyszenie dla Natury „Wilk".

W 1992 r. wilka objęto ochroną w trzech województwach. W 1995 r. dotyczyło to już całego kraju poza województwami: krośnieńskim, przemyskim i suwalskim. Każdy taki krok spotykał się z oporem, zwłaszcza wśród myśliwych. Były przecież kadencje Sejmu, w których co szósty poseł polował. Do 1997 r. ministrem środowiska był Stanisław Żelichowski, myśliwy, który o pełnej ochronie wilka nie chciał słyszeć. Udało się to dopiero po wyborach, 2 kwietnia 1998 r. Decyzję o skreśleniu wilka z listy gatunków łownych podjął polityk, którego dzisiaj z ochroną przyrody raczej nie kojarzymy – Jan Szyszko, wówczas nowy minister środowiska w rządzie AWS.

Nie byłoby tej decyzji, gdyby nie praca naukowców z Instytutu Badania Ssaków PAN w Białowieży. Jak piszą Niedziałkowski i Putkowska-Smoter: „Badania w Białowieży przy wykorzystaniu nowej technologii telemetrii przyniosły nowe spojrzenie na ekologię wilka". Badania IBS pozwoliły lepiej oszacować populację wilka, ale też pokazać, że duże drapieżniki są niezbędną częścią ekosystemu. Szyszko w uzasadnieniu swojego rozporządzenia napisał: „Wilk odgrywa ważną rolę w zachowaniu równowagi ekologicznej i jest naturalnym regulatorem populacji ssaków kopytnych".

WILCZE KORYTARZE. Na czym polega i co daje telemetria, widzę na żywo. Razem z dr hab. Sabiną Nowak i dr. hab. Robertem Mysłajkiem, założycielami Stowarzyszenia dla Natury „Wilk", wsiadamy do szarego pick-upa. Wjeżdżamy na leśną drogę, na teren Roztoczańskiego Parku Narodowego. On prowadzi, ona ↦

RYAN / ADOBE STOCK

↦ z tyłu przyciska do ucha słuchawkę, drugą ręką trzyma antenę. Jeśli usłyszy charakterystyczne „piknięcia", to znaczy, że któryś z zaobrożowanych przez nich wilków jest w pobliżu. Moduł radiowy zainstalowany w obroży pozwala namierzyć zwierzę z kilkuset metrów.

Dużym wyzwaniem jest samo złapanie wilka. Naukowcy instalują w wybranych lasach specjalne odłownie, ale korzystają też z innych metod.

– Jeśli rehabilitujemy wilka po wypadku drogowym czy uwalniamy z wnyków, przed wypuszczeniem zakładamy mu dostosowaną do jego masy ciała obrożę – mówi Sabina Nowak.

– Na początku stycznia 2019 r. tak właśnie zaobrożowaliśmy Rzepkę, którą leśnicy odnaleźli we wnykach. Obecnie mamy kilka wilków z nadajnikami. Taka obroża może działać nawet dwa lata – dodaje Robert Mysłajek. – Sporo kosztują, ale dane, jakich nam dostarczają, są niezmiernie ważne dla poznania i ochrony tego gatunku.

To, jak istotny jest dobry monitoring populacji wilka, podkreśla też prof. Henryk Okarma, były dyrektor Instytutu Ochrony Przyrody PAN w Krakowie:

– Wiadomo, że to jest dzika przyroda, która nie da się dokładnie policzyć. Chociaż jeśli zajrzeć do rocznika statystycznego, to dowiemy się, że mamy w Polsce np. 26 178 łosi. Oczywiście, że to jest tylko oszacowanie, a liczby kopytnych są notorycznie zaniżane. Ale dobry monitoring jest kluczowy. Bez niego próbujemy zarządzać zasobem, nie wiedząc, ile go mamy.

Wilki są gatunkiem trudnym do monitorowania. Żyją w grupach rodzinnych (to określenie znacznie lepiej tłumaczy ich funkcjonowanie niż słowo „wataha"). Grupa składa się z pary rodzicielskiej, która jako jedyna się rozmnaża, i ich dzieci z ostatnich dwóch, rzadziej trzech lat – średnio sześć lub siedem osobników. Grupa żyje na obszarze 200-300 kilometrów kwadratowych. Dorastające wilki odłączają się od niej i szukają swojego terytorium. Są doskonałymi wędrowcami, potrafią przemierzyć setki kilometrów.

Istotnym narzędziem ich badań jest genetyka. Naukowcy zbierają wilczą sierść, odchody czy ślinę. Mysłajek pokazuje mi kawałek gąbki z krótkimi gwoździami przytwierdzony do pnia drzewa na wysokości kolana. Wilk przechodząc ociera się o metalowe szpice i zostawia na nich sierść.

– Do niedawna wszystkie informacje zbierało się w terenie. Nawet dane z telemetrii radiowej zależały od tego, jak często i jak skutecznie badacz z anteną namierzał wilka w lesie – opowiada Nowak. – Jeśli wilk wyruszył na długą wędrówkę i opuścił teren badań, to bez samolotu nie było szans go odnaleźć.

Dopiero nawigacja satelitarna pozwoliła za wilkiem nadążyć. Pierwsze obroże GPS/GSM założono wilkom w Polsce w 2014 r. – To zupełnie nowa jakość danych. Jak na dłoni widać np., czy para rodzicielska ma w tym sezonie młode. Wtedy regularnie wracają po polowaniu w jedno miejsce z jedzeniem dla szczeniąt – mówi Nowak.

GPS umożliwił przede wszystkim zbadanie długich wilczych wędrówek w poszukiwaniu terytorium. W 2005 r. Instytut Badania Ssaków PAN wspólnie ze Stowarzyszeniem dla Natury „Wilk" stworzyli mapę polskich korytarzy ekologicznych. To ogólnokrajowe „autostrady" dla zwierząt, dzięki którym mogą swobodnie migrować. W 2010 r. ówczesny minister środowiska Maciej Nowicki wprowadził w Polsce sprawny system ocen oddziaływania nowych inwestycji na środowisko. Zbiegło się to z gwałtowną rozbudową sieci autostrad i dróg ekspresowych przed Euro 2012. Dzięki temu nad nowymi drogami pojawiły się przejścia dla zwierząt i większość korytarzy ekologicznych udało się utrzymać. A to dla powrotu wilka na terytorium całej Polski było absolutnie kluczowe.

Całkowity zakaz polowań na wilki przy tak dużej populacji jest wyjątkiem na skalę europejską.

– Dane z obroży pozwoliły potwierdzić, że system korytarzy ekologicznych w Polsce działa. I ustalić, że zwierzęta chętnie korzystają z szerokich przejść nad drogami, ale nie lubią wąskich i hałaśliwych tuneli pod nimi – mówi Mysłajek.

CZTERY PROCENT SZKÓD. Współdziałanie naukowców, aktywistów i korzystna sytuacja polityczna dały efekt. Na nowych technologiach i prawie skorzystały wszystkie duże drapieżniki w Polsce. Od 2000 r. populacja niedźwiedzi wzrosła o 148, rysi o 50, a wilków – o 164 procent.

– Wilków nikt nie woził i po kryjomu nie wypuszczał, jak często opowiadają myśliwi – podkreśla Nowak. – One bez udziału człowieka w ciągu kilkunastu lat zrekolonizowały centralną i zachodnią Polskę.

Całkowity zakaz polowań na wilki przy tak dużej populacji jest wyjątkiem na skalę europejską. Mimo to dość dobrze radzimy sobie z łagodzeniem konfliktu zwierzę–człowiek. Już w 1997 r., jeszcze przed wprowadzeniem ochrony, powstał system odszkodowań za szkody spowodowane przez gatunki chronione. Dziś rekompensaty dotyczą pięciu gatunków: żubrów, bobrów, rysi, niedźwiedzi i właśnie wilków.

W 2019 r. Skarb Państwa zapłacił 1,15 mln złotych za wilcze szkody – głównie zagryzione owce i cielęta. Ta kwota rośnie wraz z rosnącą populacją, ale nie zmienia się proporcja. Ze wszystkich pięciu gatunków wilki odpowiadają za zaledwie 4 proc. szkód. Prawie 90 proc. wynika z działalności bobrów, a większe straty powodują też żyjące na bardzo małym obszarze żubry.

Oczywiście niewielka to pociecha dla hodowcy, który żyje w sąsiedztwie wilków. Aż 85 proc. wilczych odszkodowań przypada na cztery województwa: podlaskie, podkarpackie, małopolskie i warmińsko-mazurskie. Zwłaszcza właściciele stad w Bieszczadach narzekają na zuchwałość drapieżników. Odszkodowania pokrywają koszt zagryzionych zwierząt, ale nie rekompensują np. stresu reszty stada.

Wiele zależy od samych hodowców i tego, jak zabezpieczą stada. Regionalne Dyrekcje Ochrony Środowiska z czterech krytycznych województw w ciągu ostatnich lat przekazały hodowcom kilkadziesiąt psów pasterskich (najczęściej owczarków podhalańskich), zestawy ogrodzeń elektrycznych i kilometry fladrów – sznurów z kawałkami kolorowego materiału.

Prof. Dries Kuijper, od lat badający wilki w Instytucie Badania Ssaków w Białowieży, tłumaczy: – Najwięcej problemów sprawiają wilki w trakcie dyspersji, szukające nowego domu. Samotnie wybierają łatwe ofiary, często owce. Wilki z ustalonym terytorium rzadko polują na zwierzęta hodowlane. Elektryczne ogrodzenia i fladry bardzo obniżają to ryzyko, choć oczywiście nic nie daje stuprocentowej gwarancji.

Sabina Nowak: – Obecność wilków w okolicy wymaga od hodowców szczególnej dbałości o zwierzęta gospodarskie. Duża hodowla, gdzie zwierzęta są zabezpieczone, poradzi sobie bez większych strat. Natomiast kilka owiec czy kóz, trzymanych bez ochrony, bo jest łąka przy domu, lub jako atrakcja dla gości kwatery agroturystycznej, szybko stanie się ofiarą wilków.

Skala problemu nie jest duża. Zwierzęta gospodarskie stanowią zaledwie 2-3 proc. masy zjadanego przez wilki pokarmu. Zaledwie 15 proc. watah zabija więcej niż pięć zwierząt rocznie. Łącznie wilki zabijają około tysiąca zwierząt gospodarskich w ciągu roku.

PIERWSZY WRÓG, PIERWSZY PRZYJACIEL. Żadne inne zwierzę nie budzi w nas takich emocji. Widać to nawet w języku – o ile niedźwiedź czy ryś może spokojnie „iść", to wilki już raczej „grasują". Wizerunek krwiożerczego, niebezpiecznego drapieżnika utrwalił się w naszych umysłach.

– To jeden z najstarszych ludzkich atawizmów – mówi Kuba Jurowicz, myśliwy z Nowego Sącza. – Wilka od zawsze się baliśmy, z wilkiem walczyliśmy. I paradoksalnie wilk jako pierwsze zwierzę został naszym przyjacielem. Statystycznie dużo większym zagrożeniem dla ludzi niż wilki są jego potomkowie, domowe psy. Również niedźwiedzie częściej atakują ludzi – w 2014 r. doszło nawet do wypadku śmiertelnego. Tymczasem ataki zdrowych wilków na ludzi od końca II wojny światowej można policzyć na palcach jednej ręki. Ostatnie zdarzyły się w 2018 r., obyło się bez poważnych obrażeń, a wilki natychmiast odstrzelono. Do poprzedniego przypadku agresji musimy się cofnąć aż do 2004 r., kiedy wilk biegł za turystami w Bieszczadach i kąsał opony auta, w którym się schronili. Okazało się, że był chory na wściekliznę.

Nie oznacza to oczywiście, że strach przed wilkiem jest bezpodstawny.

– W tym momencie nie mamy dowodów na to, by wilki traciły strach przed człowiekiem – zapewnia prof. Kuijper. – Ale coraz częstsze spotkania człowieka z drapieżnikiem podnoszą ryzyko, szczególnie w Europie Zachodniej, gdzie gęstość zaludnienia jest wysoka. Im są częstsze, tym większe prawdopodobieństwo wypadku.

Naukowcy podkreślają, że człowiek nie jest dla wilka atrakcyjnym celem ani zagrożeniem. Chyba że zwierzę nauczy się traktować go jako źródło jedzenia: bo stawiamy w lasach kosze na śmieci, nie zabezpieczamy kompostowników, a wilk jest dokarmiany przez robotników leśnych czy turystów.

Robert Mysłajek: – Szczególnie nagannym zachowaniem jest zabieranie szczeniąt do domu. Ludzie robią to ze źle pojmowanej chęci ratowania zwierzęcia albo dla zarobku. Po kilku miesiącach niedoszły opiekun się poddaje, bo podrośnięty wilk robi się nieznośny. Wypuszcza go do lasu. Tylko że taki częściowo oswojony wilk nie zna lasu, boi się go. Siedzi przy domach, szuka jedzenia, zaczepia ludzi. Dla dzikiej populacji nie ma już żadnej wartości, takie osobniki powinny być natychmiast eliminowane. Wielu osobom zastrzelenie problemowego wilka nie mieści się w głowie. Z perspektywy mieszkańca dużego miasta łatwo traktować te zwierzęta przesadnie uczuciowo. Niestety w realnym świecie trzeba rozwiązywać realne problemy, czyli to, że taki dokarmiany lub oswojony przez ludzi wilk może kogoś pogryźć. Na szczęście zdarza się to rzadko. W roku notujemy po kilka takich przypadków w Polsce.

Procedury Głównej Dyrekcji Ochrony Środowiska precyzyjnie określają sposób postępowania z problematycznymi wilkami. Jeśli zwierzę wielokrotnie pozwala podejść do siebie na mniej niż 30 metrów lub samo regularnie zbliża się do ludzi, odstrasza się je pociskami hukowymi, gumowymi kulami. Po wyczerpaniu innych rozwiązań lub w przypadku wilków agresywnych GDOŚ wydaje decyzję o redukcji populacji. Co roku na mocy takich decyzji odstrzeliwuje się około pięciu-sześciu wilków.

– Prawo mówi, że odstrzału dokonuje się, gdy nie ma alternatywy, a wilk sprawia rzeczywiste, trwałe problemy – tłumaczy Dries Kuijper. – W tym ujęciu wilk, który zaatakował jedną owcę albo po prostu przechodzi przez wieś, nie musi być od razu zastrzelony. Często to młode samce, które szukają terytorium i lądują w bardzo nieodpowiednich miejscach. A później idą dalej i problem znika.

OBROŻA POD AMBONĄ. Przy tak dużej populacji drapieżników nie da się uniknąć sytuacji konfliktowych. Raz po raz pojawiają się postulaty redukcji liczby wilków, zwłaszcza w Bieszczadach. W 2018 r. Krajowa Rada Izb Rolniczych domagała się od ministra środowiska pozwolenia na odstrzał w tym regionie. Naukowcy są w tej sprawie podzieleni. Sabina Nowak i Robert Mysłajek zdecydowanie bronią ścisłej ochrony. Henryk Okarma przychyla się do postulatów rolników i hodowców.

– Próbujemy koegzystować, ale zamiast odsuwać wilka od nas, chcemy zmieniać siebie. Wprowadzamy coraz skuteczniejsze sposoby ochrony zwierząt, jeszcze lepszą edukację. Ale to nie wystarczy. Według mnie pole kompromisu jest takie: powinniśmy zaakceptować, że nie każdy wilk jest równie cenny. Wilk, który żywi się zwierzętami hodowlanymi, włóczy się po wysypiskach albo krzyżuje się z domowym psem, nie jest wartościowy dla populacji.

Ścisła ochrona wilka od początku budziła zdecydowany opór myśliwych.

– Uważacie wilki za konkurencję? – pytam Kubę Jurowicza.

– Ta bajka często się powtarza i przynajmniej mnie zawsze śmieszyła. Ale to prawda, że wilk nie do końca wpisuje nam się w model łowiectwa. One nie czytają prawa łowieckiego. Myśliwi traktują je jako element, który pozbawiony kontroli zaburza planową i przemyślaną wizję gospodarki łowieckiej.

– Jesteś za legalnym polowaniem na wilki? – pytam.

– Myślę, że tak. Już teraz wielu z nas uważa, że ta populacja jest za duża. Jesteśmy ewenementem w Europie. Nie tylko w Hiszpanii i Rumunii, które mają największe populacje, ale też np. na Słowacji są polowania regulacyjne. Dochodzi do sytuacji konfliktowych. I wtedy niektórzy powiedzą, że mamy zejść wilkowi z drogi. Ja bym zapytał: a dlaczego? Co powinno być tolerowanym poziomem szkód? Każdy atak na zwierzęta gospodarskie, rozbity samochód, pogryziony człowiek? Dla mnie już potencjał zagrożenia jest zagrożeniem. Zdrowie i życie ludzkie cenię sobie bardziej niż zdrowie i życie zwierząt – odpowiada Jurowicz.

Nawet pomimo pełnej ochrony wilki i tak często giną od myśliwskich kul. Nielegalnie. W 2019 r. najbardziej znany wilk Roztoczańskiego Parku Narodowego, Kosy, został zastrzelony z ambony myśliwskiej. Podobnie Miko w okolicach Kluczborka. Na początku grudnia zastrzelonego wilka znaleziono kilkaset metrów od granicy Biebrzańskiego Parku Narodowego. ↦

↦ – Zaobrożowanym przez nas wilkom, takim jak Kosy czy Miko, nadajemy imiona, tak łatwiej nam o nich rozmawiać i archiwizować dane – mówi Sabina Nowak. – Zresztą są członkami zespołu. Codziennie rano włączam laptop i oglądam na mapie, gdzie były i co robiły. I jeśli nagle przestają przychodzić dane, ostatni namiar jest z pola otoczonego ambonami łowieckimi, a na miejscu widzimy urywający się pod amboną trop, to od razu jest jasne, co się stało. Jestem wówczas wściekła na myśliwych, ich przerażającą bezmyślność, krótkowzroczność i bezkarność.

Kuba Jurowicz: – Myślę, że często powodem jest jakieś poczucie misji obrony ludzkości przed wilkiem. Chciałbym wierzyć, że nikt z moich kolegów tego nie robi.

Henryk Okarma dodaje: – Mam hipotezę. Gdybyśmy np. w Bieszczadach pozwolili na odstrzał 10 sztuk rocznie, to zawieramy pewien układ społeczny. Bardzo prosty: macie 10 legalnie i ani jednej sztuki więcej. Bo inaczej limit spada do zera. Moim zdaniem to zredukowałoby kłusownictwo.

Niezależnie od targów o limity regularny odstrzał wilka wcale nie musi poprawić losu hodowców.

Dries Kuijper tłumaczy dlaczego: – Polowanie wydaje się prostą odpowiedzią, na pewno dałoby ludziom poczucie kontroli, ale może mieć negatywne skutki. Strzelając do wilków rozbijamy grupy rodzinne, a to powoduje, że samotne wilki mogą stwarzać dużo więcej problemów, częściej zabijać zwierzęta gospodarskie. Z amerykańskich doświadczeń wynika też, że nie zmniejsza się wtedy skala kłusownictwa, wręcz przeciwnie.

PO CO NAM TEN WILK? Z perspektywy biologii konserwatorskiej powyższe pytanie nie istnieje. Sensem istnienia przyrody nie jest nasza korzyść. Wilk nie biega po lasach dla nas, nie ma potrzeby przeliczać go na pieniądze. Jest wartością samą w sobie, tak jak każde inne zwierzę.

Niemniej obecność w ekosystemie szczytowego drapieżnika może nam znacząco pomóc, np. w walce z afrykańskim pomorem świń (ASF).

– Jeden wilk zabija co najmniej 20 dzików rocznie – mówi Sabina Nowak. – Ostrożnie szacując, dwa tysiące wilków w Polsce zjada 40 tysięcy dzików. W dobie walki z ASF państwo za każdego dzika wypłaca 300 złotych, za lochę 600 zł. Wilki za darmo wykonują pracę wartą 12 mln złotych.

Im więcej wiemy o wilkach, tym ciężej patrzeć na nie jak na szkodniki. Ostatnie badania pokazują, że coraz częściej polują na bobry. Szczególnie chętnie karmią nimi szczenięta. W niektórych regionach to nawet 20 proc. biomasy całego pokarmu wilka. To dla nas o tyle korzystne, że bobry, oprócz zbawiennego wpływu na retencję naszych rzek, co roku powodują milionowe straty w rolnictwie (25 razy większe od wilków). Nawet kiedy zapada decyzja GDOŚ o redukcji populacji bobra, często okazuje się, że myśliwi nie chcą wykonywać odstrzału.

– Absolutnie nikt nie chce i nie wie, jak polować na bobry – mówi Kuba Jurowicz. – Trzeba by po nocy brodzić w wodzie po żeremiach dla bardzo marnej zdobyczy. Wśród myśliwych panuje przekonanie, że te szkody są na wyrost.

Dziki i bobry to tylko dodatek w wilczej diecie. Ich głównym pożywieniem są sarny i jelenie. – Gdyby nie wilki, kopytnych w Białowieży byłoby o 15 proc. więcej – tłumaczy Dries Kuijper. – Ale nie tylko liczby są istotne. Obecność drapieżnika wpływa na zachowanie saren i jeleni. Tworzą się tzw. krajobrazy strachu, czyli miejsca, których ofiary unikają. W tych rejonach roślinożercy zgryzają mniej młodych drzew i małych roślin. W ten sposób wilki stymulują proces odradzania się lasu. W „krajobrazach strachu" większe szanse na wzrost mają odmiany drzew podatne na żerowanie jeleni.

Oczywiście wilki nie zahamują wzrostu populacji kopytnych, bo ten wynika z wielu czynników, m.in. z prawie nieograniczonej ilości jedzenia dostępnej na polach uprawnych. Ale na pewno pomagają kontrolować ich populację. To też przekłada się na konkretne sumy w budżecie – tylko w 2018 r. Polski Związek Łowiecki i Lasy Państwowe wypłaciły 91 mln złotych odszkodowań za szkody wyrządzone przez ssaki kopytne.

Wilki jako szczytowy drapieżnik mają ogromny wpływ na cały ekosystem. Pozostałości ich ofiar są pożywieniem dla dziesiątek innych zwierząt. Stabilne populacje rzadkich gatunków to też potencjał do rozwoju ekoturystyki. Wystarczy spojrzeć na Białowieżę, gdzie tylko odwiedzający puszczę ornitolodzy zostawiają około 9 mln złotych rocznie.

TRUDNE SĄSIEDZTWO. Najsłynniejsza historia powrotu wilka wydarzyła się poza Europą. W 1995 r. kilkanaście przywiezionych z Kanady osobników wypuszczono w parku narodowym Yellowstone w USA. Ostatniego wilka naturalnie zamieszkującego Yellowstone zastrzelono prawie 70 lat wcześniej. Przez ten czas populacja jelenia wapiti, pozbawionego naturalnego wroga, zdominowała ekosystem. Jelenie zgryzając młode drzewa pozbawiły Yellowstone całych połaci lasu, zupełnie zmieniając oblicze parku. Wilki w ciągu kilkunastu lat przyczyniły się do zredukowania liczby jeleni, dostarczając pożywienie wielu innym gatunkom, a zarazem umożliwiając odtworzenie lasów.

– Amerykański model ochrony tego gatunku opiera się na całkowitym przestrzennym oddzieleniu wilka od człowieka – mówi Henryk Okarma. W gęsto zaludnionej Europie, może poza Skandynawią, taki model jest nierealny. Sam park narodowy Yellowstone ma powierzchnię porównywalną do Cypru. Największy w Polsce Biebrzański Park Narodowy jest ponad 15 razy mniejszy. Zmieściłyby się tam dwie, może trzy watahy.

– Model europejski miał pokazać, że możliwe jest pokojowe współistnienie człowieka i wilka bez oddzielania przestrzennego – dodaje biolog.

Pokojowe, choć czasem trudne sąsiedztwo i powrót dużych drapieżników to jeden z największych sukcesów polskiej ochrony przyrody. Model ten nie jest jednak uniwersalny. Trudno wyobrazić sobie tak dużą populację wilka w gęsto zaludnionej Holandii, gdzie lasy stanowią zaledwie 15 proc. powierzchni (w Polsce to około 30 proc.). Podobnie nierealna jest pełna ochrona wilka w Alpach, gdzie bydło i owce wypasa się bez opieki na alpejskich halach. W krajach, gdzie wilki zostały wybite do zera, ich powrót wywołuje bardzo silny opór społeczny. W Polsce ten scenariusz prawie się wydarzył.

– Społeczeństwo bardzo dobrze przyjmuje taką narrację: mamy sukces, uratowaliśmy szczytowego drapieżnika w kraju – opowiada Henryk Okarma. – Ale od razu kusi nas piękna myśl, że powrotem wilka odbudowaliśmy pierwotność. Ten ekosystem sprzed wieków, którego wilk jest symbolem. Poprawiamy sobie samopoczucie, bo mamy wrażenie, że odkupiliśmy swoje winy w stosunku do przyrody. A to nieprawda. Tam, gdzie człowiek ma najwięcej do powiedzenia, nie ma powrotu do stanu pierwotnego.

© KRZYSZTOF STORY

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 51-52/2020

WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ OD SPOTKANIA

ZACHĘTA

TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

160 LAT TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

DOMINIKA OLSZOWY:

PRACA „PEEP SHOW” powstała na wystawę „Gdybym był księżycem” w Galerii Raster, mówiącą o intymnych relacjach sztuki z wódką, skupioną wokół prac dokumentujących osobiste zmagania artystów z nałogiem. Nie mam pojęcia, dlaczego zostałam na nią zaproszona, ale potraktowałam to poważnie, bo skoro ktoś ujmuje mnie w relacji z alkoholem, to może warto się temu przyjrzeć. W oknach rozwiesiłam betonowe pranie. Kompozycja na pierwszy rzut oka miała przypominać witrynę domu odzieżowego. Powykrzywiane w pozach cementowe ubrania tworzyły teatrzyk duchów, zastygłych widm pijaków. Był to pokaz towaru zmór widzialnych dla przechodniów, ale niewidzialnych dla samych siebie. Mimowolny striptiz, z którego główny bohater nie zdaje sobie sprawy.
Lubię balansować na pograniczu prawdy i konfabulacji. Prace, które tworzę, traktuję jak amulety zaklinające pogrążoną w kryzysie rzeczywistość. Bazuję na doświadczeniach osobistych, które przetwarzam w uniwersalne, przepełnione humorem wypowiedzi.

Dominika Olszowy (ur. 1993) jest artystką wizualną, autorką instalacji i performansów. Laureatka nagrody „Spojrzenia 2019 – Nagroda Deutsche Bank”.

Miejsce artystów i miłośników sztuki

W grudniu mija 160 lat od założenia Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, które dało początek dzisiejszej Zachęcie. Od początku istnienia Galerii obowiązywała zasada ustanowiona przez ojców-założycieli: artyści i mecenasi – razem współpracujący.

PIOTR KOSIEWSKI: W 1860 r. artyści i miłośnicy sztuki powołali Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych (TZSP); działało do wybuchu II wojny światowej. Po jej zakończeniu TZSP nie zdołało się reaktywować, a w 1949 r. władze powołały Centralne Biuro Wystaw Artystycznych (CBWA), którego siedzibą stał się ocalały gmach. Na ile tradycja TZSP była ważnym punktem odniesienia dla Zachęty po przełomie roku 1989?

PAWEŁ SOSNOWSKI: Towarzystwo reaktywowano jako reakcję na to, co zrobił z Zachętą komunizm: najważniejsza galeria Warszawy stała się „biurem sztuki”, miejscem dystrybuowania twórczości artystycznej w kraju i poza jego granicami. Instytucją, która przez ministerstwo kultury była (i po 1989 r. także bywała) traktowana jako jego rubieże.

Ideą Barbary Majewskiej, która po przemianach została pierwszym dyrektorem Zachęty, był powrót do jej istoty, czyli instytucji społecznej. Tyle że TZSP okazało się sięgnięciem – pod koniec XX wieku – po pióro ze stalówką i dorożkę. Dawna Zachęta była potęgą działającą na całkowitym pustkowiu – przed nią nie było żadnej galerii w Warszawie. Po roku od założenia ówczesne Towarzystwo miało 1500 członków i 8 tys. rubli przychodu ze składek, co było wtedy kolosalną sumą. Zgromadzono olbrzymie zbiory, w 1900 r. wzniesiono własny gmach. Była to instytucja całkowicie prywatna, państwo do niej się nie dokładało.

W 1990 r. Zachęta nadal była największym i najlepiej wyposażonym salonem wystawienniczym w Warszawie, ale nie jedynym. I co najważniejsze, wszyscy, nawet reaktywujący TZSP, przede wszystkim patrzyliśmy w przyszłość.

HANNA WRÓBLEWSKA: Dla Barbary Majewskiej powstanie nowego TZSP oraz zmiana oficjalnej nazwy galerii z CBWA na Zachętę było rodzajem grubej kreski. Przekreśleniem przede wszystkim lat 80., czyli bojkotu tego miejsca po ogłoszeniu stanu wojennego. Wracamy zatem do dawnego TZSP, ale z nowymi ludźmi oraz nową definicją galerii, nie będącej już zbrojnym ramieniem ministerstwa kultury, tylko galerią autorską czy też raczej kuratorską, gdzie o programie decyduje misja instytucji. Jako galerii społecznej, a nie państwowej. Historia była ważna, bo dawała przepustkę w przyszłość. Można się powołać na coś innego niż PRL-owska przeszłość.

Dzisiaj już inaczej patrzymy na ten czas. W ostatnich dekadach na nowo mówimy o życiu artystycznym w okresie PRL-u – nie tylko w kategoriach wyparcia czy negacji, ale budowania nowej historii sztuki. Powstają nawet galerie prywatne, które nazywają się Biurem Wystaw czy Biurem Wystaw Artystycznych! Reaktywuje się sieć samorządowych BWA jako organizm nieformalny i społeczny. Badamy polskie życie artystyczne lat 50., 60. i 70.

MAREK KRZYŻANEK / ZACHĘTA

Z KOLEKCJI ZACHĘTY
DOMINIKA OLSZOWY *„Peep show” (fragment), rzeźba, elementy z tkaniny utwardzonej zaprawą cementową, 2018 r.*

Na ile udało się wskrzesić dawne TZSP?

PS: Szybko się okazało, że te dwa organizmy, czyli państwowy i prywatny (TZSP było odrębnym bytem), nie bardzo potrafią się ze sobą ułożyć. Wszystko odbywało się bez sztywnych umów i regulacji. Poza tym po roku od reaktywacji mieliśmy tylko stu, a nie 1500 członków i brak pieniędzy na koncie. To wszystko nie sprzyjało współpracy, a nawet prowadziło do konfliktów, tak że w pewnym momencie siedziba TZSP znalazła się poza galerią. Myślę, że było zbyt wcześnie na tworzenie takiego bytu.

Jak jest teraz?

HW: Obecnie TZSP znalazło swoją tożsamość w symbiozie z Zachętą, nie tracąc podmiotowości i „osobności". Pod przewodnictwem obecnej prezeski Natalii Hojny zajęło się – w ścisłej współpracy z galerią – kwestiami edukacyjnymi. Prowadzi bardzo ciekawy projekt dla nauczycieli spoza Warszawy – „Alfabet sztuki". Pomaga także w powiększaniu naszej kolekcji. Pracujemy razem nad digitalizacją zbiorów i zasobów archiwalnych.

A na ile udało się na nowo zdefiniować Zachętę rozumianą jako konkretne miejsce?

PS: Pamiętajmy, że sytuacja na początku lat 90. była dramatyczna. Zachęta miała stałe problemy z podstawowymi funduszami, gmach był w złym stanie, do tego ogromne perypetie z zaczętą wcześniej rozbudową. A równocześnie udało się jej bardzo dobrze wejść w nowoczesny system artystyczny. Pojawiły się autorskie wystawy, nawet zagraniczne, co poprzednio było rzadkością. W tej chwili jest to olbrzymi organizm, który można porównać do tego, czym była Zachęta przed II wojną, czyli quasi-ministerstwa kultury.

HW: Ale też jesteśmy jedną z wielu galerii i muzeów zajmujących się sztuką współczesną. Znikła dawna presja. A zdefiniowanie się na nowo? Tak. Na tyle, na ile było i jest to potrzebne. Przy czym instytucję definiują nie tylko okoliczności czy prawo, ale też ludzie, którzy w niej pracują i nią kierują, jak Barbara Majewska, Anda Rottenberg i Agnieszka Morawińska, oraz artyści, którzy tu pracują, tu tworzą i są tu pokazywani.

„Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych (...) ma na celu rozkrzewianie sztuk pięknych w kraju" – to pierwszy artykuł dokumentu powołującego w 1860 r. TZSP. Czy i dzisiaj upowszechnianie jest dla Zachęty ważnym zadaniem?

PS: 160 lat temu dostęp do sztuki był trudny. Zachęcanie do sztuki było wówczas równie wielkim wyzwaniem jak zdobycie bieguna północnego. Dzisiaj „upowszechnianie" stało się czymś oczywistym. Każda galeria czy muzeum to robi.

HW: „Upowszechnianie" stało się dziś słowem-wytrychem, ale jeżeli popatrzymy na historię Zachęty jako całość, to funkcja edukacyjna zawsze była bardzo ważna. Przy tworzeniu CBWA dział oświatowy był jednym z dwóch, które wówczas powołano. W PRL-u Zachęta organizowała wystawy edukacyjne w różnych miejscach Polski (mamy m.in. duży zbiór Stażewskiego, Winiarskiego czy Erny Rosenstein, których prace trafiły do nas dzięki ówczesnej kierowniczce działu oświatowego Bożenie Kowalskiej), ale też działało Koło Młodych Miłośników Sztuki, formacyjne doświadczenie dla wielu ważnych potem postaci ze świata nauki, kultury czy edukacji.

W dokumencie z 1860 r. jest też mowa o niesieniu „pomocy i zachęty artystom".

PS: Dlatego TZSP od samego początku kupowało dzieła, zarówno do własnych zbiorów, jak też do rozlosowania wśród członków. Zachęta była rodzajem śluzy, miejscem autoryzacji jakości sztuki.

HW: Dzisiaj możemy pilnować standardów we współpracy z artystami: przygotowywać dobre wystawy, wydawać – jeżeli trzeba – katalogi. Pamiętać, że artyście za pracę należy się wynagrodzenie. Jeżeli kupujemy dzieła do kolekcji, to dla jej dopełnienia – nie jest to forma pomocy.

Natomiast teraz, w pandemii, ujawniły się słabości czy niedostatki systemu, w którym muszą funkcjonować artyści. Dlatego TZSP postanowiło nie kupować kolejnych dzieł, powstaje natomiast program 160 stypendiów na 160 lat Zachęty. To jednorazowe stypendia dla twórców ↦

ZUZA GOLIŃSKA:

POSTAPOKALIPTYCZNE WIZJE, kiedyś aktywnie eksplorowane przez popkulturę i traktowane jako naiwne, dzisiaj stanowią naturalną część naszej rzeczywistości. Słońce, i jego wpływ na nasze życie, stało się punktem wyjścia do stworzenia totemów „Suns". Ich przestrzenny układ nawiązuje do miejsca kultu, charakterystycznego dla religii słowiańskich, które czciły Solntse – boginię słońca. Intensywny zimnożółty kolor rzeźb sprawia wrażenie toksycznego. Totemy zostały wykonane z recyklingowanej czarnej stali ze Stoczni Gdańskiej, pokryte żółtym proszkiem i wypalone w temperaturze 240°C.
W moich pracach badam wpływ przestrzeni i architektury na człowieka. Analizuję relacje między sferą publiczną a sferą prywatną. Interesuje mnie wpływ przestrzeni wspólnej na zmiany polityczno-społeczne. Zastanawiam się, co oznacza bycie razem i na ile jest ono możliwe w dzisiejszych czasach. Czy dzięki odpowiednio skonstruowanej przestrzeni można stworzyć wspólnotę?

Zuza Golińska (ur. 1990) jest artystką wizualną, autorką instalacji, rzeźb, performansów oraz wideo.

ZACHĘTA

Z KOLEKCJI ZACHĘTY
ZUZA GOLIŃSKA *„Suns totem II", stal recyklingowana, farba proszkowa (poliestrowa) 197 x 32,5 x 21 cm, 2019 r.*

↦ obecnych w naszej kolekcji. Nie chcemy, by w zamian produkowali dla nas dzieła. Prosimy tylko o jakiś gest, nawet symboliczny: komentarz do swej pracy, udział w filmie, archiwalne zdjęcie.

Dawne TZSP posiadało imponujące zbiory – w znacznej części przechowywane dziś w warszawskim Muzeum Narodowym. Niejednokrotnie to dzieła ikoniczne dla polskiej sztuki, jak „Bitwa pod Grunwaldem" Matejki, „Kuropatwy" Chełmońskiego czy „Altana" Aleksandra Gierymskiego. Po 1989 r. Zachęta ponownie zaczęła tworzyć własną kolekcję.

HW: Tak, ale nie jest to kolekcja muzealna, chociaż mamy dzieła o muzealnej wartości. Pełni ona funkcję pomocniczą w stosunku do naszych działań upowszechniania sztuki. Są w niej prace związane z historią naszej instytucji i artyści, którzy z nami współpracują. Część dzieł powstaje w związku z przygotowywanymi przez nas wystawami, a także dla polskiego pawilonu na Biennale Sztuki w Wenecji.

W obecnej kolekcji są prace pozostałe po CBWA – kupowano je w ramach pomocy od państwa, a następnie dystrybuowano po innych galeriach. Ważny jest wspomniany już zbiór stworzony przez Bożenę Kowalską. Z zakupów po roku 1989 mocny akcent tworzą prace nabyte przez Andę Rottenberg. Jako jedynej udało się jej tak wcześnie nabyć dla instytucji publicznej dobry zbiór sztuki krytycznej.

Co ważne – z małymi wyjątkami, jak powstały w 2012 r. rysunek Marlene Dumas przedstawiający prezydenta Narutowicza – to kolekcja sztuki polskiej. Chcemy, by była żywa. Nie możemy posiadanych prac stale eksponować, ale mamy ambicje, by je jak najczęściej wypożyczać.

Czym więc dziś jest Zachęta i jej historia?

HW: Jesteśmy instytucją o tożsamości hybrydowej – nie ma innego wspólnego mianownika oprócz nazwy i misji upowszechniania sztuki współczesnej swoim czasom. Czym innym przecież było TZSP do 1900 r., kiedy otwarto obecny gmach. Wcześniej działało w różnych miejscach i pamiętajmy, że np. słynny skandal z pocięciem przez Podkowińskiego własnego „Szału uniesień" nie rozegrał się w gmachu przy pl. Małachowskiego. Lata 1900–1940/1948 to historia TZSP we własnym gmachu, a następnie historia CBWA w tym samym budynku. Wreszcie III RP to państwowa galeria sztuki Zachęta (dziś Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki) i reaktywowane TZSP. Wszystkie te elementy układają się w pewną, dość dziwną, ale całość.

A jak się zmienią instytucje sztuki, w tym Zachęta, po pandemii?

PS: To tsunami nie zniszczyło struktur. Wysprząta się błoto i wszystko – w przypadku Zachęty i innych dużych instytucji – zapewne wróci do normalności. Inaczej może być z mniejszymi, w tym prywatnymi galeriami. Na pewno rzeczywistość sztuki zostanie mocno zrewidowana. Jest też pytanie, jak czas pandemii oddziała na psychikę artystów i odbiorców. Dla stowarzyszeń takich jak TZSP pojawią się nowe wyzwania i nowe pola działania.

HW: Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Na pewno wiem, że przy często zamkniętej dla zwiedzających galerii pracujemy, i to nawet więcej. Trwają działania *online*: edukacyjne, promocyjne czy dokumentacyjne. Jednak galeria bez publiczności i wystaw ma trochę mniejszy sens. Nie przejdziemy na stałe na tryb zdalny. Ale jest jeszcze środowisko artystyczne. Także w czasie pandemii. I naszą troską jest, by przetrwało. Pandemia nie wyklucza naszej współpracy z artystami. Od 160 lat nic się nie zmieniło. Od początku istnienia Zachęty obowiązywała zasada ustanowiona przez ojców-założycieli: artyści i mecenasi – razem współpracujący.

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI

HANNA WRÓBLEWSKA *jest historyczką sztuki i kuratorką, od 2010 r. dyrektorką Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki.*

PAWEŁ SOSNOWSKI *jest historykiem sztuki, kuratorem, autorem programów i filmów telewizyjnych, właścicielem galerii. Był pierwszym prezesem odrodzonego TZSP.*

Z KOLEKCJI ZACHĘTY
LILIANA PISKORSKA
„Silne siostry powiedziały braciom", wideo 30', 2019 r.
Praca zakupiona do kolekcji przez TZSP.

Wyjście ku innym

KATARZYNA KASIA

Nie wiem, czy potrafię odtworzyć w pamięci moje pierwsze zetknięcie z Zachętą. Bardzo dobrze natomiast pamiętam zdziwienie i specyficzny rodzaj niezgody, jakie mi wielokrotnie towarzyszyły podczas wizyt w galerii: to ma być sztuka?

Z tego prostego pytania wyrosły lata późniejszych studiów i nieustanna chęć pogłębiania wiedzy o tajemnicy doświadczenia, które nie zawsze przecież jest czystym zachwytem. Czasem wymaga o wiele więcej skupienia, konstruowania, interpretowania, rozumienia, niestrudzonego zadawania pytań i myślenia. Bywa to rozczarowujące, kiedy prawda dzieła nie chce się objawić. Bywa krępujące, kiedy nie sposób uczestniczyć w powszechnym zainteresowaniu. Ale bywa również źródłem największej dostępnej satysfakcji, kiedy nagle udaje się stanąć z dziełem twarzą w twarz i nie można już powrócić do tej siebie, która nie rozumiała, nie przeżyła, nie widziała. Takie doświadczenie zmienia w sposób trwały, trzeba tylko trochę wytrwałości.

W skomplikowaniu współczesnego świata mam skłonność do szukania uproszczeń. Tęsknię za jasnością odpowiedzi, za prostotą czarno-białych wizji. Ale – w ogromnej mierze dzięki sztuce – wiem, że są one fundamentalnie nieprawdziwe, bo powierzchowne. A chodzi przecież o to, żeby czegoś naprawdę dotknąć, żeby móc w to wniknąć, poddać się zdziwieniu możliwemu jedynie wtedy, kiedy uda się całkowicie skupić uwagę. Takie skupienie jednak wymaga zachęty, nie dzieje się samo.

160 lat temu powstało w Warszawie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, które za cel stawiało sobie wspieranie polskiej sztuki: zaczęto gromadzić kolekcję, organizować wystawy, fundować stypendia dla młodych artystów oraz edukować publiczność. Te działania wyrastały z bardzo głębokiego przekonania o doniosłym społecznym znaczeniu sztuki, która nie jest zbytkiem dla nielicznych, ale wręcz odwrotnie, jest tym, wokół czego tworzy się wspólnota, oparta na doświadczeniu zarazem osobistym i – jak pisał Kant – dążącym do największej powszechnej ważności.

Poczucie, że jesteśmy razem, nie opiera się wyłącznie na wspólnym przeżywaniu codzienności, ale na odnajdowaniu się w tych *loci communes*, które artyści potrafią pokazać. Jakkolwiek patetycznie to zabrzmi, sztuka może otworzyć dostępną subiektywnie perspektywę, pozwalającą na zobaczenie całości, na wyjście poza partykularność ku rzeczywistości innego, innej, innych. Takie doświadczenie emancypuje, ale jest trudne, ponieważ wymaga wyjścia poza strefę komfortowej oczywistości.

160 lat później potrzebujemy sztuki co najmniej tak samo, chociaż zmieniła się sytuacja i inaczej wyglądają mapy. Zachęta również jest co najmniej tak samo potrzebna. Nie tylko w przestrzeni edukacji estetycznej i instytucji, ale również tam, gdzie pandemia spowodowała gigantyczny kryzys, w życiu artystek i artystów.

Przetaczające się przez Polskę dyskusje o projektach niesienia im wsparcia wytykają liczne w nich braki i błędy. Prawdziwym problemem jest jednak to, że całkowicie zginęło przekonanie o fundamentalnym znaczeniu sztuki dla społeczeństwa, o tym, że nie jest ona jakimś nieistotnym dodatkiem, ale sprawą najwyższej wagi właśnie dlatego, że mówi rzeczy niewygodne, zaskakujące, budzące niezgodę. Jestem pewna, że w 1860 r. też były „ważniejsze" sprawy, i odczuwam wielką wdzięczność dla Aleksandra Lessera, Wojciecha Gersona, Alfreda Schouppego i Marcina Olszyńskiego za to, że w tę bzdurę nie uwierzyli. ©

KATARZYNA KASIA – filozofka, prodziekan Wydziału Zarządzania Kulturą Wizualną Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

LILIANA PISKORSKA:

„SILNE SIOSTRY POWIEDZIAŁY BRACIOM" to audiowizualna opowieść – kolaż złożony z trzech queerowych i lesbijskich tekstów opublikowanych jako protestacyjne ulotki przez grupy aktywistyczne z USA. Materiały powstawały od lat 70. do początku lat 90., zostały przeze mnie przetłumaczone i zaktualizowane, by zafunkcjonować jako polskojęzyczny utwór – lustro, poprzez które możemy nie tylko zobaczyć, ale przede wszystkim zrozumieć doświadczenie życia dyskryminowanej osoby LGBT w Polsce. Głęboki kobiecy głos prowadzi nas przez gęstą roślinność, przez pokrzywy, trawy i nawłoć, wszystkie te rośliny, które często nazywamy nieużytkiem lub chwastem. Tytułowe „silne siostry" są nie tylko tym, co queerowe, ale także tym, co pozaludzkie, postludzkie, roślinne.
Podczas pracy nad tym wideo zastanawiałam się, jak opowiadać historie, by dzięki nim wyobrażać sobie nawzajem swoje stany i emocje. Emocje, które są często skrajne, graniczne i trudne do zrozumienia, bo przecież i nasze życiowe doświadczenia są od siebie tak odległe. Uważam, że sztuka jest jedną z niewielu przestrzeni, która to umożliwia.

Liliana Piskorska (ur. 1988) jest artystką intermedialną, performerką i aktywistką. Laureatka nagrody publiczności „Spojrzenia 2019 – Nagroda Deutsche Bank".

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 51-52/2020
REDAKCJA: Piotr Kosiewski | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
Na okładce: Otwarcie wystawy „Joanna Piotrowska. Zaduch", w tle praca „Rękawice do trzymania zwierząt", 2019 r. | MAGDA HUECKEL / ARCH. ZACHĘTY
PARTNERZY WYDANIA ZACHĘTA TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH

O BYCIU RAZEM

Indianie, pancerni, detektywi z Niziurskiego i dzieci kwiaty – tak to się wszystko zaczęło.

MAREK BIEŃCZYK

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Jako chłopiec zaczytywałem się w powieściach Karola Maya. W rezultacie bliskiemu kręgowi szkolnemu narzuciłem siebie jako Winnetou; paru kumpli miało tworzyć rodzaj plemienia. Biłem się kiepsko, więc pierwszą w życiu wspólnotę musiałem oprzeć na ideach pacyfistycznych. Lecz nasza plemienność nie była jednorodna, realizowała się na kilka sposobów, etos indiański mieszał się np. z etosem pancernym. Bo najbardziej spektakularnym doświadczeniem dla ówczesnych dzieci był Klub Czterech Pancernych – telewizja, wykorzystując do pedagogicznej pracy serial z Jankiem Kosem jako głównym bohaterem, zorganizowała bojowy ciąg dalszy w postaci klubowej sieci. Utworzyliśmy komandę: załoga Rudego i czołg. Do tego powinniśmy mieć zwierzaka, najlepiej psa Szarika, lecz zastąpiliśmy go kotem, gdyż Maciek, jeden z pancernych, miał go w domu. Wysłaliśmy zgłoszenie do Klubu i zostaliśmy przyjęci. Klub się szybko rozpadł, marzenia przetrwały. A rozpadł się, bo nie było bluesa, poczucia, że się jest w kontrze do świata dorosłych, to znaczy, że się jest prześladowanym outsiderem, poza prawem – czyli nie było tego, co przynosiła w darze plemienna wspólnota indiańska.

Trwalsza okazała się odsłona wspólnoty dzielnicowej – tworzyliśmy ją we czwórkę, banda prywatnych detektywów, wszyscy z Grochowa. Nasza grupowa aktywność sprowadzała się do tego, że robiliśmy selekcję osób w dzielnicy najbardziej podejrzanych. Np. obserwowaliśmy faceta w błękitnym garniturze, który nie pracował, ale o 11. rano gdzieś szedł pewnym krokiem, co wydawało się nam bardzo dziwne. „Elegancik", tak go nazywaliśmy. W tych naszych śledztwach ewidentnie odbijają się echa lektur Niziurskiego. Pisywaliśmy dla tych osób wyimaginowane przez nas biografie, lecz znając życie, znając Grochów, znając realia tamtych lat, powiedziałbym, że to nie były bardzo błędne interpretacje; ci śledzeni przez nas ludzie na pewno mieli coś za uszami.

Pamiętam scenę – i to w pewnym sensie był punkt przełomowy dla naszej indiańskiej wspólnoty – kiedy w trakcie przerwy doszło do jakichś gorszących ekscesów, wydarzyło się coś wbrew regulaminowi,

nie pamiętam szczegółów, za wyjątkiem tego, że nabroiliśmy. Do klasy wparował nauczyciel, pyta, kto to zrobił, a my, jako Indianie, na ochotnika i honorowo wzięliśmy winę na siebie. Tyle że jeden kumpel się wycofał, przestraszył się odpowiedzialności. W ten sposób nasza wspólnota indiańska rozpadła się – zrozumieliśmy, że nie nadajemy na tych samych etycznych falach.

Potem w moim życiu przynależałem do kilku wspólnot, kolejna fundamentalna – dzieci kwiatów – była w liceum. Trudno uwierzyć, patrząc na mnie dzisiaj, że włosy miałem do łokcia (Leszek, mój przyjaciel ze szkoły, który miał włosy do pasa, dziś jest łysy). To był znak wyróżniający: hippisowska czy raczej parahippisowska otoczka była absolutnie dla nas najważniejsza – wyrażała bunt, który w sposób naturalny budził się w wieku lat 15, 16, 17. Mieliśmy poczucie, że buntując się przeciw komunie, buntowaliśmy się jeszcze bardziej przeciwko zgredom, mieszczanom, kabotynom – naturalnym wrogom naszego pokolenia; w istocie bunt antymieszczański był wtedy ważniejszy niż polityczny, choć oczywiście Grudzień '70 bardzo nas poruszył i był istotny. Zresztą muszę dodać, że w moim środowisku nastroje antykomunistyczne były czymś naturalnym i – chwała np. mojemu liceum – nie byliśmy za nie sekowani.

W tamtym czasie uwyraźniły się dwie subkultury – odrębne i wrogie – dzieci kwiatów i gitów. Podział między nimi był na tyle wyrazisty, że towarzyszył temu strach. Grochów w przeważającej części był gitowski, dlatego musiałem przemykać chyłkiem ulicami. Trochę było w tym prowokacji, a trochę potrzeby odnajdywania swoich w nieprzyjaznym otoczeniu. Pamiętam, że kiedyś poszliśmy z Leszkiem Długowłosym na dyskotekę, na której tańczyło sporo gitów.

Taniec gitów to były dwie, trzy figury, wysunięta dolna szczęka, zaciśnięte zęby i pięści. Taniec hippisów był dziki, nie miał żadnych wyznaczników, poza tym, że się potrząsało fryzurą i dążyło do upojenia, całkowitego oddania się muzyce. Konsekwencją jest to, że choć mam wyczucie rytmu dosyć dobre, do dzisiaj nie nauczyłem się tańczyć, bo tamten taniec wspólnotowy nie obejmował żadnej z technik, w każdym razie kobietom ciężko było z nami tańczyć.

Ale wracając do tej dyskoteki: pojawił się na niej pedagog, który próbował łączyć grupy. Pragnął, byśmy wszyscy tańczyli razem, jakby działał w imię hasła: polska młodzież tańczy razem. To było jednak niemożliwe, dziś byśmy powiedzieli: dwie Polski. Z Leszkiem Długowłosym wypatrzyliśmy, że tam było dwóch hippisów, parę lat starszych, co nie było bez znaczenia, bo od razu stali się naszymi duchowymi przywódcami. I tak żeśmy się z nimi trzymali, że w tej wspólnocie wymknęliśmy się coraz bardziej agresywnej grupie gitów i pojechaliśmy na Nowy Świat, kolebki warszawskiego hippisiarstwa.

Po wyglądzie rozpoznawało się ludzi, kto swój, a kto nie swój. Pamiętam późniejszą scenę: miałem 18 lat i byłem na ostatnich wspólnych wczasach z rodzicami. Grałem w brydża ze zgredami, bo nie bardzo było co robić. I tam był starszy ode mnie facet z długimi włosami. Patrzyłem na niego z pewną sympatią, a on na mnie też. I któregoś dnia, kiedy grałem w tego brydża, a miałem świetne karty na szlemika bez atu, podszedł do mnie i powiedział: „Słuchaj, stary, czy napiłbyś się ze mną wódki?". Złożyłem karty, powiedziałem: „Przepraszam państwa" i z nim poszedłem. Odpowiedziałem na zew. I założyliśmy inną wspólnotę – on był jej guru. To była wspólnota teatralna, pod wpływem nauk Grotowskiego i Teatru Ósmego Dnia, którego aktorzy przyjeżdżali do nas na warsztaty pokazać, jak się robi teatr otwarty. Czyli kolejna wspólnota, która wypączkowała z tego samego hippisowskiego daru ideowego, tyle że już miała szersze ambicje: społeczne i artystyczne. Ta teatralno-rodzinna wspólnota w pierwotnym składzie przetrwała dwa lata, minęły jeszcze trzy i przyszła Solidarność. ©

▪ Na podstawie wywiadu przeprowadzonego w kwietniu 2020 r. przez Katarzynę Kubisiowską w ramach podkastowego cyklu „Rozmowy o byciu razem". Opowieści Katarzyny Nosowskiej, Anny Dymnej, Jana Peszka, Adama Wajraka i Wojciecha Manna można znaleźć w „Święcie spotkania" – wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego".

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK

WIELKIE PYTANIA NA NOWO: MORALNOŚĆ

A w nim między innymi:
▪ skąd się biorą psychopaci ▪ czy przy narodzinach dziecka powinniśmy płakać ▪ co o naszej uczciwości mówią eksperymenty ▪ czy etyka i prawo wynikają z natury ▪ dlaczego wybiórczo czytamy Biblię ▪ koszty i korzyści życia w społeczeństwie ▪ rozmowa z filozofem Jessem Prinzem o naszym wewnętrznym kompasie moralnym.

weź, czytaj!

STANISŁAW

Mancewicz:
Bim-bom

Uzbierało się nieco tematów i myśli, jak to przed Świętami. Popatrzmy dziś na sprawy najprostsze, najłatwiejsze do interpretacji, najmilsze sercu, bezproblemowe i zwykłe, bo ostatnie dni były takie piękne.

Oto przybyły tu w ściśle własnych, ogromnie oczywiście szemranych interesach Madziar użył wobec p. Kaczyńskiego formy „Jego Ekscelencja". Buty spadają, trzeba powiedzieć krótko, po naszemu. Jest to wybryk może i niewinny, jednak rzec trzeba, jak może być brzemienny. Oczekiwanie, że ta tytulatura przylgnie, że tak będą mówić do p. Kaczyńskiego albo o nim tzw. dziennikarze, tzw. pisarze, tzw. politycy, jest bardzo realne i z naszego punktu widzenia oczekiwane. Do tego stopnia, że możemy zacząć, możemy się podłożyć i zainicjować. No więc skoro Jego Ekscelencja jest w Polsce realna, to – popatrzmy – cóż powiedzieć o tym: na przynajmniej dwu fotografiach zrobionych na różnych spotkaniach z Madziarem Jego Ekscelencja ma całkowicie zasłoniętą twarz, wraz z oczyma. Jest to najwyraźniej jakby nikab, założony z jakiegoś powodu. Nikab na twarzy Jego Ekscelencji musi dać powód do snucia domysłów, zwłaszcza dla każdego człowieka skłonnego do gibkości i do zadawania przedświątecznych pytań.

Czy ów Madziar wiedział na pewno, gdzie jest? Czy miał pewność – pytamy – czy aby nie jest z wizytą u jakiejś bliskowschodniej Jej Ekscelencji? Bądź dajmy na to w haremie w Brukseli, bądź na planie węgierskiego filmu o przyjaźni polsko-tureckiej? Tego nie wiemy, a szkoda. Popatrzmy teraz z drugiej strony. Czy Jego Ekscelencja włożył nikab dla jaj? Czy to jakiś zakład, który powstał w ramach jego aktywności na Tik-Toku? Jakiś performans artystyczny? Jakieś – za przeproszeniem – rodeo? Czy raczej Jego Ekscelencja chciał po prostu zniknąć, gdy zrozumiał, że Madziar zabrał go właśnie na wakacje od rozumu, czyli na spacer, który mógł się zakończyć obraniem Polski z forsy do kości. Wydarzenia ostatnich miesięcy, od pomysłu kurczowego trzymania się u władzy w dobie niebywałego kryzysu po jedzone w nikabie kolacje z Madziarem, wskazują, że odwieczne opinie, jakoby Jego Ekscelencja był geniuszem i wizjonerem politycznym, są nieaktualne. My, zwierzęta polityczne, powinniśmy to powiedzieć na głos, oczywiście w Wigilię.

Doprawdy, grzebanie w tej ściółce, gdy pada śnieg bim-bom, jest trudne, ale ma oczywiście kolosalną przyszłość. Są to – jako się rzekło – znakomite pytania i tematy do rozważań wigilijnych, gdy podzielone światopoglądowo rodziny polskie siadają sobie do wieczerzy. Rzecz jasna w gronie większym niż pięcioosobowe, a więc też w ponurym przeczuciu, że lada moment, dzięki życzliwości sąsiedzkiej, na kolację wtargną zamaskowani tajniacy z teleskopowymi pałami. Owi, rzecz jasna, rozgonią towarzystwo i wyjedzą karpia. Dość tych żartów, stop, bowiem niebo się nam niepokojąco rozgwieżdża.

Zdanie sumujące ostatnie wydarzenia wymyśliliśmy wiele lat temu. I idzie nam, jak zwykle, o polską politykę zagraniczną. Od pradawna utrzymujemy, że nie ma czegoś, co można by nazwać polską polityką zagraniczną. Każdy dzień władzy polskiej prawicy potwierdza to proste, choć przecież absolutnie zdumiewające spostrzeżenie. Nie można mówić, że polska polityka zagraniczna jest zła bądź że jest dobra, albo że ona jest nijaka. Tak nie wolno mówić ani tak myśleć. Powinno się tego surowo zabronić na uniwersytetach. Za temu podobne, tchnące infantylizmem i optymizmem intelektualnym wypowiedzi winno się stawiać studentom dwójki bądź proponować urlop dziekański. Uważamy, że firmy, fundacje, instytuty, akademickie kółka zainteresowań zajmujące się polską polityką zagraniczną winny się natychmiast samorozwiązać, ich członkowie zaś winni udać się w teren, na targowiska polskie, gdzie o polityce tradycyjnie rozmawia się najtrzeźwiej, i to mimo że na targowiskach się przecież pije. Na zdrowie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

BOGATE WNĘTRZE

Muzeum Fotografii w Krakowie

REKLAMA

MuFo

Do zwiedzania zmodernizowanego oddziału przy ulicy Józefitów 16 zapraszamy po złagodzeniu obostrzeń!

więcej informacji na: **mufo.krakow.pl**

Kraków

MuFo

Wkład własny finansowany przez Miasto Kraków.

Muzeum Fotografii w Krakowie - Instytucja Kultury Miasta Krakowa

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko

Rzeczpospolita Polska

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

Projekt „Modernizacja i adaptacja zabytkowej siedziby Muzeum Historii Fotografii im. Walerego Rzewuskiego na potrzeby utworzenia Centrum Magazynowo-Konserwatorskiego i Digitalizacyjnego oraz Badawczego" współfinansowany przez Unię Europejską w ramach VIII osi priorytetowej Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020.

REKLAMA

PAŁAC CZAPSKICH
AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE

AKADEMIA SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE

Nowe miejsce na mapie kulturalnej Warszawy

Wielkie otwarcie – Wiosna 2021

- Międzynarodowe wystawy
- Wielkie retrospekcje
- Międzynarodowe festiwale artystyczne
- Międzynarodowe konferencje – Sztuka – Nauka – Kultura

Zrealizowano w ramach projektu **„Akademia Otwarta – przebudowa i renowacja Pałacu Czapskich Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, na potrzeby działalności kulturalnej i edukacji artystycznej”** finansowanego z Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014–2020, VIII Oś priorytetowa – Ochrona dziedzictwa kulturowego i rozwój zasobów kultury. Numer projektu: POIS.08.01.00-00-1027/17

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko
Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego